



# TRUŻNA

ANTOLOGIA SŁOWIAŃSKA

# TRYZNA

ANTOLOGIA SŁOWIAŃSKA





Tytuł: *Tryzna*

Copyright © 2022 Piotr Barej, Silke Brandt, Jarosław Dobrowolski, Krzysztof Dzieniszewski, Paweł Famus, Camille Gale, Artur Grzelak, Małgorzata Lewandowska, Tadeusz Oszubski, Olaf Pajączkowski, Jacek Pelczar, Franciszek M. Piątkowski, E. Raj, Maciej Szymczak, Flora Woźnica, Magdalena Zawadzka-Sołtysek

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redakcja i korekta: Anna Dziegielewska

Projekt okładki i ilustracje: Marta Żurawska

Skład i łamanie: Krzysztof Biliński

Wydanie I

Wydawca: Planeta Czytelnika, Łódź 2022

[planeta-czytelnika.pl](http://planeta-czytelnika.pl)

[kontakt@planeta-czytelnika.pl](mailto:kontakt@planeta-czytelnika.pl)

ISBN 978-83-67735-01-8

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

# SPIS TREŚCI

- Krzysztof Dzieniszewski – *Potępieńczy poemat*  
Silke Brandt – *Czarne żagle Wolina*  
Piotr Barej – *Anus Mundi*  
Maciej szymczak – *Jędza*  
Camille Gale – *Wodnik*  
Tadeusz Oszubski – *Czarny, bardzo czarny bór*  
Małgorzata Lewandowska – *Puste oczy*  
Jacek Pelczar – *Zakochani na zabój*  
Flora Woźnica – *Szkodniki*  
Magdalena Zawadzka-Sołtysek – *To złożona kwestia*  
Franciszek M. Piątkowski – *Powrót*  
Artur Grzelak – *Co kryje toń?*  
E. Raj – *Liszec*  
Olaf Pajączkowski – *Drzewa*  
Paweł Famus – *Siedlisko Dariusza*  
Jarosław Dobrowolski – *Ona o dwóch duszach*



KRZYSZTOF DZIENISZEWSKI  
**POTĘPIŃCZY POEMAT**

- I -

Boża kara co spadła na cichutką wioseczkę  
Winą moją jest jeno i już niczyją jeszcze.  
Wielkim mężom lud stawia pono rzeźby ze złota,  
A to miejsce na pomnik weźmie dziewczki głupota.

Pierwszy raz żem zbłądziła nad strumykiem na wiosnę,  
Gieźlom prała z Jagienką, tą co robi na krośnie.  
Wtem to brodem na rzeczce, hen, przy trakcie na miasto  
Przebrnął jeździec na koniu, słonko świeciło jasno.

I choć dzionek był piękny, a szum wody tak słodki,  
Równy nie był z przybyszem, co z nas zrobił niemotki.  
Takie piękne miał liczko i tak anielskie oczy,  
Że aż nogi mię zmiękły, gdy opodał koń kroczył.

Ale drogi nie spytał, pognał prosto na chaty,  
Bo to syn był sołtysa, co szedł do szkół przed laty.  
Każda we wsi pytała, kto zacz i czy po słowie  
A sołtysowa, że luba Maryja Panna się zowie.

Chłopiec piękny był w mieście w seminarium na księdza,  
Wiejskim babom lubieżnym przeto tykać go nie lza.  
Zjechał tutaj, bo u nas braknie Pańskiej świątyni,  
A że strony rodzinne przecie zawsze są tymi,  
Które jawią się człeku jako pierwszej ważności,  
Bardziej na sercu leżą niżli królewskie włości,  
To wprost do dom przyjechał ten to młodzik uczony,  
Jeno cieślów jął szukać, a nie chaty i żony,  
By dom Pana stawiali, jak to sobie wymarzył.

Żeby w tedy wiedziała, co nam później się zdarzy!  
Tobym nigdy nie poszła prosić lekcji pisania,  
By nad inkaustem dumać, jakież jest bez ubrania,  
Ciepłych spojrzeń nie kradła, ni karesów w stodole.

Dłużej byśmy pożyli na tym tu łoż padole,  
Ale głupia żem była, ckliwych piosnek słuchała,  
Aż z sekretną miłostką wnet się miarka przebrała.

Ludzie gadać poczęli – dziewczka ciężarna chodzi.  
Ladacznicza wszeteczna, któryż bękartą spłodził?  
Że to wnuk jest sołtysa, żaden głośno nie powie,  
Ale chłoptaś poczciwy jak ten mąż co się zowie  
Służbę Panu porzucił i o rękę poprosił.

Gniew rodziny i plotki później cierpliwie znosił,  
A gdy syn się narodził, takam była szczęśliwa,  
Chociaż kościółka nie ma, a teść się nie odzywa.  
Ciężko było czas jakiś, alem się nie wstydziała,  
Cóż im przecie ta miłość dwojga nas zawiniła?

W końcu sołtys, bez żony, wnuka raczył odwiedzić,  
A i Jagna z Bohusiem zajdą czasem posiedzić.  
Aż do kresu by mogło tak nam upływać życie,  
Gdyby nie klątwa, urok na mię rzucony skrycie.

Matka młoda, radośna, starych prawd nie słuchała,  
Mąż mój rzekł, że zabobon, wstążki żem nie wiązała.  
Licho podłe, mamuna, na to tylko czekała,  
Chwilem dziecka nie strzegła, już z nim w las hen czmychała.

A w kołysce się ostał jejich odmień, podrzutek,  
Tom płakała, krzyczała, tak mię strach wziął i smutek.  
Aż sąsiady się zlekli, czego ja przerażona?  
Mówię – synka poniosła wiedźma zła, dziwożona!  
Luby wziął tuzin chłopca i w bór poszedł za jędzą,  
A mię baby obsiadły, w sień się gapią i gładzą,

Gdy za horyzont słońko chować się już zaczęło,



Z lasu męże wrócili, a mię zaś żalem zdjęło,  
Bo wśród chłopca mego żaden nigdzie nie zoczy,  
A i szukać już nie lza, gdy dziś światło się mroczy.

Z drzewnych cieni ostatni stary kowal wtem wyszedł.  
Rzekł, że tam głębiej w kniei krzyk gdzieś dało się słyszeć.  
Straśny jakoby w lochu żywcem go skórowali,  
Po nim się z moim lubym więcej już nie spotkali,  
Więc uczonych nie trzeba by tu umyślić wniosek.  
Teraz ja sama jedna już krzyż losu poniosę.

Chcieli jeno ode mnie, by odmieńka wyrzucić,  
Alem hardo orzekła, może jędza doń wróci.  
Jajo kukułcze weźmie, od nas wreszcie precz pójdzie,  
A mię dziecię me odda, tym się już nie frasujcie.

Żem ich słuchać nie chciała, tom i poszła do chaty  
Zajrzeć, co jest w kołysce, jaki diabeł parchaty.  
Ale nic poznać nie szło, że to nie syn człowieczy,  
Niemowlątko spokojne, nawet we śnie nie beczy.

W piecu żem napaliła i do ławy zasiadła.  
Strach zasypiać, by się tu znów mamuna nie wkradła.  
Gdy już prawie świtało, bobak otwarł swe oczy,  
Kwilić począł jak dziecko, kiedy mu głód dokuczy.

W sercu miękkim wezbrało mię naiwne współczucie.  
Myślę, co malec winny, nie on z dzieckiem stąd uciekł.  
To żem na rękę wzięła, trochę go pokarmiła,  
A gdy dzień już się zaczął, to żem się położyła.

Dnie mijają i noce, aż się to stało pewne,  
Tatuś syneczka mego odszedł hen w kraje niebne  
Sołtysowa nam naraz zdjęta żalem wyznała,

Że to ona złe siły ciemną nocą wołała,  
By mi dziecię skrzywdziły, a mię pogryźli węże,  
Moją winą jej synek świętym nie został mężem.  
Mnie diabelstwa złe nie chcą, z malcem ojca powzięli,  
Więc jej nic już miłego nie ma na całej ziemi.

Nim wszyscy uradzili, co tu począć z niebogą,  
Sama wzięła postronek i zawisła nad drogą.  
Sołtys na pogrzeb bronił, by przynosić bobaka,  
To Jagienka, pocziwa, do się wzięła chłopaka.

Gdy teściową w grób kładli, łezkę żem uroniła,  
Złość ją zżarła, żółć gorzka, obym ja lepiej żyła.  
Kiedym zaszła po wszystkim już odebrać odmienka,  
Patrzę, krew w całej izbie, a w tej krwi jest Jagienka.

Żem się w trwodze rozdarła, aż wszyscy posłyszeli,  
Pół wsi naraz zleciało i wnet stanęło w sieni.  
I już sądzą: to odmień, trzeba pozbyć się czarta.  
Bronić chcę lecz nic moja racja dla nich niewarta.

Już mię Bohuś Jagienki od ich chaty odciąga,  
Baby krzyczą: oj, chłopcy, łapać jakiego drąga!  
Jak bobakowi się mocno kijem skórę przeloi,  
Wyjdzie doń dziwożona i go weźmie do swoich.

Kopię, jęczę: szaleńcy, poszli precz od malucha!  
A tu nagle jak tryśnie aż ponad strzechę jucha.  
W sukurs już odmienkowi idzie diabla mamuna  
I szponami harata chłopków mać rozwścieczona.

Bohuś zdębiał, ja w nogi, tu w stodołę zatęchła,  
Tamten wył, Pana wołał, póki gardło nie pękło.  
Skryłam się w cieniach, w kącie, cicho ratunku proszę,

Tylem zła narobiła, że już modłów nie wznoszę.

Zguba na nas tu spadła, bo żem bystra nie była.  
Mądra dziewczka z młodzieńcem świętym by nie zgrzeszyła  
Ani by też odmienka w domu nie przytrzymała,  
Przecie cała jej wioska zgodnie to odradzała.

Rymy w dzienniku piszę, jakbym była natchniona,  
Choć poezji nic nie znam, jako żem nieuczona.  
A nade mną już stoi straszny kształt – dziwożona.  
Nie zabija, a skrzeczy, niby zgłodniała wrona.  
Boję się, że zabierze, że też będę jak ona,  
Więc otwarłam swe żyły, krew jest taka... czerwona.





## KRZYSZTOF DZIENISZEWSKI



Urodzony 24 listopada 1994 w Warszawie

Z literaturą związany od dziecka, najpierw jako czytelnik, później badacz na potrzeby szkolno-akademickie, a obecnie autor i recenzent. Od 2019 współpracuje z portalem Ostatnia Tawerna, początkowo jako redaktor i korektor, później w roli redaktora prowadzącego. W 2020 został laureatem I edycji konkursu TwórcyTwórców oraz aktywnym członkiem grupy literackiej o tej samej nazwie. Rok 2022 to kolejne sukcesy w naborach do antologii związanych z fantastyką, które ukażą się w najbliższej przyszłości.

Z wykształcenia magister filologii języka fińskiego, akademicko zainteresowany początkami literatury fińskiej oraz oddziaływaniem na nią mitów i mitologii europejskich. Zawodowo bywał już korepetytorem, korektorem, tłumaczem i handlowcem, by na chwilę obecną zostać analitykiem danych.



SILKE BRANDT

# CZARNE ŻAGLE WOLINA

- II -

*Prędzej im ku polom krwi  
niż ku weselu*

*Prędzej im ku uczcie wron  
niż ku pochówku*

**Y Gododdin** – *Elegia Ywaina, syna Marro*

Niewielki statek Mokosz cumuje przy molo w południowym słońcu, pachnąc ciepłą żywicą i smołą. Fale łagodnie uderzają o kadłub, poczernione deski lśnią w blasku. Trzcina kołysze się pod wpływem letniej bryzy, wysoko na niebie bielik zatacza leniwe kręgi, po czym zanika nad zatoką w ciemny punkt. Mokosz spogląda swym smoczym łbem na szeroką równinę, na strzechy wolińskich domostw oraz na pobliską stocznię, w której ją zbudowano. Rzeźbione zmięwiają się po jej dziobie – ich ciała wyciągnięte są ku czaszkom dwóch wilków oraz człowieka, przytwierdzonym do bukszprytu wielobarwnymi wstęgami, spoglądającym w przód niczym trójgłowe bóstwo. Mech wystaje z drobnych pęknięć kości. Wiatr niesie od nich fetor padliny. Rozmiar czaszek drapieźców jednoznacznie wskazuje, że to nie wilki upolowane w lesie, a dwójka Wilkołaków: wojowników i awanturników, którzy stracili życie za morzem i teraz towarzyszą swym braciom po mieczu w wędrówce ku śmierci.

Sama Mokosz niecierpliwi się tym, kiedy znów wypłynie w ocean, lecz jej czarny żagiel leży zwinięty na pokładzie; załoga krząta się po miasteczku. Tutaj na Północnym Molo ledwo dostrzega się gwar przystani – praczka niesie swój kosz, w cieniu chaty suczka Stiną wylizuje swe lśniące ciemne futro, w oddali krzyczy dziecko.

– Rani! – woła gdzieś z nabrzeża znajomy głos.

Oślaniam oczy dłonią i widzę, że zbliża się Zekãro, w swoim skórzanym fartuchu i ze srebrnymi bransoletkami na obu nadgarstkach. Macha na powitanie, lecz twarz ma poważną. Nie opuściłby kuźni bez powodu. Wychodzę mu na spotkanie, staję na paluszkach i witam go pocałunkiem.

Oplata mnie ramieniem i wskazuje na morze.



– Od strony Dzwiny przyjechał zwiadowca. W zatoce cumują cztery skandzkie drakeny. Wojenne. Trzy z nich zwinęły żagle, ale czwarty zbliża się do Wolina. Na głównym maszcie powiewa białe płótno.

– Można im zaufać?

Zekąfo wzrusza ramionami.

– Do tej pory żaden duński woj nie wykorzystał znaku pokoju w nieczym celu.

Kiwam głową.

– Ich zmysł honoru nie pozwala im na zwodzenie. Jednak mało kto wysłał sąsiadom cztery drakeny, kiedy jest w nastroju na przyjazne negocjacje.

Na krótką chwilę zaciska dłoń na moim ramieniu: milczące pocieszenie.

– Książę Daivak podjął decyzję: nie złamie zasad gościnności. Zaczekamy i zobaczymy.

Podmuch przetacza się ponad rzeką i wionie w głąb łądu, wstrząsając trzcina. Wraz z wiatrem w zatoce zjawia się draken. Szeroki, potężny kadłub pruje morze, krople bryzgają ponad patrzącym wstecz smoczym łbem na bukszprycie, woda pieni się pod dziobem. Statek sunie centralnie z wichrem, żagiel w białoczerwone pasy wydyma się równo po obu stronach. Z takiej odległości trudno cokolwiek oszacować, niemniej na pokładzie znajduje się jakichś osiemdziesięciu wojów.

Powinno mi być coś poza podziwem i zachwytem – skeidy, największe łajby wojenne duńskich wojowników, wzbudzają postrach wszędzie, gdzie tylko się zjawiają. Nawet pomiędzy nami, sąsiadami, zdarzają się potyczki, kiedy oboje wybieramy się na łupienie w tym samym morskim regionie.

– Nie wyobrażam sobie, co by się stało, gdyby wypowiedzieli nam wojnę – mówię z wiarą w moc Wolinu, którą tak po prawdzie finguję. Wystarczająco często widywałam podobne statki cumujące w przystani Heiðabýru oraz zwycięskich Duńczyków świętujących przy rozładowywaniu zdobyczy i towarów w porcie: srebra, złota, futer, przypraw, cennych materiałów i plecionek czy też płaszczy uszytych z najlepszej wełny. Jednakże w Danمارku, krainie Skandów i berserkerów, byłam jeno niewolnicą portową. Nie dla mnie towarzystwo walecznych wikingujących, nie dla mnie dola od dawców pierścieni.

W międzyczasie na przystani zebrał się niewielki tłum, który z pewnością, tak jak i my, obserwuje nadpływający draken z mieszaniną podziwu i obawy. Załoga zaczęła zwijać żagiel i opuszczać reję. Fruwają liny, łopoczą płachty, okręt zaś używa swego pędu, by dotrzeć do naszego molo. Wyciągam ramię, by wskazać im odpowiednie miejsce do cumowania. Monstrum podpływa niemalże bezszelestnie; w jego cieniu Mokosz wydaje się marną rybacką krypą. Odlepiam się od Zekāfo i łapię pierwszą linę. Pracujemy wspólnie, póki szeroki kadłub nie oprze się o ciosane drewno.

Wojownik podchodzi do burty.

Zekāfo kiwa mu głową.

– Tłumacz, proszę – mówi do mnie. – Powiedz, że Wolin wita ich ciepło.

Spoglądam na mężczyznę na dziobie. Łańcuszki z kłami, splątane wzory na skórze, wilcza skóra zarzucona na barki.

– To berserker – szepczę do Zekāfo. – Nigdy nie żeglują w pokojowych zamiarach.

Wojownik unosi dłoń w pozdrowieniu. Wyraz twarzy ma łagodny, źrenice zwężone.

– Witajcie, chrobrzy Duńcyzy – przemawiam w jego języku. – Witajcie, jeśli wojna to nie wasz zamiar. Nasze straże zauważyły was już na Dziwnej. Jesteśmy gotowi. – Nie wspomina, rzecz jasna, na co. Z obawy, że jednak mogłam przesadzić, posyłam mu szeroki uśmiech.

Zekāfo syczy mi do ucha:

– Coś ty mu rzekła?

Berserker rechocze.

– Chwała wam na powitanie. – Wskazuje na towarzyszy. – Ni jedna osoba nie dożyła tu miecza. Nie łupy nam potrzebne, a wsparcie Czarnej Floty. Nazywam się Ulfberht Szary Wilk i proszę o pozwolenie zejścia na brzeg.

Podczas uczty siedzę wciśnięta między wodza naszego miasta, kniazia Daivāka, a starszego berserkera, Szarego Wilka Ulfberhta.

Zekāfo mruga do mnie z końca przeciwległej ławy i unosi kufel w salucie.

Chropawy głos Ulfberhta wypełnia pomieszczenie. Opowiada o tragedii, jaka spotkała Heiðabýr. Wrogowie nadciągali z południowego wschodu

i osiedli w Sleswic pod pretekstem przezimowania.

Odwracając się ku Daiväkowi, tłumaczę głośno na rzecz zgromadzonych wolińczyków:

– Ci dziwni mężowie i niewiasty chodzili boso, owijali się brązowymi sukniami. Bezdzielni. Lecz gdy nastąpiło lato, nie poszli w swoją stronę, a miast tego wzniesli małą, byle jaką osadę oraz bieloną wapnem świątynię w pobliżu Heiðabýru. Głosili pokojowe doktryny, lecz wkrótce rozpoczęły się nocne napaści: dzieci znikwały – powiadało się, że widziano chłopców w żelaznych obrożach w pobliżu bożnicy, potem dziewczęta w Sleswic, również zakute w łańcuchy i dźwigające ciężary. Brązowe Suknie przybyli z prośbą o pomoc, ale potem zauważono ich maszerujących ulicami, głoszących wysokim śpiewem chwałę swego boga na patyku. Mąciwodów w niedługim czasie wygnano z miasta albo zakatowano, wszelako ataki na hale i domostwa zaczęły się na nowo, również w nocy. Zapasy poszły z dymem, tak samo jak dobra na handel. Wróg wydawał się niewidzialny, wszędzie i nigdzie, Heiðabýr zaś trzymany w uścisku widmowego obłączenia. Zdecydowano się wypowiedzieć wojnę tym najeźdźcom. Wapienna świątynia została spalona do gołej ziemi. Brązowe Suknie wypędzono poza Duński Mur, gdzie osiedli.

Oglądam się na Zekǫro. Kiwa głową z poważną miną, bezgłośnie wypowiadając słowo Arkona.

Musimy zjednoczyć się z Heiðabýrem albo staniemy się kolejnymi ofiarami. Wszyscy wiedzą, że Arkona – trzy dni żeglugi stąd – walczy właśnie z bardzo podobnym przeciwnikiem i jak dotąd żadna wojskowa potęga nie zdołała przerwać oblawy. Nasz woliński kniaź również zauważył powiązanie: Daiväk oferuje wysłać pięć łodzi, dziewięćdziesięciu mężów oraz ośmioro Wilkołaków. Jest lato i większość floty łupi na szerokich wodach. Więcej dać nie możemy, jeśli nie chcemy zagrozić bezpieczeństwu naszego miasta.

Kniaź nachyla się ku mnie.

– Decyzja należy do ciebie, ale uznaliby to za ogromną uprzejmość, gdybyś popłynęła z grupą jako tłumaczka. Pośród blisko setki wolińczyków nic ci nie grozi ze strony Skandów.

– Nie! – odpowiadam głośniej, niż zamierzałam. – Zasady ustalimy na miejscu. Rozrysujemy plany. Ale ja zostaję.

Daivāk przytakuje na zgodę i uzupełnia mój kufel ciemnym ale. Następnie odwraca się do mężów po swojej stronie stołu, wydając pierwsze rozkazy.

– My się znamy.

Podskakuję. Jeden z berserkerów musiał nachylić się nad moim ramieniem, kiedy przyglądałam się, jak mężczyźni zawierają umowę.

Jego głos nie jest niemiły.

– Rodzina mojego brata wyjątkowo ceniła sobie twoją służbę. W przeciwnym wypadku więcej nie ujrzałabyś rodzinnych stron.

Odruchowo kładę dłoń na runie wypalanej na karku.

Śmieje się ciepłym basowym tembrem.

– Na imię mi Kåre, gdybyś zapomniała.

Węszę wilka pod skórą, lnem i ludzką powłoką.

– Owszem, zapomniałam – kłamię. – Byłam młoda, od tamtej pory minęło dwadzieścia wiosen. Czasy niewolnictwa porzuciłam daleko za sobą.

– Cóż – odpowiada – służyłaś nam za tłumaczkę. Negocjatorkę. Nikt cię nie zmuszał do trzymania pługa za wołem ani do dzielenia łoża z panem domu.

– Zabraniano mi zmieniać się w wilka – ripostuję. – Zabraniano spać w łóżku, jeść przy stole, a moja rodzina dawno już pomarła, kiedy pozwolono mi w końcu wrócić do domu.

Kåre kładzie ciężką dłoń na moim ramieniu. Nie jestem pewna czy dla ukojenia, czy w ramach groźby. Jego zapach nie zdradza mi niczego.

– Nikt cię nie bił – dodaje. – A przynajmniej niezbyt często. Tylko wonczas, kiedy szwendałaś się przy łodziach i próbowałaś zakraść na pokład.

Włoski na karku stają mi dęba. Upijam łyżek piwa i wzruszam ramionami. Puszczam mnie.

– Popłynę z wami – oświadczam hardo. – Pod warunkiem, że dostanę miejsce na skeidzie. Jestem wolną kobietą, piętno zbladło w ledwo widoczne linie. Jeśli zaprosisz dawną niewolnicę na draken, będę tłumaczyć dla naszych wojów.

Szczerzy się i splota za siebie, jakby odganiał złe duchy. Następnie wysuwa ku mnie dłoń. Kiedy ją ściskam, szepcze mi do ucha:

– Ulfberht nigdy by się temu nie sprzeciwił.

Rozmywa się w ciemności hali, gdzieś poza kręgiem pochodni i świec. Kręci mi się w głowie. Faktycznie, Wolin nie posiada statków wielkości skeidów, ale żeglowałam na naszych smoczych łodziach bez problemu. Poprzez Vilkä Vådä czy tutaj, w osłoniętej zatoczce. Być może przez dumę, przez nieposkromioną chęć podbicia własnej przeszłości i popłynięcia na okręcie wojennym, zaryzykowałam wszystko, co dla mnie ważne.

Po uczcie zalegam w ramionach Zekäro, wsłuchana w jego miarowy oddech i powtarzam sobie, że co by się nie działo, nie dołączę do walki. Jestem tłumaczką. W niczym nie będzie przypominało to okresu mego zniewolenia.

Wstaję o świcie, nie budząc ukochanego. Pożegnaliśmy się nocą, słowa są zbędne. Prędko pakuję zawój. Ściągam lnianą szatę i zamieniam ją na spodnie gwarantujące większą swobodę ruchów. Następnie nakładam z powrotem rozciętą narzutę. Dwie brosze z trzema łańcuszkami są niepraktyczne w podróży, owszem, ale biżuteria to przywilej wolnych ludzi, a nie zamierzam wrócić do Heiðabýru nieozdobiona jak niewolnica. Zarzucam mandżur na ramię, przywiązuję miecz oraz sztylet do paska, zabieram wilczą skórę z kołka obok drzwi i przewieszam ją przez ramiona. Gęsta, szorstka sierść pieści mój kark i ogrzewa plecy. Przewlekam czerwony sznurek przez parę otworów na oczy i przywiązuję głowę do ogona. Szary wilk nie służy jedynie za okrycie, to moja druga skóra.

– Våuku – mówię doń łagodnie. – Poczujesz wiatr wiejący od ujścia Sliefjord oraz morską sól. Nasza ostatnia wyprawa na zachód.

Podchodzę do łóżka i ostrożnie składam pocałunek na szyi Zekäro. Na progu spoglądam raz jeszcze na pokój, a potem bezdźwięcznie zamykam drzwi.

Na przystani niewielka flota Wolina szykuje się do drogi. Czarne żagle zostają rozwinięte, reje przygotowane. Niektórzy woje są zajęci ładowaniem beczek z wodą pitną i prowiantem, inni nadal wystają na brzegu, przeciskając się przez tłum: starców, matki z dziećmi, stado psów – wszystkich zarażają duchem przygody. Okrążam cizbę z lewej i udaję się na Północne Molo, gdzie pomogłam zacumować drakenowi Gylðir.

– W życiu nie pływałaś na skeidzie? – Mężczyzna obok mnie nie jest wyższy nawet o pół głowy. Czarne włosy oraz krótka broda przeplatana szarością. Długi miecz, srebrne pierścienie na bicepsach, czarne i szare skóry; wilcze. Pachnie gorzkim miodem i wygląda jak bliźniak naszych Wilkołaków.

– Nie na drakenie tej wielkości – odpowiadam. Niewolnice nie mają wstępu na pokład skeidu, mogłabym dodać, lecz miast tego mówię: – Nasze okręty są mniejsze, zbudowane do manewrowania i ataków z zaskoczenia. Pływamy po labiryntach rzecznej delty, gdzie nie wpłynęłaby żadna długa łódź.

Kiwa głową.

– Wołają mnie Czarny Wilk Þorkil – przedstawia się. – Gylðir zaś z radością przewiezie cię przez morze.

Þorkil woła do sterniczki sprawdzającej łączenia na rufie:

– Ylva! Chodź, zaprowadź naszego gościa na pokład!

Podnosi wzrok z uśmiechem, macha na powitanie, podchodzi do burty i zrzuca z niej drabinkę linową. Podaję jej swój zawój oraz buty, wspinam się na pokład po szerokim kadłubie i ponad rzędem tarcz. Drewniane ławy ogrzewają moje podeszwy. W przeciwieństwie do naszych łodzi draken nie posiada zamkniętego pokładu; całą imponującą szerokość zajmują siedziska oraz pary wiosel dla osiemdziesięciu mężów. Ylva wskazuje mi miejsce, gdzie pozbędę się brzemienia. Następnie załoga wkracza na statek. Pospiesznie kulę się przy dziobie, w jedynym zakątku, gdzie nie wejść nikomu w drogę. Tam stacjonuje samotny nawigator. Czwórka wojów odwraca smoczy łeb, tak że spogląda przed siebie. Liny zostają zwinięte i wiem, że nie muszę wypatrywać Zekårfo w tłumie odprowadzających nas wzrokiem wolińczyków – oboje nie znosimy pożegnań, a to i tak nie będzie na długo.

Wraz z pomyślnym wiatrem nasza flota opuszcza zatokę i prędko wypływa na szerokie wody przez zakola Starej Świny. Trzy dni, zanim miniemy klify Arkony tuż pod oblężonym Jaromarsburgiem, potem wszystko zależeć będzie od podmuchów. Osiągamy dobrą prędkość, draken frunie poprzez Ostsæ, tnie spienione fale z mocą, jakiej nie znam z wolińskich łodzi. Wicher spycha bok Gylðira w biel, jego dziób unosi się, a następnie opada w wody, śląc rozbryzgi na nawigatora oraz mnie. Czuję na wargach smak niebieskozielonych głębin. Z tak

długą łodzią wolińczycy żeglowali po obcych szlakach bez zawijania na brzeg, a nawet eksplorowali szerokie morza poza wybrzeżem Norðrvegru, które kończy się ponoć ścianą lodu.

Porkil przeciska się przez załogę, wita się z nawigatorem skinieniem głowy i dołącza do nas. Wskazuje na północny wschód, przeciwnie do kierunku, w którym smoczysko z figury szczyrzy zęby.

– Mój ród od pokoleń wywodzi się z Gotlandii. Dorastałem u krewniaków. Na zachodzie, w Visby. Rodzice moi wikingowali nie tylko latem; wojaże ich trwały częstokroć latami. Powodziło nam się niezgorzej, kupiliśmy kawałek ziemi w cieniu Białej Fortecy, blisko morza.

– Ale nie zostałeś tam? – dodaję.

Uśmiecha się, nadal wpatrzony w horyzont.

– Nie. Mewy krążyły nad wybrzeżem, drwiąc ze mnie krzykami. Więc pożegnałem się. Wyprowadziłem swój pierwszy skeid na wody... białe bałwany cisnęły już wieloma łodziami o klify, lecz nam udało się wyjść na przestwór.

– U nas w domu mawia się, że wzgórze Visby pokrywa kwiecie. Ponoć to najpiękniejsza wyspa Skandii. Nie żałowałeś, że opuściłeś dom?

– Nie istnieje ważniejsze miasto handlowe nad Heiðabýr. Zakres towarów zadowoli każdego szlachetkę; tamtejsze ceny nie byłyby realne w Visby. Pewnie również nie w waszym Wolinie.

– Owszem – przyznaję. – Heiðabýr jest chroniony. Brak sztormów li trudnych do przebycia wód. – Ścisk w gardle. Przetykam ciężko. Nasza rozmowa przywołuje obrazy, których wolałabym nie mieć przed oczami.

Żeglujemy przez sześć dni i nocy. Z Ostsæ za plecami flota kieruje się wreszcie do przesmyku Slie – na sterburcie dostrzegam ognisko oraz pokryty wapnem głaz, które ostrzegają wielkie handlowe statki przed mieliznami. Nasz skeid jest tak płytko zanurzony, że zawijamy wokół skały, by wpłynąć do fiordu – Gylðir mija znacznik o długość ramienia. Znad lądu dobiega nas śpiew ptaków i wrzaski mew, które wkrótce zaczynają krążyć wokół naszego masztu. Ściana zatoki blisko nas przechodzi w piaszczystą plażę; przeciwległy brzeg to soczyste jasnozielone pastwiska. Żadnych kłębow pyłu czy odgłosów sugerujących, że czatownicy poganiają konie w stronę Sleswic. Może tak blisko ujścia rzeki nikt nie wystawia

straży, a dwa potężne miasta chronią się wyłącznie przed najazdami z lądu: Danewerk otacza Heiðabýr niczym naturalny łańcuch wzgórz. Kto wie, czy to miejsce, w całym swym dostatku, nie stało się nazbyt aroganckie.

Nasze cztery skeidy i pięć smoczych łodzi skręca w stronę Sleswic pod czarnymi żaglami. Kryjemy się za połąciami szuwarów, płótna idealnie dopasowane do wiatru – nic nie łopocze, nie skrzypi ni najkrótsza lina, by nie zdradzić naszej pozycji. Naszym statkom towarzyszy jeno szept morza prześlizgującego się po rufie i szemrzącego między deskami.

Spoglądam w górę: na czerwono-biały materiał; w przód: na inkrustowaną złotem i kośćmi głowę bestii szczerzącej kły w stronę własnego miasta. Wciągam w nozdrza woń nasmołowanego, ogrzanego słońcem drewna, szarozielony zapach morza. Dotykam futra Våuka na moich ramionach i wietrzę drapieźny swąd czterech Gylðirowych berserkerów. To nieoczekiwana chwila ciszy i naraz życząc sobie, by nasza flota żeglowała po Slie bez końca, bez celu.

Krótki rozkaz od kapitana, sygnał dłonią do pozostałych jednostek – i naraz wszystkie skręcają w stronę otwartych wód Heiðabýru. Żagle zostają dopasowane, łodzie przyspieszają wraz z powiewem, jak gdyby wyczuwały otwarte morze. Porzucamy kamuflaż, wyrywamy się z zarośli i szturmujemy przystań.

Wycie wilków odbija się echem z pięciu smoczych łodzi wolińczyków: Wilkołaki rozpoczynają rytuał. Wojownicy zbierają się pod ludzkimi i niedźwiedzimi czaszkami umocowanymi wysoko na masztach kolorowymi wstążkami. Nadzy pod wilczymi skórami; w słońcu błyszczą srebrne obręcze na ich szyjach. Zawołania przeradzają się w rytm i stara melodia sprawia, że moje kości śpiewają w cichej odpowiedzi. Wilkołaki obnażają zębiska, sierść spływa w dół ich ramion, otula i kształtuje ciało pod nią. Pierwsi mężowie padają na czworaki, palce kulą się w szpony, kręgosłupy wydłużają się, by wyhodować ogony, podeszwy rozciągają się, a uda znikają pod ciemną gęstwiną.

Unoszą wilcze pyski ku żaglom i wydają z siebie przeciągłe wycie, unisono. Z jednego ze skeidów odpowiada im dwójka berserkerów, którzy – zgodnie ze skandzkim zwyczajem – przeszli wyłącznie częściową przemianę. Uśmiecham się.



Te dzikie melodie i odpowiedzi między pokładami brzmią jak dwa stada, które uznały, że czas złączyć siły i stać się tą samą rodziną. Nagle szorstka szczecina wykwita mi na plecach i zaraz wygładza się w skórę. Serce wali mi młotem.

Kroki za moimi plecami. Rozpoznaję Czarnego Wilka Þorkila po słodko-gorzkiem miodowym zapachu, przebijającym się przez mocną chmielową woń spowijającą Kåre. Kiedy odwracam się ku nim, ten drugi częstuje mnie bukłakiem.

– Sok z płatków bladoczerwiny – oznajmia. – Nieczęsto oferujemy ten eliksir nieznanym.

Wilkołaki nie potrzebują wspomagania, by przejść transformację, lecz pokusa okazuje się zbyt wielka.

– Dzięki wam – odpowiadam tak formalnie, jak to możliwe, po czym biorę łyk. Cierpki płyn spływa mi do gardła wolno jak olej.

Bukłak wędruje z rąk do rąk, lecz nie dostrzegam już, jak dociera do dwóch ostatnich mężczyzn. Gardło ściskają mi niewidzialne szczypce, świat rozmywa się przed oczami, aż w końcu wszystko eksploduje jasnymi barwami, jak północne zorze. Smoczy łeb odcina się czernią na tle błyskającego zielenią i żółcią nieba. Morze i chmury stają się jednością, a draken rozcina lustrzany świat, zmierzając ku odległemu brzegowi. Szum fal i jazgot berserkerów zagłuszają ludzkie odgłosy, aż stają się wyłącznie skrawkami słów bez znaczenia. Przynajmniej dla mnie. Ośmiokrotny swąd drapieżców obezwładnia – nie tylko ich wilczych skór, ale i ludzi pod spodem. Dostrzegam wśród nich Szarego Wilka Ulfberhta oraz Czarnego Wilka Þorkila, smołę i spadź, sędziwość i jurność. Pół ludzcy, pół wilczy bryzgają śliną, zakrzywiają pazury, stroszą futro i ryczą bitewnym rykiem ku miastu.

Zorze i lustra z wolna bledną, moje zmysły to powracają, to wymykają mi się jak przyływy i odpływy. Otrząsam się, znajduję kałużę na pokładzie i chlustam sobie w twarz wodą ogrzaną przez słońce. Tuż przed nami, po stronie sterburty, w zatoce pod Danewerkiem przycupnęło siedlisko. Strzechy przywodzą na myśl jeże, uliczki rozbiegają się w głąb lądu od przystani. Zielona woń tej okolicy, dziwnie znajoma nuta drewna z wyłożonych nim ulic oraz domów z bali, ostrość mięty i tymianku płynąca od rynku. Ciepły zapach koni oraz powalający fetor bydła. Metaliczne odgłosy młota uderzającego o kowadło, kół wozów sunących

po piachu i kamieniach. Słodko-gorzkie konopne liny handlowych statków zacumowanych do mola. I oto widzę Heiðabýr, jakim nigdy nie dane mi było go oglądać: z pokładu skeidu.

Czwórka berserkerów na Gylðirze nadal dzierży oręż – ich kły i pazury są równie mocarne, co metal. Z okolicy rufy słyszę przygotowania do bitwy; tarcze podnoszone są z haków. Niektórzy zwijają żagle, Ylva robi ostry zwrot i kil szoruje o piaski plaży. Łódź staje w miejscu, prosto, ze smoczym łbem gniewnie wpatrzonym w Heiðabýr.

Obok mnie przefruwa susem Szary Wilk, z mieczem w jednej łapie oraz nożem w drugiej – bez szaty, bez tarczy. Skaczę za nim, lądując twardo na piachu, który dociera mi nawet między zęby.

Pozostałe statki podążają śladem Gylðira. Wolińskie smocze łodzie wciskają się pomiędzy potężne skeidy. Mieszkańcy widocznie zorientowali się, że oto wraża flotylla zajęła ich brzegi: gdzieś zza domostw dobiegają mnie odgłosy kroków szukających schronienia. Urywają się nawoływania przekupniów oraz ciosy młotów. Skórzane podeszwy szurają o drewniane chodniki, przerywając ciszę – spory tłum musi właśnie przeciskać się uliczkami. Wtem wróg wyłania się na pole: zakapturzone grubasy, łykowate zniewieściałe młokosy, starcy o twarzach pooranych zmarszczkami, wykrzywieni w odium. Machają narzędziami rolniczymi, krótkimi mieczami, pałkami oraz tyczkami. Otacza ich kwaśny odór potu, niemytych włosów i genitaliów. Wciągam powietrze, by się nie zakrztusić. Wolińczycy obok wojowników Północy, Wilkołaki ramię w ramię z berserkerami – formujemy front: ściana tarcz na przedzie, a za nimi zwierzęca brać, nieustępliwa, z futrem stojącym dęba, obnażonymi zębami i mieczami wystawionymi przed siebie. Horda rusza na nas niczym wataha opętańców. Tłuscioch z kołtunem szarych włosów wznosi dwa kijki przewiązane tak, że tworzą krzyż i woła coś w swoim pozbawionym melodii języku.

Wyciągam jednoręczną broń i ruszam na nieprzyjaciół z warkotem. Sierp tnąc powietrze nade mną, ociera się o czaszkę, lecz wtem mój miecz nurkuje w miękkie trzewia i po krótkim otarciu się o miednicę rozcina udo. Elixir znów zalewa moje zmysły i pozwalam moim kłom dźgnąć wargi, wilczej skórze zaś

spłynąć z pleców. Z palców wyrzynają się pazury i trwam na wpół przemieniona – jak berserker. Pod płomieniami zorzy wyznawcy patykowego boga napadają na nas i kończą przebici, odgłowieni, rozerwani na strzępy. Kolejna fala Brązowych Sukni dołącza do pierwszej, potykając się o ciała poległych kompanów. Krwawa mgła przesłania błękitno-żółte rozbłyski wypitego dekoktu, dusi fetor atakujących. Unoszę klingę i skaczę w ciżbę, wbijając kły w nieznanym. Ich mięso jest twarde jak wygarbowane z zewnątrz i miękkie jak wytopiony tłuszcz pod spodem. Wypluwam krew i tkanki, jakby zostały skażone. Pałki i kije hordy pękają w naszych dłoniach i na naszych tarczach, pieśni litości zagłusza wycie wilków.

Duński wilczur Þorkil wyrywa się z pokotu. Splamiona krwią pierś jest ludzka, lecz z pyska drapieżnika wзира zielono-bursztynowe spojrzenie, lokalizując następną ofiarę. Po mojej prawicy stary Szary Wilk strzepuje z rękojeści feston jelit. Gdzieś pomiędzy ścierającymi się cielskami wypatruję Duńczyka, który odrzuca na bok nóż, a następnie gołymi rękami rozrywa gardziel młodzieńca. Berserkerzy również ulegli żądzy krwi – mordując w zaślepieniu, wybijają ścieżkę poprzez Brązowe Suknie, sami wydając się nietykalnymi. Tłuszcz patykowego bóstwa poddaje się. Uciekają jak zranione zwierzęta, by schronić się w ruinach swej świątyni. Waham się przez chwilę, nim pozwalam wojownikom ponieść się wraz z nimi. Sierść, skóra – tak ludzka, jak wyprawiona – oraz drewno tarcz drapią i obijają moje ciało i tylko mój wilczy zmysł równowagi pozwala mi nie osunąć się na ziemię i nie zostać zdeptaną. Docieramy na plac handlowy. Cuchnąca wataha przed nami wciska się w wąskie alejki, rozdziela na skołowane grupki.

W swym szale berserkerzy z Heiðabýru nie orientują się, że otwarta przestrzeń to idealne miejsce na pułapkę – lecz nie sposób znaleźć wśród nich kogoś o trzeźwym osądzie, kto wykrzyczałby ostrzeżenie. Nasza załoga również się rozchodzi, mknąc między domostwa, by dobić każdego, kto się ociąga albo potyka o własne nogi.

Dotarliśmy niemal na otwarte pole poza miastem, gdzie stoi spalona świątynia boga patyków, kiedy tuzin zakapturzeńców wyrywa się z kłębowiska ściganych i rzuca się na nas, z płonącymi żagwiami wzniesionymi ponad głowy.

– Wynocha z miasta, z dala od domów! – wołam w obu językach, lecz duńscy wojownicy już dopadają do dzierzących pochodnie, przesywają trójkę z nich, gasząc płomienie buciarami i tarczami. Wilkołak wyrywa krtań kolejnemu, a ten, śmiertelnie ranny, zatacza się. Ognista gałąź toczy się po drewnianym chodniku, krzesząc iskry. Niskie strzechy zaczynają płonąć.

W oddali atakującym udało się rozniecić więcej pożarów – kontynuowanie starcia byłoby pozbawione sensu: nie zdołamy pokonać potęgi żywiołu. Zagroziłoby to naszej flocie, zostawionej na brzegu tuż przy obrzeżnych domach.

Duński woj wyciąga mnie z wąskiej alejki na główną ulicę, ale płomienie przeskakują, obezwładnia nas gorąc, odcinając drogę do morza. Białobłękitne kłęby wślizgują się do płuc – gorzkie, żywiczne, ciężkie od popiołu. Zapada się chata, wyrzucone iskry parzą mi futro, choć nie docierają do skóry. Otrząsam się, przeskakuję nad powalonym mężem i rzucam się pędem w arterię, która z pewnością prowadzi do przystani. Wiatr rozwiewa żar po mieście, ryczące ognie pożerają dachy, ściany i płoty. Wirujący dym i pył gromadzą się w chmurę, która przesłania słońce. Wojownik gdzieś zniknął, ale z daleka do moich nastawionych uszu dobiegają dźwięki znajomej mowy, podobnie jak tryumfalne wycie.

Nurkuję pod falami ukropu, podążając za wonią wilczej braci, wonią morskiej soli i nasmołowanego drewna. Za moimi plecami: ryki i trzaski pochłanianego drewna. Pożoga rozprzestrzenia się na południe, lecz woda bez wątpienia leży nie dalej niż sto kroków ode mnie. Już za tamtą chatą z pewnością dotrę do brzegu: zataczam się obok poplamionej sadzą kuźni, gdy coś wystrzela z ciemności – pętla mija moją głowę, zaciska się na zbrojnym ramieniu i szarpie, wytrącając miecz. Olbrzym w brązowej sukni wychyla się z kryjówki. Zrywam swój pasek i przechodzę pełną transformację – spodnie, szata i łańcuszki biżuterii pękają, lina zsuwa się z łapy, moja półwilcza postać dociska się do mężczyzny i zanurza zębiska w jego barku. Odtrącona, wpadam na kowadło, smakując krwi nieznanego. Wciskam pazury w piach, zbierając się do skoku. Brązowa Suknia wstaje, zalewając się juchą, i sięga do ognia. Fontanna iskiei, nagłe buchnięcie – i oto me oczy zwężają się, gdy dociera do mnie, że właśnie wyszarpnął rozgrzaną do czerwoności klingę z paleniska. Nurkuję pod ognistym machnięciem, lecz kopniak przerywa mój sus. Chwyta mnie za sierść na boku. Metal lśni oślepiająco

biało, głęboko czerwono tuż-tuż przed moimi oczami, coraz bliżej. Świat eksploduje rozgrzаныmi węgielkami. Żar wrzyna mi się pod czaszkę, ból oślepia, potem otępia. Wszystko niknie w lodowatej czerni.

Dechy pod moim pyskiem, pazury orają drewno, smak posoki, nabrzmiały jęzor w gębie. Odgłosy, krzyki, rozkazy. Ryk w uszach, jakbym znalazła się głęboko pod wodą. Znow mocny chwyt na moim futrze, na karku, plecach. Ktoś mnie ciągnie. Kilka par rąk, kroki kilkorga mężczyzn. Zmysły ogarnia swąd spalonego mięsa, przypalanej sierści. Bronię się, choć nie pojmuję przed kim; powinnam dotrzeć do statków, wrócić do moich wojowników. Głos przebija się przez zamęt. Rozpoznaję go. Duńczyk, berserker, Czarny Wilk. Mój opór ustaje. Pozwalam się ciągnąć po deskowanym chodniku, po piachu, unieść się w powietrze, ułożyć na miękkim drewnie wibrującym od butów. Moje plecy przyciskają się do deszczufek. Chłodny cień. Oblizuję pysk suchym, opuchniętym językiem. Spopielone włosie przykleja się do niego. Pokładem coś wstrząsa – zgrzyt, który ęmi w korzeniach moich zębów. Wycofuję się do wilczego schronienia w sobie, aż dech i bicie serca stają się jedynymi dźwiękami świata.

Budzi mnie głos Porkila oraz mokry dotyk na pysku. Lniana tkanina, świeża woda pitna. Słyszę, jak dziób statku tnie fale. Próbuję ustalić, gdzie jestem: nasze ruchy nie wiedzą to w górę, to w dół jak w mniejszych jednostkach. Prujemy z mocą wichru, rżniemy morze w prostej linii. Przyciskam wilcze fafle do burty: dąb i żywica z obcego kraju, smoła wytopiona z nieznanomych świerków – pode mną tańczy skeid zwany Gylðirem. Konopne liny naprężają się, żagle powiewają w podmuchach, kil wibruje od prądów morskich. Bryzgające krople moczą mi futro.

– Straciliśmy Heiðabýr. Wracamy do mojej ojczyzny. Do Visby. – Kroki Porkila się oddalają.

Gylðir nie zabierze mnie z powrotem do Wolina. Nie powitają mnie domowe zapachy – zioła nad kominkiem, miodowe świece, słoma posłania oraz wszechobecna woń soli nawiewana z zatoki. Zekǽro, mój partner od trzynastu wiosen, nigdy już nie stanie się częścią mego świata. Nie usłyszę chrapliwego szczekania czarnej suczki Stina, szumu tataraku, brzęku młota dobiegającego

z przystani. Draken zabierze mnie w miejsca, gdzie aromaty są dziwne, gdzie tylko dźwięki wskażą, co się dzieje wokół mnie. Gdzie jeno gościnność podaruje mi nadzieję na posiłek, gdzie czekać będę, aż ktoś raczy rzucić mi kość albo skrawek mięsa. Nie pozęgluję już w poszukiwaniu skarbów, lecz wciąż mogę – przy pomocy dotyku – wyplatać bądź wyszywać. Kto wie, czy nie pozwolą mi heblować desek w stocznii?

Wiatr przybiera na sile, fale uderzają mocniej o burty: Gylðir wyrwa się ku otwartym wodom – zielone nuty trawy, pyłków i ziemi zanikają i wreszcie rozmywają się w błękitne tony morza.

### **Połaabski**

Daivāk – Jeleń

Mokosz – Bogini lata

Skandowie – ludzie ze Skandii (południowo-zachodnia Skandynawia)

Vilkā Vādā – otwarte morze/wielka woda

Vāuk – Wilk

Zekāfo – Żniwiarz

### **Staronordyjski/staronordycki**

Heiðabýr – dziś: Hedeby/Haithabu

Gylðir – Wyjec (= wilk)

Kåre – Ten, o kręconych włosach

Ulfberht – imię męskie. Ulf = wilk

Þorkil/Thorkil – staroduński wariant staroangielskiego Þórkætill

### **Uwagi:**

Wszystkie imiona i nazwy miejsc zostały użyte tak, jak używano ich w przybliżeniu w latach 800–1170, zgodnie z badaniami lingwistycznymi. Jedynie duńskie Slie oraz polskie Wolin (dawniej Julin) zostały użyte we współczesnych formach.

Duńsko-szwedzki Heiðabýr oraz Wolin w dzisiejszej Polsce należały do największych i najpotężniejszych miast ery wikingów. Stanowiły wczesne

metropolie, bogate w rzemiosło oraz odwiedzane przez handlarzy z dzisiejszej Skandynawii, zachodniej Europy, Rosji, jak również krajów bałtyckich, Bałkanów, państw arabskich i tych z okolic Morza Śródziemnego.

Heiðabýr spłonął w 1066 roku i nie odbudowano go aż do współczesnej częściowej rekonstrukcji. Mówi się, że wikingujący ludzie Północy oblegali miasto i doprowadzili do jego spalenia.

„Wiking”, w przeciwieństwie do jego użycia w popularnej kulturze, to określenie nie ludu, a czynności. Víkingr to człowiek, który wyrusza na przygodę, víking zaś: czasownik oznaczający „wyprawiać się na przygodę” (czy to mającą na celu handel, czy grabież).

Choć Wolin pozostał pogański aż do jego zniszczenia przez Pomorzan i Duńczyków w 1170 roku, chrześcijańscy misjonarze podejmowali już swe wysiłki w Heiðabýrze około 830 roku. Wielu przechrztów żyło tam ramię w ramię z poganami.

Polscy piraci/wojownicy – którzy nazywali się chąśnikami – wypływali głównie z Wolina pod czarnymi żaglami; ich statki przypominały nordyckie smocze łodzie. Zdobiono je czaszkami ludzi, wilków i niedźwiedzi. Ubierali się również w zwierzęce skóry i tuż przed atakiem odprawiali podobny rytuał do skandynawskich berserkerów. Obie grupy utrzymywały przeważnie pokojowe relacje, mimo że wikingowali na tych samych wodach.

Mówi się, że smocze łby zdejmowano bądź odwracano tyłem przy podejściu do domowego portu, tak by nie wystraszyć lokalnych duchów.

Mniejsze smocze łodzie mierzyły do 10 metrów i używano ich do transportu oraz w boju. Nordyckie drakeny bądź skeidy (skeid = tnący wodę) należały do najdłuższych łodzi, używanych wyłącznie w trakcie wojny. Mierzyły do 40 metrów.

*tłumaczenie Kornel Mikołajczyk*

## SILKE BRANDT



Urodzona w Niemczech miała ze strony matki kapitana żaglowca, a ze strony ojca babcię Polkę. Studiowała anglistykę i historię sztuki. W 2008 r. przeprowadziła się do Finlandii; pracowała w marketingu i zarządzaniu kulturą, jako dyrektor festiwalu filmowych, dziennikarka i zawodowy pokładowy na holenderskich żaglowcach. Eseje i opowiadania publikowała w prasie tradycyjnej i czasopiśmie literackim m.in. w „Penumbra 3” S. T. Joshiego. Redaktor magazynu spekulacyjnego „Alraune” i antologii grozy, m.in. „Feuersignale” („Sygnały ogniowe”) – „Hommage à Stefan Grabiński” z Maciejem Szymczakiem i Kazimierzem Kyrzem Jr.





PIOTR BAREJ

# ANUS MUNDI

- III -

Dziadku, dziadku! Odkryli zapiski z obozu! – krzyczał mały chłopiec, biegnąc do drugiego pokoju, chcąc podzielić się zastysznaną przed chwilą w wiadomościach informacją.

Mieszkanie w starej kamienicy nieopodal oświęcimskiego rynku było sporych rozmiarów w porównaniu do klitek budowanych za czasów Gierka. Wysokie ponad trzymetrowe ściany przytłaczały swoją wielkością. Duże drewniane, dwuskrzydłowe drzwi pociągnięte białą farbą, rozdzielające każdy z pokoi od korytarza, przywodziły na myśl okres dwudziestolecia międzywojennego z panującym wówczas secesyjnym wykończeniem. Część wysokich i jednocześnie wąskich okien, sięgających prawie pod sam sufit, skierowana na wewnętrzne podwórko otoczone z każdej strony ścianami kamienic, przepuszczała mniej światła do wnętrza mieszkania, natomiast te usytuowane od strony ulicy pozwalały na duże nasłonecznienie pokoi.

– Dziadku, w murze jednego z bloków odnaleziono kawałki papieru z zapisanymi wspomnieniami – mówił wciąż jeszcze podekscytowany chłopak, jednak już sporo ciszej niż jeszcze chwilę wcześniej.

– Co tam powiedzieli? Co było napisane na tych kartkach? – spytał z zacięciem starszy mężczyzna siedzący w bujanym fotelu, wygrzewając w promieniach słonecznych trzeszczące już stawy jak stary, wyliniały kot leżący na parapecie lub kaflowym piecu.

Michał, niczym niewyróżniający się z tłumu jemu podobnych uczniów pierwszej klasy szkoły podstawowej, stał wpatrzony w człowieka o pomarszczonej skórze, nie tylko na twarzy, ale właściwie na całym ciele. Ewidentnie widoczna oznaka przeżytych już dziesiątek lat. Nawet zazwyczaj dobrze skrywany przed ludźmi, tym razem wyłaniający się spod podwiniętego rękawa, długi numer wyglądający tak jakby ktoś markerem napisał go pod skórą, lekko zniekształcały bruzdy na przedramionach. Chłopak wiedział z grubsza, przez co przeszedł dziadek. Że właściwie bez dobytku przewieziono go do obozu, w którym miał pracować, że był tam głodzony razem z pozostałymi więźniami w ramach niezrozumiałych dla niego eksperymentów. Że w obozie gazowano oraz palono ludzi czy też podludzi, choć nie bardzo pojmował, jak to palono

i gazowano, no i właściwie dlaczego. Wiedział tylko, że człowiekowi, na którego teraz patrzy, należy się szacunek; tak mówili rodzice i tego wymagali również od innych.

– Nie stój tak w progu, tylko chodź tu do dziadka i mów szybko, co powiedzieli w telewizji – ponaglił chłopca ciepłym głosem zupełnie nieodpowiadającym zarówno wiekowi, jak i przeżyciom.

Malec podszedł, cały czas nie spuszczał go z oczu. Im bliżej się znajdował, tym bardziej promienie słoneczne wpadające przez uchylone okno sprawiały wrażenie, jakby wokół głowy staruszka unosiła się pewnego rodzaju poświata przypominająca aurę, zupełnie taką samą, jakie znajdowały się na obrazkach dawanych co roku przez księdza podczas kolędy. Przysiadł obok na tapczanie i zaczął opowiadać, wpierw nieśmiało, ale z każdym wypowiedzianym zdaniem zapalał się coraz bardziej.

– No, pani w telewizorze powiedziała, że podczas tych no... konwe... konstru... no jak to się nazywa?

– Konserwacji? – wtrącił dziadek.

– Tak! – niemal wykrzyknął uradowany chłopiec. – Że podczas konserwacji kolejnego bloku obozowego w jednej ze ścian odnaleziono jakieś zawiniątko papieru. Schowane było pod jedną z wydlubanych cegieł. Musiał włożyć je tam jeden z więźniów w trakcie wojny, bo jest strasznie stare. Pewnie chciał przekazać wiadomość. Wiesz, dziadku, więzień w obozie, taki jak ty. – Wypowiedziawszy te słowa, zawiesił głos, a w jego oku zakręciła się łza. Patrząc to na twarz z przymkniętymi oczyma, to na rękę z wytatuowanym numerem obozowym poczuł lekkie ściśnięcie żołądka, który po chwili jak gdyby chciał się wydostać przez zbyt wąski przetyk. Choć nie miał w pełni świadomości tego, co wydarzyło się tu, w tym mieście, jakże niedaleko od miejsca, w którym mieszkał, to mimo wszystko przez obraz zniszczonego człowieka czuł się podobnie jak wtedy, gdy jego ukochanego psa potrącił samochód i doktor powiedział, że nie można już go odratować.

Mały Michałek nie był jeszcze z wycieczką klasową w obozie koncentracyjnym; to jest dopiero w programie starszych klas. Jednak nasłuchiwał się już głupich opowieści i żartów kolegów z wyższych roczników. Znał też całą tę historię opowiadaną wielokrotnie podczas rozmów dorosłych, których

mimoходом był świadkiem. Wiedział, że tylko cudem dziadek przetrwał w tym opuszczonym przez Boga miejscu, jak to mama miała w zwyczaju mówić, i gdyby nie ów cud, to nie byłoby go na świecie, bo nie byłoby też jego taty.

– Taaak – wydusił z siebie przeciągle mężczyzna, poprawiając się na bujanym fotelu, tak aby słońce zmieniające swą pozycję na nieboskłonie jeszcze bardziej ogrzewało mu twarz. – No opowiadaj, co takiego ów więzień tam zostawił dla potomnych. Co tam było zapisane?

– Pani powiedziała, że ten papier to bardzo zniszczony jest i nie wszystko da się odczytać. Ale to podobno jakieś notatki z codziennego życia, coś jak pamiętnik opisujący zmorę tamtego życia.

– Zmorę, powiadasz? – Starzec zastygł w bezruchu na chwilę, wyglądając, jakby próbował doszukać się czegoś w pamięci. – Jesteś już duży, Michasiu, jeśli chcesz, to dziadek opowie ci o prawdziwej zmorze, jaka nawiedziła nas, żyjących wówczas w obozie. Usiądź wygodnie i poczekaj chwilę, tylko zrobię sobie ciepłą herbaty.

Powiedziawszy to, podniósł się wolno z fotela i ruszył w kierunku kuchni, szurając kapciami po parkiecie. Po drodze zmierzwił jeszcze bardziej zawsze rozczochrane włosy chłopca. Ten z pełnym uśmiechem na twarzy odganiał dłoń dziadka, jednak nie wiedział, czy chwilowy uśmiech pojawi się jeszcze na jego twarzy po wysłuchaniu opowieści z dawnych lat, z najczarniejszego okresu w historii.

\* \* \*

– Do obozu dostałem się przez przypadek, czy też raczej przez głupotę – zaczął mężczyzna, odstawiając trzęsącymi się rękoma kubek parującej jeszcze herbaty na stolik pod oknem. Zawsze pijał w kubkach, nigdy w szklankach, ponieważ krótko trzymały ciepło, natomiast filiżanki za bardzo kojarzyły mu się z dostojnym i zarazem wyniosłym stanem szlacheckim lub mieszczańskim.

– Ale dziadku, jak to: przez głupotę? – spytał wnuczek, nie dowierzając w słowa, które przed chwilą do niego dotarły.

– A tak. Bo widzisz, Michałku, jak się okazuje, powiedzenie, że najciemniej jest zawsze pod latarnią, jednak nie oznacza, że zawsze. – Po tych słowach na

twarży starca pojawił się grymas, który przy lekkim przymknięciu oka mógł uchodzić za uśmiech.

Jak się okazało dziadek, Marcei Wilczyński, tuż przed wojną otrzymał pracę w oświęcimskim magistracie, w którym pozostał również w trakcie okupacji, ponieważ Niemcy dowiedzieli się, że zna całkiem biegle język niemiecki, a to okazywało się niezwykle pomocne przy nadzorowaniu polskich miast. Do jego zadań należało wykonywanie przekładu na język polski wszelkich odezw oraz rozporządzeń mających bezpośrednie znaczenie dla mieszkańców zarówno samego Oświęcimia, jak i wsi położonych w najbliższej okolicy. Tłumaczył również sprawy załatwiane na bieżąco w obecności petentów oraz wszelkie pisma składane po polsku przez, zdaniem Niemców, niewykształconą miejscową ludność.

– Tak się złożyło, że kolega ze szkolnej ławy w trakcie niemieckiej okupacji udzielał się w konspiracji. Zajmował się głównie przygotowaniem ulotek oczerniających nazistów i wpadł na pomysł, żeby wykorzystać maszyny z magistratu do powielania tychże ulotek. Myślał, że to cwane wykorzystać tusz kupowany za marki niemieckie do szkalowania najeźdźców. Na moje nieszczęście któregoś dnia przyłapali mnie podczas próby odbicia kopii – przerwał opowieść, aby upić kolejny łyk herbaty, dopóki była jeszcze ciepła i w tak przyjemny sposób rozgrzewała od środka. Bujnął się na fotelu, a klepki parkietu zaskrzypiały, przyprowadzając o lekkie ciarki. – Ale, jak to się mówi: głupi ma zawsze szczęście, i tylko dzięki temu, że jeden z przełożonych wstawił się za mną, to trafiłem do obozu, a nie zostałem rozstrzelany.

Słyszając to, wiercący się dotychczas chłopiec znieruchomiał, z twarzą zdającą się mówić, że nie dowierza w to, co przed chwilą usłyszał. Przez głowę przeszła myśl – jakim cudem można mówić o tym miejscu w kontekście szczęścia? By po chwili pojawiła się kolejna – że dziadek otarł się o śmierć i dzięki jednemu z tych złych Niemców wciąż żyje. Ale to w końcu Niemcy byli źli, czy jednak tak nie do końca? Przecież podczas każdej zabawy w wojnę najmniej lubiany kolega zostawał Niemcem, czyli tym złym, z którym się walczyło. A może byli tacy i tacy. Mętlik w głowie musiał ustąpić miejsca dalszej części historii. Powoli zamknął rozwarte usta i słuchał dalej opowieści, a przed jego oczyma ukazywały

się obrazy zupełnie tak, jakby oglądał film lub chociaż zdjęcia rzucane rzutnikiem na białą ścianę.

– Mówię ci, wnusiu, słuchaj starszych. Słuchaj rodziców, mnie i babci. Oni dobrze radzą, nawet jeśli wydawałoby ci się, że są z innej epoki, że nie wiedzą, co wygadują, to z czasem przekonasz się, że jednak mają rację. Dokładnie tak samo jak ja się przekonałem – kontynuował dziadek po upiciu kolejnego łyka herbaty.

– Słucham, słucham... – wypowiadając te słowa z lekkim skrzywieniem ust w kąciku, chłopiec zwiesił głowę, wiedząc, że mija się lekko z prawdą. Ale przecież każde dziecko tak ma. Każdy musi sam się przekonać, jak to się mówi: na własnej skórze, czy gdy coś zrobi, to okaże się to błędem czy nie.

– Będąc w twoim wieku, słuchałem bajań mojej babci o strzygach, utopcach i innych zmorach. Wiesz, nie wolno mi było po zmroku zbliżać się do cmentarzy, a i przy Sole bawić się mogliśmy tylko w obecności dorosłych. Powiem ci, wnusiu, że wtedy nie wierzyłem w te wszystkie bajdurzenia starszej kobiety, przecież mieliśmy wówczas za sobą rewolucję przemysłową, okres bujnie rozwijającej się nauki, którą można było wszystko tłumaczyć. A jednak nie wszystko da się wyjaśnić w sposób naukowy – westchnął przeciągle i sięgnął po prawie pusty kubek.

Prawdą jest to, że nie da się naukowo wytłumaczyć wszelkich otaczających człowieka rzeczy. Choć dzięki wiedzy rozwiano wiele dotychczasowych ludzkich lęków, głównie związanych z otaczającą przyrodą, to sam fakt zaistnienia takiej formy okrucieństwa, jak ta w trakcie drugiej wojny światowej nie miał logicznego wyjaśnienia. Jak długo istnieje homo sapiens, tak pojawiały się wojny na przemian z okresami pokoju, jednakże bestialstwo dwudziestego wieku przez lata będzie jeszcze wprawiać w osłupienie kolejne pokolenia. A wraz z nim fakt, iż w tak prosty sposób możliwe było zmanipulowanie tylu osób, by uwierzyły, że należy tak czynić i jest to ich życiowym celem.

– Gdy trafiłem do obozu, nie było jeszcze tak źle. Z początku był to rzeczywiście obóz pracy, ciężkiej, ale pracy. Poważne zmiany zaszły, gdy zaczęła się zwiększać ilość osadzonych Żydów. Podlegali oni nazistowskiej ocenie tuż po przybyciu. Silne, młode osoby, głównie mężczyźni, ale i kobiety, rozlokowywane były po blokach, natomiast starców oraz matki z dziećmi, którzy byli dla Niemców zbyt tani, odprowadzano w ustronne miejsce i więcej już ich nie

widziano. Słysząc było tylko strzały, a później dokładnie wyselekcjonowani więźniowie transportowali taczkami setki ciał do specjalnie wykopanych dołów, w których je zakopywali. – Po tych słowach otarł ręką łzy pojawiające się w oczach, a dolna warga drżała jak nigdy dotąd. – Obóz nigdy się nie skończył. Ani wyzwolenie, ani procesy norymberskie nie zakończyły go. Upływ czasu nic nie wskórał, on wciąż jest we mnie, w snach, rozumiesz to? Często budzę się zlany potem, z krzykiem grozy utkwionym w gardle, bo już nawet krzyczeć nie potrafię. – Zacisnął powieki, a po chwili jego policzki zrobiły się wilgotne. Był prawdziwym mężczyzną i nie wstydził się płakać. Na to, co przeżył, jedyną odpowiedzią były łzy.

Siedzący naprzeciwko dziadka Michałek nie wiedział, jak zareagować. Po raz pierwszy w swoim krótkim życiu widział, gdy ten zawsze twardy i opanowany człowiek płacze rzewnymi łzami i trzęsie się niczym osika. Z drugiego pokoju dochodziły lekko stłumione, ale jakże znamienne słowa piosenki – *siedzę, tonę i tonę we łzach, bo jest mi smutno, bo jestem sam...* – Chłopak przełknął ślinę, czując, jakby żołądek podszedł mu do gardła. Wiedział, że jeśli czegoś nie zrobi, to za chwilę sam się rozpłacze. Wstał i przytulił dziadka najmocniej, jak potrafił, myśląc o tym, co przed chwilą usłyszał. W pokoju obok wciąż pobrzmiwała ta sama piosenka – *wyobraziłem sobie, że... że nie ma Boga, nie ma nie...*

\* \* \*

Słońce dotychczas mile ogrzewające staruszkę bujającego się w swym fotelu zaszło za chmurami, przez co do pokoju przez otwarte okno wdarły się podmuchy chłodnego wiatru, burząc skrzętnie ułożone włosy dziadka oraz wprawiając w nienaturalny taniec kartki papieru pozostawione luzem na stoliku. Jedna z nich wylądowała na kolanach chłopca, a krótki napis na niej, zapewne tytuł, brzmiał: *Zapiski obozowego pasiaka*.

– O tym, że babcia miała rację w swych przestrożach, przekonałem się podczas jednej z pierwszych nocy w obozie. Wówczas to przez całą noc nie zmrużyłem oka, ponieważ przez parę godzin głośno chodziły silniki kilku samochodów ciężarowych ustawionych niedaleko bloku, w którym miałem przydzieloną pryczę. Terkot motoru przemieszany jak gdyby z jękami

potępionych dusz, które nie dostawszy się do nieba, błakają się po ziemi między żywymi. – Mówiąc to, mężczyzna wykonał ruch rękoma przypominający poruszającego się ducha lub upiora.

Dziadek nie zastanawiał się nad tym, co chwilę wcześniej powiedział, jednak słowa te doskonale oddawały rzeczywistość, jaka zapanowała w obozie. Dusze ludzi niesłusznie zabitych, w niegodny sposób pochowanych, nie mogły zaznać spokoju i powędrować do zaświatów, bez względu na to, których zaświatów. Skazane na wieczną tułaczkę ulicami między ceglanyimi blokami otoczonymi drucianym ogrodzeniem, dopóki nie uzyskają ukojenia.

– Czy to te jęki spowodowały, że uwierzyłeś w opowieści swojej babci, dziadku? – spytał chłopiec, siedząc nieruchomo na tapczanie z szeroko otwartymi oczami i chłonąc każdy fragment opowieści.

– Nie, wnusiu, to nie były potępione dusze. Po pewnym czasie okazało się, że były to agonalne krzyki Żydów umierających na skutek użycia gazów trujących, będących de facto insektycydami, czyli bardzo silnymi środkami owadobójczymi. Natomiast warkot pracujących silników samochodowych miał za zadanie zagłuszyć te dźwięki, żeby nie docierały do reszty współwięźniów... – przerwał, uniósł głowę i lekko przekręcił na bok, marszcząc brwi, tak jakby zastanawiał się chwilę nad czymś, co nie dawało mu spokoju. Po chwili kontynuował: – Zupełnie tak, jakbyśmy nie domyślili się, co tak naprawdę dzieje się w budynkach służących Niemcom za komory gazowe. Nie byliśmy przecież tacy głupi.

– Boże, przecież to straszne – przerwał Michałek z miną malującą na jego twarzy niedowierzanie.

– Tak, drogie dziecko, tylko człowiek może postąpić w taki sposób wobec drugiego człowieka. Tylko my jesteśmy do czegoś takiego zdolni. – Mówiąc to, potakiwał głową jakby na potwierdzenie własnych słów. – Żadne mary z dawnych czasów czy diabły nie traktowały w taki sposób swych ofiar. Stare przysłowie mówi: Człowiek, człowiekowi wilkiem, choć uważam, że bardziej odpowiednim byłoby: Człowiek, człowiekowi człowiekiem.

Chłopak do tej pory nie zastanawiał się nad moralnością rodzaju ludzkiego. Nie żeby był przekonany o wszechogarniającej dobroci, wręcz przeciwnie – po prostu, jak to młodzieniec w jego wieku, miał ważniejsze rzeczy, które zaprzętały mu głowę: zabawę z kolegami na placu, gry komputerowe, no i te nieszczęsne



zadania domowe, do których przymuszali go rodzice. Etyczność postępowania czy to każdego człowieka z osobna, czy też całej rasy ludzkiej zajmowała miejsce zdecydowanie pod koniec listy jego dotychczasowych zainteresowań.

– No, ale skoro nie przez to zacząłeś wierzyć, to przez co? Powiedz, proszę, co takiego się stało? – spytał z mieszkanką przerażenia wywołaną dotychczasową opowieścią oraz zaciekawienia tym, co takiego może jeszcze usłyszeć.

– Tak, to co wydarzyło się dotychczas, było niezwykle okropne, jednak poza podkopaniem wiary w gatunek homo sapiens i tego, czy w ogóle wciąż jest sapiens, nie miało nic wspólnego z przypowieściami starowinki. Dopiero późniejsze zajście sprawiło, że po latach zepchnięcia w niepamięć powróciły przestrogi przed tym, co nocą czai się najbliżej człowieka, nieraz tuż za rogiem. – Składając pomieszane kartki w całość i odkładając z powrotem na stół, kontynuował opowieść: – Tej samej nocy, gdy ryk silników już ucichł, próbowałem zasnąć, ponieważ nazajutrz czekała ciężka praca, a tam nikt nie pytał, czy jesteś wyspany, wypoczęty. Gdy nie nadążałeś za resztą, gdy brakowało ci sił, aby wykonywać powierzoną pracę, w najlepszym wypadku dostawałeś baty dla zmotywowania, a w najgorszym już nie wracałeś do swojego bloku. Zbędne gęby do wyżywienia szybko były eliminowane. Wtedy to, kręcąc się z boku na bok, zauważyłem, że na jednej z sąsiednich pryczy któryś z współosadzonych przeżywał niewypowiedziane katusze. Próbował łapać powietrze wielkimi haustami zupełnie tak, jakby coś ciężkiego leżało mu na piersiach, nie pozwalając napełnić płuc. – Powiedziawszy to, nabrał w usta powietrza, machał rękoma i przewracał oczami, próbując pokazać całą grozę sytuacji.

Michałkowi jednak bardziej kojarzyło się to zachowanie z klaunami w cyrku i z rozbawieniem próbował naśladować ruchy dziadka do chwili, gdy ten, zauważywszy wyczyny chłopca, ze zrezygnowaniem wypuścił całe powietrze i spojrzał na niego z wyrzutem. Chłopcu zrobiło się głupio, chociaż nie wiedział, czy przez to, że nie potraktował poważnie tego, co pokazywał dziadek, czy też przez to, że nieudolnie imitował duszącego się człowieka.

– Mów dalej. Pomogłeś mu? Co to w ogóle było? Choroba jakaś? – wyrzucił z siebie kilka pytań, próbując ukryć zmieszanie i udobruchać męczyzną rzeczywistym zainteresowaniem dalszą opowieścią.

– Taaak... – odpowiedział przeciągle starzec, z wolna wracając do swojej historii. – Pomogłem mu, razem z drugim więźniem udało się nam go obudzić z dziwnego rodzaju snu. Dopiero wówczas był w stanie zaczerpnąć powietrza, a serce wróciło do naturalnego rytmu. Nie mieliśmy pojęcia, co to było, sądziliśmy, że to rodzaj jakiejś choroby lub przypadłości tego konkretnego więźnia. Jednak, gdy sytuacja powtórzyła się z inną osobą w bloku, na wszystkich padł blady strach. Rzeczywistość obozowa wiązała się z codzienną walką o przetrwanie, ogromem wyniszczającej fizycznie pracy, głodowymi racjami żywnościowymi, eksperymentami medycznymi nazistowskich lekarzy oraz chorobami dziesiątkującymi więźniów, takimi jak epidemia tyfusu plamistego. Część osadzonych zaczęła doszukiwać się przyczyn zarazy w robionych przez esesmanów doświadczeniach na ludziach i wręcz oskarżać ich o wywoływanie plagi poprzez prowadzone na masową skalę szczepienia.

Chłopak zaczął kręcić się podekscytowany, słysząc, że jego dziadek uratował życie więźniom w obozie koncentracyjnym. Wiedział, że wiele osadzonych tam osób swym zachowaniem dawało wręcz przeciwne przykłady, kosztem cudzego życia dbali tylko o siebie i własne przeżycie choćby jednego dnia dłużej. Natomiast siedzący naprzeciwko mężczyzna był dla niego bohaterem. Zasługiwał na odznaczenie, a opowieść, którą teraz ukazuje, poznać powinni wszyscy, a on byłby sławny i powszechnie szanowany. Posiadanie tak wspaniałego członka rodziny samoistnie wiązało się z tym, że i Michałek zostałby zauważony, byłby w końcu wnukiem tego Marcelego Wilczyńskiego, bohatera z Auschwitz. Jednak szybko przez głowę przeszła mu również myśl o tym, jak on sam zachowałby się w takich warunkach, czy byłoby go stać na tyle odwagi, aby przedkładać cudze dobro nad swoje życie i zdrowie. Nie wiedział, nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie. Ale nie martwił się, bo uważał, że nikt z osób, które się tam nie znalazły, nie był w stanie tego zrobić, to mogły być tylko domysły, o tym, jak by się zachował. Nikt nie może być pewny niczego w obliczu takiej grozy.

– Ale dziadku, to co to była za choroba? Co zaatakowało tych panów? – dopytywał młodzieniec z żywym zainteresowaniem.

– Wiesz, chłopcze, dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, z czym mamy do czynienia. Dostrzegłem uciekające owady znad sparaliżowanych osób, szukające

szczelin w murach, aby się wydostać, a następnie zauważyłem, że jeden z osadzonych w bloku obok – wysoki, chorobliwie chudy, taki bardzo żyłasty mężczyzna – choć wyglądał, jakby miał lada chwila zemrzeć, w pracy uwijał się niczym kilku innych. Podczas jednej z przerw przypomniałem sobie słowa babki o przypadkach ataku podczas snu dawnego upiora wysysającego życiodajną siłę z człowieka. Zmora, bo o nią chodziło, za dnia najczęściej była kimś z otoczenia, a nocami, przemieniając się w małe stworzenia, takie jak owady czy myszy, dostawała się do domostw i następnie przysiadając na piersiach ofiary, pozbawiała ją oddechu oraz całej energii. Dzięki temu mogła przetrwać.

– Jaaa cieeee... – Ekscytacja chłopca sięgnęła zenitu. Oczy rozszerzone tak bardzo jak tylko było to możliwe, usta rozdziawione z lekkim uśmiechem w kącikach oraz mieszanka niedowierzania wraz z zachwytem pojawiła się rumieńcami na policzkach. – Widziałeś, dziadku, diabła?

– Nie, nie diabła, to było coś gorszego, bo było prawdziwe.

\* \* \*

Aby ożywienie chłopca lekko ostygło, mężczyzna udał się powolnym krokiem do kuchni, gdzie przygotował sobie kolejny kubek herbaty, gdyż wpadające przez okno podmuchy wiatru, nieogrzone już słonecznymi promieniami, wychłodziły jego stare kości. Lekko bujający się fotel pocierał oparciem o wystające za skraj stolika kartki maszynopisu, będącego spisaniem wspomnień dziadka. Stukot klawiszy słyszalny dzień w dzień od kilku miesięcy stał się nieodłącznym elementem domowego tła do chwili, gdy nagle umilkł, świadcząc o zakończonej pracy.

Michał wciąż siedział na tapczanie. Czekając na dziadka, próbował wyobrazić sobie już nie tyle życie w obozie koncentracyjnym, co potwora nazwanego zmorą. Nie potrafił zrozumieć, jak wówczas czuł się senior rodu, bo on sam to chyba narobiłby w spodnie ze strachu. A już na pewno nie próbowałby walczyć z tym czymś, pozostawiłby to komuś silniejszemu, odważniejszemu. Komuś takiemu jak tata albo najlepiej właśnie dziadek. Przeżył wojnę, podobno najstraszniejszą w całej ludzkiej historii, przetrwał niemiłosiernie ciężką pracę obozową, następnie prześladowania komunistów,

o których często wspominali rodzice, gdy złościли się na polityków i to, w jaki sposób traktują obywateli. Kto inny, jak nie on, miałby pokonać najprawdziwszego stwora?

Nie dawała mu jednak spokoju jedna kwestia. Odkąd pamiętał, tata ciągle powtarzał, że nie ma potworów ani duchów czających się pod łóżkiem czy w szafie, gdy przy zgaszonym świetle kładł się spać. Mówił, że to wszystko wymysły i bujdy, tylko po to, aby straszyć dzieci, żeby były grzeczne i słuchały się dorosłych. Skoro tata miał rację, a do tej pory zawsze miał, to dziadek musiał się mylić. Albo, co gorsza, doświadczenia obozu koncentracyjnego pomieszały mu w głowie.

– I co było dalej, dziadku? – wypalił Michałek, gdy tylko mężczyzna pojawił się w progu, niosąc kubek, z którego wydobywały się kłęby pary.

– Po kilku nocach, w czasie których więźniowie przeżywali katusze, by nad ranem bez sił oraz energii ruszać do pracy i ryzykować życie brakiem wydajności, uznałem, że muszę coś z tym zrobić. – Rozpoczął kolejną część opowieści, kierując się w stronę bujanego fotela. Drżącą ręką odstawił gorący kubek na stolik i zamknął okno, aby coraz chłodniejsze powietrze nie zaziębiło go, czy jego młodego słuchacza. Usiadł w fotelu i kontynuował:

– Ale przez cały czas jedna rzecz nie dawała mi spokoju. Jeśli dobrze pamiętałem opowieści babki, to w zmorę przemieniały się kobiety, a tutaj wyglądało, że jest to jakaś inna odmiana tego paskudztwa. Zastanawiałem się, w jaki sposób można je przegnać, w końcu i bez niego mieliśmy wystarczająco ciężkie życie w obozie. Wszelkie sposoby wyciągane z otchłani pamięci były nie do zastosowania w naszych realiach. Odwrócenie łóżka do góry nogami nie wchodziło w grę, ponieważ prycze, na których spaliśmy, były przytwierdzone do ścian. Próby wyłapywania i eliminowania zwierzęcych szkodników, które dostały się do bloku w nocy, również były niewykonalne, ponieważ nie posiadaliśmy żadnych narzędzi służących do tego. Oczywiście smarowanie piersi czosnkiem nie było możliwe, bo nie znajdował się nawet w naszych racjach żywnościowych. Próbowaliśmy więc zatykać wszelkie otwory, aby nie dostała się do środka, jednak zawsze znajdowała sposób... – przerwał zrezygnowany. Skrzywione usta symbolizować miały niemoc, jaka go wówczas ogarnęła. Odsunął dalej

maszynopis i jednocześnie sięgnął po kubek. Trzymając go w dłoniach, ogrzewał zgrabiałe palce, a unoszący się aromat wciągał do płuc dużymi wdechami.

– A jak taka zmora wygląda? Czy widziałeś ją jako coś innego niż te owady?  
– spytał z zaciekawieniem chłopiec.

Staruszek znieruchomiał, jego oczy zaszyły jakby mgłą, a sympatyczna zwykle twarz spochmurniała. Wyglądał tak, jakby zapatrzył się w coś ponad głową chłopca, jakby zauważył coś, jednak na ścianie nic nie było. Żadnego przedmiotu, na którym można było zawiesić wzrok. Po chwili skierował puste, nieobecne spojrzenie wprost na twarz wnuczka, sprawiając groteskowe wrażenie.

– Tak, niestety tak. I nie zapomnę tego widoku do końca swych dni. Powiem ci, co widziałem, ale musisz mi obiecać, że nie powtórzysz tego rodzicom. Bo będą mieli mi za złe, że straszę cię i że przeze mnie nie możesz zasnąć albo masz koszmary.

– Obiecuję! Tak, obiecuję, nikomu nie powiem! – wykrzyczał Michałek, nie mogąc doczekać się opisu zmory.

– Dobrze więc, słuchaj uważnie, bo nie będę o tym mówił nigdy więcej. Pewnej nocy, gdy zmęczony pracą usnąłem zaraz po przytknięciu głowy do pryczy, przebudziło mnie charczenie sąsiada. Wciąż zaspany podniosłem głowę i takim rozmazany wzrokiem zobaczyłem to. Było chude, bardzo chude, niczym skóra i kości, tak chude, że sprawiało wrażenie, jak gdyby prześwitywało w niektórych miejscach. Wysokie stworzenie z wielką głową, zupełnie jak u noworodka z wodogłowiem, na której rosły bardzo gęste długie włosy, choć bardziej przypominające końskie włosie niż ludzkie. Ogromnymi, wybałuszonymi oczyma wpatrywało się w swoją ofiarę, na której piersiach przysiadło w pozie, jaką przyjmują psy lub koty, gdy oczekują czegoś od swego pana. Z pyska, z którego wystawały rzędy długich, szpiczastych zębów, cienkim niczym igła językiem wsuniętym w usta ofiary wysysało krew z całą esencją życiową.

– Dość! – przerwał chłopiec. – Już wystarczy, dziadku. Nie chcę już wiedzieć, jak wyglądał. Proszę, już nie opisuj więcej.

Wylęknięty dzieciak odsunął się na sam koniec tapczanu i oparł się o chłodną ścianę, podkurczając nogi pod brodę i obejmując je rękami. Obraz, który sobie wyobraził, przeraził go do żywego. Trząśł się lekko, jednak zimna

powierzchnia przylegająca do pleców robiła swoje i szybko pozwalała na powrót normalnego oddechu.

– To jak, mam opowiedzieć, co było dalej i w jaki sposób powstrzymałem ataki zmory? – spytał dziadek.

– Tak – odpowiedział po chwili namysłu. Jednak na dalszą część opowieści pozostał już w tej pozycji, która dawała mu złudne poczucie bezpieczeństwa.

– Wiedziałem już dobrze, że w momencie ataku zmora nie może zostać fizycznie zraniona. Dowiedziałem się tego właśnie podczas opisywanej wcześniej nocy. Gdy po chwilowym szoku doszedłem do siebie, szybko schwyciłem but i rzuciłem nim w kreaturę. Jednak on przeleciał przez nią, odbijając się od ściany, zupełnie tak, jakby nikogo tam nie było. Choć była to doraźna pomoc, bo zmora znikła, a jej ofiara mogła z wolna dochodzić do siebie, to było to działanie chwilowe, nie zapobiegało kolejnym atakom.

Dalszą część opowieści przerwał rozbrzmiewający w korytarzu dzwonek telefonu. Staruszek szybkim ruchem zerwał się z fotela, wprawiając go w ruch trwający jeszcze dłuższy czas po jego zniknięciu z pokoju. Szuraniu nogami po podłodze towarzyszyły skrzypnięcia parkietu. Do chłopca, który nie zmienił pozycji ani o jotę, dobiegały jedynie urywki przytłumionych wypowiedzi dziadka. A po chwili, stanąwszy w drzwiach, powiedział: – Rodzice za niedługo będą. Właśnie wyjeżdżają od dziadków.

Michałek nie przepadał za drugimi dziadkami, tymi od strony mamy. W ich mieszkaniu zawsze tak dziwnie pachniało, a oni sami sprawiali wrażenie wynudzonych życiem państwa z wyższych sfer. Kilka razy, gdy wracał z rodzicami samochodem, słyszał, jak się sprzeczną o stosunek do taty i traktowanie „z góry” jego rodziny, tylko dlatego, że nie należeli do wykształconych osób, które ukończyły studia wyższe. Dziadek, ojciec taty, nie miał takiej możliwości, bo ukończył szkołę średnią tuż przed wybuchem wojny, a po oswobodzeniu z obozu trzymał się z dala od ludzi. Utrzymywał kontakty tylko z tymi, którzy byli mu niezbędni, aż cud, że poznał Hanię, późniejszą żonę i matkę ojca. Tata natomiast nigdy nie należał do dzieci, które lubiły się uczyć, do tego realia socjalistycznej Polski nie ułatwiały mu zdobycia wiedzy na wyższym poziomie niż ukończenie technikum. Ale on chwalił to sobie, bo zaraz po szkole

rozpoczął pracę w Oświęcimskich Zakładach Chemicznych i dosyć szybko mógł zdobyć niezależność.

– Następne noce dzieliliśmy między siebie i przydzielaliśmy dyżury, podczas których dwie osoby czuwały nad resztą bloku. Zawsze były to dwie osoby, bo wtedy łatwiej utrzymać przytomność, a też każdorazowe czuwanie trwało nie dłużej niż dwie godziny. Nie mogliśmy dopuścić, aby ktokolwiek nie był wystarczająco wypoczęty, by rano ciężko pracować.

Ustalane i dobrze pilnowane wachty jednak nic nie wskórały. Zmora i tak dostawała się do środka i swoim zwyczajem podkradała siłę życiową. Ale z czasem stała się sprytniejsza, bo nie przyduszała od razu swojej ofiary, siadając całym swym cielskiem na jej piersiach. Dopiero gdy napelniła się, opadała na człowieka i wówczas ten zaczynał mieć problemy z oddychaniem, a czuwający więźniowie wzniesli raban i przepędzali ją.

Widząc trwozę, w jaką wprowadził chłopca obraz stwora w trakcie pożywania się, dziadek nie chciał powodować większych strachów i nie wspominał ni słowem o tym, że sam też był ofiarą zmory. Że jego również pozbawiała życiodajnej siły, a jako że stało się to jeszcze przed dyżurami, to nikt nie zdążył zareagować odpowiednio wcześniej, aby ją przegonić. W ten oto sposób musiał stawić się w pracy, praktycznie nie dysponując żadnymi siłami. Jednak dola mu sprzyjała i tego dnia został delegowany jako nadzorca przy pracach budowy nowego obozu w Brzezince. Oczywiście o ile można mówić o szczęściu i opatrności w przypadku, gdy swoje życie ratuje się kontrolą powstawania istnej fabryki śmierci, w której dziennie w komorach gazowych ginęło kilka tysięcy Żydów.

– Praca przy budowie obozu w Brzezince nasunęła mi pomysł, jak możemy pozbyć się zmory, oczywiście przy założeniu, że w ciągu dnia wraca do ciała tegoż wychudzonego, niezwykle silnego mężczyzny. Ogromem swym Birkenau przytłaczał, dwudziestokrotnie przewyższał wielkością Auschwitz. Codzienne transporty Żydów z całej Europy powodowały spore zamieszanie, nawet wśród zwykle dobrze zorganizowanych Niemców. A szybka eliminacja większości przybyłych mogła być doskonałą przykrywką dla mojego planu.

Chłopiec nie podejrzewał jeszcze, co takiego może usłyszeć z ust dziadka. Nie spodziewał się już niczego gorszego niż to, co dotychczas do niego dotarło.

Zaczynał rozumieć, dlaczego mama miała miejsce, w którym powstał obóz koncentracyjny, nazywała zapomnianym przez Boga. Zaczął myśleć, że przez cały czas trwania wojny Bóg musiał być nieobecny, bo inaczej nie dopuściłby do takiej tragedii. No, chyba że właśnie o to mu chodziło. Albo też nie istnieje w ogóle, zupełnie tak jak powtarza tata.

– Choć pozostali nie byli przekonani w stu procentach, ja wiedziałem, że tylko tak możemy bronić się przed upiorem wyniszczającym nas każdej nocy. Rozbudowa dawała tę możliwość. Nowe części obozu oddzielone były płotami z drutu pod wysokim napięciem. Jako że nie dysponowaliśmy żadną bronią, którą moglibyśmy walczyć, uznałem, że w trakcie prac musimy wykorzystać nadarzącą się okazję i zastosować ogrodzenie niczym krzesło elektryczne dla skazanych.

– Aaale... jak to? Co chcesz przez to powiedzieć, dziadku?

– To było proste: albo on, albo my. W końcu bylibyśmy tak wycieńczeni, że nie dalibyśmy rady przetrwać dnia pracy, a to wiązałoby się z naszą śmiercią. Musieliśmy walczyć o siebie, o swoje życie, nawet kosztem nieświadomego człowieka. Bo zgodnie z opowieściami babki on mógł nic nie wiedzieć o swoich nocnych eskapadach. Ale to nie było istotne. W takich chwilach działasz, nie masz wyboru. Czym innym jest romantyczna wizja męczeńskiej śmierci dla ważnej sprawy, a czym innym śmierć z głupoty, z braku siły w walce o swoje życie. Zorganizowaliśmy to doskonale. Najpierw wodą służącą do picia w trakcie przerw oblaliśmy mężczyznę, następnie w trakcie noszenia materiałów do budowy kolejnych bloków zepchnęliśmy go na druty. Nigdy nie widziałem egzekucji na krześle elektrycznym, ale to, co zgotowaliśmy temu człowiekowi, jest nie do opowiedzenia. Krzyki i miotanie się niczym w najgorszym ataku padaczki były niczym w porównaniu z tym, co później pojawiało się w moich koszmarach sennych. Jest to kara, moja pokuta za ten niegodny czyn, jednak mimo wszystko jestem pewien, że uczyniłem dobrze.

Otwierane drzwi mieszkania przerwały opowieść dziadka. Chłopak ze łzami w oczach pobiegł do wchodzących rodziców i wtulił się w mamę, nie dając jej szans na rozebranie się. Nie chciał już nigdy wypuszczać jej z objęć. Nie wyobrażał sobie jak po tym, co usłyszał, ma pojawić się w szkole w poniedziałek i bawić z rówieśnikami zupełnie tak, jakby nic się nie wydarzyło. Bo przecież się



wydarzyło. Dziadek, ten silny, odważny mężczyzna okazał się takim samym mordercą jak ci niedobrzy Niemcy. Cała ta opowieść o stworze odbierającym siły ludziom wydawała mu się jedynie bajką, bujną wymyśloną na usprawiedliwienie swoich czynów. Bo choć tłumaczył, że nie miał wyboru, że nie mógł stawiać na szali życia pozostałych więźniów, to mimo wszystko dokonał czegoś złego, czegoś najokropniejszego. Zabił drugiego człowieka. On, Michał, nigdy nikogo nie zabije. Wolałby umrzeć, niż skrzywdzić kogoś, a później kilkadziesiąt lat żyć z tym piętnem i co noc wracać w snach do tego strasznego momentu, i zmyślonymi opowieściami zasłaniać się przed bestialstwem, którego się dopuścił.

## PIOTR BAREJ



Urodzony w 1982 roku, Ślązak. Absolwent historii na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego.

W 2017 roku otrzymał wyróżnienie magazynu „Histeria” w gotyckim konkursie literackim. Laureat Literackiego Konkursu Tematycznego Obscura. Publikował w czasopismach „Histeria” i „Brama” oraz antologiach „Po drugiej stronie światła” (2018), „Licho nie śpi” (2019), „Spowiednikiem Śmierć” (2019), „Sny umarłych. Rocznik polskiego weird fiction 2019”, „Obscura. Antologia horroru” (2020).

Opowiadanie pt. „Rola przeznaczenia” zawarte w antologii „Licho nie śpi” oraz pokonkursowy tekst pt. „Bądź moim przyjacielem” zamieszczony w „Obscura. Antologia horroru” wydane zostały w wersji audio przez audioteka.pl.



MACIEJ SZYMCZAK

JĘDZA

- IV -

Stara kobieta wyłoniła się z leśnej gęstwiny. Ruszyła polną drogą, podpierając się na drewnianym kosturze. Wszędzie dookoła widziała nieurodzaj i niedostatek.

Obumarła ziemia domagała się ofiary. Z krwi.

Gdzie jej jednak powinna szukać, gdy wokół nie było żywej duszy? Żaden podróżny od dawna nie zapuszczał się w te strony. Ale wkrótce mieli się pojawić... Kolonizatorzy, kupcy i misjonarze. Niebawem zlecą się wielką chmarą, szukając szczęścia w odradzającym się państwie Piastów. Wystarczyło tylko zastawić odpowiednią sieć i poczekać aż same w nią wpadają. Jeszcze trochę musiała okazać cierpliwości, a potem ziemia naje się do syta.

Starucha stanęła w miejscu. W oddali, na gościńcu, ujrzała tuman kurzu, z którego wyłonił się powóz. Ponury uśmiech wykrzywił jej twarz. Zgarbiła się jeszcze mocniej, przybierając niepozorną pozę. Nie przypuszczała, że ten dzień nadejdzie tak szybko.

– Daleko jeszcze do grodu Poznania? – zapytał misjonarz ze szwabskim nalotem w akcencie. Wciąż miał trudności z opanowaniem języka Polan. Młodość spędził w klasztorze w Magdeburgu, gdzie gorliwie studiował świętą księgę i zgłębiał tajniki wiary. Wyświęcony na kanonika postanowił nieść światło wiary ciemnym ludom.

Nie musiał długo czekać na okazję do wykazania się. W Europie szalała akurat zaraza duchowa, kolejne kraje odpadały od Chrystusa, wypowiadając posłuszeństwo stolicy apostolskiej. Rewolta bałwochwalców rozszalała się na dobre, znacząc ziemię krwią niewinnych chrześcijan.

Nadzieja jednak umiera ostatnia, a moc boska pokarała w końcu przeklętych pogan, zamieniając ich w słupy soli. Oto król Kazimierz Sprawiedliwy z rodu Piastów, dzielny siepacz Pana, pokonał hordy diabła i przywrócił swą ojcowiznę na łono Chrystusa.

Marcel odpowiedział na wezwanie władcy Polan jako jeden z pierwszych duchownych. Spieszno mu było, aby przywrócić boży ład w prowincji Słowian. Pragnął wskrzesić nauki Pana wśród poddanych Kazimierza, którzy w jego poczuciu straszliwie zblądzili.

– Widzę spieszno wam, panie, do Poznania, a wierz mi, łatwej pracy mieć nie będziesz – rzucił kąśliwie woźnica, wbijając zęby w jabłko. – Jeszcze do niedawna mordowano takich jak ty. Bez zadawania pytań. Sam byłem świadkiem, jak wyciągano księży z palących się kościołów i żywcem obdzierano ze skóry. Podziwiam twoją odwagę, panie, chyba żeś jest głupi, a to inna sprawa.

– Wszak nie jestem jedynym, który odpowiedział na wezwanie króla! – odparł niezrażony Marcel. – Wielu pasterzy służy już w kraju Polan. Mój krajan wyruszył z chwalebłą misją do Krakowa, a brat rodzony, wraz ze zborem całym, udał się do Wrocławia, by zasiedlić nowo zbudowany klasztor na pobliskiej górze, która od dawna otoczona jest czią wśród pogan. Domy Boże odradzają się z popiołów, bo potęga Pana i chwała jego jest na wieki! – rzekł uniesionym głosem, jakby głosił właśnie kazanie swym wiernym. – Pragnę przywrócić mieszkańcom tej prowincji wiarę w Boga prawdziwego. Niebezpieczeństw podróży nie lękam się wcale, bo chroni mnie Opatrzność Boża. – Nakreślił znak krzyża w powietrzu. – No i naturalnie czcigodny Romuald, rycerz krzepki i silny, zasłużony krzyżowiec. – Skinął głową na siedzącego obok milczącego draba. – Sam jeden obronił klasztor norbertanek przed bandą rabusiów. Z takim mężem jak on niczego się nie lękam. – Poklepał wojaka przyjacielsko po plecach. Ten nie zareagował na gest księdza, trwał w milczeniu, uważnie obserwując rozciągające się wokół pola.

– Co prawda ksiązę wyłapał i powywieszał buntowników, ale czort wie, czy niedobitki po lasach się nie kryją – zauważył przytomnie woźnica, przybierając charakterystyczny dla siebie ponury ton. – W wielkiej puszczy, która otacza gród Poznania, różne dziwy można spotkać. Nasz dzielny Romuald nic nie wskóra przeciw czarom i złym urokom. – Odchrząknął głośno, a potem splunął na piach strugą flegmy.

– Przeciw diabłu i jego mocom innej broni się używa, drogi Samborze – odpowiedział pewny siebie braciszek, ściskając wiszący u szyi żeliwny krzyż. – Fiolkę ze święconą wodą także mam, żaden teufel<sup>1</sup> przed nią się nie uchowa. Sam zobaczysz i uwierzysz, jak wielką moc ma nasz Pan zbawiciel Jezus Chrystus. *Gott mit uns!*<sup>2</sup> – dodał w uniesieniu.

– Obyś miał rację, ojcze, ja prosty parobek jestem i nie znam się na sprawach wiary – ciągnął dyskusję nieprzekonany woźnica. – Wiele okropieństw się

naoglądałem za swego życia. Nie ignoruj, panie, czarowników, a zwłaszcza wiem podstępnych. One mają wielką moc i wciąż kryją się w leśnych pustelniach. To ich świat, znają go aż nadto dobrze. Nie ma takiego medyka, co wskórałby coś przeciwko truciznom, jakie warzą. Wiem, co mówię! – Uderzył się w pierś. – Mojego brata otruła jedna taka, a chłop był z niego silny i rosty jak dąb. Rzuciła jakiś czar i biedak zmarniał w dwie kwadry księżyca. Konał przez trzy długie dni i noce w wielkich męczarniach. Niechaj Bóg się zlituje nad jego biedną duszą! Nawet brat Andrzej niczego modlitwą nie wskórał. Nikt nie potrafił ulżyć jego cierpieniom. A wszystko dlatego, że znieważył siostrę więdźmy, wyzywając ją od ladacznic.

Marcel uśmiechnął się pobłaźliwie, wzdychając głośno.

– Bracie, widać, że brak ci wiary i dlatego lękasz się durnych wiejskich bab – upomniał go, grożąc palcem. – Sam zobaczysz, jak te wszystkie więdźmy i czarownice umykają przed krzyżem Pana!

– Przed nami rozciąga się wielka puszcza – kontynuował niewzruszony woźnica. – Musimy przez nią przejechać, by dostać się do Poznania. I to szybko, nim zmrok zapadnie, lepiej by nikt na nas się tam nie zasadził. Tu nieopodal płynie rzeka Mogilnica, gdzie poganie czynią pogrzeby, sypiąc prochy swoich przodków. Miejsce nawiedzone, które nader często odwiedzają upiory.

Marcel zmarszczył brwi, uderzając się wymownie w czoło.

– Dość już tych słowiańskich zabobonów. Co z ciebie za chrześcijanin, że dajesz wiarę w takie gusła?! – zakpił klecha z zabobonnego chłopca. – Bzdury prawisz, mój drogi Samborze. Powtarzasz bez namysłu za bezrozumnym ludem, jak owieczka, która pasie się na łąkach ignorancji. Nie ma żadnych upiorów, to tylko diabeł ludziom oczy mami. A teraz pozwól, mój drogi, że przerwę naszą rozmowę, chciałbym zagłębić się w modlitwie.

Misjonarz zamknął oczy i w skupieniu zaczął recytować pacierz w ojczystym języku. Zawtórował mu w tym krzepki rycerz. Słowa wypowiedane przez nich kaleczyły uszy woźnicy, cała modlitwa zlewała się dla niego w bełkot.

Sambor słuchał ich szwargocenia z lekkim niesmakiem, nie rozumiał wcale języka Sasów. Jako ochrzczony neofita znał tylko podstawowe gesty i znaki modlitewne, nowo przyjęta wiara wciąż stanowiła dla niego wielką tajemnicę.

Sięgnął po skórzany bukłak leżący pod jego stopami. Pociągnął solidnego łyka miodu pitnego, korzystając z nieuwagi mnicha.

Marcel. Dziwny to był człowiek, zupełnie inny od jego krajan. Wiele jemu podobnych ściągało teraz do piastowskiego gniazda. *Najwidoczniej nowe czasy idą* – pomyślał. On już i tak nie nadąza za zmieniającym się światem.

Sambor zapatrzył się w dal. Na horyzoncie majaczyła wielka puszcza. Krajobraz powoli się zmieniał, zamiast pól ubogich w pszenicę pojawiały się pierwsze dziczące łąki, które natura wydarła rolnikom.

Teren stawał się coraz bardziej pagórkowaty, wysokie trawy ciągnęły się po granicę zbliżającego się lasu. Pośród zaschniętych kęp, tuż obok zgniłych snopków zboża, dostrzegł woźnica jakiś kształt. Odziana w łachmany i podartą chustę kobiecina spieszyła w ich kierunku, podpierając się na drewnianym kosturze. Coś jednak było nie tak z jej sylwetką. Szła zgięta wpół jakby przygnieciona wielkim ciężarem.

Woźnica splunął ponownie na ziemię, gotowy wyzywać ją, jeśli odważy się stanąć im na drodze. Brat Marcel skończył akurat modlitwę i natychmiast zwrócił uwagę na kulejącą postać. Złożył ręce w niemym geście zachwyty, jakby spotkało go wielkie szczęście. Rzekł podnieconym głosem:

– Zatrzymaj wóz, Samborze. My chrześcijanie troszczymy się o biednych i potrzebujących.

Wieśniaczka była już całkiem blisko. Misjonarz dostrzegł po chwili liczne deformacje na jej ciele. Na plecach dźwigała garb, powykręcane żyłaste dłonie zaciskały się na chropowatej powierzchni kija. Miała krzywe nogi, przez co poruszała się kaczym chodem. Głowę owinęła szarą chustą, ropiejące wrzody pokrywały twarz i haczykowany długi nos. Marcel pomachał życzliwie w stronę kobiety. Woźnica spojrzał z przestachem na mnicha, a potem gorliwie zaprotestował:

– Ale panie, to może być zasadzka! Ci buntownicy różne fortele stosują, nie powinniśmy jej ze sobą brać!

– Spójrz na tę biedną niewiastę – odpowiedział wyraźnie zafascynowany staruszką. – Jak mam nawrócić ten lud, odgradzając się od najbiedniejszych? Trzeba nieść pomoc tym, którzy tego potrzebują. A teraz nakazuję ci stanąć.

– Prrr! – Sambor ściągnął lejce, a wierzchowce zatrzymały się na drodze. Kobięcina, sapiąc donośnie, wyszła na trakt i ukloniła się niezgrabnie przed przybyszami. Skrzyżowała dłonie w błagalnym geście i zaczęła prosić:

– Czcigodny mężu, proszę was o pomoc. Ja nie chrześcijanka, ale słyszała o waszym miłościwym Bogu.

Oczy Marcela rozblęśły entuzjazmem, przemówił łagodnie do kobiety:

– W czym możemy ci pomóc, dobra duszyczko? – mówił wolno i wyraźnie, starając się nie kaleczyć mowy Polan.

– Mój mąż umiera. Poczciwy z niego chłopina. Leży w chałupie pogrążony w chorobie, nie chciałabym, aby zmarł jako poganin. Pragnę, aby poznał Chrystusa w ostatniej godzinie życia i udał się do waszego rajy – powiedziała, ocierając artretycznymi palcami mokre od łez oczy.

Pełen wiary i nadziei Marcel wzruszył się tak bardzo, że aż zaniemówił. Nie potrafiąc ukryć radości, rzekł uroczyście niczym anioł zwiastujący dobrą nowinę:

– Słyszałaś o naszym Panie i zbawcy? To wspaniale! A mówili: kraj Polan jest dziki i barbarzyński, a pierwsza napotkana na trakcie osoba zna imię zbawiciela świata. – Spojrzał z wyższością na Sambora, który miał bardzo kwaśną minę. – Gdzie jest twoja chałupa, kobieto?

– Tam w lesie, trza jechać dalej tą samą drogą.

Kobieta podpierała się na lasce, z trudem utrzymując równowagę.

– Zawitamy w twoje progi, wieśniaczko, i ochrzcimy ci małżonka. Czcigodny Romuald zaraz pomoże ci wejść na wóz.

– Nie trzeba się kłopotać, panie! – Machnęła zdeformowaną prawicą w geście sprzeciwu. – Sama sobie poradzę.

Chwyliła żyłastymi dłońmi krawędź wozu, po czym z gracją młodej dziewczki podciągnęła się i weszła na przyczepę. Mężczyźni zdębieli ze zdziwienia. Wpatrywali się w nią z szeroko rozwartymi ustami.

Wieśniaczka poprawiła chustę na głowie, upychając do jej wnętrza pojedyncze kosmyki siwych włosów. Zorientowawszy się, że podróżni uważnie jej się przyglądają, zarumieniła się cała. Rzekła bez ogródek:

– W młodości występowałam na dworze w Gnieźnie z innymi kuglarzami. Sam Mieszko oglądał mój występ. Zachowałam na starość trochę siły. – Spuściła pokornie oczy.



Marcel wzruszył obojętnie ramionami i nakazał woźnicy ruszyć w dalszą drogę. Sambor trzasnął batem, konie poszły klusem, głośno parszcząc.

Milczący dotychczas Romuald ożywił się nagle, zmarszczył włochate brwi i spojrzał groźnie na kleryka. Oplótł dłonią jego kark i przyciągnął gwałtownie do siebie. Zaczął szeptać mu coś do ucha, ale duchowny gwałtownie zaprotestował, uwalniając się z jego uścisku. Wyraźnie rozgniewany skrzyczał rycerza w ojczystym języku. Knecht wysłuchał reprimendy w spokoju, zachowując kamienną twarz. Marcel wzburzył się na tyle, że stracił cały dobry humor. Sambor mógł tylko domyślać się, o co im poszło.

Pośród podróżnych zapadła nerwowa i krępująca cisza. Ciężkie koła toczyły się po piaszczystym trakcie jałowej, wyschniętej ziemi. Starsza kobieta nucila jakąś pieśń, a Marcel mruczał niezadowolony pod nosem. Po chwili wjechali w głąb leśnej kniei; okoliczne drzewa górowały nad nimi, a ich rozłożyste korony powodowały, że zawsze panował tu półmrok. Puszcza była tak gęsta, że nie dostrzegliby nawet armii w okolicznych zaroślach, gdyby ta się tam kryła. Wieśniaczka odezwała się nagle, przerywając napiętą atmosferę:

– Tu, panie, skręć. W tym kierunku. – Wskazała na zdziczałą leśną ścieżynkę mającą swój początek tuż obok olbrzymiego dębu.

Woźnica ściągnął lejce i zatrzymał powóz, po czym posłusznie skierował go we wskazaną stronę. Zaprzęg ledwo mieścił się na wąskiej i wyboistej drodze. Koła pojazdu podskakiwały, uderzając o wystające z ziemi korzenie drzew.

Konie z trudem przedzierały się przez gęstą szatę roślinną – pierwotna puszcza coraz bardziej utrudniała im podróż.

Romuald, do niedawna opanowany i spokojny, klął teraz siarczyście, szwargocząc w swej mowie. Ten spokojny olbrzym zmienił się nagle nie do poznania. Uderzał saksońskim nożem, odcinając napierające na nich gałęzie. Kipiał gniewem, z trudem trzymając na wodzy swoje mordercze skłonności.

Nawet Marcel nie odważył się zwrócić mu uwagi.

W końcu wóz wyjechał ze zdziczałej leśnej ścieżki wprost na wykarczowaną polanę. Oczom podróżnych ukazała się niewielka chałupa, której podstawę stanowił wysoki na paręnaście metrów słup. Domostwo znajdowało się na wysokości koron okolicznych drzew. Marcel spojrzał zdziwiony na kobiecinę,

masując się po zadrapanych od gałęzi policzkach. Wskazał palcem na osobliwą konstrukcję i zapytał:

– To jest twój dom? W jaki sposób mamy się tam dostać?

Obserwował z niedowierzaniem nędzną budowlę splecioną z pni drzew, mchów i porostów. Dach pokrywała trzcina, a przez mały otwór w kalenicy wydobywał się szary dym.

– W krzakach ukryta jest drabina – odparła zachęcająco. – Czasy niepewne, dlatego żeśmy dom ten wzniesli na palu, zawsze można wypatrzyć stąd zagrożenie, dzikie zwierzęta nie napadną, komary nie dolatują.

– Słusznie – zauważył mnich, wciąż nie mogąc się nadziwić osobliwej konstrukcji. Pierwszy raz w życiu widział dom wzniesiony na palu. Chatka jakimś sposobem utrzymywała się na nim, przecząc prawidłom natury.

Romuald rozglądał się cały czas czujnie dookoła, doświadczony wojak miał złe przeczucia. Panowała nienaturalna cisza, nawet ptaków nie było słycać.

Sambor trzymał lejce w pogotowiu, nie w smak mu był przystanek w tym zapomnianym przez Boga miejscu. Dobrze wiedział, że podobne cudaczne domostwa zamieszkują wiedźmy. Marcel jednak wpatrzony był w staruszkę jak w obrazek. Poczucie chrześcijańskiej misji zawężyło jego obraz widzenia. Wszelka rozmowa z podekscytowanym zakonikiem nie miała teraz sensu. Sambor musiał posłusznie czekać, aż ten pobłogosławi dom i chorego.

Romuald tymczasem zaniepokoił się, dostrzegając na podwórku paliki wbite w ziemię, z czaszkami dzikich zwierząt. Szturchnął łokciem zakonnika, ale ten jak zaczarowany podziwiał niezwykłą chatkę, która zdawała się wisieć w powietrzu. Woj położył dłoń na głowicy miecza. Dostrzegłszy to, gospodyni rzekła:

– Mój mąż jest rogownikiem i wytwarza z kości różne przedmioty. Nie bój się, panie, ja nie czarownica – wyjaśniła, pokornie się kłaniając.

– Codziennie, kobieto, takie trudy życia znosisz? – zapytał troskliwie Marcel, ignorując upiorne czaszki zdobiące polanę. Obok słupa leżał usypany kopiec z kości, na którym widniał mały drewniany ołtarzyk z jakąś figurką.

– Pomimo licznych wynaturzeń ciała dzielnie znosisz męki dnia codziennego. Żyjesz w trudnych warunkach, skromnie, jak prawdziwa chrześcijanka. Jak masz na imię, córko?

– Jęga.

– Prowadź zatem do chorego. Romuald! – Szturchnął rycerza, który gotów był w każdej chwili rzucić się w wir walki z niewidzialnym wrogiem. – Pomóż zejść staruszce. *Schnell!*<sup>3</sup> – ponaglił go zirytowany duchowny, ale kobiety już w wozie nie było.

W cudowny sposób zeskoczyła z przyczepy i niczym podłotek popędziła ku zaroślom, by pokazać gościom, gdzie leży ukryta drabina. Marcel przetarł oczy ze zdziwienia. Czy mu się zdawało? Czy gospodyni nosiła wcześniej garb na plecach? Teraz były one smukłe i wyprostowane, tak samo jak jej nogi, które jeszcze niedawno zdawały się koślawe. Jej twarz również w cudowny sposób odmłodziła. Rycerz, mrucząc pod nosem, zszedł z kozła, i stanął na ziemi. Gleba była podmokła i grząska.

Zbliżył się do Jęgi, cały czas czujnie rozglądając na boki. Jeśli ktokolwiek ośmielił się ich teraz zaatakować, skończy marnie posiekany na kawałki jego frankońskim mieczem. Rycerz zauważył ludzkie piszczele i żebra przywiązane do palików okalających słup. Jeszcze przed chwilą ich tutaj nie było. Spojrzał groźnie na kobietę, dając jej do zrozumienia, że straci głowę, jeśli knuje coś niecnego. Ta uśmiechnęła się w odpowiedzi, jakby rzucając mu wyzwanie. W jej oczach nie było cienia strachu. Romuald, szwargocząc coś pod nosem, chwycił długą na paręnaście metrów drabinę i przytargał ją pod słup. Czerwieniąc się z wysiłku, postawił ją do pionu, a potem oparł jej krawędź o podstawę platformy, na której została wzniesiona chatka.

– No Romualdzie, najwyraźniej wieści o twej sile są przesadzone – rzucił kąśliwie Marcel. – Ci Słowianie coraz bardziej mnie zachwycają. Mógłbyś się od nich uczyć pokory i ciężkiej pracy.

Rycerz spiorunował księdza wzrokiem, ale pulchny i wesoły misjonarz nic sobie z tego nie robił. Woźnica pozostał w wozie, nerwowo żując w ustach źdźbło trawy. Mnich spojrział na niego krytycznie.

– Jesteście żałośni! Chrystus poskąpił wam odwagi?! Służycie przyszlęmu świętemu, powinniście wykazać więcej entuzjazmu. Na zasłużonych czeka niebo, na gnuśnych piekło! Zamierzam ochrzcić tego biednego człowieka. A wy czekajcie tutaj, jeśli obawiacie się diabła. Mnie on niestraszny. Pan mnie ochroni, Pan moją mocą i tarczą!

Marcel sięgnął po leżący na naczepie lniany woreczek i przewiesił go przez ramię. Miał tam szkatułkę z wodą święconą, kropidło oraz krzyż. Cały arsenał, jaki był potrzebny księdzu w walce z Szatanem. Gospodyni, nie czekając na gości, zaczęła wspinać się na górę. Zgrabnie przeskakiwała ze stopnia na stopień, zadziwiając podróżnych swoją sprawnością. Mnich przeżegnał się, a potem sam zaczął wchodzić po drabinie. Szło mu to opornie, gdyż była ustawiona niemal pionowo. Dreszcz go przeszedł, gdy spojrzał w dół, widząc kręcącego się po polanie Romualda. Znajdował się już na imponującej wysokości i strach przez moment przejął kontrolę nad jego ciałem.

Nie czuł się już tak pewnie, jak na dole. Strachliwym głosem zawołał rycerza, nakazując mu dołączyć do siebie. Olbrzym zaklął pod nosem, po czym niechętnie ruszył śladem misjonarza. Marcel pocałował zawieszony u szyi żeliwny krzyż, dodając sobie otuchy i wspiał się na wyższe szczeble. Odetchnął z ulgą, gdy wygramolił się na małą drewnianą platformę.

Widok z góry zaiste mroził krew w żyłach. Wszędzie wokół rozciągała się bezkresna puszcza – niekończące się morze zielonych koron drzew. Marcel uchylił drzwi od chatki i wszedł do środka. Od razu uderzył go przykry zapach wydobywający się z garnka na palenisku. Panował tu półmrok. Wnętrze było całe zasnuwane dymem, co w znaczącym stopniu ograniczało pole widzenia.

Marcel przeciskał się między zwisającymi z kalenicy sznurkami zasuszonych ziół i kwiatów. W chatce znajdowało się wiele osobliwych przedmiotów: zajęcze łapki, skrzydła ptaków, lisie ogony oraz liczne kamienne ozdoby. Chory leżał w kącie izby w wyściełanym słomą łożu. Na twarzy miał lnianą chusteczkę, która zasłaniała jego oblicze. Mnich wyjął buteleczkę z wodą święconą i zbliżył się do niego. Pokropił łożo, a następnie odmówił modlitwę.

Wolnym ruchem zdjął chustę z twarzy chorego.

Upuścił kropidło, doznając prawdziwego szoku.

Romuald wdrapał się po drabinie na samą górę. Otarł pot z czoła, żelazna kolczuga aż nadto mu ciążyła. Położył dłoń na rękojeści miecza, schylił głowę i wszedł do chatki. Przetarł oczy, gęsty dym zasnuł całe pomieszczenie. Zasłaniając dłonią usta, rozglądał się w poszukiwaniu gospodyni i mnicha. Garnek bulgotał na palenisku, gotująca się wewnątrz strawa wydzielala nieprzyjemny zapach.

*Gdzie się wszyscy podziali?* – pomyślał, zbliżając się do łoża. Spojrzał na sztywne ciało chorego, zdjął chustę z jego twarzy, a potem odskoczył jak poparzony.

– *Verfluchte hexe!*<sup>4</sup> – krzyknął, widząc przegniłą twarz trupa, z którego pustych oczodołów wylazły wijące się robaki. Rycerz poczuł coś śliskiego pod stopami i wywinął koziołka do tyłu. Upadł, boleśnie uderzając głową o twardą podłogę. Jakaś tajemnicza siła wyrwała mu miecz z dłoni, przeciągając go w głąb chatki. Romuald przeklął wściekle, lecz zaraz po tym zamilkł, odkrywając rozszarpane zwłoki Marcela.

Część jego jelit zaplątała się wokół jego kostki, leżał w kałuży krwi i wnętrznościach mnicha. Tyle zostało z biednego misjonarza. Wpadł w szal bojowy. Dobył noża i zaczął ciąć na oślep, uderzając w gęstą chmurę dymu. Śmiech czarownicy zabrzmiał złowrogo. Romuald wywrócił łożo do góry nogami, zrzucając przegniłe truchło na podłogę. Zaczął demolować wnętrze chatki, gdy wtem poczuł oddech czarownicy na swoim karku. Oczy mu się rozszerzyły, serce zaczęło bić jak szalone. Obrócił się na pięcie, chcąc błyskawicznie zatopić sztylet w sercu wiedźmy.

Nie zdążył jednak zadać ciosu. Zawahał się przez chwilę. Zamiast starej zdeformowanej babci ujrzał młodą niewiastę przecudnej urody. Te parę sekund zaważyło o jego dalszym losie.

\* \* \*

Konie grzebały nerwowo kopytami w ziemi, dając wyraz swojemu zniecierpliwieniu. Sambor wyczuł ich strach, wiedział, że coś się tutaj święci, lecz musiał cierpliwie czekać, aż tych dwoje powróci. *Zachciało się braciszкови zbawiać tubylców, durny, naiwny klecha* – grzmiał w myślach niepocieszony Sambor. *Jak tak dalej pójdzie, to nie dotrą do Poznania przed zmrokiem. Droga przed nimi daleka i zapewne pełna niebezpieczeństw. Ile jeszcze potrwa ten cholerny rytuał?*

Spojrzał w górę, niebo nagle posiniało, przybierając ciemno atramentowy kolor. Chmury zaczęły się kłębić i rozrastać na niebie. Silny wiatr nadciągnął z głębi puszczy, potrząsając koronami drzew. Zielona łąka zamieniła się

w błotnistą cuchnącą breję. Polana przywodziła teraz na myśl ponure cmentarzysko.

Nagle z wnętrza chatki rozniósł się potężny krzyk. Woźnica spojrzał trwożliwie na słup, bo dobiegły go odgłosy walki.

– Ki czort – powiedział drżącym głosem, widząc, jak chatka zatrzęsa się cała w posadach. Przez drzwi wypadła jakaś postać, przeturlała się po platformie, a potem z hukiem runęła na ziemię. Sambor usłyszał chrzęst łamanych kości. Woźnica zeskoczył z kozła i podbiegł do leżącego nieruchomo Romualda. Rycerz skonał niemal natychmiast. Widok jego masywnego, zmasakrowanego ciała mroził krew w żyłach.

Nie miał oczu, ktoś wydrapał mu je, pozostawiając na ich miejscu czarną pustkę. Z połowy twarzy została zdarta skóra, krwawe strzępy mięśni połyskiwały na białych jak kreda kościach policzkowych. Pozbawione warg usta odsłaniały pożółkłe zęby, które zdawały się sięgać aż do obnażonej chrząstki nosowej. Na torsie Romualda widniały głębokie rany, które prześwitywały przez rozerwaną kolczugę. Sambor poczuł, jak nogi się pod nim uginają. Spojrzał strachliwie na pobliski kopiec. Dlaczego wcześniej nie dostrzegł, iż zbudowany jest on z ludzkich kości!

Chatka na palu jak chatka na kurzej nóżce. I to imię: Jęga.

Wszystko nagle stało się jasne. Baba-jędza, słyszał przecież wiele razy historie o leśnej pustelni, w której mieszka ta przerażająca istota. Strzyga, czarownica, ludożerca o nadludzkiej sile i mocy. Dlaczego był tak głupi i nie domyślił się wcześniej?! Sambor zerwał się na nogi, ale błotnista breja spowolniła jego ruchy. Było już za późno. Upiorny skrzekliwy śmiech wzbijał się w przestworza. Woźnica z duszą na ramieniu wdrapał się na kozioł powozu, cały czas zerkając w stronę chatki na kurzej łapce.

Jęga wystrzeliła z domostwa jak błyskawica, prezentując w całej okazałości swoje mordercze wdzięki. Długie pazury przywodzące na myśl orle szpony lepiły się od krwi. Z gracją wskoczyła na drabinę, a potem sfrunęła w dół.

Sambor trzęsącymi się dłońmi złapał za lejce.

– No dalej! – Uderzał batem w grzbiety koni, ale te jak zauroczone stały w miejscu, nie reagując na jego komendy. Jędza odgarnęła z twarzy pajęczę włosy,

które okalały jej postać niczym płaszcz z ptasich piór. Spojrzała na woźnicę obłąkańczo, w jej źrenicach lśniły dwa sierpy księżyca.

– Dalej, na Boga! – Świsnął batem raz jeszcze, i dopiero wtedy konie ocknęły się jakby wybudzone ze snu. Zareagowały, gwałtownie ruszając przed siebie.

Woźnica szarpał się przez chwilę ze zwierzętami, próbując odzyskać nad nimi kontrolę. W końcu udało mu się skierować oszalałe wierzchowce na leśną ścieżkę. Wiedźma warczała tymczasem niczym dziki pies, poruszając się z nadludzką prędkością. Jej szpony już niemal dosięgały naczepy.

Wóz wbił się w leśną gęstwinę, tratując gałęzie drzew. Zarzuciło nim, gdy koła najechały na leżący konar drzewa.

W tym samym momencie coś pochwyciło Sambora i uniosło w górę. Chwilę potem powóz roztrzaskał się o pień rozłożystego dębu. Konie, wydając z siebie piskliwe odgłosy, zniknęły w głębi lasu. Mężczyzna przekoziółkował po ziemi i wpadł do wilczego dołu.

W oczach mu pociemniało, mimo to zebrał w sobie wszystkie siły i wyczołgał się z pułapki. Wtem znów poczuł, jak coś go chwyta i z wielką siłą ciska w powietrze. Wylądował twarzą w błocie, ponownie na polanie wiedźmy.

Jęcząc z bólu, obrócił się na plecy. Wiedźma stała nad nim, tryumfalnie bawiąc się swoimi pajęczymi włosami. Jej długie i koślawe szpony ociekały krwią. Sambor drżącymi dłońmi chwycił za krzyż, który podarował mu ojciec Marcel. Zasłonił się nim jak tarczą, ufny w moc nowego Boga.

– Gusła cię nie ochronią, głupcze. Jesteś teraz w mojej mocy i żaden bóg cię nie ocali.

Woźnica dostał drgawek na całym ciele, wymachiwał przed nosem krucyfiksem, ale ten zaczął się dziwnie wyginać.

– Czemu myślisz, że zleknę się żmii? Wszak to moja przyjaciółka.

Sambor poczuł, jak coś oślizgłego i zimnego zaciska się wokół jego dłoni. Krzyknął, zorientowawszy się, że trzyma żmiję. Odrzucił ją od siebie, krzycząc ze strachem w oczach. Baba-jędra drwiła z niego, śmiejąc się gardłowym głosem. Sambor uklęknął przed nią i zaczął wznosić modły:

– Perunie wszechmocny, ocal mnie, proszę. Przepraszam, że się ciębie wyparłem, ocal mnie teraz, a obiecuję złożyć ci trzebę<sup>5</sup> z konia.

– Chrystus nie pomógł, to teraz modlisz się do Bogów, których wcześniej porzuciłeś?? – Wiedźma nie posiadała się ze zdumienia. – Wy ludzie jesteście robakami bez honoru.

– W takim razie to tobie, pani, przysięgam służbę, tylko nie rób mi krzywdy!  
– zawodził żałośnie jak małe dziecko. W odpowiedzi otrzymał potężnego kopniaka, który odrzucił go na kolejnych parę metrów dalej. Leżał teraz skulony, trzymając się za brzuch. Jędza zbliżyła się błyskawicznie, gotowa zanurzyć w jego trzewiach swoje szponiaste pazury. Nagle jednak zaszła w niej nagła zmiana.

Pajęczce włosy ustąpiły bujnym kasztanowym warkoczom, które opadały na smukłe plecy młodej dziewczyny. Miast sierpów księżycy dostrzegł w jej oczach mieniące się zielenią stawy.

– Jesteś mój, Samborze, do końca swych dni będziesz moim niewolnikiem! – Rosnący na sile wiatr zagłuszył chichot czarownicy. Sambor splunął krwią, a potem pogrążył się w ciemności.

\* \* \*

– Chwała Panu! – zakrzyknął pijany w sztok mnich z głową wygoloną niemal do zera. Chwiał się na ławeczce, z trudem utrzymując równowagę. Był wielki i tłusty, o czerwonej jak ochra gębie, dokazywał sobie, wciąż wesoło podśpiewując. Siedzący z tyłu na naczepie współbracia wyrwali sobie z rąk dzban miodu pitnego. Wyjątkowo im zasmakował piastowski specjał, nie był tak cierpki, jak mszalne wino, które spożywali na co dzień.

– Dobry ten wasz miód, panie. Nam nie przystoi go pić, lecz nie da się zaprzeczyć, że to sama słodycz, yhp! – Tęgi mnich dostał ataku czkawki.

Jego oczy zrobiły się malutkie jak dwa ziarenka fasoli. Miał już sporo w czubie, lecz mimo to strzegł zazdrośnie napitku przed kompanami.

– Ej, Rumcajs, zapodajcie no jaką piosenkę – poprosił, wylewając z dzbana miód pitny. – Psiakrew! – Zaczął dłonią czyścić zakonne ubranie.

– Krasna dziewczuszka szła przez lasek – zawodził chrapliwym głosem braciszek. – A tam w tym lesie, wilk się niesie...

– Ale nie takie bezeceństwa! Yhp! – zaprotestował Wacław, próbując pozbyć się plamy z habitu.



– Eeee... – Brat Rumcajs zaciął się, nie mogąc sobie przypomnieć żadnej pieśni religijnej.

– No pięknie, yhp, wstyd dla naszego soboru, yhp – bełkotał Wacław, chwiejąc się na ławeczce.

– Krasna dziewczuszka. – Rumcajs wrócił do rubasznej pieśni, piejąc jak kogut o poranku. Reszta współbraci rytmicznie kiwała głowami, czując na sobie efekt upojenia alkoholowego.

– Daleko jeszcze do tego Posnania, Polachu, yhp – zapytał płaczącym się językiem przeor zgromadzenia. – Musimy pierwszej odespać, nie godzi się w takim stanie pokazywać w grodzie.

– Przed nami wielka puszcza, jeszcze z pół dnia drogi, zdążysz, panie, otrzeźwieć – odrzekł opanowanym głosem Sambor. Grupa pijanych mnichów działała mu na nerwy, ale musiał zachować pozory. Właściwie nie wiedział, kto bardziej go irytował. Szwargoczący Niemcy czy wiecznie weseli Czesi? Odkąd król Kazimierz przejął tron, ziemie Polan zaroily się od cudzoziemców.

Sambor poczuł na sobie ciężar Wacława.

Tłusty braciszek zsunął się na niego, chrapiąc jak warchlak. Pozostali kompani również posnęli, układając się wygodnie na wozie. Wszystko we właściwym czasie, akurat zagłębiali się w mroczne knieje bezkresnej puszczy. *Dobrze, że śpią* – pomyślał Sambor. *Pójdzie jak po maśle, spłaci swój dług Jędzy i będzie wreszcie wolny.*

– Gdzie zmierzasz, panie? Yhp! – Gruby mnich ocknął się z pijackiego snu, tknięty nagłym przeczuciem. Patrzył nieprzytomnie przekrwionymi oczami, próbując zorientować się w terenie. Jechali akurat dziką ścieżką przez gęsty bór porośły wiekowymi drzewami.

Sambor udał, że nie dosłyszał pytania, w jego wnętrzu rozpętała się prawdziwa burza wątpliwości. Czy dotrzymując warunków umowy, sam uniknie śmierci? Może zaufać jędzy?

Spojrzał z przestrachem na rozwidlenie dróg. Wąska ścieżynka wiodła dalej ku pustelni czarownicy. Przekalkulował szybko wszystkie za i przeciw. Serce pompowało w żyły zgęstniałą ze strachu krew. Co powinien uczynić? Gdy zrównał się z zakrętem, dostał paraliżu, nie wiedząc, co ma robić. Pijany mnich coś bełkotał mu do ucha, ale on słyszał już tylko bicie własnego serca. Ręce

odmówiły mu posłuszeństwa, nie skręcił na ścieżkę zagłady. Świsnął batem, konie przyspieszyły, biegnąc w przeciwną stronę.

Woznica w ostatnim momencie zmienił zdanie, prowadząc wóz z powrotem na trakt wiodący do Poznania. Może czarownica się nie domyśli i zdoła bezpiecznie dotrzeć na miejsce? Uspokoił się po chwili i odetchnął głęboko. Był pewien, że powziął właściwą decyzję.

– Gdzie jesteśmy? Co to za krzaczory? – dopytywał natrętnie Wacław, spijając ostatnie krople miodu z dzbana.

– Na właściwej drodze. O zmierzchu ujrzysz, panie, bramy miasta.

– To dobrze. – Obrócił się, spoglądając na śpiących towarzyszy. Zabrał Rumcajsowi jego napitek, lecz dzban niestety był już pusty. Mnich skrzywił twarz z niezadowolenia. Z brzucha dobyło się przeciągłe burczenie. – Jezusie Nazareński, ależ zgłodniałem!

– W Poznaniu was suto nakarmią – pocieszył braciszka Sambor, mając nadzieję, że ten nie zechce po drodze jakiej karczmy szukać.

– To jest ten wasz Poznań? – zapytał rozczarowany mnich.

*Co ten pijak bredzi* – pomyślał Sambor, kątem oka obserwując Wacława.

– Nędzna chałupa na drzewie, to jest ten wasz gród?

*Chatka na drzewie? Chatka na palu?* – Sambor aż się wzdrygnął na samą myśl, a potem rozdziawił gębę, widząc, jak wjeżdżają na znajomą polanę. Konie jak zaczarowane stanęły przed leśną pustelnią czarownicy, nie reagując na komendy zrozpaczonego woznicy. Prymitywna chata pyszniła się na potężnym słupie. Na podmokłej łące rzucały się w oczy paliki ozdobione ludzkimi czaszkami.

– Niezbyt to przyjazne miejsce – skwitował zamroczony mnich, nie przejmując się upiorną scenerią.

Strwożony Sambor, czując oddech śmierci na swym karku, zawrócił wóz i popędził konie, waląc batem ile sił w rękach. Na szczęście zwierzaki posłuchały i posłusznie dały się prowadzić woznicy. Obudzeni mnisi turlali się po wozie, nie mogąc utrzymać równowagi. Przeklinali powożącego mało zbożnymi słowami.

– Co robisz, głupcze, zabijesz nas! – Wacław żywo protestował, kurczowo trzymając się ławeczki.

Sambor nie słuchał jednak jego narzekań, czym prędzej chciał znaleźć się z powrotem na gościńcu wiodącym do Poznania. Zagłębili się w wąską ścieżynkę, przedzierając między gęstymi drzewami. Natrętne gałęzie smagały ich po twarzach, wóz z trudem mieścił się między potężnymi pniami drzew.

Sambor aż podskoczył na ławeczce, gdy dostrzegł znajomą chałupkę na kurzej nóżce. Jakimś cudem znowu wjechali na polanę. Woźnica okrążył słup i ponownie wjechał w leśną drogę. Wacław i pozostali bracia szarpali go za koszulę i klęli na czym świat stoi, żądając, aby się zatrzymał.

Sambor nic sobie z tych próśb nie robił, zacisnął usta, modląc się w duchu, aby udało im się wydostać z tego przekłętego lasu. Ponownie zagłębili się w mroczną puszczy, pełną starych powykręcanych drzew. Nie minęła jednak chwila, jak znów wyjechali na czarcią polanę prosto pod chatkę wznoszącą się na palu! Tym razem koła wozu ugrzęzły w błocie. Opadłe z sił konie nie były w stanie wydostać się z tej pułapki. Woźnica zaprzestał smagania batem, widząc, że na nic się to nie zda. Spojrzał lękliwie w górę. Był gotów na spotkanie ze swoim przeznaczeniem.

– Czyżbyś chciał mnie oszukać, Samborze? – usłyszał skrzekliwy głos jędzy.

Mnich uśmiechnął się na widok wiedźmy schodzącej głową w dół po drabinie. W jego mniemaniu była to karczmarka, chcąca ich przywitać. Myśl o pieczonej szynce i gorącej mięsnej polewce dodała mu sił. Karczmarka nie powitała ich jednak chlebem i solą. Mnich dostrzegł szponiaste pazury i lisi błysk w oku kobiety. Nie spodziewał się piekła, jakie rozpętało się parę chwil później.

\* \* \*

– Zadmij w róg, Radimirze, jakiś powóz zbliża się do bram miasta.

W powietrzu rozniosło się potężne dudnienie. Wąsiasty i przysadzisty wartownik wyteżył zmęczony wzrok, spoglądając na nadjeżdżający wóz. Panował półmrok, z trudem dostrzegł siedzących na przedzie dwóch mężczyzn, z tyłu na naczepie leżały jakieś postaci. Nic, co wzbudzałoby jakieś wątpliwości.

– Otworzyć bramę! – Nakazał, krzycząc z wysokości wałów do strażników czatujących na dole. Ci chwycili za liny i ciągnąc je, unieśli w górę ciężkie wrota.

Na powitanie wyszedł biskup z kasztelanem, spiesząc, aby powitać czeskich misjonarzy.

Stanęli za strażnikami, wypatrując niecierpliwie nadciągających gości. Wóz wjechał na most zawieszony nad rzeką Wartą. Nagle konie zerwały się do galopu i szaleńczo wpadły do grodu, omal nie tratując duchownego i naczelnika. Wojowie, rzucając tarcze i włócznie, biegali za pędzącym wozem, który demolował ogrodzenia dla zwierząt. W końcu zdołali pochwycić konie i zatrzymać pojazd. Kasztelan przybiegł, drąc się na nieodpowiedzialnego woźnicę. Spodziewał się zastać w wozie zgraję pijaków niepotrafiących zapanować nad końmi, jednak to, co ujrzał, zmroziło mu krew w żyłach. Biskup zawył gorzko, a potem padł na kolana, wznosząc modły do Boga. Wściekły kasztelan splunął na ziemię; trochę trwało, nim się uspokoił i przestał ciskać przekleństwami.

– To się nigdy nie skończy – stwierdził, po czym nakazał strażnikom uprzętnąć trupy. A te leżały rozsiane po całym wozie. Krwawe strzępy skóry, połamane gnaty, odrąbane kadłuby, resztki mózgu i wnętrzości, wszystko to wyścielało naczepę wozu. Tylko siedzący z przodu woźnica wraz z przeorem byli niemal w jednym kawałku. Niemal, gdyż ktoś odrąbał im łby. Kasztelan zachodził w głowę, w jaki sposób konie same tutaj trafiły.

– Mój Boże! – modlił się zrozpaczony makabrycznym odkryciem biskup. – Kolejni męczennicy, ileż to się muszą naciерpieć sprawiedliwi na tych nikczemnych ziemiach! – Załamywał ręce przygnębiony kapłan.

– Trzeba będzie posłać po kolejnych misjonarzy. Sam nie dasz przecież rady ewangelizować tych przeklętych pogan – stwierdził z rezygnacją w głosie zarządca grodu. – Król Kazimierz nie będzie zadowolony, odpowiem za to głową. – Zafrasowany dowódca podrapał się po siwej brodzie. Pomógł wstać klęczącemu biskupowi. Już miał udać się na zamek, gdy nagle usłyszał piskliwy głos dobiegający od strony głównej bramy.

– Panie, musisz to zobaczyć! – wołał przerażony wartownik.

– Co znowu... psia kość! – odburknął wściekły dowódca, wdrapując się po drabinie na wały. Stanął obok strażnika, wyglądając za palisadę.

Po drugiej stronie rzeki na polu, wśród promieni słonecznych, dostrzegli jakąś postać machającą do nich ręką. Kasztelan wyteżył wzrok. Starsza kobieta

o pajęczych białych włosach stała z uniesioną do góry prawicą, lecz nie była to jej prawica. Trzymała w dłoni oderżnięty kikut. Z dala niósł się jej upiorny śmiech. Słońce powoli zachodziło za horyzontem.

– Chryste Panie! – Kasztelan przeżegnał się, a potem zwrócił do podwładnego: – Pędź na dół i każ zamknąć bramy, nie wiadomo czy to nie jakaś zasadzka!

Wartownik skinął głową i posłusznie wykonał rozkaz. Diaboliczna postać stała w miejscu, dając umówiony sygnał dowódcy grodu. Tylko on wiedział, co ów gest oznacza. Rozejrzył się uważnie, upewniając, że został na wałach sam.

Sięgnął pod kaftan i wyciągnął posrebrzany amulet w kształcie głowicy topora. Tajemny symbol wojowników Peruna, bractwa, które wypowiedziało wojnę chrześcijaństwu. Działali potajemnie, a ich spisek sięgał najwyższych szczebli władzy. Nieszczęsny król Kazimierz nie ma pojęcia, z jakimi siłami zadarł.

Jędza dobrze się spisała, niedługo wyśle jej depeszę o kolejnych misjonarzach nadciągających do grodu. Skinął głową, dając znak czarownicy, która zaraz potem zniknęła w gęstniejącym mroku.





## MACIEJ SZYMCZAK



Urodzony 26 lipca 1980 roku. Z wykształcenia filozof, z zawodu agent turystyczny. Z zamiłowania pisarz, autor opowiadań z gatunku: horror. Jego teksty opublikowane zostały na portalu: Kostnica, Horror Online, Arena Horror, Szortal oraz magazynach: „Szortal Na Wynos”, „Histeria”, „Czerwony Karzeł” i w czeskim piśmie „Howard”. Dwukrotny laureat konkursu literackiego zorganizowanego przez portal Horror Online.

Jego opowiadania ukazały się w antologiach:

„Szlakiem Odmieńców”, „Lustra Zbrodni”, „Krew Zapomnianych Bogów”, „Krwawnik 2”, „Tabu”, „Tabu II”, „Po drugiej stronie światła”, „Słowiańskie koszmary”, „Narratorem Śmierć”, „Spowiednikiem Śmierć”, „Gorefikacje III” „Licho nie śpi”, „Słowiański horror”, „Żertwa”, „Obscura 2”, „City 4”, „Kochankowie niedoskonali”, „City 5” oraz niemieckojęzycznej antologii poświęconej Stefanowi Grabińskiemu: „Feuersignale” oraz w audiobookach: „Antologia polskiej grozy”, „Słowiańskie koszmary”, „Antologia polskich strachów”.

W 2018 roku ukazał się jego debiutancki zbiór opowiadań – „Sinobrody i inne opowiadania” W 2021 swoją premierę miała powieść „Ostatni berserk”



oraz autorski zbiór opowiadań „Seryjni.pl”.

Założyciel i członek nieistniejącej już grupy poetyckiej „Bractwo Śniących”. Pomysłodawca i redaktor serii antologii spod znaku słowiańskiej grozy. Administrator strony Krew Zapomnianych Bogów, która to ma za zadanie wypromowanie słowiańskiego horroru – gatunku literackiego inspirowanego rodzimą kulturą słowiańską. Wokalista i założyciel grupy Atheos, która rozpadła się pod koniec lat 90. Miłośnik historii dawnej Słowiańszczyzny, czego wyraz swój daje na papierze (np. w kwartalniku rodzimowierczym „Gniazdo”). Miłośnik natury, zwolennik religii naturalnych, wolnomyśliciel cały czas szukający odpowiedzi na nurtujące go pytania.

Jego wielką pasją są podróże, zarówno te bliskie, jak i dalekie. Uwielbia średniowieczne zamki, twierdze, XVIII-wieczne opuszczone pałace. Zafascynowany starożytnymi konstrukcjami, szczególnie dolmenami, kurhanami i kręgami kamiennymi (odkrywca jednego z nich w Wielkopolsce). Chętnie odwiedza dawne miejsca kultu: święte góry, wzgórza, źródła skąd czerpie pozytywną inspirację. Prywatnie mąż oraz ojciec dwojga wspaniałych dzieci.



CAMILLE GALE

**WODNIK**

- V -

Annie było niesamowicie gorąco. Klimatyzacja w aucie działała całkiem sprawnie, a jednak po karku kobiety spłynęła kropla potu. Już od dobrych dwudziestu pięciu minut w najwyższym skupieniu jechała za swoim mężem, którego czarny lexus mknął ulicami Warszawy. Choć może „mknął” nie było najlepszym określeniem z uwagi na duże natężenie ruchu. Gdyby nie zakorkowanie stolicy, kobieta pewnie dawno już zgubiłaby małżonka, który uwielbiał szybką jazdę, kiedy tylko warunki na to pozwalały.

*Uwielbiał szybką jazdę.*

Anna parsknęła zdegustowana. Wszechświat najwyraźniej jej jednak sprzyjał i chciał, by odkryła prawdę o „szybkich jazdach” Dominika, bo korek o czternastej był już tak duży, jak na ogół bywał dopiero o szesnastej. Dzięki temu była w stanie śledzić jego auto niemal bez przeszkód.

Droga z Wilanowa na, jak się okazało, zielony Żoliborz (pieprzony Żoliborz) potrwała niemal godzinę. Anna przeklinała w myślach swoją intuicję, ale była już niemal pewna, że Dominik przyjechał do kochanki. Zaparkowała w pewnej odległości, lecz obawiała się wysiąść, by nie zostać zauważoną. Już i tak istniało ryzyko, że rozpozna jej samochód.

Dominika pochłaniały jednak inne sprawy niż wypatrywanie ogona. Wysiadł, stanął obok swojego lexusa, wyjął komórkę z kieszeni i do kogoś zadzwonił. Nie była to długa rozmowa, a po jej skończeniu oparł się o auto i zupełnie rozluźniony zaczął przeglądać coś w telefonie. Czy na kogoś czekał?

Anna też czekała. Po zgaszeniu silnika i wyłączeniu klimatyzacji upalne czerwcowe popołudnie dawało jej się mocno we znaki, ale zacisnęła zęby dla dobra sprawy. Jej wściekłość narastała. Czekanie było gorsze od zderzenia się z prawdą. Ten cholerny stan zawieszenia...

*Robi to, czy jednak tego nie robi?*

Odpowiedź nadeszła jakieś dziesięć minut później na dziesięciocentymetrowych szpilkach i rzuciła się w ramiona jej męża z entuzjazmem godnym rozemocjonowanej nastolatki. Bo i rzeczywiście: dziewczyna wyglądała na bardzo młodą. Biorąc pod uwagę fakt, że mocny

makijaż zapewne jeszcze dodawał jej lat, musiała dopiero niedawno przekroczyć próg dorosłości.

Anna z jednej strony odczuła ulgę, że jej wysiłki nie poszły na marne. Z drugiej wezbrała w niej fala nienawiści do mężczyzny, który zawsze twierdził, że brzydzi się tymi, co zdradzają. Najwyraźniej punkt widzenia zależał od punktu siedzenia, czy też – tak jak w tym przypadku – leżenia.

Teraz jednak Anna była w stanie dostrzec, co tak urzekło Dominika: jędrna opalona skóra, długie czarne włosy, szczupłe nogi i wielki biust wylewający się ze zbyt obcisłego, wściekle różowego topu. Typowy model z instagramowej taśmy. Sama nie miała kompleksów na punkcie wyglądu, ale w jej wieku nie mogła już konkurować z taką siksą.

Dominik obdarzył czarnulkę namiętym pocałunkiem, któremu ta poddała się z ochotą. Anna nie mogła nie zastanowić się, ile w tym entuzjazmie było prawdy, a ile zamiłowania do grubego portfela jej męża. Kochankowie objęci weszli do klatki i zniknęli kobiecie z oczu.

Anna wysiadła z samochodu i podeszła bliżej rzeczony klatki, rozmyślając intensywnie, jak zdobyć dowód niewierności, dzięki któremu ogołociłaby nieojalnego małżonka z milionów zarobionych na tworzeniu idiotycznych aplikacji na telefon. „Firma cały czas się rozrasta”, „Możliwe, że będę musiał spędzać w pracy jeszcze więcej czasu”, „Muszę przeszkolić nowych pracowników” – mawiał Dominik do żony, gdy ta irytowała się jego ciągłymi nieobecnościami. Nie minęło wiele czasu, nim Anna zorientowała się, że szkolenia są najprawdopodobniej indywidualne i niekoniecznie z zakresu obowiązków służbowych.

I tak oto wylądowała pod blokiem, w którym w jednym z mieszkań jej mąż pieprzył dziewczynę ponad dwadzieścia lat młodszą od niej. Do tego, jakby upokorzeń było mało, z cyckami, za które Anna chętnie sama by się wzięła. Wszak na studiach zdarzało jej się poeksperymentować i dobrze wspominała ten czas.

Zdjęcia tej parki wychodzącej po seksie nic by jej nie dały, musiała mieć coś mocniejszego, by ostatecznie pograć Dominika. Gdy jej mózg mocno pracował nad rozwiązaniem tego problemu, na drugim piętrze ktoś otworzył okno. Ktoś we wściekle różowym topie.

*Bingo.*

Nie zastanawiając się wiele, Anna pobiegła do klatki znajdującej się w bloku usytuowanym dokładnie naprzeciwko tego, w którym za chwilę miał się dokonać spodziewany akt nierządu. Wbiegła na drugie piętro i zadzwoniła do mieszkania, z którego, jak jej się wydawało, mogła mieć dobry widok na okno czarnulki. Czekając na otwarcie drzwi, zaczęła szukać portfela w torebce. Coś za coś. Nie chciała, by potraktowano ją jak wariatkę, wiedziała jednak, że pieniądze otwierają wiele drzwi. W tym przypadku liczyła, że otworzą również okno.

Po dłuższej chwili drzwi mieszkania uchyliły się, a w szparze ukazała się drobna staruszka o ostrym spojrzeniu błękitnych oczu.

– Tak? W czym mogę pomóc? – zapytała głosem nad wyraz silnym. Anna spodziewała się starczego szeptu, więc omal się nie wzdrygnęła.

– Zapłacę pani dwieście złotych, jeśli wpuści mnie pani do mieszkania i da mi dostęp do jednego z okien. Muszę sfotografować niewiernego męża, który właśnie zdradza mnie w bloku naprzeciwko.

Staruszka zlustrowała kobietę podejrzliwym spojrzeniem. Dwieście złotych najwyraźniej nie podziałało tak, jak Anna przewidywała.

– Proszę tylko o pięć minut. Jeśli coś widać z pani okna, to nakręcę krótki film i sobie pójdę. Muszę mieć dowód, by rozwód przeprowadzić z orzeczeniem o jego winie. Niech mi pani pomoże. Moje życie właśnie runęło w gruzy, potrzebuję chociaż tego, by się nie załamać! – Anna przybrała na twarz maskę zrozpaczonej kobiety, którą w rzeczywistości nie była. W tej chwili to nie rozpacz wypełniała całe jej ciało, lecz wściekłość i nienawiść.

Staruszka rzuciła jej jeszcze jedno spojrzenie, które trudno było rozszyfrować i odblokowała łańcuch, uchylając szerzej drzwi. Gestem zaprosiła gościa do środka. Kobieta rozejrzała się po mieszkaniu. To była typowa dwupokojowa klatka, w jakiej wiele lat temu sama mieszkała z Dominikiem, gdy jeszcze łączyło ich prawdziwe uczucie. Dziś nie wyobrażała sobie przebywania z inną osobą na mniej niż dwustu metrach. Mieszkanie śmierdziało starością i urządzone było po babcinemu: w przedpokoju brzydota porażały stara szafa i boazeria, w salonie mogła dojrzeć meblościankę z czasów PRL-u i turecki dywan. Reszty nie musiała widzieć, by mieć pewność, że jest to ostatnie miejsce, w jakim chciałyby przebywać. Jednak jak to mówią: trudne czasy wymagają radykalnych posunięć.

– Mogę wejść do salonu, by zobaczyć, czy z tego okna uda mi się ich dojrzeć?  
– zapytała wciąż milczącą staruszkę. Gdy ta nie odpowiedziała, wsunęła jej w dłoń dwa banknoty stużłotowe i śmiało ruszyła do pokoju gościnnego.

Nie było tu balkonu, a jedynie sporych rozmiarów dwuskrzydłowe okno. Odsunęła na bok firankę, która pamiętała chyba czasy Gierka, i zaczęła szukać wzrokiem okna czarnulki.

*Idealnie.*

Nie było tam zasłon ani rolet i mogła dość dobrze zobaczyć, co działo się w mieszkaniu siksy. Dominik stał obok łóżka, a przed nim klęczała właścicielka wścikle różowego topu, którego już zdążyła się pozbyć. Anna widziała tylko jej poruszającą się głowę i fragment ramion, ale to wystarczyło.

*Fellatio...* Akt, dzięki któremu kobiety są w stanie wyprosić u mężczyzn wszystko, czego zapragną. Co mówi to o facetach, skoro *cunnilingus* nie działa w ten sposób?

– Jak ci na imię, nieszczęśnico? – Anna wzdrygnęła się, gdy usłyszała głos staruszki tuż za sobą.

– Anna.

– Ja jestem Elwira.

– Powiedziałabym, że miło poznać, ale nie kłamię aż tak dobrze – odparła młodsza kobieta.

Elwira stanęła obok niej i skierowała wzrok na okno mieszkania czarnulki. Anna nie miała pewności, czy starsza pani była w stanie cokolwiek dojrzeć, jednak mimo to poczuła się dziwnie nieswojo, gdy sterczały tak obok siebie, obserwując scenę miłości francuskiej.

– No nieźle im tam idzie. A więc to jest ten twój mąż.

Anna wyciągnęła telefon komórkowy i po przybliżeniu obrazu zaczęła nagrywać. Miała nadzieję, że jakość filmu okaże się wystarczająca.

– Tak, to mój mąż. Jeszcze.

W bloku naprzeciwko czarnulka wskoczyła na łóżko i układając się na czworakach, wypięła swój młody tyłek. Dominik zaszarżował w jego stronę, a kobiecie filmującej zdarzenie wyrwał się z gardła żalospny jęk. Czarnulka z pewnością jęczała teraz w całkiem innej tonacji.

– Ciebie tak nie rznął? – zapytała Elwira, a Anna aż się zapowietrzyła zszokowana bezpośredniością starszej kobiety. – Och, daj spokój. Wlazłaś do mojego mieszkania, żeby nakręcić pornosy z ukrycia. Jak na mój gust, to pierwsze lody już przełamałyśmy.

– Kiedyś rznął – przyznała niechętnie Anna. Nie pamiętała już, jak dawno temu to było.

Elwira odwróciła wzrok od okna i dokładnie przyjrzała się swojemu gościowi.

– Ile masz lat? Trzydzieści sześć? Trzydzieści siedem?

– Czterdzieści pięć – odparła kobieta, ciesząc się w duchu, że wygląda na tyle młodszą. Zawsze to coś na pocieszenie w tej chorej sytuacji.

Staruszka zagwizdała.

– Zdecydowanie nie wyglądasz. Gładka skóra, piękne ciało, założę się, że cyci jeszcze ci nie obwisły. Zatem nie chodzi mu o wygląd.

– Nie? – zirytowała się Anna. – Ta siksa jest dwa razy młodszą i ma dwa razy większe balony. Do tego jest pewnie też dwa razy ciaśniejsza, bo nie urodziła dwójki niewdzięcznych synów, którzy po wyjeździe na zagraniczne studia zapomnieli, kto za nie płaci.

– Ach, więc może chodzi o to, że jesteś żoną?

Anna prychnęła. Stara baba pozwalała sobie na zdecydowanie zbyt wiele. Po ponad dwudziestu latach małżeństwa i usługiwania trzem facetom każda stałaby się już trochę żoną.

Dominik i jego młoda kochanka kolejny raz zmienili pozycję, tym razem męczyzna wchodził w dziewczynę od przodu, oparłszy sobie na ramionach jej stopy. Annę aż rozboleły stawy na sam widok takich wygibasów.

*Pieprzona kamasutra.*

Już nie chodziło o zdobycie dowodu. Anna gotowała się w środku i chyba tylko nieszczęśliwy wypadek jej małżonka mógłby ukoić te nerwy. Wyobraziła sobie, jak na zdrajcę i jego panią wali się sufit, a oni giną w męczarniach pod stertą betonu. Jakież to byłoby przyjemny obrazek!

– Odłóż telefon, Anno. Widzę, że to już nie tylko o to chodzi. Mogę ci pomóc pozbyć się mężulka.

– Słucham?

– Słuchasz, a udajesz, że nie słyszysz. Pomogę ci się go pozbyć – wyjaśniła Elwira takim tonem, jakby mówiła o pozbyciu się pryszcza z nosa. – Wtedy zagarniesz wszystko i nie będziesz musiała chodzić po sądach, by zdobyć jedynie połowę.

– Bez obrazy, ale jak taka staruszka miałaby mi pomóc w czymś takim? I dlaczego w ogóle miałaby to robić?

– Dlatego, że wiem, co teraz czujesz. To takie proste. Kiedyś też byłam piękną kobietą, która została zdradzona przez swojego mężczyznę.

Anna przyjrzała się Elwirze, ale choć bardzo się starała, nie potrafiła dostrzec na starej twarzy śladów minionego piękna. Widziała jedynie pomarszczoną skórę, cienkie siwe włosy i wydatny nos. Tak właściwie to Elwira wyglądała trochę jak wiedźma.

– Jaki jest twój znak zodiaku? – zapytała starsza pani po krótkiej pauzie.

– A jakie to ma znaczenie?

– Zasadnicze, jeśli chcesz mojej pomocy.

Kobieta jeszcze nie zdecydowała, czy rzeczywiście jej chce, ale mimo to odpowiedziała z ciekawością tym, do czego zmierza stara wiedźma.

– Wodnik.

– Wodnik... Bardzo dobrze! Zatem skorzystamy z pomocy wodnika.

– Nie rozumiem.

– W pozbyciu się twojego męża pomoże nam wodnik. Czasem niesłusznie nazywany utopcem. Wodnik to wodnik. Chyba słyszałaś o takich istotach?

– No tak, słyszałam o tych nieistniejących stworach. – Anna rzuciła Elwirze znaczące spojrzenie sugerujące, że wątpi w obecność wszystkich klepek w głowie staruchy.

– Ach, więc jesteś jedną z tych... – Uśmiechnęła się Elwira, nic nie robiąc sobie z takiej drwiny. – Nie szkodzi. Wystarczy, że dasz mi szansę, nie musisz wierzyć. Widzisz, w zależności od znaku zodiaku ludzie mogą panować nad określonymi... stworzeniami bądź mocami. Skoro więc ty jesteś wodnikiem, zaprzęgniemy ci wodnika do pomocy.

– Pani Elwiro, czy chce mi pani powiedzieć, że panuję nad nieistniejącymi stworzeniami? To jakiś absurd. A gdybym powiedziała, że jestem wagą, to pozbyć się męża pomogłaby mi waga? Kuchenna czy łazienkowa?



– A więc jednak zołza. – Elwira uśmiechnęła się złośliwie. – Bierzesz to wszystko zbyt dosłownie. Powinnaś otworzyć umysł na możliwość istnienia bardziej skomplikowanych wpływów i powiązań między naszym światem a światem istot nadnaturalnych.

– W tej chwili staram się otworzyć umysł na możliwość, że to wszystko mi się tylko śni.

– Co masz do stracenia? W najgorszym razie zaliczysz z niewiernym mężulkiem nocną kąpiel w jeziorze. W najlepszym: pozbędziesz się problemu.

– Nocną kąpiel? – Anna pokręciła głową z niedowierzaniem. – I to wszystko proponujesz mi z dobroci serca?

– Zawsze jest jakaś cena.

– No i się zaczyna. Pewnie płatne z góry?

– W żadnym razie. Twoje pieniądze mało mnie interesują. Zapłacisz mi odpowiednio po wszystkim, tylko jeśli sprawa rozwiąże się po twojej myśli. To chyba uczciwy układ?

– Pod jednym warunkiem – zastrzegła Anna, nie wierząc, że daje się w to wciągnąć. – Jeśli to wszystko okaże się bujdą szalonej wariatki, będziesz zeznawać w sądzie, że wielokrotnie widziałaś ich schadzki. – Wskazała ręką okno. Była przekonana, że żaden wodnik, utopiec czy inny przebieraniec nie zabije jej męża, i uznała, że dodatkowy świadek jego zdrady, do tego zupełnie z nią niezwiązany, a więc niezależny, przyda się na rozprawie rozwodowej. To mógł być jednak ciekawy układ.

– Umowa stoi – ucieszyła się Elwira. – Usiądźmy zatem i pogadajmy o Nocy Kupały. Oni – wskazała na kochanków – i tak zaraz już skończą.

\* \* \*

– Naprawdę nie powiesz mi, dokąd jedziemy? – Dominik wydawał się lekko poirytowany, że nie może z piwkiem w ręku pooglądać sobie jakichś głupot w telewizji.

– Mówiłam ci już, to niespodzianka. Tak dawno nie byliśmy na randce... A dzisiaj noc przesilenia, to takie romantyczne... – Anna przesunęła dłoń z drążka zmiany biegów na udo męża. Ten jednak odsunął ją dość stanowczo.

– Skup się na prowadzeniu. Nie chcę, żebyś rozbiła mi auto.

Gdyby kobieta miała jeszcze jakieś wątpliwości, czy mężowi należy się przebaczenie, to i tak właśnie by się rozwiały. Ale Anna ich nie miała. Naprawdę dobrze się składało.

Po trzech kwadransach od wyjechania z domu dotarli do celu. Instrukcje od Elwiry były bardzo dokładne. Aż dziw, że taka stara baba znała się na GPS-ie!

Anna zaparkowała w niewielkiej zatoczce na skraju lasu i poleciła mężowi wysiąść z samochodu. Jego mina sprawiała, że kobieta miała ochotę udusić go już w tej chwili, ale zamiast tego przywołała na twarz słodki uśmiech i pociągnęła go za sobą w głąb chaszczu.

„Za laskiem, jakieś dwieście metrów od zatoczki, znajdziesz jezioro”.

– Nie podoba mi się to, Anka. Dokąd mnie ciagniesz? Pełno tu komarów. Jeśli zachciało ci się amorów na łonie natury, to mogliśmy jechać gdzieś za dnia. W słońcu przynajmniej nie zeżarłyby nas te okropne stwory.

*Kiedy o to właśnie chodzi, mój kochany: żeby zeżarł cię okropny stwór!*

Kobieta uśmiechnęła się pod nosem. Nadal do końca nie wierzyła w historię Elwiry, ale co szkodziło spróbować? Kiepski humor Dominika był tylko wspaniałym bonusem.

– Przestań marudzić! Będzie fajnie, zobaczysz!

Przeszli przez lasek, odganiając się od krwiożerczych komarów. Choć Anna robiła to jedynie na pokaz, przed wyjazdem rozsądnie spryskała się środkiem odstraszającym owady. Dominikowi... zapomniała wspomnieć, że też powinien się zabezpieczyć.

Gdy wyszli spomiędzy drzew, ich oczom ukazało się średniej wielkości jezioro. Elwira nie kłamała przynajmniej w jednej sprawie. Co do reszty... Gładka tafla wody wydawała się podejrzanie spokojna. Anna pociągnęła męża na brzeg i zaczęła go pospiesznie rozbierać. Wkrótce wieczór miał zamienić się w noc i wołała nie ryzykować, że zapadną egipskie ciemności. Księżyc znajdował się niemal w pełni, ale mimo wszystko lepiej było załatwić sprawę, póki coś jeszcze było widać. Wchodzenie do jeziora z telefonem, by oświetlić sobie okolicę, nie wydawało się dobrym pomysłem.

– Co ty wyprawiasz? – Dominik wyrwał się jej, nieco oszołomiony.

– Już ci mówiłam. Dawno nie byliśmy na randce, jesteś mi winien chociaż jedną! A to jest właśnie moje wyobrażenie randki. Będziemy pływać nago w tym jeziorze. Wiesz, tak przy świetle księżyca. Kto wie, może nawet zrobimy coś więcej? – Uśmiechnęła się zalotnie, choć kosztowało ją to wiele wysiłku. Udawanie prób uwiedzenia go sprawiało, że czuła się wyjątkowo żałośnie.

– Oszalałaś?! Kto wie, co tam pływa w tym bajorze?! Nie chcę złapać jakiegoś syfu!

*Mam nadzieję, że to ciebie złapie jakiś syf.*

– Dominik, nie bądź tchórzem, to tylko zwykły staw. – Ponownie przystąpiła do odpinania paska u jego spodni. – Obiecuję, że będzie warto tak się dla mnie poświęcić. Zrobię wszystko, czego zapragniesz... – Oczywiście, gdyby akcja „likwidacja zdrajcy” miała się nie powieść, kobieta zamierzała wycofać się ze swojej obietnicy.

– Wszystko? Nawet to? – Oczy zaświeciły mu się jak dziecku na wzmiankę o Świętym Mikołaju.

– Nawet to... – potwierdziła najbardziej zmysłowym tonem, na jaki mogła się zdobyć.

Seks analny. Kolejne eldorado i wabik na każdego samca. Czarnulka zapewne zrealizowała już tę fantazję Dominika, ale z Anną jeszcze nie doświadczył takiej formy spełnienia, a zawsze bardzo tego chciał. Powinno zadziałać.

I zadziałało. Mężczyzna pozwolił żonie dokończyć rozbieranie go, a potem przyglądał się, jak i ona również pozbywała się ubrań w ekspresowym tempie. Wzięła go za rękę i poprowadziła do wody, której temperatura okazała się całkiem przyjemna po całym dniu nagrzewania słońcem. Powoli, krok za krokiem, zanurzali się coraz głębiej, przy czym Anna pilnowała, by to Dominik znajdował się przed nią. Elwira zapewniała ją, że zapanuje nad wodnikiem, który będzie wiedział, kogo należy wciągnąć pod wodę, ale choć nie dowierzała w jego istnienie, wołała dmuchać na zimne. Jeszcze by tego brakowało, by coś ją tutaj utopiło.

Ściemniało się szybciej, niż Anna zakładała, ale księżyc świecił dość jasno i kobieta była wdzięczna za bezchmurne niebo. Gdy Dominik położył się na wodzie zupełnie odprężony, a ona zanurzyła się po pas, oboje wsłuchali się w odgłosy natury. Wokół dało się słyszeć jedynie cykanie owadów. Z dala od

zgiełku i świateł miasta mogło być tu niemal romantycznie. Jeszcze dziesięć, może nawet pięć lat temu pewnie nawet tak by było. Teraz Anna czuła już tylko nienawiść i chęć zemsty.

Jej rozmyślenia przerwał jakiś szelest, który dobiegł ich uszu z lewej strony. Oboje zamarli na moment, ale nic więcej nie usłyszeli.

– To zapewne jakiś gryzoń przy brzegu – uspokoiła męża. – W tych trzcinach siedzi mnóstwo małych zwierząt.

– Pewnie tak – przyznał Dominik i wstał z pozycji leżącej. – To jak będzie z tym, czego pragnę?

*Jeszcze przed kilkoma minutami przeszkadzała ci syfiastość bajora, a teraz chcesz mnie tu rznąć w tyłek...*

– Jeszcze... nie popływaliśmy – zauważyła Anna, rozglądając się czujnie wokoło. Odniosła wrażenie, że ktoś ich obserwuje i że ta obecność jest dla niej w jakiś sposób uspokajająca.

Jakby na potwierdzenie tego wrażenia coś lekko poruszyło taflą wody kilka metrów od nich. Dominik tego nie zauważył, bo był ustawiony przodem do Anny. Ona jednak wychwyciła ten ruch kątem oka i pomyślała, że być może jednak Elwira nie jest tak szalona, jak mogło się wydawać. Może naprawdę mieszkał tu sobie prawdziwy wodnik? Jakiś śmieszny zielony panek z płetwami zamiast dłoni i stóp?

Dominik się zaśmiał.

– Co cię tak naszło na pływanie? Wydawało mi się, że miałaś ochotę na coś innego.

Coś plusnęło w wodzie. Anna się wzdrygnęła. Dominik znowu wyszczerzył zęby.

– Chyba jednak nie jesteś taka odważna. Zaplanowałaś taką randkę, a boisz się zwykłej ryby w jeziorze.

Kolejny plusk, nieco bliżej.

Teraz już to czuła. To był on. Pan tego zbiornika wodnego. I jeśli wierzyć Elwirze, Anna mogła nad nim zapanować. Wyobrażała sobie, że za chwilę ujrzy, jak płynie w ich kierunku coś, co wyglądem będzie przypominało figlarnego zielonego skrzata, ale na tyle silnego, by wciągnąć Dominika pod wodę.

– To chyba nie taka zwykła ryba – odparła z pewną satysfakcją w głosie i zaczęła wycofywać się krok po kroku w kierunku brzegu. Dominik postąpił w jej kierunku.

– Już uciekasz? Myślałem, że chcesz to zrobić w jeziorze.

Z wody, jakieś dwa metry za mężczyzną, coś zaczęło się wyłaniać. Anna dostrzegła najpierw jedynie czubek spłaszczonyj głowy, błyszczącej, jakby obślizgłej. O ile dobrze widziała w mroku, stwór był w kolorze błota. Gdy pojawił się cały łeb stworzenia, kobieta o mało się nie potknęła. Wodnik miał szeroko osadzone, zupełnie czarne i wylupiające oczy, a coś przypominającego spuchnięte usta rozciągało się na całą szerokość jego głowy. Nos ledwo odznaczał się na tej żabiej twarzy. Dolną jej część porastały zielone wodorosty, do których przyłączone były wijące się, czarne... pijawki?

Dominik był już w wodzie po kolana, gdy zorientował się, że coś dzieje się za jego plecami. Odwrócił się, a w tym momencie oczom jego i Anny ukazała się niemal cała postać stwora. Mierzył niecały metr wysokości, ale nie potrzebował wzrostu, by przerażać swoją fizjonomią. Jego tułów był obślizgły i jakby napuchnięty, dłonie chude, a ich palce zakończone szponami i połączone ze sobą błoną pławną. Spod opuchniętego brzucha zwisało coś, co mogło pełnić funkcję narządu płciowego. Okropieństwo wyglądało jak królowa matka pijawek, które przyłączone były do brody stwora. Teoretycznie wodnik wyglądał groteskowo, a jednak przerażał i obrzydzał.

Dominik krzyknął i spróbował rzucić się do ucieczki. Istota złapała go za nogę, a mężczyzna potknął się i upadł na dłonie i kolana w wodzie płytkiej na trzydzieści centymetrów. Spojrzenie jego i Anny spotkały się na moment i kobieta ujrzała w jego oczach błagalną prośbę o pomoc.

*Bierz go.*

Poczuła dziką satysfakcję, obserwując, jak wodnik wyszczerzył rząd ostrych igieł, które pełniły funkcję zębów, i rzucił się na jej oszalałego ze strachu męża. Poszczuła go tym stworem jak psem!

*My, wodniki, musimy trzymać się razem.*

Ta myśl wywołała w Annie atak śmiechu. Więc śmiała się jak opętana, gdy na jej oczach Dominik ponosił karę.

Niski wzrost w niczym nie przeszkadzał panu jeziora. Siła, jaką dysponował, była w zupełności wystarczająca, by nie pozwolić uciec wyższemu niemal o metr mężczyźnie. Poza tym panika, której poddał się Dominik, działała na korzyść wodnika. Jego szpony rozorały mu plecy, zostawiając na nich oderwane płyty skóry, zwisające niczym plastry boczków. Istota przyssała się do nich, a potem odgryzała płat za płatem, szarpiąc wijącą się ofiarą.

– Anka! Pomóż!

Anna popatrzyła mężowi prosto w oczy i przez moment faktycznie zaczęła rozważać uwolnienie go od tej upiornej kreatury, która ewidentnie słuchała jej poleceń. Zdała sobie jednak sprawę, że to zaszło już za daleko i nie miałyby ochoty się z tego tłumaczyć. A więc była jednak zołą.

Wodnik usiadł na plecach swojej ofiary, przygwoźdzając Dominika do dna. Mężczyzna zachłysnął się w płytkiej wodzie, desperacko próbując utrzymać głowę ponad jej powierzchnią. Chwilę później stwór wpakował mu do ust garść błota i mułu zebranego z dna. Dominik zaczął się krztusić i dusić, ale kolejna porcja błota zatkała go dość skutecznie. Wodnik przytrzymał swoją ofiarę mocno i wbił szpony w oczy mężczyzny. Następnie poruszył nimi gwałtownie na boki, nim wyciągnął je z czaszki człowieka. Jedna z pijawek siedzących na brodzie z wodorostów wpełzła do poranionego oczodołu. W tym momencie Annie zrobiło się niedobrze.

*Zabierz go już.*

Wodnik popatrzył na kobietę czarnymi i pustymi oczami, pochylił lekko swoją żabią głowę, jakby się jej kłaniał, i chwycił swoją zdobycz za nogi. Powoli wciągał nieprzytomnego już Dominika na dno jeziora.

Gdy ślepia stwora zniknęły pod wodą, a tafla jeziora na powrót się wygładziła, Anna odetchnęła głęboko, ubrała się pospiesznie i ruszyła w drogę powrotną do samochodu. Zemsta smakowała wybornie, choć cuchnęła przy tym wodorostami.

\* \* \*

– Pani Anno, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać na wyniki biopsji. Jeszcze nic nie jest przesądzone. Nie wygląda to dobrze, ale proszę nie tracić

nadziei. – Słowa lekarza dźwięczały jej w głowie, gdy jechała do Elwiry po raz pierwszy od czasu zniknięcia Dominika.

Tak, Dominik tajemniczo zniknął i policja wciąż prowadziła jego poszukiwania. Anna tymczasem udała się do lekarza, gdy dwa dni po akcji z wodnikiem zaczęła boleć ją jedna z piersi i nie przestawała przez kolejny tydzień. Badanie ultrasonograficzne wykazało sporą zmianę o podejrzanym charakterze, a czekanie na wyniki biopsji było istną torturą.

Pewna myśl zaczęła kiełkować w głowie Anny i pod jej wpływem kobieta postanowiła niezwłocznie odwiedzić Elwirę, by uregulować swój rachunek. Może ta stara wiedźma rzuciła jakąś klątwę, bo Anna nie wróciła zapłacić za usługę? Cóż, lepiej późno niż wcale. Jeśli to wina staruchy, na pewno można było to jeszcze cofnąć.

Nacisnęła dzwonek do mieszkania wiedźmy i z mocno bijącym sercem czekała, aż kobieta jej otworzy. Po dłuższej chwili drzwi skrzypnęły i ukazała się w nich staruszka. Nie odblokowała jednak łańcucha, wyglądając jedynie przez niewielką szparę.

– Elwira, przyszedłam zapłacić.

– Kochana, rachunek już został uregulowany. Ta cena nie podlega negocjacji.

– Staruszka uśmiechnęła się słodko. Annę zemdliło. A więc miała rację. To ta wiedźma coś jej zrobiła. Tylko jak?

– Daj spokój, cofnij to, zapłacę uczciwie, jestem bogata.

– Nie panuję nad tym w ten sposób – przyznała kobieta. – Każdy ma swoje ograniczenia. Pewnych rzeczy nie da się cofnąć.

– Nie panujesz?

Elwira uśmiechnęła się złowrogo. Anna wzięła głęboki oddech i drżącym głosem zadała pytanie:

– Jaki jest twój znak zodiaku, Elwiro?

– Przecież już się domyślasz – odparła, unosząc kącik ust w przerażającym półuśmiechu.

– Jaki?! – Kobieta wrzasnęła na całe gardło.

– Urodziny miałam dwudziestego ósmego czerwca. Jeśli dożyjesz do moich następnych, koniecznie przyslij mi kartkę! – powiedziała staruszka i zatrzęsnęła Annie drzwi przed nosem.

## CAMILLE GALE



Pisząca pod pseudonimem autorka, która zadebiutowała w 2019 roku pierwszym tomem cyklu „Indygo”, łączącego elementy urban fantasy i romansu paranormalnego. Drugi tom, „Cyjan”, wygrał w kategorii na najbardziej fantastyczny klimat w plebiscycie Fantastyczne zaskoczenia roku 2020 organizowanym przez portal Nakanapie.pl.

Jej opowiadania z gatunku fantasy można znaleźć w antologii „(Nie)realna magia” i magazynie „Histeria”.

Prywatnie mama dwójki cudownych dzieciaków i żona jednego z twórców gier komputerowych „Wiedźmin” oraz „Cyberpunk 2077”.





TADEUSZ OSZUBSKI

# CZARNY, BARDZO CZARNY BÓR

- VI -

## Rozdział 1

Mężczyzna usłyszał, że zbliżają się jeźdźcy. Otworzył oczy. Miał nadzieję na ratunek, czy obawiał się powrotu wroga? Uniósł głowę, ale tylko odrobinę. Wysilek był zbyt wielki, więc ją opuścił. Mógł teraz jednak sięgnąć wzrokiem przybyszy. Ustalił, kto znajduje się w polu widzenia. Chciał coś powiedzieć, ale tylko cicho jęknął. Z ust spłynęła mu strużka krwi.

Ranny leżał przed frontową ścianą zburzonej kontyny Swaroga. Jedna z belek zawalonej budowli przygniatała go do ziemi. Ociosana kłoda zmiażdżyła mu klatkę piersiową i prawą nogę. Nie mógł samodzielnie uwolnić się z pułapki.

Sieciech zsiadł z wierzchowca, podał cugle służącemu. Pochylił się nad umierającym, a ten spojrzał na niego. Nieznajomy chciał coś powiedzieć, ale nagły wysilek wyczerpał resztkę jego sił.

Młody rycerz dostrzegł z niepokojem, że życie ucieka z mężczyzny. Że każdy oddech z płuc przebitych połamanymi żebrami może być tym ostatnim. Rzucił się więc, by usunąć ciężar z poranionego ciała, lecz było już za późno na ratunek. Oczy rannego znieruchomiały, straciły blask, przypominając teraz śniętą rybę. Serce przestało bić. Dłonie, które z bólu mężczyzna zaciskał dotąd w pięści, rozpostarły się. Palce, niczym płatki nagrobego kwiecica, spoczywały nieruchomo na ziemi.

– Mówiłem, panie, że tu nikogo żywego – mruknął Sław.

Był to mężczyzna w średnim wieku, jeden z zaufanych służących, wychowany we dworze ojca Sieciecha. To on przyniósł wieści o napadzie dokonanym na święte miejsce.

– Jeszcze przed chwilą było inaczej – warknął młody szlachcic, spoglądając koso na sługę. Ten uciekł wzrokiem.

– Nie zdążył powiedzieć, czyja to sprawka. A gdybyś go odpytał, kiedy tu przyjechałeś po raz pierwszy, to byśmy więcej wiedzieli. I może byś mu życie uratował! – oświadczył gniewnym tonem Sieciech.

Potem uważnie przyjrzał się zmarłemu.

– Jego twarzy nie pamiętam, ale sądząc po stroju, i wieku, to żaden z kapłanów. Na pewno był posługaczem w kontynie – mruknął do siebie. –

Skoro więc Marena, Śmiercicha, zabrała go do Nawii z tym, co wiedział, to sam muszę odkryć prawdę. Rozejrzę się za śladami, które na pewno pozostawili zbóje. Trzeba ustalić, kto tu Bogu uchybił, sanktuarium obrócił w ruinę i przelał krew niewinnych ludzi.

Nie zwracając uwagi na przestrach malujący się na twarzy Sława, młodzieniec kazał mu zająć się wierzchowcami. Konie były niespokojne, płoszył je fetor śmierci unoszący się nad ruinami kontyny. Sługa, mruczając coś pod nosem, z trudem zapanował nad zwierzętami, po czym przywiązał je lejcami do najniższej gałęzi pobliskiego drzewa.

Szlachcic, choć niezadowolony z postępowania sługi, rozumiał tego przyczynę. Nie mógł mieć mu za złe, że uległ strachowi. Przecież gdy Sław wraz z pomocnikiem dotarli na wozie do świątyni, to ciała pomordowanych były jeszcze ciepłe. Można więc założyć, że zabójcy znajdowali się w pobliżu. Obaj służący nie byli uzbrojeni. Zresztą nie byli wojownikami i przemieszczali się traktem do świętego miejsca, co zwyczajowo zapewniało im nietykalność. Okazało się jednak, że w okolicy grasował ktoś okrutny i tak zdeprawowany, że dopuścił się mordu oraz świętokradztwa. To mogło wzbudzić lęk nawet w doświadczonym rycerzu.

Wiadomość o napadzie na kontynę nie rozpowszechniła się rychło. Musiało minąć sporo czasu, zanim służącym udało się wrócić do dworu i powiadomić o zbrodni. Do wozu bowiem zaprzęgnięto dwa woły, które, choć dużo silniejsze od koni, poruszały się powoli, niewiele szybciej od maszerującego człowieka.

Tego dnia ojciec wybrał się do puszczy, bo miał coś do omówienia ze smolarzami w dalej położonej osadzie. Sieciech więc, jako pierworodny, przejął tymczasowo obowiązki głowy rodu. Był zobowiązany podjąć decyzję, jak postąpić w trudnej sytuacji. Młodzieniec nie miał wątpliwości, co zrobić. Kazał stajennemu osiodłać dwa konie, uzbroił się w miecz i włócznię. Następnie wezwał Sława. Uznał, że wspólnie pojedą do świątyni, by wyjaśnić, co tam właściwie się stało.

Sieciech pomyślał, że jest szczęście w tym nieszczęściu. Zwyczajowo okoliczni panowie żywili strażników świętego ognia Swaroga, dlatego ojciec wysłał do kontyny wóz wypełniony wiktuałami. Dostawa mogła nastąpić i za kilka dni,

a wtedy większość śladów zbrodni byłaby już zatarta przez ścierwojady czy deszcz.

Młody rycerz omiół ruiny posępnym spojrzeniem. Sięgnął pod koszulę. Z gniewem ścisnął w dłoni mały kawałek żelaza zawieszony na szyi. Znak Swaroga, kęs surowego metalu z otworem, przez który przewleczono rzemień. Ród poświęcił Sieciecha zaraz po narodzinach temu właśnie bóstwu, więc młodzieńca bolało, że Swarogowi tak bardzo uchybiono.

Był w kontynie zaledwie przed tygodniem, podczas obrzędów letniego przesilenia. Wówczas zjechały tam setki ludzi z okolicy, każdy przywiózł wiktuały i napitki. Wszyscy w radosnym nastroju, skorzy do zabawy. Trzech kapłanów strzegących wiecznego ognia Swaroga odprawiło obrzędy, a po nich zaczęła się wspólna uczta, pijaństwo i tańce. Młodzieniec spędził tamten wieczór, a po nim noc z Marzyaną, której pożądał jak żadnej innej i był w niej zakochany. Oboje wysocy, smukli, jasnowłosi i jasnoocy stanowili miłą oku parę. Teraz jednak w tym miejscu niczego pięknego nie było. Panowała za to złowroga cisza. W krzewach i koronach drzew bezgłośnie czaiły się ścierwojady, spłoszone przed chwilą przez jeźdźców. Lisy, kuny, kruki, wrony, całe to towarzystwo łase mięsa, które już nie ucieka.

Młodzieniec obszedł teren. Znalazł zwłoki kapłanów i czterech posługaczy. Przy ciałach leżały siekiery i widły, znak, że próbowali się bronić. O ile dobrze pamiętał, to nie brakowało nikogo z ludzi służących w kontynie. Czyli wszyscy zginęli. Nie mógł liczyć na choćby jednego świadka, który zeznałby, kto dokonał świętokradztwa i masakry.

Świątynia była zburzona, jakby uderzyła w nią wichura. Ucierpiały też pobliskie zabudowania mieszkalne i gospodarcze. Większa grupa ludzi musiała się tym zająć, liny wiązać do belek nośnych i siłą koni obrócić budowle w ruiny. Jednak kilka krów, wół, stadko świń, dwa konie i drób kręciły się po okolicy. Sieciecha zdziwiło, że napastnicy pozabijali ludzi, wyrządzili wielkie szkody, a nie zabrali ze sobą bydła i reszty zwierząt gospodarskich. Możliwe, że chodziło im tylko o to, co najcenniejsze i pomieści się w kilku workach.

Postanowił sprawdzić, czy świętokradcy dobrali się do świątynnego skarbcza. Długo trwało, zanim wczółgał się pod zwaloną tylną ścianę kontyny. Wreszcie dotarł do małego pomieszczenia, w którym kapłani przechowywali ofiary

składane bóstwu przez jego wyznawców. Były to metalowe ozdoby, cenna broń, pieniądze – najczęściej srebrne siekańce. Swaróg jako boski kowal lubił kruszce i ogień, w którym topniały.

Młodzieniec w tym miejscu mógł się wyprostować. Belki wyrwane z powały były ciężkie i osiadły pod kątem, tworząc dość stabilną konstrukcję, więc Sieciech czuł się tu bezpieczny. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Wszystkie dary zniknęły! Zawrzał gniewem. Uznał, że kapłanów i służbę kontyny wymordowano, by zrabować skarbiec. Okrutnym napastnikom chodziło o łup mający dużą wartość, a jednocześnie będący łatwym do przetransportowania na kilku jucnych koniach.

Za skarbcem znajdowała się jeszcze jedna izba. Wejście do niej przesłonięto wyprawioną skórą zdartą z niedźwiedzia. Sieciech nigdy dotąd tam nie zajrzał, bo stanowiła miejsce najświętsze, w którym objawiał się Swaróg, gdy chciał obejrzeć dary lub posłuchać modłów swych wyznawców. Tylko kapłani mieli dostęp do pomieszczenia, by utrzymać w nim porządek.

Budowla od tej strony wydawała się stabilna. Młodzieniec, choć pełen obaw, postanowił zajrzeć do sanktuarium. Wiedział, że nie jest godny, ale prowadzony troską zmieszaną z zaciekawieniem przekroczył granicę. Omiatając wzrokiem ściany i powałę, wypatrywał oznak zagrożenia. Sieciech odkrył ze zdziwieniem, że pomieszczenie jest puste. Widać było, że nie trzymano w nim skarbów. Że rabusie go nie splądrowali. Pośrodku małej izby stało tylko proste siedzisko wyciosane z dębowej kłody. Miejsce, na którym mógł odpocząć Bóg zmęczony obowiązkami. Przecież cykle w przyrodzie i życiu człowieka toczą się dzięki temu, że każde z bóstw czuwa nad przynależnym mu kawałkiem świata i żywiołem.

Młody rycerz podszedł do drewnianego tronu. Skłonił się przed pustym miejscem. Nagle poczuł, że nie jest sam. Kęs żelaza na jego szyi stał się gorący, niemal parzył. W głowie zaś rozbrzmiały mu bezgłośnie słowa: „Od tej chwili jesteś Swarozycem, moim synem narodzonym do pomsty na świętokradcy”.

Sieciech nadal nikogo ani niczego nie widział, jednak miał pewność, że spotkał się z nim Bóg. Zetknięcie z nadnaturalną potęgą młody rycerz mógłby uznać za ulotne, może nawet za omam, bo trwało tyle, co mgnienie oka, jednak pozostawiło ono w sercu i umyśle człowieka głęboki ślad.

Wydostał się spod ruin. Wzburzony dumiał nad tym, co usłyszał od bóstwa, czy raczej czego doznał od największej świętości. Po czym znów zaczął rozważać, kto poważyl się na świętokradztwo i dokąd się udał. Pomyślał, że napastnicy nie zabrali zwierząt gospodarskich, bo te by spowalniały ucieczkę. W całej krainie Swaróg cieszył się wielkim poważaniem. Nikt by bóstwa nie okradł, a tym bardziej nie zabiłby tylu ludzi dla skarbu przeklętego, bo naznaczonego obrazą niebiańskich sił i krwią niewinnych ofiar. Może więc po okolicy grasuje oddział jakichś zbójów przybyłych z daleka? Okrutników, którzy tutejszych Bogów i życie ludzkie mają za nic? Jeśli tak, to trzeba ich szybko wytropić i ująć, by więcej szkód nie wyrządzili. A potem starsi wspólnoty ich osądzą i przykładowie ukarzą. Sieciech nie pamiętał, by coś podobnego wydarzyło się w okolicy.

Młodzieniec przywołał sługę i kazał mu objechać najbliższe gospodarstwa z wieścią, że potrzebna jest pomoc w kontynie. Sław miał wszystkim przekazać, by przybyli zbrojni do pościgu za mordercami, jak też ludzie do przygotowania pogrzebu. Należało zwieźć drewno na stosy do spalenia zwłok zabitych kapłanów i posługaczy oraz powiadomić krewnych ofiar i z nimi odprawić obrzędy, by duchy pomordowanych trafiły do Nawii, krainy umarłych. Trzeba też było odbudować świątynię. Ale to później. Teraz wzywał do działania Swaróg i przelana krew jego sług.

## **Rozdział 2**

Sieciech został sam wśród trupów i ruin. Nie czuł jednak lęku, bo pokrzepiony dotknięciem bóstwa nie obawiał się ani żywych, ani martwych.

Zafrasowany uznał, że rabusie zaraz po napadzie umknęli z łupami. Martwiło go, że mordercy mają już dobrą przewagę, a czas ten jeszcze urośnie. Przecież podchodząc do zemsty praktycznie, sam nie ruszy za świętokradcami, a oddział pościgowy uda się zorganizować dopiero nazajutrz.

Postanowił jednak, że czekając na wsparcie zbrojnych, nie będzie próżnował. Najpierw pomyślał o tym, co najważniejsze. Sprawdził, w jakim stanie jest święty ogień palony Swarogowi przez kapłanów. Okazało się, że ustawiony przed kontyną kocioł z brązu nie ucierpiał, jednak osłaniający go drewniany daszek uległ zniszczeniu. Na szczęście na dnie naczynia grubo pokrytego patyną i sadzą

żarzyły się jeszcze węgle pod warstwą popiołu. Młodzieniec nie miał godności kapłańskiej, ale uznał, że jako akolita namaszczoney przez bóstwo ma i prawo i obowiązek strzec przestrzegania obrzędowej tradycji. Założył więc pasmo długich, jasnych włosów za ucho, by się nie zapaliły, po czym rozdmuchał resztki po świętym ogniu. Dołożył dREW. Chwilę później wieczny płomień znów buchnął na chwałę Swaroga.

Uporawszy się z tym, co najistotniejsze, zajął się zmarłymi. Wydobył zwłoki z ruin i kolejno przeciągnął je na środek placu. Poprawił zmarłym odzienie, by wyglądali godnie. Wykonawszy smutny obowiązek, poświęcił czas żywym. Tym, którzy dokonali zbrodni i zbiegli.

Jego uwagę zwróciły rany widoczne na ciałach pomordowanych. Nie dostrzegł śladów po pchnięciach lub cięciach mieczem czy nożem, ani ostrzem włóczni czy rozsiekania toporem. Kończyny były połamane, głowy zmiażdżone. Jakby wszystkich zabito maczugami lub wielkim kijem. Do posługiwania się takimi narzędziami i zadawania śmiertelnych ciosów trzeba nie lada mięśni. Mogli nie mieć mieczy, bo to uzbrojenie kosztowne, ale kto wędruje przez bory bez noża, topora, włóczni czy łuku? Czyżby napadu dokonała banda osiłków pozbawionych ostrej broni?

Myśl ta nie dawała mu spokoju. Jako że na miejscu zrobił, co mógł, postanowił rozejrzeć się po okolicy. Obszedł ruiny, potem powędrował skrajem lasu wokół placu, zabudowań i prowadzącej do nich drogi, którą niedawno przyjechał. Szukał śladów, jakie powinni pozostawić uciekający napastnicy. Wkrótce znalazł trop wiodący w kierunku południowego zachodu, tam gdzie bagna okalały część jeziora i Czarny Bór, pradawną knieję, gdzie człowiek rzadko zaglądał.

Z uwagą przyglądał się śladom czyjejs wędrowki. Gałęzie krzewów były tam pogięte i połamane, jakby przeciskał się przez nie wół, a nie grupka ludzi, którzy by, jeden za drugim, prowadzili objuczone konie. Może faktycznie mordercy wzięli z kontyny wołu, aby dźwigał zrabowane srebro i inne metale? Było to możliwe. Sieciech zdał sobie sprawę, że nie wie, ile takich zwierząt trzymali kapłani.

Nagle poczuł chłód, jakby minęła go istota cała z lodu. Zadrzał. Rozejrzał się wokół. Nikogo. Przebiegł go dreszcz. Potrząsnął głową, uznając, że poniosła go

wyobraźnia. Przecież tyle zła się wydarzyło!

Młodzieniec, choć go korciło, nie poszedł dalej. Rozsądek przeważył, każąc mu czekać z pościelą na uzbrojonych sąsiadów. Wrócił więc do zrujnowanej świątyni i siadł obok kotła ze świętym ogniem. Spoglądał smutnie na leżących pokotem zmarłych i co jakiś czas odganiał najbardziej natarczywe kruki i wrony, które chciały pożywić się zwłokami.

Minęło trochę czasu. Zmęczony chłopak zaczął przysypiać. Nagle znów poczuł powiew zimna. Natychmiast się rozbudził. Pomyślał, że tylko jedno wchodzi w rachubę. To Śmiercicha, bogini Marena, krąży po swej domenie, miejscu, gdzie doszło do krwawego mordu. Niewidzialna, ale dająca silny znak swej obecności.

Usłyszał trzask gałązek i szelest liści. Potem głucho warczenie. Dźwięki znamionujące obecność pradawnej, drapieżnej siły. Mrozące krew w żyłach. Od północy z krzewów wysunął się ogromny wilk. Kawałek dalej – drugi. Zaraz po nich kolejne trzy wyszły z zarośli.

Sieciech zmartwił. Uznał, że Śmiercicha przybyła wraz z orszakiem! Rycerza osaczała wataha przywabiona wonią trupów. Krzyknął, by odstraszyć drapieżniki. Te przywarły do ziemi, ale nie zamierzały uciekać. Wiadomo, na każdym poboju władza Śmiercicha, a wilki są jej forpocztą. Dlatego drapieżniki czuły się u siebie. Szczęząc kły, zaczęły krążyć wokół młodzieńca. Widać było, że tylko czekają na stosowny moment, by zaatakować. Sieciech powoli wstał, sięgnął po włócznię, jako najbardziej poręczną broń przeciw czworonożnym przeciwnikom. Tych jednak było zbyt wielu, by jeden człowiek dał radę ich pokonać. Wtedy młodzieńcowi przemknęło przez myśl, by poszukać wsparcia u swego bóstwa.

Nie spuszczać wzroku z napastników, zaczął cofać się w stronę kotła z wiecznym ogniem Swaroga. Kątem oka ocenił, które z połamanych desek rozwalonej ściany kontyny nadadzą się do tego, co planował. Plan był ryzykowny, ale jedyny, jaki przyszedł mu na myśl.

Wrzasnął, by spłoszyć wilki i dodać sobie odwagi. Rzucił włócznią w najbliższe zwierzę. Celnie! Ostrze przebiło pierś, leśna bestia padła. W tej samej chwili młody woj złapał wypatrzone wcześniej kawały drewna. Wsunął je w żar i z dwiema zaimprovizowanymi pochodniami ruszył na watahę. Krzycząc,



zadawał ciosy. Iskry tryskały, rozniósł się swąd spalonej sierści. Wilki, skowycząc, uciekły.

Sieciech zdyszany opadł na ziemię obok drapieźnika, którego przebił włócznią. W tej chwili szczęśliwy, że pokonał zagrożenie, nie dociekał, czy wataha umknęła, bo Swaróg mu pomógł, czy po prostu, jak każdy zwierz, bały się ognia. Miał nadzieję, że wilki nie otrząsną się szybko ze strachu. Że zanim nabiorą animuszu i zapragną uderzyć większą siłą, do kontyny dotrą już wezwani ludzie. Wciąż jednak, co kilka chwil, czuł powiewy zimna. Marena, bogini śmierci, nie odeszła ze swymi sługami. Niewidzialna teraz, lecz zawsze bezlitosna, zawsze była u siebie tam, gdzie doszło do mordu. Gdzie trupy leży pokotem.

### **Rozdział 3**

Po starciu z wilkami nie czekał długo na pomoc. Wkrótce wśród ruin pojawili się pierwsi zbrojni. Do wieczora zebrało się wielu ludzi, którzy odpowiedzieli na wieść roznoszoną po okolicy przez Sława. Jedni zajęli się przygotowaniami do ceremonii pogrzebowej, drudzy zaczęli radzić nad pościgiem za mordercami. Wszystko to zajęło wiele czasu, a że zmrok już zapadał, wyprawę odłożono do poranka dnia następnego. Nocą w gęstym, ciemnym borze wiele się nie wypatrzy, za to łatwo wpaść w zasadzkę i ponieść dotkliwe straty.

O świcie trzy dziesiątki mężczyzn ruszyły pieszo przez las. Każdy z włócznią, a najbogatsi także z mieczem u boku. Inni mieli łuki, topory. Koni i tarcz nie brali, bo w pradawnej kniei by tylko zawadzały w walce.

Zbrojni podążyli śladami, które poprzedniego dnia wypatrzył Sieciech. Pościg jednak szybko się zakończył. Rozmazany upływem czasu i działaniem przyrody trop, na szczęścieznaczony łamanymi gałęziami, wkrótce urwał się na mokradłach. Zdradliwy, podmokły teren rozciągał się tak szeroko, że wojowie uznali, iż muszą się poddać. Stwierdzono, że świętokradcy i mordercy zapewne potonęli na bagnach. Było wszak mało prawdopodobne, by uniknęli takiej właśnie okrutnej śmierci. Nawet miejscowi omijali ten obszar, więc jaki obcy znałby nieliczne przełazy, gdzie grunt twardy? Zresztą za bagniskami rozciągał się Czarny Bór, przekłeta knieja, w której człowiek nie miał czego szukać. Od

wieków powtarzano, że tam czai się zło, gorsze od najgorszego złoczyńcy. Stwory równie pradawne, co puszcza.

Przywódcy pościgu zebrali więc wojów i każdy z mężczyzn przedstawił swoje zdanie. Niemal wszyscy oświadczyli, że Swaróg, po swojemu, a więc siłami natury, wymierzył już karę zbrodniarzom. Sieciech jednak nie był pewien, czy sprawy tak właśnie się miały. Nie wątpił w moc bóstwa, ale uważał, w czym upewniał go znak dany mu przez Swaroga, że zadaniem wyznawcy jest schwytać i ukarać świętokradcę. W taki sposób akolita najgorliwiej służy swemu Bogu. Każdy przecież, nawet dziecko, może złożyć ofiarę. Jednak życiem ryzykują tylko najwierniejsi.

Młodzieniec bił się więc z myślami, gdy starsi rodów, a więc pewnie mądrzejsi, podjęli decyzję o zaprzestaniu pościgu. Sieciech chciał tropić zbójów nawet w terenie grożącym mu śmiercią. Dopiero gdy ojciec ostro go napomniął, wrócił z resztą zbrojnych do kontyny.

Na dziedzińcu zakończono już przygotowania do obrzędów pogrzebowych. Wspólnota czekała tylko na powrót oddziału. Co prawda to, że wojowie nie przyprowadzili winnych, przyjęto z niesmakiem, ale pożegnanie zmarłych było w tym czasie najważniejsze. Krewni pomordowanych podpalili więc stosy z ułożonymi na nich zwłokami. Gęsty dym spowił ruiny i ludzi pozostających w ponurym nastroju. Rozbrzmiały rytualne pieśni. Wieczór zapadł, ogień wygasł. Popioły zebrano do glinianych urn, by zmarłych godnie pochować. Ustalono też termin zebrania starszyny, w celu omówienia odbudowy kontyny.

## **Rozdział 4**

Minęło kilka dni od tych zdarzeń. Sieciech wrócił do dworu, do swych codziennych zajęć, wciąż jednak dręczyło go, że nie ujął i nie ukarał świętokradców. Swaróg przecież osobiście wyznaczył mu zadanie. Poza tym, w odróżnieniu od swego ojca i starszyny z sąsiedztwa, im dłużej przyglądał się faktom, tym mniej miał pewności, że mordercy zginęli marnie na bagnach. Jednak życie ma swoje prawa, niesie smutki, radości, ale też obowiązki, więc młodzieniec zajmował się tym, co do niego należało. Przeżywał też miłe chwile, bo na porywy jego serca, serce ukochanej z przychylnością odpowiadało.

Rankiem, na polecenie ojca, wybrał się do pobliskiej wsi. Chodziło o uzgodnienie ilu parobków i za ile przyjdzie w żniwa zebrać zboże na polach rodu Sieciecha. Załatwił korzystnie, co było do załatwienia. Wracał zadowolony. Tego dnia wyjątkowo lekko było mu na duszy, bo gdy tylko zapatrzył się w niebo, na płynące tam śmietankowe chmurki, dostrzegał w nich to twarz, to sylwetkę ukochanej.

Myśląc o Marzynie, jechał stępą przesieką. Nagle ponad lasem przetoczył się grzmot. Sieciech drgnął. Wstrzymał konia, znów spojrzął w niebo, nasłuchując. Słońca nie przesłaniał jednak najmniejszy obłok. To nie burza nadciągała. Coś niepokojącego działo się w kniei.

Jeszcze raz w borze coś huknęło. A może ryknęło? Rozległ się też trzask łamanych gałęzi. Młodzieniec uznał, że nic tu po nim. Pewnie dwa niedźwiedzie wzięły się za łby, dowodząc, który z nich ważniejszy. Człowiekowi lepiej trzymać się z daleka od rozjuszonych bestii. Sieciech uderzył więc piętami w boki wierzchowca i ruszył galopem. Tak było bezpieczniej, tym bardziej że przesieka szeroka, a grunt ubity. Wydarty z lasu pas odkrytej przestrzeni pełnił w tej części Kaszub rolę gościńca. Ciągnął się na wiele mil z południa na północ.

Było lato, słońce grzało, zieleniały bory. W nich jagody, pierwsze grzyby i mnóstwo zwierzyny. Blisko też było do jeziora Wdzydze, obfitującego w ryby. Choć tam tylko część wód należała do bezpiecznych. Większość brzegu okalał przecież Czarny Bór. Jednak tereny, które człowiek wyrwał lasom, po czym przemienił w pola i sady, przynosiły obfite plony. Można by pomyśleć, że to raj na ziemi. Jednak Sieciech wiedział, że nie urodził się w sielskiej krainie. Bo groźne było nie tylko to, co kryło się w Czarnym Borze. Co czas jakiś rozmaici zbrojni próbowali zagarnąć te ziemie, pozostające od stuleci pod pieczę wielkich wodzów Pomorzan. Od południa nadciągali wojowie Polan, od zachodu zaś Lutycy, a nawet Sasi. Ponadto od wieków przepastne bory naznaczone były mrocznymi miejscami, gdzie grasowały nie tylko tajemne stwory, ale równie niebezpieczni źli ludzie. To banici, których za różne przewiny wypędzili ich współziomkowie. Niektórzy żyli w odosobnieniu niczym sarny i inne zwierzęta unikające człowieka. Najgorsi łączyli się w bandy. Ci byli szczególnie groźni, bo bezwzględni w utrzymaniu się przy życiu, gotowi do najstraszniejszych okrucieństw. Już po chwili młody woj natknął się na widomy tego dowód.

Sieciech bywał świadkiem podobnych scen, więc rozumiał znaczenie póż, jakie przyjęły widziane z daleka postaci. Trzech uzbrojonych ludzi otaczało troje innych, bezbronnych. Na uboczu stał jeszcze jeden zbrojny. Wpatrywał się z niepokojem w ścianę lasu, która oskrzydlała przesiekę od zachodu. Tam rozciągała się pradawna knieja, istna gęstwina drzew i zarośli, gdzie człowiek nie miał po co się zapuszczać – Czarny Bór.

Komuś groziło niebezpieczeństwo, może nawet śmierć. Sieciech nie mógł do tego dopuścić. Nie dbał, że sam jeden rusza na przeciwnika. Wracał z gościny u sąsiadów. Nie miał więc na sobie bojowego kaftana nabijanego ćwiekami ani hełmu, ani też tarczy zwykle zawieszanej przy siodle. Odziany był nie do boju, ale jak na pana przystało, w bogato haftowany strój z przedniego lnu i kaftan z byczej skóry. Miał jednak na sobie pas z przytroczoną pochwą z żelaznym mieczem. A w rękę włócznię przydatną, gdy napotka się groźnego zwierza w lesie.

Zadecydował samotnie rozwiązać konflikt na drodze, bo w tej okolicy rozciągały się ziemie jego rodu. Poza tym młodzieniec był już doświadczony w walce. Brał udział w bojach z Lutykami i z pospolitymi zbójami. Z tymi ostatnimi teraz znów miał do czynienia.

Zbliżając się do ludzi, mógł wreszcie przyjrzeć się tym, których napadnięto. Wtedy poczuł lęk. Przyspieszył jazdę. Wierzchowiec galopował na złamanie karku, a młodzieniec ścisnął mocniej w prawej ręce włócznię. Sprawa była poważna. Uzbrojeni ludzie napadli Marzyanę! Dziewczyna bliska sercu Sieciecha, a jednocześnie sąsiadka, wracała z targu ze służącą i parobkiem. Wskazywały na to pakunki, jakimi obwieszony był juczny koń.

– Szybciej! – krzyknął do towarzyszy zbój, który nie wiedzieć czemu, wpatrywał się w zachodnią ścianę lasu. – Biercie konie! Trzeba uciekać!

– Ale mamy tu ładną pannę – odkrzyknął jeden z jego kamratów. – I towar na handel!

– Życie cenniejsze! – wrzasnął ten stojący na uboczu. – Konie, i w nogi!

– Tak, życie cenniejsze! Rzućcie broń i odstepcie! – dołączył do tych krzyków Sieciech.

Dotarł już do grupy ludzi. Wstrzymał wierzchowca w miejscu. Zeskoczył z końskiego grzbietu. Zbój, który stał najbliżej, zareagował. Ruszył na Sieciecha,

wymachując toporem. Szlachcic wybiegł mu naprzeciw. Gdy łotr był tuż-tuż, młodzieniec nagle przykucnął i pchnął go włócznią. Rozbójnik upadł. Sieciech wyrwał ostrze z jego piersi, dobił go pchnięciem w kark, po czym ruszył przeciw pozostałym zbójom.

– Mało jest kłopotów?! – krzyknął łotr przy lesie. – Nic do ciebie nie mamy, rycerzu!

Powiedziawszy to, rzucił się w stronę koni. Odepchnął przestraszonego parobka trzymającego wodze i wskoczył na siodło wierzchowca panny. Ruszył galopem na północ, nie oglądając się na towarzyszy. Sieciech rzucił za nim włócznią, ale ta nie trafiła w cel. Drugi zbój trzymał Marzyanę za ramię. Widząc, co zrobił wspólnik, puścił dziewczynę. Niezdarnie poczłapał tam, gdzie stał juczny koń obładowany towarami. Sieciech szybko dogonił łotra. Uderzył go płazem miecza w tył głowy. Rozbójnik padł nieprzytomny. Ostatni z napastników ani myślał czekać na obrót zdarzeń. Pobiegł co sił przesieką za uciekającym konno kamratem.

– Co tu się wydarzyło? – Młody woj spytał pannę, przyglądając się jej z niepokojem, czy aby nie ucierpiała podczas napadu.

– Wypadli z lasu, jakby przed czymś uciekali – zaczęła wyjaśniać młoda szlachcianka. Widać było, że i dla niej sprawa jest niejasna. – Gdy nas zobaczyli, to się zatrzymali. Pewnie pomyśleli, że skoro trafiła się okazja, to trzeba zdobyć łupy.

Sieciech pochylił się nad rozbójnikiem, którego ogłuszył. Ten zaczął odzyskiwać świadomość. Szlachcic dostrzegł, że ze zbójem nie jest dobrze, więc podłożył mu pod głowę zrolowany koc. Okazało się, że łotr wcześniej ruszał się niemrawo, bo miał dziurę w boku, jak po ciosie włócznią.

Zbój otworzył oczy.

– Pić – wyszeptał. – Muszę...

– Co stało się w lesie? – przerwał mu Sieciech. – Tam jest jakieś wojsko? Lutycy albo Saksonowie chcą nas podejść? Chcą zagarnąć nasze ziemie?

– On szedł do jeziora, do Wdzydz – szepnął ranny. – Często tam chodzi. Do niej. Chcieliśmy... Za jego głowę i skórę byśmy dostali wór złota. Herman postrzelił go z kuszy, ale...

Zbój zamilkł. W jego oczach było widać przerażenie.

– Pięciu zabił – dodał. – Za nami ruszył...

Nie dokończył zdania, jęknął. Z ust i dziury w boku chlusnęła krew. Głowa opadła w bok. Umarł.

– Z kim oni się bili? – spytała Marzyana.

– Nie mam pojęcia – mruknął Sieciech. – I dlatego zbierajmy się stąd. Ktoś jeszcze groźniejszy od tych zbójów grasuje w lesie.

– Trzeba zabitych pochować – powiedziała panna. – Tak jak należy.

– Nic im się nie należy, bo nie postępowali godnie – odparł twardo szlachcic.

– Wciągniemy ciała do boru i bór ich pogrzebie. Na swój sposób.

Zrobili, co młodzieniec powiedział. Potem woj wsiadł na wierzchowca, posadził Marzyaną przed sobą i ruszył w drogę. Jechał powoli, by nadążyli za nim służąca i parobek prowadzący jucznego konia.

## Rozdział 5

Dotarli bezpiecznie do swych dworów. Sieciechowi nie dawała jednak spokoju myśl, że puszcza skrywa jakieś nieznanne zagrożenie. Czy miało to związek ze świętokradczym napadem na świątynię? Ze zrabowaniem skarbów, ofiar złożonych Swarogowi? Myślał też o bezpieczeństwie nie tylko swoim, ale krewnych, sąsiadów i poddanych. Rozważywszy wszystko, rozmówił się w tej sprawie z ojcem, a wieczorem także i z rodziną Marzyany. Starsi i młodzi uznali zgodnie, że trzeba wysłać do lasu zwiadowców. Bystrych parobków. Niech ukradkiem rozeznają, w czym rzecz.

Następnego dnia rankiem dwaj chłopcy, odważni i pragnący się wykazać przed panem, ruszyli do borów na przeszpiegi. Młody szlachcic nie miał jednak ani chęci, ani czasu zamartwiać się domniemanym zagrożeniem. Przed południem do dworu przyjechała Marzyana niby to z chęci spotkania się z siostrą Sieciecha. Wszystkim jednak było wiadome, że to tylko pretekst, bo młodzi sąsiedzi mieli się ku sobie. Co ważne, rodzice dziewczyny byli przychylni temu związkowi. Miłość miłością, ale ród Sieciecha wiele znaczył, a chłopak był pierworodnym i odziedziczył wszystkie dobra. Istotne też pewnie było, że panna, choć piękna, nie cieszyła się wzięciem u mężczyzn. Ciągnęła się za nią bowiem

opinia, że śmierć przyciąga. Plotkowano, iż mąż długo przy niej nie pożyje, bo urodziła się martwa. I od porodu Marena, czyli Śmiercicha, wokół niej krąży.

Historia Marzyany nie zrażała Sieciecha. Dla chłopaka ważne było, że panny urodziwszej, mądrzejszej i dobroci pełniejszej nie mógł sobie wymarzyć. A że jej los zaczął się od zgonu? Przecież zaraz została przywołana do życia przez starą zielarkę. Wiedźmę służącą Śmiercisze, co zabija, ale i przywraca ludzi do zdrowia, a nawet wskrzesza zmarłych. I od tej boginki na różne sposoby nazywanej – Marzana, Marzyana, Marena czy Morena – nadano niemowlęciu jedno z jej imion. Właśnie Marzyana. Sieciechowi nie przeszkadzało to odległe zajście ani też imię po boginie śmierci. Tym bardziej że miał pewność, iż od czasów dzieciństwa w życiu jego ukochanej nie wydarzyło się nic, co by dowodziło, że na dziewczęciu faktycznie ciąży klątwa. Zakładał, że plotki to tylko plotki i nimi nie będzie się troskał.

Tego dnia młodzi we troje, żartując i wspólnie śpiewając, spędzili sporo czasu w sadzie i ogrodzie ziołowym. Ogródek był oczkiem w głowie siostry Sieciecha. W herbarium zasadzono rośliny wonne, dodające smaku potrawom, i lecznicze. A że zioła nie miały wielkich wymagań, byle im słońca i wody wystarczyło, to rosły bujnie. Był tam rozmaryn dobry do mięsiwa, mięta, anyżem pachnąca trybula. Koper i chrzan, co kapusty smak uszlachetniają. Ponadto lubczyk poprawiający smak rosółu, a przede wszystkim miłość rozniecający. Były też rumianek i piołun, z których napary uzdrawiają. Patrząc na herbarium, widać było, że miejscowa kuchnia kusi bogactwem smaków i aromatów, a chorych ludzi jest czym leczyć.

Służka przyniosła młodym w koszach gliniane miski, kubki, dzban z zimnym piwem oraz wiktuały: pieczoną kurę, leśne owoce i kołacz z miodem. Sieciech z uśmiechem patrzył na zarumienione twarze siostry i miłej mu dziewczyny. Panny wesoło rozprawiły o ziołach. Wzrok młodego szlachcica wciąż jednak zatrzymywał się na oczach Marzyany, błękitnych i wielkich jak dwa jeziora. Na włosach panny, jasnych niczym zżęte zboże i opadających falami na ramiona.

Siostra uznała, że zostawi na chwilę zakochanych. Mówiąc, że pomoże matce w zarządzaniu służbą, ruszyła do dworu.

Gdy zostali sami, Marzyana nagle spoważniała. Spojrzała na Sieciecha tak, że serce mu zatrzepotało niczym ryba wyciągnięta z wody.

- Jak mnie kochasz? Powiedz! – szepnęła.
- Kocham cię, jak człowiek może najmocniej – odparł.
- A mocniej nie możesz? – spytała znów, uśmiechając się do młodzieńca zalotnie.

Sieciech chciał jej udzielić ciepłej i dowcipnej odpowiedzi, jednak nie było mu dane dłużej flirtować. Ktoś krzyknął do niego od strony dworu. To sługa Sław wołał, że ojciec kazał przywołać mężczyznę na naradę. Młodzieniec uśmiechnął się do ukochanej, powiedział jej, że za chwilę wróci, po czym ruszył do zabudowań.

We dworze okazało się, że z puszczy wrócili parobkowie wysłani na przespiegi. Rezolutni chłopcy przyprowadzili ze sobą smolarza. Wyjaśnili, że ten człowiek żyjący od urodzenia w lasach był świadkiem zajścia, w którym ucierpieli zbóje, kamraci tych, co niedawno na gościńcu napadli Marzyanę. Jednak smolarz okazał się mało wymowny.

- Straszne to jest, panie – mruczał mężczyzna. – Opowiedzieć się nie da. Trzeba samemu zobaczyć.

Wkoło tylko to powtarzał. Nie udało się wydobyć z niego żadnych użytecznych szczegółów. Było widać, że na samo wspomnienie tego, co zobaczył, paraliżuje go lęk. Obserwując zachowanie mężczyzny, młody szlachcic uznał, że zagrożenie, choć zagadkowe, to jednak jest realne. Trzeba więc bezzwłocznie ustalić na ile poważne dla ludności z dworów i rolniczych osad. Poza tym uważał za swój obowiązek wiedzieć, co dzieje się w pobliżu ziem rodowych. Znów też przemknęło mu przez myśl, że coś, co potężnie przeraziło mieszkańca puszczy, może mieć związek z napaścią na kontynę Swaroga.

Ojciec Sieciecha kazał nakarmić smolarza i dać mu za fatywę jakąś odzież, ale ze dworu nie wypuszczać. Gdyby chciał uciec, to zamknąć w komórce. Niech czeka, aż szlachta uradzi, jakie podjąć działania.

Młody rycerz rozmówił się z ojcem. Obaj byli zdania, że konieczne jest ustalenie, co dzieje się w okolicznych borach. Może tam jakieś obce wojsko zawędrowało? Potem omówił szczegóły z kuzynem Mironem, swym rówieśnikiem, który właśnie przyjechał do dworu. Ten mieszkający w pobliżu krewniak był bitnym rycerzem, a nade wszystko przyjacielem, więc młodzieniec wysłał wcześniej do niego sługę z wezwaniem. Potrzebował wsparcia dzielnego



człowieka, do którego miał zaufanie. I nie zawiódł się, bo Mironowi oczy zabłyszczały z radości, gdy zaproponował mu udział w zwiadowczej wyprawie do kniei.

Było już po południu, a niebezpiecznie jest włóczyć się w puszczy nocą. Młodzi wojowie ustalili więc, że wyruszą rankiem dnia następnego. Przymusza smolarza, by służył im za przewodnika. Niech zaprowadzi w miejsce, gdzie widział to, co go tak przeraziło. I podobno zabiło wielu łotrów.

## Rozdział 6

Zgodnie z planem ruszyli krótko po wschodzie słońca. Sieciech z Mironem konno, by nie trudzić się przed zamierzonym marszem przez lasy. Za nimi pieszo wędrowali smolarz oraz jeden z parobków, którzy poprzedniego dnia wrócili ze zwiadu. Przemierzyli kawał drogi, kierując się na południe. Wreszcie minęli miejsce, w którym zbójce napadli Marzyanę. Chwilę później Sieciech wstrzymał wierzchowca.

– Tu chyba trzeba wejść w knieję? – spytał smolarza. – Jak pokażesz, co miałeś pokazać, to dam ci sowy nagrodę. Całą garść miedziaków.

– Boję się, panie – szeptem odparł mężczyzna. – Po co tam iść? To złe miejsce. Czarny Bór!

– Nie trzęś się! My cię obronimy – zapewnił go szlachcic. – Jest z tobą dwóch dzielnych wojów. Prowadź. A jak nie, to nas będziesz musiał się bać!

Mówiąc to, uniósł w znaczącym geście zaciśniętą pięść. Smolarz zadrzał, spuścił głowę.

– Zaprowadzę, gdzie trzeba, panie – mruknął. Widać pogodził się z tym, że musi robić, czego żąda młody pan.

Przez gęstwinę prastarej puszczy łatwiej wędrować pieszo. Wojowie zsiadli więc z koni, podali lejce parobkowi. Miał czekać w tym miejscu, aż wrócą, dopilnować wierzchowców.

Sieciech przytroczył do pasa mały bukłak z wodą. Wiadomo, gdy wejdiesz w las, nie masz pewności, czy wyjdiesz z niego o planowanym czasie. Bez jedzenia można działać przez kilka dni, ale pić trzeba, bo inaczej szybko opadnie się z sił. Zresztą w borze można coś upolować, o wikt tam dużo łatwiej niż

o napitek. Młodzieniec wyposażył się też w sakwę z krzesiwem i hubką. Oprócz noża oraz miecza wziął włócznię. Zabójczą broń, skuteczną zarówno przeciw człowiekowi, jak też wilkom czy niedźwiedziom.

Nagle od strony, z której przyjechali, dobiegł tętent końskich kopyt. Mężczyźni ujrzeni zbliżającą się szybko postać na gniadym wierzchowcu.

– Co tu robisz?! – spytał ją ostro Sieciech, gdy zatrzymała się tuż przy nim.

– Też chcę wiedzieć, co się stało i czy coś grozi naszym dworom – odparła Marzyana. Po czym dodała tonem nieznoszącym sprzeciwu: – Idę z wami!

Widać było, że dziewczyna przemyślała swoje zamierzenia. Była nawet odpowiednio ubrana na wyprawę przez bory, w męski strój.

– Podśluchałaś, co planujemy?!

– Tak – roześmiała się. – Każdy sposób dobry, by wiedzieć, co knujesz.

– Trzymałem cię od tego z daleka, bo może być niebezpiecznie – mruknął Sieciech. – Nie wiemy, co nas czeka. Może w lasach są wrogie wojska albo banda jakichś zbójów? Musisz wracać do domu!

– Ani myślę! Mój dzielny rycerz mnie obroni. A jak by co, to jest Miron do pomocy – naciskała panna niby to żartem, ale na jej twarzy malowała się powaga. – Nie pozbędziesz się mnie! A jak dalej będziesz próbował, to rzucę na ciebie czar. Lubczykiem cię nakarmię albo i podstępnie natrę. Mam przy sobie woreczek suszonych ziół i mogę ich użyć w każdej chwili!

Wspomniany przez dziewczynę Miron akurat splatał w gruby warkocz swoje długie, proste włosy koloru polerowanej miedzi. Nie chciał, by o gałęzie się zaczepiały i przeszkadzały w wędrówce przez dzikie chaszcze. Spojrzał spod oka na Marzyanę i zaśmiał się rozbawiony argumentacją panny. Sieciech zaś, zakłopotany, wzruszył ramionami.

– Co ja z tobą mam?! Nie usłuchasz mądrzejszych?! Dobrze, pójdziesz z nami. Ale będziesz robić dokładnie, co każę – powiedział do dziewczyny, uznawszy, że będzie ona bezpieczniejsza z nim, niż gdyby miała czekać przez cały dzień przy koniach na skraju przesieki. Nie wiadomo przecież, kto w lesie, ale też i drogami się wałęsa.

– A ona tu po co?! – obruszył się smolarz. – Jak nic, nieszczęście na nas ściągnie! Wiadomo, że czarami zabrana od Śmiercichy. Nawet jej imię ma!

– Jak nic, to ja zaraz ci zęby wybije! – warknął Sieciech. – Nie pyskuj godniejszym od siebie! Panna idzie z nami, a ty prowadzisz.

Ruszyli we czworo przez las. Przodem szedł smolarz z twarzą ponurą. Szlachcice mieli go na oku, by nie czmychnął, wykorzystując zarośla czy jakiś parów, których wiele przecinało knieję. Widać było, że im głębiej szli w las, tym przewodnik stawał się bardziej wystraszony. Szli, aż słońce uniosło się na niebie, zawisając w najwyższym punkcie swej codziennej podróży. Było południe, gdy dotarli do skraju mokradeł.

– To tutaj – szepnął smolarz, pokazując ręką na coś pośród puszczy.

Młodzi spojrzeli w tamtą stronę. Wiele drzew miało obłamane dolne gałęzie, jakby przechodziło tam coś ogromnego. Naznaczony destrukcją szlak wiódł daleko w głąb kniei. Że wędrowcy mają do czynienia z czymś nie tylko wielkim, ale i niezwykłym, dowodziły tropy. Stanowiły je odcisnięte w mchu i ściółce ślady olbrzymich bosych stóp. Ze trzy razy większych od ludzkich! Wydeptany szlak prowadził na zachód, w stronę jeziora Wdzydze.

Sieciech zdziwił się. Z czym mają do czynienia? O wielkoludach słyszał, gdy mu jako dziecku opowiadano legendy z dawnych czasów. A teraz w kniei jakiś wielkolud chadza, do tego boso? Spojrzał pytająco na smolarza.

– To stolem, panie – powiedział cicho przewodnik. – Jakiś czas temu do naszych lasów przywędrował. Widać mu tu dobrze, bo w Czarnym Borze ziemiankę sobie jako dom wyrzeczył i do wody stamtąd lezie. Po prawdzie nie tylko pije z jeziora. On do Wdzydza chadza.

– Stolem, Wdzydza? – zdziwiła się Marzyana. – Myślałam, że to tylko stwory z opowieści starych ludzi. Takie, którymi straszy się dzieci, żeby grzeczne były. Stwory z bardzo dawnych czasów. Może nawet nieprawdziwe.

– My z puszczy wiemy, że to prawda, tyle że teraz ludzi dużo, a stworów mniej niż kiedyś – odparł przewodnik z lękiem w głosie. – Panienska w innym świecie żyje. Gdzie sady i pola, gdzie wsie, dwory, tam stolemów ani wodnic nie znajdziesz. One nie chcą mieć z człowiekiem do czynienia. W puszczy nawet niedźwiedzie i wilki ustępują drogi stolemom. Człowiek musi pamiętać, że w gęstej kniei stolem króluje i lepiej przed nim uciekać. Zresztą do Czarnego Boru nikt o zdrowych zmysłach się nie zapuszcza. Tam nie jedno, nawet od

stolema groźniejsze, można spotkać. Po co ryzykować życiem? By zaspokoić ciekawość? To głupota.

Sieciech przypomniał sobie usłyszane przed kilkoma dniami słowa umierającego zbója. Z jakiejś przyczyny łotrom przyszło na myśl, by zapuścić się do budzącego grozę Czarnego Boru i zapolować na stolema. Dlaczego podjęli tak wielkie ryzyko, jaki w tym widzieli zysk? Zamierzali szczątki stwora pokazywać za pieniądze na jarmarkach, czy sprzedać jakiemuś wielmoży, który lubi niezwykłości? W tamtej chwili nic innego do głowy mu nie przyszło. I choć wcześniej, jak Marzyana, uważał takie stwory za dawno wymarłe, a może i tylko wymyślone, to widząc ślady stóp olbrzyma, miał pewność, że chodzi o coś żywego. I wszystko wskazywało, że o coś niebezpiecznego. Zacisnął dłonie na drzewcu włóczni. Czy to wystarczająca broń przeciw wielkoludowi? Ciekawość jednak zwyciężyła lęk o życie własne i ukochanej.

– Nie pyskuj! Godniejsi i mądrzejsi od ciebie chcą zobaczyć stolema – powiedział do smolarza. – Prowadź!

– Panie! To pewna śmierć! – odparł przerażony mężczyzna. – Nie dacie mu rady!

– Nie chcę go zabić, głupcze! – warknął młodzieniec. – Chcę tylko go zobaczyć.

– Tak! – poparła go Marzyana. – Kochany mój, będziemy o tym naszym dzieciom i wnukom opowiadać.

Smolarz pokręcił głową z niedowierzaniem i mamrocząc coś pod nosem, ruszył po śladach stolema. Sieciech zaś poczuł, jak mu serce mocniej bije. Marzyana bowiem właśnie powiedziała wprost, jak dalekosiężne, na całe życie, ma wobec niego plany. Spróbował pannę chwycić za dłoń, przytulić, ale dziewczyna wywinęła mu się, chichocząc. Potem szybko pocałowała go w policzek. Na tym jednak skończyli. Miłość miłością, ale okoliczności nie sprzyjały tego dnia amorom.

## Rozdział 7

Nie szli długo. Drogę przecięło im jezioro. Ponad szuwarami obrastającymi brzegi, z prawej strony, ujrzeli coś, od czego nie mogli oderwać wzroku.

Jednocześnie mieli świadomość, że samemu bezpieczniej być niewidocznym. Przycupnęli więc osłonięci trzciniami.

Głęboko w wodzie, choć zaledwie po kolana, stała jakaś istota. Przypominała człowieka, bo poruszała się na dwóch nogach i miała ręce zakończone dłońmi oraz głowę też jakby ludzką. Jednak była to bestia człekopodobna, nieokryta odzieniem. Całe jej ciało porastało włosie, gęste i brunatne jak u niedźwiedzia. Każdy niedźwiedź jednak przed tym stworem by uciekał. Stolem, nawet z oddalonego miejsca, z którego obserwowało go czworo ludzi, wydawał się olbrzymi niczym wieża obronnego dworzyszczca. Był wysoki, jak gdyby dwu roślących mężczyzn stanęło jeden drugiemu na głowie. Pierś miał zaś szeroką niczym dwie stojące obok siebie beczki z kiszoną kapustą albo z piwem. Pod pachą niósł zawiniątko, tyle że było ono takiej wielkości, iż by wypełniło pół wozu.

Sieciech nie mógł oderwać wzroku od wielkoluda. Nagle poczuł gorąco na szyi. Odruchowo sięgnął w to miejsce. Zaciśnął dłoń na kawałku żelaza, który w tajemniczy sposób zaczął się nagrzewać. Przez myśl przebiegły młodzieńcowi usłyszane w zburzonej kontynie słowa jego Boga. O tym, że ma pomścić świętokradztwo, że został namaszczony jako Swaróżyc, syn bóstwa. Nie rozumiał, jak znak zesłany przez Swaroga połączyć z miejscem, w którym się właśnie znajdował, albo z tym, co miał przed oczami.

Zdezorientowany spojrzął na Marzyaną. Rozemocjonowana dziewczyna wpatrywała się w wielkoluda. Nagle jej jasna skóra pobieliała niczym śnieg. Tęczówki i źrenice znikły, oczy jakby zasły bielmem. Ciało stało się tak zimne, że powietrze wokół było lodowate. Listki na najbliższym krzewie i łodygi trzciny pokrył szron.

Młody rycerz natychmiast zapomniał o swych rozważaniach nad sygnałem wysłanym od Boga. Przeląkł się tym, co dzieje się z ukochaną. Chwycił ją za rękę, przyciągnął do siebie. Objął jej skostniałe ciało. Dziewczyna wydała mu się twarda, a jednocześnie krucha jak uschła gałązka.

– Marzyano, co się stało? – szepnął jej do ucha. Gdy się odezwał, w mroźnym powietrzu para buchnęła mu z ust. – Obudź się. Obudź, kochana moja.

Przypomniał sobie, że już widział pannę w takim stanie. Przed kilkoma tygodniami, w chacie Baby. Najpierw udał się do dworu sąsiadów niby to

przejazdem, ale po prawdzie chciał zobaczyć się z Marzyaną. Od rodziców dziewczyny dowiedział się, że poszła do wiedźmy, bo musiała ją odwiedzać zawsze, gdy księżyc był w nowiu. Młodzieniec zdziwił się, bo było południe, ale że nie chciano mu niczego więcej powiedzieć, to ruszył do siedziby starej czarownicy. Zatrzymywał się kilkakrotnie. Myśląc o ukochanej, nabierał dla niej pęk kwiecia, najpierw polnego, potem łąkowego, wreszcie leśnego. Gdy zaczął się gęsty bór, zsiadł z konia i poprowadził go za sobą. Wkrótce dotarł do starej chaty, okolonej płotem plecionym z gałęzi.

Uwiązał wierzchowca przy ganku. Drzwi były otwarte, więc bez nawoływania wszedł do domu wiedźmy. Gdy przestąpił próg, poczuł chłód. Przez chwilę mało co widział, bo do izby przez jedno okienko wpadało niewiele światła. Potem dostrzegł w półmroku, że podłogi, ściany i sprzęty pokrywa szron. Choć na zewnątrz był ciepły maj, to w chacie jakby luty panował. Pośrodku pomieszczenia, na wielkim stole z dębowych bali, leżała Marzyana. Wyglądała jak martwa. Wokół niej krążyła Baba. W glinianej misie paliła jakieś zioła i śpiewała cicho pieśń, której słów Sieciech nie rozumiał. Uznał, że to jakiś nieludzki język, a wiedźma chce skrzywdzić jego ukochaną.

– Zostaw ją! – krzyknął. W mroźnym powietrzu para buchnęła mu z ust.

Stara zamilkła. Spojrzała gniewnie na młodzieńca, po czym głośno się roześmiała.

– Wyglądasz żałośnie, jak to kwiecie, które ukochanej przyniosłeś – zachichotała.

Młody rycerz był zdezorientowany. Nie wiedział, czy rzucić się na staruchę, czy pozwolić jej dalej robić to, czym się zajmowała. Odruchowo spojrzął na bukiet, który własnoręcznie ułożył. Zmrożone płatki opadły, rośliny trzymane w garści zwiesiły się jak pęk zetlałych sznurków.

– Zaraz oddam ci pannę – mruknęła Baba. – Nie bądź prędko w słowach i czynach, gdy czegoś nie rozumiesz. Pamiętaj, że niczego darmo się nie dostaje. Tym bardziej życia. Wyjdź i czekaj przed gankiem.

Posłuchał wiedźmy. Trochę ze strachu przed nią, ale też i dlatego, że rozumiał, iż ukochana w jakiś czarodziejski sposób spłaca dług wobec Śmiercichy. Wszystko dobre, skoro dzięki temu Marzyana żyje i może któregoś

dnia zostanie żoną Sieciecha. Młodzieniec miał wówczas taką nadzieję, bo panna, choć trzymała się na dystans, to sprawiała wrażenie mu przychylniej.

Baba dotrzymała słowa. Przed wieczorem dziewczyna wyszła z jej chaty cała i zdrowa. Była trochę osłabiona, ale uśmiechała się do Sieciecha i pozwoliła, by ją wsadził na wierzchowca i powiózł do domu. Po drodze wyjaśniła pokrótce zajście w chacie wiedźmy. Otóż musiała raz w miesiącu oddawać się we władanie Marzany Śmiercicha. Wtedy, gdy moc boginki była najslabsza, gdy księżyc w nowiu. Takich jak ona dziewcząt było trochę na świecie. Marzana, zgodnie ze swymi potrzebami, czerpała z nich siły życiowe.

Młodzieńca zmartwiło to wyznanie Marzany, lecz rozumiał, iż taka jest cena za życie. Teraz przy brzegu jeziora Wdzydze znów ujrzał, jak jego ukochana jest związana silnie ze Śmiercichą.

Panna otworzyła oczy. Była wystraszona, ale szybko powracała do świata żywych. Jej ciało znów stało się ciepłe i miękkie. Zamróz znikł z trawy, krzewu i trzciny.

– Wiedźma ostrzegła, by trzymać się z daleka od stworów z boru – wyszeptła, patrząc w oczy ukochanemu. – Przepraszam. Powinnam być mądrzejsza.

Młodzieniec poczuł uścisk na ramieniu. To Miron z troską sprawdzał, jak on się czuje. I uśmiechem dodawał mu otuchy. Kuzyn zdawał sobie sprawę, że Sieciech obdarzył uczuciem nie zwyczajną dziewczynę, ale taką, co kłopoty do siebie przyciągała. Kłopoty nie były jakie, bo związane ze Śmiercichą, z innymi bóstwami i czarami.

Sieciech przeniósł wzrok na jezioro. Stolem nadal tam był. Chyba nie zauważył obecności ludzi. Potem młodzieniec spojrzął na smolarza. Ciemnowłosa, usmarowany dziegiem mężczyzna był blady ze strachu. Rozglądał się nerwowo. Chyba zbyt wiele zobaczył, doświadczył. Z jednej strony dziki olbrzym, z drugiej – paroksyzm śmierci, jaki dopadł Marzyaną.

Smolarz nagle wstał. Chciał uciec! Swoim zachowaniem mógł zwrócić uwagę stolema, więc szlachcic chwycił go za ramię. Miron też zareagował. Wojowie, starając się nie hałasować, przycisnęli smolarza brzuchem do ziemi. Przygnietli mu plecy kolanami. Mężczyzna zastygł w bezruchu. Rozwiązawszy problem, młodzieńcy wrócili do obserwowania wielkoluda.

Olbrzym zaryczał. Był to dźwięk niczym grom. Aż zatrzęsły się korony okolicznych drzew i syknęło z nich liśćmi. Po chwili jezioro zafalowało i jakiś kształt podpłynął do stolema. Spod powierzchni wychynęła kobieta. A raczej stworzenie ją przypominające i nieco większe od człowieka. Obróciło się na plecy, zawirowało wokół własnej osi. Dzięki temu czworo obserwatorów mogło je obejrzeć w całej okazałości. Miało długie srebrno-złote włosy, smukłe ręce, twarz dziewczęcą, ciało nagie od pasa w górę, ale zamiast nóg – rybi ogon. Skóra też nie była ludzka. Perłowej barwy, pokryta łuskami mieniła się jak klejnoty.

Stolem znów zaryczał. Wyciągnął ogromną rękę w stronę wodnej istoty. Ta zbliżyła się jeszcze bardziej do wielkoluda. Zaśpiewała jak chór słowików i smukłą dłonią dotknęła olbrzymich palców. Powietrze zadrgało wokół legendarnych stworzeń. Rozsnuła się poświata, jakby słońce po kilkakroć odbiło się w tafli wód. Stolemowa pieśń, niczym grzmoty, splotła się z ptasimi trelami panny wodnej. Trwało to dłuższą chwilę.

Olbrzym rzucił na trawę przyniesione zawiniątko. Z wielkiej konopnej płachty wysypały się ozdoby ze srebra i brązu, monety, sztuki broni. Stworzenie chwyciło je i rzuciło do wody. Jakby w darze pannie wodnej. Ta zaś, śpiewając w nieludzki sposób, to zanurzała się, to wynurzała, oglądając z uwagą wybrane naramienniki, bransolety, pierścienie. Stolem pomrukiwał, wiodąc z wodnicą rozmowę niezrozumiałą dla ludzi.

Długo to trwało, wreszcie stworzenia zamilkły. Czyżby omówiły wszystko, co było dla nich ważne? Wodna istota znikła w głębinie. Olbrzym zaś odwrócił się na pięcie i po własnych śladach ruszył w głąb puszczy. Długo nie trwało, a ucichł łomot jego stóp i trzask gałęzi na szlaku, którym wracał do domu.

– Mamy szczęście, że nas nie zwietrzył, nie zobaczył – powiedział z ulgą smolarz, gdy wojowie przestali go więzić. – Po kolei by nas wyłapał i rozerwał na sztuki. Dla niego nieważne czy prosty chłop, czy szlachcic, czy panna. Człowiek stolemowi nie powinien wchodzić w drogę.

– To była Wdzydzana? – spytała szeptem Marzyana.

– Tak, pani – cicho odpowiedział przewodnik. – On do niej od jakiegoś czasu przychodzi, a ona mu chyba jest przychylna. Stolem przynosi jej błyszczące przedmioty, bo wodne panny przepadają za błyskotkami. Ale czy z tej miłości



będą owoce? Kolejne potwory? Dla nas, ludzi z lasów, byłoby z tego ogromne nieszczęście.

– Może z tych zalotów nic nie będzie? Ona chyba za mała albo on dla niej za wielki – palnął Miron prosto z mostu. – Jak to w życiu. Niby coś pasuje, ale nie do końca.

– Cicho bądź! – skarciła go dziewczyna. – To wielka miłość. Tak wielka, że aż spełnić się nie może.

Potem spojrzała na Sieciecha i uśmiechnęła się do niego serdecznie.

– Dlatego ty mnie nie kochaj jak stolem. Kochaj mnie tak, jak człowiek może najmocniej.

Sieciech jednak nie był w romantycznym nastroju. Zrozumiał, dlaczego w tym miejscu i czasie Swaróg dał mu znak. To stolem, zdobywając dary dla swej ukochanej, zniszczył kontynę, pomordował kapłanów. Skarb wyjaśniał też, dlaczego zbójce weszli w drogę tak potężnemu stworzeniu. Chciwość ludzka większa była od rozumu. Przebiegł go dreszcz, gdy zdał sobie sprawę, jak wielkie zagrożenie dla okolicznej ludności niesie miłość olbrzyma.

– Wracamy do dworu – zdecydował. – Trzeba sąsiadów zwołać na radę.

Pospiesznie udali się przez las do miejsca, gdzie czekał na nich parobek z końmi. Stamtąd ruszyli galopem do domu. Sieciech wciąż poganiał towarzystwo, jednak nieszczęścia i tak ich wyprzedziły.

## Rozdział 8

Wkrótce dotarli do siedziby rodu Sieciecha. Zatrzymali zmęczone rumaki pokryte pianą potu. Jednak po wyprawie nie czekała ich chwila wypoczynku ani suty posiłek. To, co zobaczyli młodzi wojowie i panna, wstrząsnęło nimi.

Budynki były zrujnowane, a na dziedzińcu prawdziwe pobojuwisko. Złożono tam już szczątki porozrywanych, zmiażdżonych kilku ludzi. Parobków i szlachcica, jednego z kuzynów gospodarza. Bez względu na urodzenie i majątek wszystkich spotkał jednaki los. Okrutna siła pozbawiła ich życia, a dobytek obróciła w perzynę.

Przed zburzonym po części dworem, na gołej ziemi siedział ojciec Sieciecha. Widać było, że poważnie ucierpiał. Miał złamaną lewą rękę, odzież poszarpaną.

– Nie obroniłem, nie upilnowałem – szepnął do syna, gdy ten z troską nad nim się pochylił.

– Co tu się stało?!

– Z lasu przyszło coś, jakby człowiek i niedźwiedź w jednym, ale większe nawet od niedźwiedzia – odparł ojciec. – Wpadło tu i w szale wszystko zniszczyło. Myślałem, że jest głodne, że chce się nażreć. Ale nie tknęło zwierząt gospodarskich. Za to wszystko porozwalało i pozabijało ludzi stojących mu na drodze. Potwór przylazł na rabunek! Chciał naszego skarbu rodowego. Wielkolud wrzucił do konopnego wora złote talary cesarskie, srebrne siekańce, miedziaki, no i pierścienie, naszyjniki, bransolety. Wszystko cośmy od pokoleń zebrali. Potem poszedł sobie. Zwyczajny zbój, złodziej, a przecież nie człowiek. Okradł nas! Pozbawił dziedzictwa ciebie i twoją siostrę!

– Stolem – mruknął Sieciech. – Musiał nas wyprzedzić jakimś skrótem przez bór. I znów zrabował wszystko, co się świeci, by podarować wodnicy! Nie dość, że ten świętokradca zburzył kontynę, to teraz niewinnych ludzi napadł. Trzeba z tym skończyć!

Spojrzał wrogo na nieodległą ścianę lasu. Za nią, w oddali, w głębi kniei, w przeklętym Czarnym Borze, władala teraz potęga, która zadarła i z jego Bogiem, i z nim samym. Niewiele brakowało, a stolem zabiłby ojca młodego rycerza! Do tego zubożył ciesząc się poważaniem ród Sieciecha. Sprawa była poważna. Najpoważniejsza! Przecież Swaróg zstąpił na chwilę między śmiertelników, żądając zemsty. I to był najistotniejszy powód, by dokonać pomsty. Teraz jednak młody rycerz doznał osobistej zniewagi od tego samego potwora. Poprzysiągł więc sobie, że nie spocznie, aż wytropi wielkoluda i go ukarze.

Jak jednak zniszczyć wielką moc? Legendy mówią, że stolemy są zaczarowane, może nawet nieśmiertelne. Skoro jednak jest ich mniej niż w dawnych czasach, to musi być sposób, by z nimi się uporać. Sieciech uznał więc, że trzeba je traktować jako stwory z krwi i kości. A skoro coś żyje, choćby było potężniejsze od niedźwiedzia, to można je zabić, jak każdego leśnego drapieżnika. Tyle że należy wystąpić przeciw niemu większą siłą. W gęstym lesie, gdzie walczyć da się tylko w małych grupach, stolem by ludzi wybił, jednego po drugim, choćby przyszło i stu zbrojnych. Taki sposób wojowania z potworem to

pewna klęska. Młody rycerz zaczął więc zachodzić w głowę, jak zabić stwora. Wcześniej znał go tylko z legend, ale dziś wiadomo mu było, że stołem istnieje. Do tego niszczy, zabija, nawet kradnie. Jak uporać się z potworem, przed którym niedźwiedzie i wilki uciekają?! A gdyby tak jakimś sposobem udało się wywabić bestię z lasu? Wówczas na otwartym polu zastęp zbrojnych na koniach mógłby wdać się z olbrzymem w bój. Ludzie mieliby szansę pokonać stołema.

Sieciech bił się z myślami. W tym czasie inni zajmowali się tym, co konieczne. Siostra młodzieńca wraz z Marzyczą zajęły się ojcem i pozostałymi rannymi. Młodzieniec uznał, że ofiarom napadu potrzebna jest fachowa pomoc. Wysłał więc Sławę, zaufanego sługę, po Babę, by ta lekarstwa przyrządziła. Przed wiedźmą odczuwał lęk, ale zdawał sobie sprawę, że tylko ona potrafi to, co teraz niezbędne.

Baba znała się zarówno na leczeniu, jak i na zabijaniu ziołami. Władza czarami, obcowoła z bóstwami. Od stuleci żyła albo i nie żyła, bo różnie o tym szeptano. Pewne było jednak, że chodziła między ludźmi, z nimi rozmawiała i często pomagała. Miała chatę w lasach, ale niedaleko dworu. Mieszkała tam, odkąd ludzie pamięcią sięgali. To ona przed laty przywróciła do życia noworodka, a dziś piękną pannę, ukochaną Sieciecha. I nadal sprawowała nad Marzyczą pewną władzę, o czym Sieciech przekonał się już naocznie, i co napawało go obawą podszytą strachem.

W dworze ludzie już otrząsnęli się z przerażenia. Parobcy krzatali się po obejściu, naprawiali, co zepsute. Służba zajęła się też spłoszonymi zwierzętami gospodarskimi, a w kuchni zaczęto gotować jedło dla wszystkich.

Pod wieczór przyszła wiedźma. Stara jak pradawna puszcza, w której mieszkała. Z długimi szarymi włosami, w zielonobrunatnej oponczy, niska i krucha, sprawiała wrażenie ożywionego nagle kawałka lasu, odłamanej z wiekowego drzewa uschłej gałęzi, porośniętej mchem. Sławowi, słudze posłanemu po nią z dworu, kazała nieść za sobą wiklinowy kosz z ziołami suszonymi i świeżymi, jak też z rogowymi słoikami zawierającymi lecznicze maści oraz zdatnymi na bandażę lnianymi szmatkami. Teraz, korzystając z tych medykamentów, zajęła się opatrywaniem rannych.

Sieciech, obserwując pracę Baby, pomyślał, że można by w jeszcze inny sposób zrobić użytek z jej wiedzy. Poczekał cierpliwie, aż uzdrowicielka skończy

swe zajęcia, po czym do niej podszedł i zagadał:

– Znasz bór jak mało kto. Pewnie wiesz też sporo o stołach?

Wiedźma skierowała swą małą pomarszczoną twarz w stronę młodzieńca i uśmiechnęła się złośliwie.

– Marzy ci się zemsta? Za mały jesteś, by mierzyć się ze stołem.

– Nie tylko o mnie i mój ród chodzi – odparł Sieciech. Wyjaśnił kobiecie, jakich zbrodni w ciągu ostatniego czasu dopuścił się dziki olbrzym.

– Mówisz, że ten stoł obraził Swaroga, że Bogom urąga? A do tego zaleca się do wodnicy? – zastanowiła się zielarka. – Nie wiadomo, czy z takiego związku jakaś potworność się nie narodzi. W kniei czasem stoł człowieka zabije, lecz taka kolej rzeczy w naturze. Ale ten wielkolud łamie prawa nałożone na niego przez Bogów.

– Trzeba zabić to ścierwo! – warknął Sieciech. Potem już spokojniej dodał: – Mogę zebrać zastęp wojów, jednak w gęstej puszczy zbrojni nie dadzą mu rady. Może wiesz, jak wywabić stoła z Czarnego Boru? Mógłbym potworowi wydać bój na łąkach i polach.

– Niegłupi jesteś – stwierdziła wiedźma. – A skoro tak, to może uda ci się dopaść stoła. Lecz nie siłą, tylko podstępem. Mądry z ciebie chłopak, ale czy odważny? Bo do tego, o czym myślę, tęga głowa nie wystarczy.

– Jeśli trzeba, życie oddam, byle potwora pokonać!

– Nie szafuj życiem, bo masz jedno – roześmiała się staruszka. – I plany masz na życie. Plany godne pochwały. Wiem, że bliska ci jest panna, którą kiedyś wykupiłam od Śmiercicy. Widzi mi się, że dla ciebie to zrobiłam.

– Marzyany do tego nie mieszajmy. Co mam zrobić, by pozbyć się stoła?

– O panie jeszcze kiedyś pogadamy, chłopcze. Darmo ani ja, ani Śmiercica ci jej nie oddamy. Teraz jednak stołem się zajmijmy. Wzrost i siła dają mu władzę nad innymi stworzeniami – zaczęła wyjaśniać wiedźma. – Im potężniejszy jest taki stwór, tym bardziej pewny siebie. Może uda nam się to wykorzystać? O ile wystarczy ci odwagi, to zrób, co powiem.

Staruszka wzięła młodzieńca za rękę. Nagle drgnęła jak rażona piorunem. Spojrzała Sieciechowi w oczy.

– Wyczułam w tobie część twojego Boga – mruknęła. – Masz ważniejsze, niż myślałam, zadanie do wypełnienia.

Powiedziawszy to, poprowadziła rycerza na ubocze i wyjaśniła szczegóły swego planu. Sieciech im więcej się dowiadywał, tym czuł większy niepokój. Co prawda wcześniej oświadczył, że dla pokonania stolema gotów jest postawić na szali swe życie, okazało się jednak, że naprawdę tak musi postąpić. Z drżącym sercem, ale głosem pewnym oświadczył wiedźmie, że wykona to, co umyśliła. Przecież Swaróg powołał go do pomsty na świętokradcy. Przecież, dopóki żyje stolem, to w niebezpieczeństwie jest ukochana, ojciec, krewni, sąsiedzi i poddani.

Gdy się rozmówili, wiedźma wróciła do chorych, a Sieciech do swych bliskich.

Pogodziwszy się z tym, że los i Bóg nie dali mu wyboru, porozmawiał z ojcem, a następnie z Marzyaną. Tylko z grubsza wyjaśnił im, co zamierza zgodnie z planem Baby. Sporo zataił, bo nie chciał, by bali się bardziej od niego. Odrzucił też propozycję Mirona, który chciał mu towarzyszyć.

– Im więcej ludzi w lesie, tym pewniejsze, że stolem ich zwietrzy lub usłyszy – wyjaśnił kuzynowi, ale była to tylko część prawdy. Sieciech pogodził się już z myślą, że przeprowadzi samobójczą misję. Nie chciał, by przy tej okazji ktoś jeszcze wpadł w ramiona Śmiercichy.

Zajął się tym, czego potrzebował w wyprawie. Najpierw kazał Sławowi zabić i wypatroszyć dwa prosiaki. W tym czasie wiedźma przyrządziła tajemną miksturę. Gdy tusze zwierząt zostały sprawione, zielarka wypchała je od środka wykonanym przez siebie magicznym farszem. Potem jeszcze wymamrotała nad mięsem jakieś zaklęcia. Od tej chwili już wszystko miało zależeć tylko od młodego woja.

– Pamiętaj, że stolemy mają zmysły bardziej wyczułone niż człowiek. – Wiedźma napominała Sieciecha. – Podobno nawet myśli ludzkie potrafią podsłuchać.

Potem wspięła się na palce i coś szepnęła młodzieńcowi do ucha. Ten spojrzał na nią niepewnie. Wzruszył jednak tylko ramionami, bo nie było już o czym deliberować.

Skoro tak postanowił, należało zrealizować ryzykowny plan. Nie wziął miecza, gdyż by mu w gęstym borze przeszkadzał. Nawet z włóczni zrezygnował. Kazał służącym przytroczyć do grzbietu jucznego konia dwa wypatroszone prosiaki i topór, a sam wskoczył na siodło swego wierzchowca. Nie oglądając się

za siebie, ruszył stępa do przesieki, a tą przez las. Po drodze nękały go ponure myśli. Nie tylko dotyczące walki z olbrzymem. Nie dawało mu spokoju to, co Baba powiedziała o Marzyanie, że będzie musiał w jakiś sposób wykupić pannę od wiedźmy i od Śmiercichy. Postanowił jednak tym się nie przejmować. Kiedyś, coś? Do tego „może”. Po co spekulować na wyrost. Miał przecież przed sobą starcie z realnie istniejącym, groźnym przeciwnikiem.

## Rozdział 9

Gdy dotarł do znajomego miejsca, przywiązał lejcami oba konie do gałęzi i włożył do worka prosiaki, a pod pachę topór. Tak objuczony podążył przez puszcę w kierunku Czarnego Boru. Długo trwało, zanim dotarł w okolicę, w której powinno znajdować się leże stolema. Sprawdził, skąd wieje wiatr wyciszony przez gęstwinę. Chciał, by woń posiłku doszła do olbrzyma.

Znalazł małą polanę. Wyciągnął z worka jednego prosiaka, położył go na ściółce, po czym zaczął tłuc obuchem topora w pień najbliższego drzewa. Przestał. Wokół cisza. Znów zaczął walić w pień, ale szybko to zakończył.

W oddali usłyszał trzaski i szelest. Coś dużego się zbliżało. Udało się! Rycerz, hałasując, zwabił potwora.

Sieciech ruszył w przeciwnym kierunku do tego, z którego szedł stolem. Gdy znalazł odpowiednie miejsce, by bezpiecznie obserwować polanę, schował się w krzewach.

Najpierw poczuł ciepło bijące z zawieszzonego na szyi symbolu Swaroga. Bóstwo dało znak swemu wybrańcowi? Zapewne tak, bo po krótkiej chwili młody rycerz zobaczył świętokradcę.

Między ciasno rosnącymi dębami, olchami, sosnami przeciskał się wielkolud porośnięty futrem. Widać było, że porusza nozdrzami, intensywnie węsząc. Wreszcie znalazł to, co go przywabiło. Stanął nad prosiakiem, rozejrzał się wkoło podejrzliwie, jeszcze raz powęszył. Kusiło go świeże mięso, czy może magiczna mikstura, którą było nasączone?

Olbrzym sięgnął po tuszę wieprzka. Zmieściła się w jednej jego dłoni. Rozgryzł prosiaka, szybko z nim się uporał. Przełknąwszy mięso, mlasnął ze smakiem. Nagle zmarł. Wydarzyło się coś, co zaskoczyło i stolema, i Sieciecha.

Mięśnie potwora napuchły, zaczęły się rozrastać. Głowa, potężne ręce i nogi też stawały się większe. Już po chwili oczami sięgał wierzchołków drzew.

Młodzieniec z ukrycia obserwował olbrzyma. Odniósł wrażenie, że wielkolud był zaskoczony tym, co z nim się stało, a jednocześnie z tego zadowolony. Jakby leśny stwór uświadomił sobie, że stał się największym wśród stołomów. Że jego potęga nie ma sobie równych na Ziemi. Może tylko w innych światach, wśród Bogów?

Sieciech nie wiedział, na ile mądrymi stworami są wielkoludy, ale nie spodobało mu się to, co widzi. Za sprawą mikstury sporządzonej przez wiedźmę olbrzym stał się jeszcze potężniejszy. Młodzieniec na chwilę zwątpił w intencje Baby. *Może ona przeciw ludziom spiskuje z potworami z kniei?* – pomyślał. Potem jednak uznał, że teraz nie ma już nic do stracenia. Podejmie ryzyko, wykona plan staruszki. Zrobi dokładnie to, co mu poleciła. Zwrócił się całym sercem ku bóstwu, w którego wsparciu pokładał największe nadzieje, bo przecież wielkolud je znieważył.

– Swarogu, dopomóż – szepnął.

Poczuł, że kawałek żelaza zawieszony na szyi znów stał się gorący. Bóg jest z nim. Trzeba działać! Nie myśląc więcej, rzucił w kierunku stołema drugiego prosiaka, a sam z toporem w ręku pobiegł w przeciwną stronę.

Kawałek dalej, zdyszany, przycupnął za grubym pniem dębu i zza tej osłony wyrżał, by ustalić, co robi olbrzym. Ten zaś znów węszył i rozglądał się uważnie po okolicy. Po krótkiej chwili wbił wzrok w miejsce, w którym ukrył się Sieciech. Młodzieńca zmroziło to spojrzenie.

Wielkolud ruszył w stronę jasnowłosego woja. Po drodze, jakby mimochodem, sięgnął po tuszę. Chyba przyjemnie mu pachniała. I może skojarzył ten zapach z wcześniej pożartym mięsem, które przydało mu wzrostu i siły. Rozgryzł prosiaka, przełykając łapczywie kęs po kęsie. Zrobił jeszcze kilka kroków w kierunku Sieciecha, ale znów zaczęło się dziać coś z olbrzymim cielskiem.

Żelazny symbol Swaroga wciąż grzał pierś młodzieńca, ale to nie dodawało otuchy. Stołem bowiem był już wielki niczym najstarsze drzewa. Co może być od niego większe, potężniejsze? Chyba tylko skała. I rzeczywiście, ogromne nogi, po nich pierś, ręce, a wreszcie głowa zaczęły się przemieniać. Porośnięte gęstą sierścią

ciało z krwi i kości przeistaczało się w kamień. Już nie można było stolemowi krwi utoczyć. Stawał się nieśmiertelny? Bo czy jest możliwe zabić górę, szczyt skalisty?

Olbrzym był tuż obok kryjówki Sieciecha. Spoglądał przerażonemu młodzieńcowi w oczy. Ryknął! Jedną rękę wyciągnął w stronę młodego woja, drugą, z dłonią zaciśniętą w pięść, uniósł w górę. Potworne palce zwieńczone pazurami zawisły tuż obok twarzy człowieka. Sieciech w myślach zaczął żegnać się z życiem. Ze strachu zacisnął powieki. Szybko jednak zebrał się na odwagę i otworzył oczy. Może zdąży uskoczyć, ucieknie stolemowi? Okazało się jednak, że zagrożenie jest mniejsze niż dotąd. Wielkolud poruszał się bowiem powoli, z coraz większym trudem.

Dłoń giganta zawisała w powietrzu. Wyglądała jak wyrzeźbiona w kamieniu. Sieciech wyjrzał zza pnia. Widział teraz olbrzyma w całej okazałości. Ten zamarł w pół ruchu. Z rozwartego pyska nie płynął już żaden dźwięk. Jeszcze przez chwilę oczy stwora były żywe, wytrzeszczone z przerażenia. Stolem chyba po raz pierwszy w życiu poczuł strach. Jednak nie trwało to długo. Białka i źrenice stały się szare, porowate. Kamienne. Wielkolud przemienił się w skałę. Ogromną i budzącą respekt. Ale jak każdy kamienny twór natury, martwą i nieruchomą.

Sieciech odetchnął z ulgą. Wspomnił słowa wyszeptane mu do ucha przez wiedźmę na pożegnanie, gdy opuszczał dwór ojca. „Każda magiczna potęga ma granice wytyczone przez Bogów”, wyjaśniła cichym głosem kobieta. „Jeśli jakiś stwór przekroczy to, co na wieczność ustalone, jeżeli sięgnie po moc ponad miarę mu przynależną, to dozna zgubnych skutków swej buty”.

Zrozumiał teraz, co chciała mu przekazać Baba. Zaśmiał się złośliwie i postanowił za urąganie Swarogowi i mordowanie ludzi, a przy okazji też za swój strach, odpłacić bestii z Czarnego Boru.

Podszedł do skamieniałej olbrzymiej postaci. Był przecież Swarozycem, dziecięciem Boga wyznaczonym do dokonania zemsty! Zamachnął się toporem. Uderzył tam, gdzie mógł sięgnąć, w nogę figury. Była jak skała. Spod ostrza trysnęły iskry. Zadał kolejny cios, a po nim jeszcze jeden. W kamieniu pojawiła się rysa. Od niej zaczęły tworzyć się spękania. Były coraz liczniejsze, jakby w gigantycznej rzeźbie wyryto sieć pajęczą. Sieciech znów uderzył w nogę statuy, w jaką przemieniono potwora. Tym razem zadał cios obuchem topora. Rozległy



się trzaski, szmery, a potem huk. Skamieniały stolem rozpadł się, tworząc pagórek skalnego gruzu.

Tyle zostało z magicznej potęgi, ze stwora, który dotąd bezkarnie zabijał i rabował. Młodzieniec o wojowniczej duszy z satysfakcją spoglądał na swe dzieło. Miejscem dla stolema będą odtąd tylko legendy opowiadane przy świetle kaganka, w ciepłej izbie po wieczry. Nigdy już nie wylezie z Czarnego Boru, by siać strach i śmierć. Nie znieważy już Swaroga ani żadnego innego bóstwa. Nie spłodzi z wodnicą kolejnego potwora. I nie zagrozi życiu ludzi, których Sieciech kochał.

## Rozdział 10

Młodzieniec uznał, że skoro dokonał pomsty na świętokradcy i uchronił swych bliskich przed groźbą śmierci z łap bestii, pozostało mu już tylko jedno do zrobienia. Poszukać ziemianki wielkoluda, by sprawdzić, czy jest tam jeszcze skarb rodowy. Jeśli stolem nie zdążył zanieść kosztowności Wdzydzanie, to Sieciech zabierze je do domu. Ruszył więc po śladach olbrzyma i wkrótce znalazł jego leże, a w nim dobra zrabowane we dworze.

Jasnowłosa woj spieszył się, by noc nie dopadła go w Czarnym Borze, a z nocą jakieś krwiożercze stwory. Z toporem w prawej ręce, a na lewym ramieniu z konopnym workiem pełnym skarbów, podążył przez las. Wracał po swoich śladach. Tam, gdzie błonia i pola, do krainy, którą włada człowiek.

Był zadowolony z siebie. Zapanował nad własnym strachem i zabił potwora. Okrył się sławą! Prawdę powiedziawszy, tak go rozzuchwaliło zwycięstwo nad legendarną bestią, że zaczął przemyśliwać, czy by nie dobrać się do skarbów, które spoczywały na dnie jeziora. Może wiedźma znów mu pomoże? Doradzi, w jaki sposób zwyciężyć wodnicę? Umysł miał tak rozgorączkowany, że już zaczął planować, iż zbierze drużynę, weźmie łodzie, sieci i co tam jeszcze trzeba. Zapatrzone w wizję kolejnej przygody minął trupa stolema, pagórek z kamiennych okruchów. Pogrążony w myślach, nie zwrócił uwagi na to, że nie jest sam w kniei. Nie dostrzegł bezcielesnej formy jakby szarego cienia, który pojawił się przy szczątkach bestii, a potem zaczął sunąć ramię w ramię z rycerzem.

Zapadał zmierzch. Młodzieniec, czy to za sprawą opieki Swaroga, czy własnej odwagi, szczęśliwie opuścił Czarny Bór. Zmęczony wędrówką i dźwiganiem ciężaru, jaki stanowił skarb, szedł przez rzadki las. Zbliżył się już do przesieki, gdzie powinny czekać na niego konie przywiązane lejcami do gałęzi.

Myślał, że jest sam w ciemniejszej kniei. Że wkoło ani człowieka, ani drapieżnika. I tak było. Jednak świat ziemski nie jest jedynym. Są moce wędrujące przez liczne nie tylko lądy, ale i nieba, i piekła. Sieciechowi, od miejsca, w którym zginął stolem, towarzyszył złowieszczy cień. W takiej formie objawiła się Śmiercicha, której się wymknął, pokonując wielkoluda. Bo gdy zadasz się z pradawnymi siłami, nie skończy się to bez konsekwencji. Odtąd bowiem bóstwa będą miały na ciebie oko. Potęgi przychylne ci, ale i te wrogie.

Wkrótce dotarł do terenów, którymi włada człowiek. Odetchnął z ulgą. Wierzchowiec i juczny czekały tam, gdzie je zostawił. Worek z kosztownościami i topór przytroczył na grzbiecie jednego konia, a wierzchowca dosiadł. Ruszył przesieką do domu. Wracał jako zwycięzca. Wciąż jednak nie był świadomy, że może krótko cieszyć się chwałą. Imienniczka jego ukochanej, mroczna boginka o wielu mianach, była pamiętliwa. Zawsze nieprzychylna tym, którzy uniknęli zgonu, jak się wydawało, niechybnego. Śmiercicha szła więc z Sieciechem krok w krok, podpatrując, kiedy noga może mu się powinąć.

Tym razem młodzieniec dotarł szczęśliwie do domu. We dworze panował wielki ruch i gwar. Z zapałem odbudowywano to, co zrujnował stolem, ale na widok Sieciecha przerwano prace. Powitano go jak bohatera. Wszak wrócił cały i zdrowy, a do tego z kosztownościami odebranymi olbrzymowi!

Młodemu rycerzowi nie w głowie było pławienie się w chwale. Ochłonawszy z pierwszego zachwytu nad sobą, zdawał sobie sprawę, że pokonał potwora dzięki magii wiedzy i wsparciu Swaroga. W istocie był tylko narzędziem w ręku nadludzkich potęg. Dlatego, zamiast przyjmować hołdy, najpierw sprawdził, jak miewa się ojciec. Na szczęście leki Baby poskutkowały i widać było, że pan dworu wraca do zdrowia. Stary szlachcic wezwał krewnych i sąsiadów, służbie kazał przygotować ucztę, po czym poprosił syna, by ten publicznie opowiedział o swych zmaganiach ze stolemem.

– A jednak szkoda – szepnęła Marzyana, gdy jej ukochany skończył opowieść. – To była wielka, piękna miłość.

Sieciech uśmiechnął się tylko w odpowiedzi. Pomyślał o tym, że dziewczyna ma dobre serce, ale dla świata lepiej, że miłość stolema i panny wodnej zakończyła się, nim przyniosła owoce. Młody rycerz zachował w pamięci, co o miłosnych związkach między czarodziejskimi istotami sądziła Baba. Im mniej potworów w Czarnym Borze, tym lepiej dla ludzi. A Sieciech miał przecież wystarczająco wiele własnych spraw na głowie, by zajmować się nowo narodzonymi bestiami.

Przemyślał, jak zdobyć skarb z jeziora i kiedy poprosić ukochaną, by została jego żoną. Jednak nie zdawał sobie sprawy z wielkiego zagrożenia. Z tego, że nad miłością jego i Marzyany unosi się mroźny cień Śmiercichy.

## TADEUSZ OSZUBSKI



Urodzony w 1958 roku. Mieszka w Bydgoszczy. Prozaik, poeta, scenarzysta, publicysta, dziennikarz, animator kultury. Należy do Związku Literatów Polskich. Laureat wielu konkursów literackich. Stypendia artystyczne przyznali mu Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego i Prezydent Miasta Bydgoszczy.

Debiutował w 1980 r. poezją na łamach czasopism literackich, w 1984 r. opublikowano zbiór jego wierszy. Oszubski znany jest przede wszystkim jako autor powieści i zbiorów opowiadań oraz książek popularyzatorskich. Ukazało się ponad 20 tytułów tego pisarza, m.in.: „Sfora”, „Drapieżnik”, „Miłość”, „Młode”, „Miasto”, „Twierdza nienawiści”, „Bydgoscia”, „Legenda Panien Wodnych”, „Tajemnicze historie z pogranicza światów”, „Tajemnicze istoty”, „Tajemnicze artefakty”. To utwory z pogranicza literatury noir, thrillera, literatury grozy, kryminału, fantasy, a także współczesne, literackie adaptacje polskich legend oraz publikacje na temat zagadek historii. Około 100 opowiadań Tadeusza Oszubskiego opublikowano w czasopismach, antologiach i zbiorach, a kilka książek ukazało się w przekładach na język angielski i czeski.



MAŁGORZATA LEWANDOWSKA

# PUSTE OCZY

- VII -

## Światła

Szli razem. I chociaż w wyjątkowo gęstej wieczornej mgle nie widzieli się zbyt dobrze, wyczuwali i słyszeli dookoła obecność innych; ruch, energię, ciche pomruki, złorzeczenia oraz hamowane jęki przeplatane płaczem.

Opuszczali stary, dobrze znany świat.

Nie, nie odchodzili z własnej woli.

Zmuszono ich do tego, niszcząc domy, przystanie, schronienia...

Część członków ich plemienia broniła nieistniejących już miejsc do samego końca. Część wołała spłonąć, niż uciec... Niektórym zaś nie dano wyboru.

Kiedy dzieło zniszczenia zostało dopełnione, kilkoro z ocalonych podjęło decyzję, aby odejść samotnie. Opuścić nie tylko przestrzeń, ale i tych, którzy swoją obecnością przypominali im o stracie.

Ci, co pozostali, zebrali się. W ich pustych oczach gościła boleść i gorzycz. I to właśnie z tej boleści i żalu zrodził się desperacki plan, aby zacząć wszystko od nowa. Odbudować to, co im zabrano.

Wyruszyli więc, nie patrząc za siebie, a wraz z nimi szły: cierpienie, tęsknota i śmierć. Owijały ich całunem gęstej, wręcz namacalnej rozpacz, przed którą nawet wiatr chylił czoło ze smutkiem.

Żadne z nich nie wiedziało, ile trwała ta podróż. We mgle czas gubił swoją istotę. Realne były tylko kroki stawiane jeden za drugim; sklejające się w nieustający, wyczerpujący marsz. I gdy wydawało się, że wędrówka nie będzie mieć końca, całun mgły uniósł się nagle, odkrywając przed ich wzrokiem światła. Zaskoczeni widokiem odruchowo poszukali schronienia.

Wypełniające horyzont światła, najwyraźniej nieświadome tego, ile par oczu zwróciło na nie uwagę, tańczyły w oddali, falowały, migotały i... przynosiły wspomnienia. Złe wspomnienia niedawnych wydarzeń. Dlatego wędrowcy w napięciu obserwowali niezwykle spektakl, gotowi w każdym momencie zerwać się i uciec.

Chwile znowu splotły się w jedno długie oczekiwanie, lecz obawy nie przybierały szat rzeczywistości. Część wędrowców, ośmielona obojętnością światła, przerwała ciszę. Wśród niepewnych głosów dało się wyczuć zakwitającą

i delikatną nutę nadziei. Chociaż próbowały ją zagłuszyć lamenty splecione ze strachu, raz rozbudzona była trudnym przeciwnikiem.

Wreszcie z grupy oderwał się mglisty cień. Niewielka, skulona postać, która, zostawiwszy resztę ocalałych za sobą, ruszyła w kierunku obietnicy.

## Wybór

Im bliżej światła podchodziła, tym otaczający ją świat coraz mniej przypominał ten, do którego przywykła. Dlatego posuwała się do przodu wolniej, spędzając więcej czasu w ukryciu na obserwowaniu okolicy i rozważaniu kolejnych kroków.

W pewnym momencie doszła jednak do granicy światów – jak nazwała to miejsce w myślach. Stała w cieniu rzucanym przez ostatnie drzewo i nie wiedziała, co zrobić. Jakiś szept w głowie doradzał, aby się cofnęła. Podpowiadał ostrożność przed wkroczeniem na obce terytorium, gdzie nic nie wyglądało znajomo. Sugerował obejście tego miejsca.

Drugi głos przypominał, że obiecała zbadać światła jak najszybciej. Miała iść do przodu, a nie mitrzyć czas. Lecz leżąca przed nią przeszkoda rozciągała się niczym rzeka. Wobec tego jak mogła ją obejść, bez tracenia ogromnej ilości czasu?

Zacęło w niej wzbierać obce jej kiedyś uczucie; patrzyła na szeroki pas jałowej przestrzeni oświetlonej ostrymi snopami jasności i ogarniał ją strach. Albo raczej, jak wołała to nazwać – nieznanie wcześniej wahanie. Cała jej postawa była przesiąknięta tym dziwnym wahaniem i pragnieniem, aby zrezygnować.

Mimo tego kolejny raz rozejrzała się, lecz gładki, dobrze oświetlony i delikatnie połyskujący pas niezmiennie odgradzał ją od celu. Pas, na którym nie mogła się ukryć. Gdzie nie rośla ani jedna roślinka. W przeciwieństwie do rzeki skutej lodem nie wyczuwała też w nim życia. Czy był pułapką?

Potrząsnęła głową, chcąc odpędzić wątpliwości. Nie pomogło. I kto wie, jak potoczyłyby się zdarzenia, gdyby nie wyczuła w oddali ruchu. Natychmiast spojrziała w tym kierunku. Dostrzegła błyskawicznie przemieszczający się niewielki cień. Cień, który tylko na mgnienie oka zatrzymał się przed przekroczeniem pustej przestrzeni, po czym zwinnie przebiegł na drugą stronę.

Na ten widok wyprostowała plecy i uniosła wysoko głowę. Zaciśnięła usta, lekko wysuwając brodę i zwinęła brudne, nieznacznie drżące dłonie w pięści. Wiatr, jakby przejęty tą przemianą, wstrzymał oddech i zdało się, że świat zamarł na moment. Właśnie wtedy postać oderwała się od dającej schronienie ciemności i ruszyła ku połyskującej, pustej przestrzeni.

## **Wiatr**

Dziewczynka stała samotnie na drodze wyjazdowej z osiedla. Co prawda zarówno słowo „droga” jak i „osiedle” wydawały się lekko przesadzonymi określeniami na okolicę, gdzie dopiero budowano pierwsze domy, a nierówna powierzchnia pod stopami była mieszanką ubitej ziemi, żwiru i piasku. Niemniej, jak dumnie głosiła reklama umieszczona w pobliżu jedynej działającej latarni, o osiedle chodziło i to nie takie zwykłe, a nadzwyczaj przyjazne mieszkańcom; gdzie można było bezpiecznie oraz komfortowo prowadzić miejskie życie w pobliżu natury.

Dziewczynka nie wyglądała jednak na taką, która znajdowała się w choćby minimalnie komfortowej sytuacji. Z całej jej sylwetki biła niepewność. Musiało jej też być zimno, gdyż schowała głowę w ramionach i splotła ciasno ręce na klatce piersiowej. Wszystko wskazywało na to, że zapewne stałaby tak jeszcze przez chwilę, niepewnie mierząc przestrzeń wzrokiem, gdyby nagle zza zakrętu nie wyłoniły się dwa snopy ostrego światła. Objęły ją jasnością, wydobywając z szarówki bezkształt za dużej sukienki, ciemne włosy i sarnie oczy.

Dobrze, że sukienka była jasna. Odbite światło musiało w ostatnim momencie ostrzec kierowcę, gdyż skręcił, nie robiąc krzywdy ani dziecku, ani sobie. Gdy tylko wyminął nieznajomą, zahamował ostro, nacisnął klakson i przez uchylone okno posłał wiązkę niewybrednych uwag. Pomiędzy słowami, jakich małe dzieci nie powinny słyszeć, polecił jej także, by jak najszybciej zeszła z drogi i nie łąziła sama po nocy. Na koniec dodał kilka niepochlebnych słów na temat jej rodziny, po czym odjechał.

W trakcie tej tyrady mała, niczym spłoszone zwierzę, znalazła schronienie w cieniu. Kiedy pojazd wreszcie zniknął i wyglądało na to, że nie nadjedzie kolejny, odsunęła się od ściany nieukończonego domu. Zmierzyła ją wzrokiem



i ostrożnie zaczęła obchodzić budynek. Wreszcie natrafiła na okno. Wspinając się na palce bosych stóp, zajrzała do środka przez pokrytą folią szybę. Dom wypełniała martwa ciemność.

Dziewczynka nacisnęła dłonią na okiennicę: nie ustąpiła. Mała cofnęła się więc, podeszła do drzwi i bezskutecznie próbowała je otworzyć. Wreszcie zrezygnowała i odeszła sprawdzić kolejne budynki.

Po jakimś czasie ponownie stanęła na drodze. Tak jak poprzednio zerwał się silny wiatr. Porywiste podmuchy zaczęły naraz szarpać cienką, za dużą sukienką i folią okrywającą część materiałów budowlanych. Dziewczynka rzuciła w kierunku łopoczących płacht szybkie, spłoszone spojrzenie. Następnie przyspieszając coraz bardziej, aż w końcu jej marsz przerodził się w bieg, podążyła z wiatrem w kierunku, w którym odjechał samochód.

## Liście

Nie była już w stanie biec, więc tylko szła lekko. Nie rozpoznawała mijanych miejsc. Wszędzie, gdzie spoglądała, napotykała ściany, kraty i nieznaną, wrogo wyglądającą przestrzeń oraz symbole.

Wypełniająca ją do tej pory determinacja ustępowała przed głodem i zmęczeniem. Ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że na niebie zakwitł purpurowy ślad świtu. Zrobiła jeszcze kilka kroków do przodu i spojrzała dookoła bezradnie. Skuliła się, gdy tuż obok z ogromną prędkością przejechał kolejny samochód.

Nie wiedziała, gdzie ma iść i co powinna zrobić. Nie wiedziała już nawet, czy znajduje się w innym od poprzedniego miejscu, czy kręci się w kółko. Poczuli się strasznie mała i zagubiona wśród ostrych linii i wysokich, prawie identycznych, masywnych brył budynków wyrastających wszędzie, gdzie tylko zwróciła oczy.

Opuściła głowę i tępo spojrzała na twarde, nienaturalne podłoże. I właśnie wtedy dostrzegła, jak wiatr układa u jej stóp wyschnięty liść. Uniosła wzrok i dojrzała, że podmuch wywiał go z jednej z bocznych uliczek. Skręciła w nią. Każdy krok był wyzwaniem.

Zatrzymała się przed kupką suchych liści. Dotknęła ich opuszkami palców, nie do końca wierząc, że są prawdziwe. Jednak nie były uludą.

Podniosła jeden z nich. Roztarła. Przyłożyła do nosa złożone dłonie, pomiędzy którymi leżały suche drobinki. Zmrużyła oczy i wciągnęła znajomy, kojący zapach.

Trwała tak przez chwilę, czerpiąc siłę i spokój z delikatnych złocistorudych okruchów. Pokrzepiona, otworzyła oczy i rozłożyła dłonie, pozwalając podmuchom zabrać to, co do nich należało. W zamian wiatr czule dotknął jej policzków i czoła. Poddawała się kojącym muśnięciom, zapominając o otoczeniu.

Dlatego nie dotarły do niej na czas ciężkie kroki i towarzyszące im stąpanie łap uzbrojonych w pazury; zaskoczyło warczenie przechodzące w ujadanie. Odwróciła głowę, tylko po to, aby dostrzec wyszczerzone psie kły i przerażoną twarz właściciela wielkiego zwierza. Strach uderzył ją z ogromną siłą, wyrывая ją z miejsca.

Zaczęła biec jak najszybciej. Byle dalej. Byle ukryć się przed tym dziwnym, nieprzyjaznym światem.

## Ogień

Ostre słowa i szturchanie wyrwały ją z głębokiego snu. W pierwszym momencie nie wiedziała, gdzie jest i co się dzieje. Zamrugła, patrząc na mężczyznę zamierzającego się na nią jakimś dziwnym, przypominającym laskę przedmiotem.

Instynktownie odsunęła się, ponownie zamrugła i odrobinę bardziej przytomnie oceniła otoczenie. Powoli zaczęły do niej wracać wspomnienia. Pamiętała, że biegła, szukając czegoś. Jakiś mężczyzna na nią krzychał. Potem czekał na nią wielki pies... Znowu biegła. Wreszcie wpadła między drzewa, ukryła się w gęstwinie krzaków, owinęła jakąś znaną szmatą i... Chyba musiała zasnąć.

A teraz znaleźli ją ci ludzie.

– Wystarczy! Przestań ją szturchać! Przecież widać, że żyje! – rozbrzmiało nad jej głową, a przypominający laskę przedmiot zniknął z pola widzenia.

Uniosła odrobinę wzrok. Na niewielkiej polance otoczonej krzakami i niskimi drzewami leżały rozrzucone śmieci.

Skierowała spojrzenie jeszcze wyżej i zobaczyła twarze trzech przyglądających się jej mężczyzn. Jeden z nich trzymał wydłużony przedmiot. Drugi odciągał go

do tyłu. Trzeci stał koło niskiego drzewa i jadł coś ze smakiem.

Na widok przeżuwanego jedzenia wróciło do niej poczucie głodu. Było tak silne, że aż objęła się ciasniej rękoma, zagryzła wargi i zamknęła oczy.

Tymczasem mężczyzna, który chwilę temu odciągał swojego kompana, przykucnął koło niej i zaczął mówić uspokajającym głosem:

– Nie ma się czego bać. Mauer jest trochę narwany, ale w sumie niegroźny...

Zanim jeszcze w pełni zarejestrowała te słowa, owionął ją zapach nieznanego. Woń niemytego ciała, choroby i smutku. Spojrzała w jasne, zasnutę zmartwieniem oczy zanurzone w pomiętej skórze. Z ciemnego pęknięcia w twarzy, okolonego zapadniętymi wargami, płynęły kolejne wyrazy. Nie słuchała ich już jednak. Jej wzrok i uwagę przyciągnął trzeci z mężczyzn, który skończył jeść i właśnie krzesał ogień jakimś dziwnym przedmiotem.

Nie mogła oderwać od tego oczu. Wróciły do niej złe wspomnienia; przeszywające strachem obrazy zniszczenia.

Człowiek, który do niej mówił, chyba w końcu zdał sobie sprawę, że zamiast go słuchać, patrzyła na coś za nim. Odwrócił głowę i dostrzegł obiekt jej zainteresowania.

– Te, Szczerba, chono tu! – zawołał w kierunku druha.

– Kurwa, co znowu? – odpowiedział mu facet nazwany Szczerbą.

– No choć i nie klnij już.

Wezwany najpierw charchnął z wprawą przez przerwę po brakujących zębach, po czym zapalił papierosa i zaciągnął się solidnie. Pokontemplował chwilę i wreszcie pokonał te kilka kroków dzielących go od kumpla.

– Co, kurwa? – zapytał. Do ciężkiego bukietu zapachów dołączyła mocna woń tytoniu i przetrawionego alkoholu.

– Daj zapalniczkę.

– A takiego chuja! Jeszcze mi ją, kurwa, zajebiesz.

– No, daj.

– Pierdol się, kurwa. Nie masz swojej?

– Nie mam. Nie klnij, tylko daj.

Szczerba zaciągnął się jeszcze raz i rzucił druhowi niewielki plastikowy przedmiot. Ten złapał go i zdobywszy pewność, że to właśnie zapalniczka wzbudziła zainteresowanie ciemnowłosej, zapytał:

– Podoba ci się?

Nie odpowiedziała, tylko uważnie śledziła ruchy jego rąk, jednocześnie zapamiętując nazwę przedmiotu.

– Mogę ci ją dać, jeśli powiesz mi, jak masz na imię i skąd się tu wzięłaś.

Milczała, chociaż nadal z natężeniem obserwowała jego dłonie.

– No to jak będzie? Co? Ja mam na imię Adam. Adam Absolwent, w skrócie AA – dodał, mrugając porozumiewawczo. Nie zareagowała. – A ty? – zapytał i spróbował uśmiechnąć się przyjaźnie, czekając na odpowiedź.

Gdy ta nie nastąpiła, zadał kolejne pytanie.

– Jak tu trafiłaś? Zgubiłaś się? Jak mi odpowiesz, to ci to dam – obiecał i przysunął zapalniczkę odrobinę bliżej niej.

Zaczęła niesłychanie powoli, ostrożnie wysuwać dłoń. Jej palce lekko drżały. Czarne podkówki pod połamanymi, sinymi paznokciami potęgowały wrażenie niezdrowej bladości skóry.

– Te, kurwa, patrz! – odezwał się niespodziewanie Mauer, przerywając napiętą ciszę. – Zaraz tu, kurwa, będzie dziewczynka z zapalnikami! – zarechotał.

– Z jakimi, kurwa, zapalnikami? – odpowiedział Szczerba. – Co ty, kurwa, ocipiałeś na oczach? Mamy pieprzony XXI wiek! Postęp, kurwa! To i dziewczynka z jebaną zapalniczką!

Obydwaj zaśmiali się chrapliwie. Tymczasem Adam cały czas mówił łagodnym głosem:

– Nie przejmuj się nimi. To tylko niegroźni idioci. Plewy na wietrze. No! To jak masz na imię? Skąd... – przerwał. Wyrzuciwszy z siebie ciche „ha!”, zapytał: – A tak w ogóle to potrafisz mówić? Może jesteś głuchoniema? – Spojrzał na nią z nowym błyskiem w oku. – Ja cię tu wypytyuję o imię, a tobie pewnie jest zimno i nie umiesz tego powiedzieć? Może dam ci moją kurtkę? Chcesz? Chcesz się ogrzać? Dlatego patrzyłaś na zapalniczkę? Ogień? Ognisko? Ciepło? – Przysunął wspomniany przedmiot jeszcze bliżej niej i położył kciuk na kółku trącym. Wystarczyło krótkie pstryknięcie.

Na widok ognia uderzyła z całej siły, wytrącając zapalniczkę z ręki mówiącego. Adam z jękiem upadł na ziemię.

– Co, do kurwy nędzy! – zaryczał Mauer i ruszył ku niej, wyciągając przed siebie dziwną laskę.

Skoczyła na nogi i przygarbiła się lekko. Niczym zagonione w róg zwierzątko; jednocześnie desperacko szukała drogi ucieczki, jak i gotowała się do ataku. Spojrzała w lewo, gdzie wcześniej pomiędzy drzewami zauważyła niewielki przesmyk. Już miała ruszyć w tę stronę, gdy drogę zagroził jej Szczerba.

– Tak łatwo to nam, kurwa, nie spieprzysz! – zagroził.

Gorączkowo rozejrzała się dookoła. Kątem oka zauważyła błysk. Odwróciła głowę i dostrzegła jakiś gładki przedmiot leżący między liśćmi. Równocześnie Mauer pchnął do przodu przypominający laskę przedmiot. Płynnie przypadła do ziemi, unikając uderzenia. Podniosła stłuczony kawałek butelki, wyskoczyła do przodu i przeorała szkłem nogę atakującego. Trysnęła krew. Mężczyzna zawył i upadł na ziemię. Nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń, pędem rzuciła się w kierunku przesmyku.

Szczerba już jej nie zatrzymywał.

## Spotkanie

– O Boże, dziecko! Nic ci nie jest? – Pochylając się nad dziewczynką kobieta miała na twarzy wypisaną mieszaninę przerażenia i zatroskania. – Gdzie są twoi rodzice? Co się stało? Czy to twoja krew? – kontynuowała, wskazując świeże rubinowe plamy dobrze widoczne na jasnej sukience małej.

Dziecko nie odpowiedziało.

– Boli cię rączka? To znaczy ręka? – poprawiła się szybko kobieta, sięgając ku dłoni przyciskanej przez dziewczynkę do ciała. Mała cofnęła się gwałtownie.

Kobieta wstrzymała ruch i wyszeptwała do siebie:

– Może jest w szoku? Na pewno jest w szoku, tak, na pewno... Trzeba ją czymś okryć.

Zdjęła kurtkę. Zarzuciła małej na ramiona, mimowolnie marszcząc nos z powodu zapachu bijącego od dziecka. Dużo za duże okrycie sięgało drobnej dziewczynce do połowy łydki, prawie całkowicie osłaniając ją przed chłodem.

Kobieta rozejrzała się, jakby szukała pomocy lub jakichkolwiek śladów czy świadka tego, co mogło się wydarzyć. W pobliżu nie było nikogo oprócz nich. Grymas przebiegł szybko przez jej twarz, po czym ponowiła serię pytań:

– Coś się stało? Coś złego? Jakiś wypadek?

Brak odpowiedzi.

– Wiesz, gdzie jesteś? Gdzie są twoi rodzice? Opiekunowie? Coś im się stało?

Cisza.

– Jak nic jest w szoku – skomentowała pod nosem kobieta i jeszcze raz przeczesała okolicę wzrokiem.

– Zgubiłaś się? – zapytała małą.

Ponownie żadnej reakcji.

– Zadzwoń na policję, dobrze? Powiem im o wszystkim i poproszę, żeby tu jak najszybciej przyjechali. Pomogą ci i sprawdzą, czy nic się nie stało twoim rodzicom.

Odpowiedziało jej milczenie.

– Ale nie będziemy tu czekać na policję, bo jeszcze zamarzniesz.

Dziewczynka nie zareagowała.

– Mieszkam niedaleko – podjęła po chwili kobieta. – Dosłownie w tamtym bloku. – Wskazała na jeden z wysokich, kanciastych budynków. – To naprawdę tuż obok, widzisz? Kilka kroków i... – Spojrzała na stopy dziecka. – O kur... – z trudnością pohamowała przekleństwo. – Możesz iść? Przepraszam, nie mogę cię nieść na rękach. – Mówiąc to, pogłaskała lekko zaokrąglony brzuch. – Mam totalny zakaz noszenia czegokolwiek poza Kubusiem. – Uśmiechnęła się ciepło i jeszcze raz dotknęła brzucha.

Ciemnowłosa uniosła głowę i kiwnęła.

– Aaa... – zająknęła się kobieta, widocznie zdumiona tą zmianą. – Czyli rozumiesz, co do ciebie mówię?

Mała ponownie nieznacznie skinęła.

– Och! To dobrze! – W głosie ciężarnej było słychać wyraźną ulgę. – W takim razie chodźmy prędko, dobrze? Nie chcę, żebyś jeszcze bardziej zmarzła. Jak już mówiłam, mieszkam dosłownie w tamtym bloku. – A tak w ogóle, to mam na imię Dorota – przedstawiła się, gdy ruszyły. – A ty? Jak masz na imię?

Znowu cisza.

– Jak nie chcesz mówić, to nie musisz – odpowiedziała Dorota. – Czekaj, gadam i gadam, a miałam dzwonić!

Włożyła rękę do kieszeni bluzy i wyciągnęła z niej klucze.

– Ha! Nie w tej... – Sprawdziła drugą kieszeń. – I nie w tej. – Hym... możesz zobaczyć, czy w mojej kurtce nie ma komórki? Sprawdzisz w kieszeniach?

Dziecko nie zareagowało, tylko szło w stronę bloku.

– Oookeej... Nie ma sprawy... Sama sprawdzę, jak dojdziemy do domu. Kilka minut nie powinno chyba zrobić różnicy? – rzuciła w powietrze ciężarna.

Weszły do bloku i stanęły przy windzie. Gdy rozsuwane drzwi otworzyły się z jękiem, dziecko odskoczyło do tyłu.

– Kochanie, nie bój się. To tylko winda. Faktycznie jest trochę głośna, szczególnie ostatnio. Ale to tylko winda. Chodź! – zachęciła Dorota, wchodząc do ciasnej kabiny tak, aby blokować drzwi stopą.

Gdy chwilę później podchodziły do drzwi mieszkania, z wnętrza dobiegły odgłosy popiskiwania i pazurków wybijających radosny takt powitania na ceramicznych płytkach. Dorota nacisnęła klamkę z uśmiechem. Na klatkę, podskakując i machając zakręconym ogonem, wybiegł mały łaciaty pies. Kobieta przywitała się z nim i właśnie miała go przedstawić dziewczynce, gdy zwierzak zastygł, zjeżył sierść na karku i warcząc, groźnie wyszczerzył zęby.

Dorota z trudem złapała go w ostatniej chwili, nim zaatakował obcą. Spłoszone dziecko zbiegło na półpiętro. Pies nie przestawał warczeć i się wrywać. Z trudem wepchnęła pupila z powrotem do mieszkania, szybko zatrzaskując drzwi.

Przy akompaniamencie ujadania odwróciła się w stronę małej i wyznała przepaszającym tonem:

– Nie wiem, co mu odbiło. Z reguły tak się nie zachowuje. Naprawdę.

Cisza.

– Dobrze się czujesz? Bardzo cię przestraszył?

Nie słysząc odpowiedzi, ciągnęła:

– Poczekaj tu chwilę, dobrze? Nigdzie nie odchodź! Zaraz wracam. Obiecuję! Tylko zamknę go w pokoju – dodała i zniknęła w mieszkaniu, cały czas pilnując, aby ujadający pies nie wydostał się na zewnątrz.

Zza zamkniętych drzwi, poza szczekaniem, doszły prośby i komendy. Chwilę później dołączył do nich odgłos ciągnięcia, szamotaniny i wreszcie czegoś zatrzaskiwanego w pośpiechu.

Tymczasem dziewczynka posłusznie czekała na korytarzu. Nie poruszała się, jakby grała w dziecięcą zabawę o Babie Jadze. Wreszcie zarumieniona Dorota stanęła w otwartych drzwiach. Zdążyła zdjąć czapkę i jej błyszczące, długie włosy rozsypały się w nieładzie.

– Wejź, kochanie... proszę... – Wsparła słowa gestem. – Zamknęłam już Kła... Znaczą naszego psa... Więc nie musisz się go bać – przerwała i wzięła głębszy oddech. – Na wszelki wypadek, przywiązałam go... Naprawdę nie wiem, co w niego wstąpiło! No nic... Skarbie, nie stój tak... Wejź, proszę!

Dziewczynka bardzo powoli ruszyła w stronę mieszkania.

– Daję ci słowo, że Kieł jest zamknięty... – obiecała Dorota. – Wchodź śmiało! Na pewno się nie wyrwie! I... nie zwracaj uwagi na te odgłosy – poprosiła, nawiązując do dobiegających ze środka poszczekiwań, warknięć oraz dźwięków szarpania i drapania.

Mała ostrożnie przekroczyła niewielki próg i niepewnie rozejrzała się po wnętrzu. Napięcie bijące z jej sylwetki wskazywało, że jest gotowa do natychmiastowej ucieczki.

– Kieł naprawdę nic ci nie zrobi – przekonywała Dorota, której oddech stopniowo się wyrównywał. – Jest silny jak na tak małego psa, ale przywiązałam go do starej komody... Może jakąś nową by rozwalił, ale tej raczej nie – przerwała na moment i skrzywiła się lekko, jakby rozważała możliwość wyrwania się psa. – A teraz powoli zamknę drzwi, dobrze?

Dziewczynka skinęła głową.

– Jesteś głodna? – zapytała Dorota podniesionym głosem, by przebić się przez poszczekiwanie Kła.

Żadnej reakcji.

Dorota westchnęła i zapytała:

– Chcesz skorzystać z ubikacji? Łazienki? Tylko chyba lepiej, żebyś się jeszcze nie myła. I rąk też nie. W każdym razie teraz ich nie myj. Dobrze? Zadzwońię na policję i zapytam. Pewnie mama zawsze ci mówiła, żeby myć ręce po skorzystaniu z toalety, ale teraz wyjątkowo tego nie rób – powtórzyła, by mieć pewność, że dziecko zrozumie.

Dziewczynka ponownie skinęła lekko głową, ale się nie poruszyła.

– Łazienka to te pierwsze drzwi po lewej. Może będzie ci łatwiej bez kurtki?



Jedyną reakcją małej było spojrzenie we wskazanym kierunku.

– Ale jeśli nie chcesz, to nie musisz jej zdejmować – kontynuowała gospodyni, gdy dziewczynka nadal stała w miejscu. – Tylko pozwól, że sprawdzę, czy w kieszeni jest telefon.

Dorota już miała sięgnąć ku kurtce, gdy zobaczyła leżący na szafce w przedpokoju telefon komórkowy.

– Ha! Tutaj jesteś – wyrwało jej się pełnym zaskoczenia głosem. – Naprawdę myślałam, że wzięłam ze sobą komórkę i jest w kieszeni – zwróciła się do dziewczynki i pokręciła głową z niedowierzaniem. – Niby wiedziałam, że ciąża może mi się rzucić na głowę, ale nie sądziłam, że aż tak! Teraz ciągle o czymś zapominam, a zapachy... – urwała, a oblewający ją rumieniec, który w międzyczasie zdążył zblednąć, ponownie okrył jej szyję i twarz purpurą. – Zaraz zadzwonię na policję, dobrze?

Już miała wybierać numer, gdy zobaczyła, że mały gość nadal tkwi w tym samym miejscu.

– Zapalić ci światło? – zapytała po chwili zastanowienia.

Nie czekając na odpowiedź, podeszła do drzwi łazienki, otworzyła je i zapaliła światło, po czym weszła do środka i podniosła klapę klozetu. – Papier toaletowy jest tu. – Wskazała na rolkę. – Będę w tym czasie w przedpokoju, jakbyś potrzebowała pomocy... Może tylko lekko przytknę drzwi, żebyś nie miała problemów z otwarciem? Ta klamka jest dość wysoko.

Dziewczynka skinęła głową. Dorota wyszła do przedpokoju. Mijając małą, zobaczyła, że ta zsunęła kurtkę.

Dorota stanęła w drzwiach kuchni i odblokowała komórkę. Już zamierzała wybrać numer, gdy od tyłu objęły ją drobne rączki. Odwróciła się. Na jej twarzy wypisany był wyraz zdziwienia i troski. Pochyliła się lekko w stronę ciemnej główki. Zbladła, skrzywiła lekko usta i przełknęła ślinę. Nie odepchnęła jednak dziecka, które jeszcze mocniej wtuliło się, wbijając czoło w zaokrąglony brzuch.

– Już dobrze, kochanie. Wszystko będzie dobrze – powiedziała Dorota pełnym emocji głosem i pod wpływem impulsu, wolną ręką, pogłaskała skołtunione, ciemne włosy dziewczynki. Musiała wyczuć coś pod palcami, bo jej dłoń wstrzymała ruch, by chwilę później wyplątać spomiędzy pasm kawałek czerwonego płotka z czarną nasadą.

Mała, przytulając się, coraz silniej naciskała na napięty brzuch. Dorota wypuściła płatek i uniosła dłoń do ust jak człowiek, któremu zbiera się na mdłości.

– Dobrze, kochanie, już wystarczy. Proszę, idź do łazienki... Poradzisz sobie, czy chcesz, żebym ci pomogła?

Dziecko nie reagowało.

– Proszę... – zaczęła Dorota. – Proszę... Mój brzuch... I ten zapach... Wiesz... w ciąży zapachy... – urwała. Po jej twarzy przebiegł grymas. Szybko przełknęła ślinę i spróbowała delikatnie, acz stanowczo wysupłać się z uścisku dziecka.

Bezskutecznie.

Duszny zapach rozkładu, którym przesiąknięte były ubrania dziewczynki, zdawał się przybierać materialną formę, przytłumiając światło. Dorota zamruwała.

– Słuchaj... – zaczęła mówić ostrzejszym tonem, lecz przerwała, gdyż mała nagle jakby rozluźniła objęcia. – A teraz, proszę... – Urwane zdanie przerodziło się w krzyk.

Kobieta szarpnęła za ramiona dziecka i odepchnęła je od siebie.

Mała gwałtownie poleciała do tyłu. Uderzyła w niewielką szafkę i upadła.

Dorota zachwiała się i zrobiła krok do przodu. Jęknęła. Upuściła telefon i zgięła się w pół, opierając dłonie o szafkę. Jej twarz zbladła jeszcze bardziej.

Ciemnowłosa uniosła głowę. Wzrok kobiety spotkał ogromne, bezdenne oczy czegoś, co tylko przybrało postać dziecka. Powietrze w pokoju zgęstniało od dusznego, słodkawego zapachu rozkładu.

– Coś ty mi zrobiła... – wyszeptała Dorota.

Oderwała jedną z rąk od mebla i sięgnęła ku plecóm. Palce natrafiły na rozcięcie materiału i coś jeszcze.

– Coś ty... – urwała. Jej dłoń była naznaczona krwią. – Coś ty... – zaczęła jeszcze raz, lecz słowa zmieniły się w jęk. Opierając się o ścianę, postąpiła kilka kroków i osunęła się na podłogę. Na jej spodniach szybko zaczęła rosnać ciemna plama.

Kieł już nie warczał. Wył upiornym głosem, błagając o ratunek i litość.

W mieszkaniu obok ktoś pogłośnił telewizor. Po chwili dobiegającej zza ściany relacji na temat pogody, w kuchni rozbrzmiały pierwsze dźwięki *Cichej*

*nocy.*

Dziewczynka podeszła do wykrwawiającej się kobiety, która ostatkiem sił próbowała sięgnąć po telefon komórkowy. Ciemnowłosa odsunęła go stopą, gdy palce ciężarnej już-już miały dotknąć brzegu obudowy.

Z ust leżącej wyrwał się łamiący serce szloch. Dziewczynka spojrzała na nią ciemnymi jak noc oczami i uklękła na podłodze. Objęła drobnymi dłońmi głowę Doroty i delikatnie położyła sobie na kolanach. Gładziła jedwabiste włosy i ścierała kawałkiem za dużej sukienki jej łzy.

W końcu ciało kobiety rozluźniło się. Palce, które cały czas próbowały dosięgnąć odsuniętego telefonu, opadły bez ruchu. Kiedy ostatnia łza wsiąkła w sukienkę, pies w pokoju obok zawył łamiącym serce głosem i zamilkł.

I prawie wszystko zamarło.

Jedynie czerwień na podłodze obejmowała w swoje posiadanie coraz więcej przestrzeni.

Wreszcie dziewczynka równie delikatnie co wcześniej ujęła bezwładną już głowę ciężarnej i ułożyła ją miękko na podłodze. Potem wstała, wygładziła sukienkę i podeszła do zaokrąglonego brzucha Doroty. W drobnej dłoni błysnął ułamek szkła.

## **Początek**

Opuszczając krainę światła, nie czuła już głodu, jedynie nadzieję. Niosąc ją w sobie, wracała do tych, którym zniszczono domy. Których dawne schronienia ścięto; wśród dymu, warkotu i krzyku zrównano z ziemią, aż zostały jedynie zgliszcza, odarta kora, połamane gałęzie i poznaczona ranami ziemia. Do tych, których wypędzono ze starych wierzb, dzikich łąk i uroczysk.

Cicha odnalazła współplemieńców i obiecała im nowy początek. Wolny od dawnej wiary, wiedzy, zaklęć, przedmiotów i czarów trzymających ich kiedyś w ryzach. Gdzie jedynie zwierzęta pamiętały stare opowieści i potrafiły rozpoznać zagrożenie.

Na dowód przyniosła dar. Dar pachnący krwią nowego życia i ludźmi, których przeklęty ród skalał ziemię dzikiego plemienia.

Gdy każdy z wypędzonych uchwycił w nozdrza zapach zemsty, powietrze zadrżało od tryumfalnego skowytu i wycia. Krótco potem ruszyli przed siebie, w kierunku falujących światła mających stać się ich nowym domem.

Cicha szła z tyłu. Przechodząc koło ostatniej, ściętej już mrozem łąki, zatrzymała się. Ogarnęła wzrokiem brązowiejące łodygi i dziką różę rosnącą na uboczu. Najpierw zebrała kilka pokrytych kolcami gałązek i dobrała do nich dłuższe liście traw. Później odłamała pierwszą suchą łodygę i delikatnie sprawdziwszy ją w ręku, sięgnęła po kolejną. Nie. Nie szukała maków. W tym zmienionym świecie także ona musiała się zmienić.

Na koniec przysiadła pod jednym z krzewów. Ukryła w fałdach sukni ostry kawałek szkła, którym zastąpiła utraconą różgę. Z rozmarzonym uśmiechem na białej jak śnieg buzi zaczęła pleść wianek z zebranych roślin i wspomnień. Jej palce ściemniały jadem i morem. Delikatne krople zawisły na kolcach, ozdabiając je niczym klejnoty.

## **Pamięci lasów**

Nasze losy zależą od interakcji z naturą. Jest to szczególnie widoczne, gdy stojąc na krawędzi kryzysu klimatycznego, walczymy z kolejną pandemią pochodzenia odzwierzęcego. Wycinając i zajmując coraz więcej lasów, nie tylko pozbawiamy się „zielonych płuc”, ale także wchodzimy w coraz więcej oddziaływań z dziką naturą. Zwiększamy tym samym ryzyko przeniesienia nowych chorób na ludzi i udomowione zwierzęta.





## MAŁGORZATA LEWANDOWSKA



Uwielbia tworzyć. Rysuje, pisze, kiedyś śpiewała też białym głosem. Jednak po licznych interwencjach sąsiadów musiała zaprzestać tej formy artystycznej ekspresji.

Zakochana w Słowiańszczyźnie, która ma mocny wpływ nie tylko na jej prace graficzne, ale także opowiadania.

Ilustrowała m.in. cykl fantastyki słowiańskiej „Witia” Magdaleny Lewandowskiej. Z siostrą tworzyła także cykl o „Przygodach Strzygi Wiesi”, który ukazywał się on-line i w magazynie „AKT” oraz w antologii wspierającej Ukrainę „24.02.2022”.

W 2021 roku zostały wydane dwa współtworzone przez nią komiksy: „Alieneczka” oraz „Opowieści starych Bogów i inne historie”. Jej krótkie formy komiksowe ukazały się m.in. w „Darmozinie” i antologii „The Art of Hate”, ilustracje i/lub opowiadania w magazynach: „Szortal”, „Silmaris”, „Gniazdo”, „Histeria”, „Warchlaki” oraz w antologii „Płonąca rzeka”.



JACEK PELCZAR

# ZAKOCHANI NA ZABÓJ

- VIII -



Bezchmurne niebo kusilo jaskrawym błękitem. Wabiło harmonią i spokojem. Nie działo się na nim absolutnie nic, tylko samotne słońce błyskało radośnie promieniami.

Czębor wyciągnął ku niemu twarz. Stanął na palcach, by znaleźć się odrobinę bliżej. Dalej był zbyt daleko. Znalazł więc oparcie dla rąk i się podciągnął. W jego gardło wlał się haust ożywczego, chłodnego powietrza, w uszy zaś – nieznośny harmider, burzący panujący na firmamencie spokój. Powiódł wzrokiem w poszukiwaniu brata. Z tej wysokości mógł go wreszcie wypatrzeć. Bez większego trudu dostrzegł olbrzymią sylwetkę górującą o co najmniej głowę nad wszystkimi wokoło. Coś się poruszyło. Mężczyzna stracił oparcie dla prawej dłoni i runął w dół, w duszną, spoconą ciźbę wojów tłoczących się na siebie, by jak najprędzej stanąć do walki z wrogiem. Przez chwilę walczył o zachowanie równowagi, oddech i miejsce w szeregu.

Czębor nie znosił bitew. Ścisk nie pozostawiał miejsca na rozwinięcie szermierczego kunsztu, którym szczylił się wojownik. Żywiol dwóch ścierających się armii był zbyt nieprzewidywalny, by dało się go okiełznać, pokierować nim z przemyślaną precyzją, przedkładaną przez niego nad krwawą jatkę i łaskę losu. Trzymał się więc jako dowódca na obrzeżu bitwy, wydawał rozkazy, mając nadzieję, że dotrą one w niezmienionej formie do wszystkich, przekazywane w wojennym zgiełku z ust do ust.

W końcu udało mu się znów położyć dłoń na ramieniu jednego z pobliskich wojów i wyskoczył w górę, tym razem natychmiast kierując twarz w stronę, gdzie wcześniej widział Czсібora. Wciąż tam był. Okładał toporem stojących przed nim nieprzyjaciół bardziej jak drwał niż wojownik, wyprowadzając szybkie koliste cięcia znad głowy. Spadały jedno po drugim, zamiast polan rozłupując hełmy, tarcze, zbroje i łby. Bach, bach, bach! Czсібor ryczał, wył i szczyrzył zęby jak dzikie zwierzę. Cały schlapany juchą, która ciągnęła się z jego włosów i brody gęstniejącą pajęczyną błyszczących rubinowo nitek, spływała po twarzy i kolczudze, kapiała z niezmordowanego żeleźca. W przeciwieństwie do Czсібora wokoło jego brata nie brakowało miejsca; druh czy wróg – nikt nie chciał znajdować się w pobliżu Czсібora, gdy ten wpadał w bitewny szal. Niemniej cały

trzon armii podążał jego śladem, bezwzględnie prąc do przodu, by złamać szyk wrogich zastępów.

Może to było przeczucie, może dźwięk, który dobiegł jego uszu na granicy słuchu, coś jednak zaniepokoiło Czębora. Odwrócił się nagle, prawie jak gdyby wiedział, czego szuka. Równiną za nimi nieopodal ściany lasu kłusowała konna drużyna, nabierając coraz większego tempa. Niektórzy wojowie już zaczęli podnosić włócznie, dobywać dziryków. Kierowali się wprost na tyły trzonu armii, dokładnie w miejsce, gdzie walczył Czycibor. Czycibor, nie tracąc czasu, opuścił się na dół. Zwinny niczym lis, jak zresztą go nazywano, odwrócił się w ciasnym szyku i jął przemykać między wojownikami w przeciwnym kierunku, niż rozgrywało się starcie.

– Zasadzka! – wrzeszczał. – Za mną, kto żyw! Zasadzka! Chronić tyły! Za mną! Za mną!

Gardło odmawiało mu posłuszeństwa, piekło wraz z każdym rozkazem, każdym wywalczonym w zaduchu spoconych ciał oddechem. Lis parł jednak naprzód, nie szczędząc ciosów nawet własnym ludziom, jeżeli któryś nie był w stanie dość szybko usunąć mu się z drogi.

– Zasadzka! Konni! Za mną!

Jego głos słabł, mimo to Lis nie poddawał się ani nie tracił czasu choćby na to, by szybko rzucić za siebie spojrzenie i sprawdzić, ilu wojów podąża jego śladem. To nie miało znaczenia. Był gotów samemu stanąć naprzeciw rozpędzonego oddziału jeźdźców, aby dać im odpór, jeżeli oznaczałoby to, że uda mu się ocalić brata. Parł coraz mocniej i szybciej, w myślach przeklinając chwilę, gdy zbyt pewni siebie zgodzili się rozdzielić z Czyciborem, obejmując dowodzenie nad oddalonymi od siebie drużynami.

Wreszcie przedarł się przez ostatnią linię maruderów i wypadł na otwartą przestrzeń. W samą porę, by zobaczyć konny oddział wbijający się poszarpanym klinem w ariergardę drużyny swego brata.

– Czycibor! – krzyknął, lecz jego głos utonął w dzikim bojowym okrzyku dobiegającym zza linii drzew.

Z lasu nieopodal zaczęły wysypywać się wojownicy i biec wprost na jego oddziały. Kolejna zasadzka. Bitwa, która dotąd zdawała się wygrana, zaczęła przybierać paskudny obrót. Nie było mowy o ucieczce, nie starczyło czasu na

przegrupowanie, nawet wydanie jakiegokolwiek rozkazu nie miało już najmniejszego sensu. Czëbor tylko splunął pod nogi i uniósł szablę.

– Sławaaaa! – ryknął chrapliwie i rzucił się wprost na nacierających zdradziecko nieprzyjaciół.

\* \* \*

Ciepły letni dzień chylił się ku końcowi. Rozgrzane słońce powoli przybierało coraz ciemniejszy odcień, jakby przygasając, nim uda się na spoczynek poza zieloną linią drzew majaczących pod nim na horyzoncie. Jedynie odgłos mokrego stukania mącił sielskość nastającego z wolna wieczoru.

Wojownik idący traktem przystanął i rozejrzał się, próbując namierzyć źródło dźwięku. Poprawił prowizoryczny temblak, na którym spoczywała raniona w bitwie ręka. W pewnej odległości przed nim wisiał przerzucony nad rzeczką most zrobiony z grubych sosnowych bali. To właśnie stamtąd dochodził miarowy stukot. Mężczyzna, który i tak zmierzał w tym kierunku, wznowił marsz, ostrożnie stawiając kroki, by na wszelki wypadek nie zdradzać swojej obecności. Po kilku chwilach ujrzał źródło hałasu i nie tylko odetchnął z ulgą, ale uśmiechnął się pod gęstym wąsem. Na brzegu rzeczki opodal mostu siedziała młoda kobieta i tłukła pranie kijanką. Już z daleka można było dostrzec jej kuszące krągłości, które przy każdym ruchu prężyły się zalotnie pod cienkim białym gieźlem.

Wojownik, nie odrywając oczu od przyjemnego widoku, przecesał palcami długie splątane włosy i brudną szeroką brodę, po czym ruszył wartko w stronę brzegu. Dziewczyna, zajęta praniem, nie słyszała jego kroków, dopiero gdy zbliżył się na wyciągnięcie ręki i jego olbrzymia sylwetka rzuciła na nią cień, poderwała się nagle. Stała wyprężona naprzeciw niego, w jednej ręce wciąż ściskając pranie, a w drugiej kijankę. Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej. Taksował stojącą przed nim postać głodnym spojrzeniem. Wprzód przeslizgnął się nim po czarnych jak smoła włosach wymykających się spod chusty grubym warkoczem, opadającym daleko poniżej wąskiej kibici i szerokich bioder.

– Wybacz, dziewczeczko – wymruczał, siłąc się na przyjazny ton. – Nie chciałem cię strwożyć.

- Nie strwożyłeś. - Dziewczyna zadarła głowę i śmiało zajrzała mu w oczy.
- Och? - zdziwił się, wytrzymując jej harde wejrzenie.

Zapatrzył się przez moment w duże ciemne oczy osadzone szeroko w smagłej twarzy. Po chwili zjechał niżej po zadartym nosku na grube kuszące usta i dalej, po wiotkiej łabędziej szyi na rozchełstany dekolt mokrego od pryskającego prania gieżła. Westchnął głęboko. Delikatny jasny len pod wpływem wody stał się niemal przezroczysty. Swoją znikającą bielą kontrastował z oliwkową skórą napierających na niego pełnych piersi.

- Nie boję się ciebie, słyszysz? - Melodyjny głos wyrwał go ze stuporu.

Zaśmiał się krótko, patrząc na jej niewielką, ledwie sięgającą mu ponad splot słoneczny postać o zaciętej twarzyczce.

- To dobrze, dziewczeczko! - prawie wykrzyknął. - Bardzo dobrze, bo nie zrobię ci żadnej krzywdy.

- Nie zrobisz - powtórzyła pewnie, ale jej twarz odrobinę złagodniała.

- Samaś tu? - zapytał niewinnie woj.

- Nic ci do tego, sama czy nie! Chcesz czego?

- Czym ja ci zawinił, dziewczeczko, że się tak na mnie sierdzisz? - W głosie mężczyzny szcęknęła twardsza nuta.

Dziewczyna drgnęła odrobinę nią spłoszona, opuściła oczy, wydęła niewinnie usteczka.

- Idę po bitwie podstępem przez nieprzyjaciół wygranej - kontynuował wojownik. - Pomocy szukam, bom ranion, i druhów, com ich w rozgardiaszu odwrotu pogubił. Źle mi na sercu i smutno wielce. Gdym cię ujrział, pomyślałem, podejść, choć oczy chwilę ucieszę pięknym widokiem, powiem ci, żeś najładniejsza krasawica, jakom widział. A ty co? Kołki mi na łbie ciosasz, jakbym ci co złego uczynił!

Dziewczyna nieśmiało podniosła ciemne oczy, założyła dłonie za plecami, jedną nóżkę wsparła na paluszkach, tak że w rozcięciu gieżła błysnęło smukłe udo.

- Myślisz, że jestem piękna? - spytała cicho odmienionym słodkim głosem.

- I to jak, dziewczeczko - odparł woj bez chwili wahania. - Najładniejsza krasawica, jakom widział! Klnę się na wszystko!

Mokra koszula upadła na kamienie brzegu, a wolna dłoń dziewczki delikatnie spoczęła na piersi mężczyzny.

– Ty też jesteś niebrzydki – szepnęła, stawiając mały krok do przodu.

– Tak?

Wielkie, umięśnione ramię owinęło się wokół jej wątłej kibici.

– Tak.

Ich usta przyłgnęły do siebie na moment. Jego spękane i twarde, jej – jędrne i miękkie jak czereśnie.

– Połóż się – szepnęła.

– Tu?

– Tak. Teraz. Szybko.

Uśluchał bez chwili zwłoki. Wpierw siadając, a potem kładąc się na mokrych otoczakach, pośród których wiły się wąskie wstążki wody umykające rzece. Dziewczyna stanęła nad nim okrakiem, wolno podciągając giezło jedną ręką, przysiadła coraz niżej. W końcu poczuł jej pośladki delikatnie opierające się o jego uda. Dłoń wsuwającą się pod pas. Ciepło od niej bijące, które rozlewało mu się przyjemnie po brzuchu. Wygiął się w tył i jęknął z rozkoszy.

Ból rozbłysł mu niespodziewanie pod czaszką. Wojownik w pierwszym odruchu spróbował się zerwać na nogi. Ciężar siedzącej na nim dziewczyny spowolnił go jednak. Natomiast kolejne uderzenie w głowę powaliło ponownie na plecy. Mężczyzna uchylił powieki, zogniskował spojrzenie. Spostrzegł, jak jego niedoszła kochanka z upiornie wykrzywioną twarzą wznosi w górę uzbrojone w kijankę ramię.

W rubinowej poświacie zachodzącego słońca odbijającej się w nurcie małej rzeczki nikt, kto by tamtędy przechodził, nie spostrzegłby nawet, że jej bystre wody przybrały kolor karmazynu. I nic już tamtego wieczoru nie mąciło sielanki na polach obok niewielkiego mostku, poza mokrym stukaniem, które niedługo później ucichło. Cichego jak szept siorbania i tak nie dało się usłyszeć pośród szemrzenia wody.

\* \* \*

W ciągu wielu dni, które nastąpiły później, moc wojowników pokonało mały drewniany mostek przerzucony nad wąską rzeczka. Całe ich gromady ścigały się nawzajem lub umykały przed sobą po bliższej i dalszej okolicy. Nikt jednak nie widział panny odzianej jedynie w gieszło, piorącej na brzegu rzeki. Nie pokazywała się tam, chociaż nigdy nie odeszła daleko. Czuwała w pobliskim zagajniku, odrobinę odleglejszym borze, wśród zbóż rosnących na polach, aż do pewnego wieczoru, kiedy na drodze prowadzącej do mostu pojawił się samotny junak. Mimo iż mężczyzna niósł wiadra z wodą, z daleka widać było, że to żaden parobek. Strzelisty, mocno zbudowany, chociaż szczupły, szedł sprężystym krokiem, z głową dumnie uniesioną i lustrował okolicę bystrym wzrokiem. Od razu przykuł uwagę pięknej rusalki, która sobie tylko znanymi ścieżkami przesmyknęła się przez pola do boru, od niego do zagajnika, a stamtąd na kamienisty brzeg rzeczki, gdzie szybko dobyła z torby spraną koszulę, wrzuciła ją do wody i ją energicznie okładać kijanką.

Wiedziała dokładnie, kiedy nadejdzie. Nasłuchiwała. Wkrótce jej uszu dobiegły ledwo słyszalne kroki, które zwolniły, kiedy zagrały pod nimi sosnowe bale. Wiadra stuknęły i zachlupały wesoło, odstawiane. Rusalka czuła na sobie wzrok mężczyzny. Łaskotał przyjemnie jej kark, prawie jakby był fizyczną pieśczętą. Zerknęła ukradkiem w górę rzeczki. Młodzieniec stał tam i przyglądał się jej ciekawie. Trwało to przez chwilę, aż nie wytrzymała i podniosła się, udając, że ociera pot z czoła, wyprężona jak kotka. Niby zaskoczona odwróciła się gwałtownie i wzięła pod boki, patrząc na wprost postaci stojącej na moście. Junak drgnął niespokojnie, zupełnie chłopięcym gestem zakłopotania podrapał się w tył głowy, po czym bez skrępowania zamachał do niej wesoło. Dziewczyna w odpowiedzi tupnęła nogą i pogroziła mu palcem.

Liczyła, że natychmiast do niej podejście i zacznie przeproszać lub komplementować jej urodę, albo chociaż krzyknie coś z daleka na powitanie. Nie zrobił jednak nic. Stali więc tylko, gapiąc się na siebie niemo z odległości kilkudziesięciu kroków.

– Będiesz tak stał jak kołek? – krzyknęła w końcu zniecierpliwiona mamuna.

Mężczyzna drgnął, jakby wyrwany z transu, obrócił głowę ku opadającemu słońcu i podniósł szybko wiadra.

– Chodź na chwilę, mam ci coś do powiedzenia – przywołała go, widząc, że gotuje się odejść.

– Nie mogę! Gospodyni na mnie czeka!

– Ino na chwilę!

– Nie mogę! Jutro! Jutro w południe czekać tu będę na ciebie, dobrze?

*Jutro?* – pomyślała wiła. *Jakie jutro? Chłopy zawsze chcą dziś, teraz, rach-ciach.*

– Nie wiem – odkrzyknęła.

– Jutro! Choćbym dzień cały miał spędzić, czekając!

Po tych słowach ruszył w swoją stronę. Szedł żwawo i pewnie, ale nim droga zakręciła, by przeciąć zagajnik, zwolnił nieco i posłał jej długie, tęskne spojrzenie. Z tej odległości nie mógł dostrzec, jak urocza praczka uśmiecha się do niego rzędem małych i ostrych ząbków.

\* \* \*

Niedługo po brzasku mamuna pojawiła się w okolicy mostku. Wędrowała niecierpliwie po zagajniku, leżała ukryta wśród polnych kwiatów polany. Obserwowała nielicznych ludzi przemierzających drogę, nie pokazywała się jednak. Czekwała na młodzieńca, z którym rozmawiała dzień wcześniej. Zastanawiała się, czy naprawdę przyjdzie, jak również nad tym, co powstrzymało go przed podejściem do niej dzień wcześniej.

*Może nie widział mnie dobrze?* – rozważała.

Ranek upłynął szybko, a gdy słońce zawisło w najwyższym punkcie błękitnego sklepienia, na mostku pojawił się junak. Widziała, jak stoi i rozgląda się ciekawie. Jak schodzi ostrożnie na brzeg, gdzie powitała go wczoraj. Już miała wyjść z ukrycia i zbliżyć się do niego, gdy inna myśl zaświtała jej w głowie.

*Poczekaj sobie. Tak jak mnie kazałeś czekać.*

Czekał więc. Chodził wzdłuż kraja rzeki, kręcił wśród traw polanki, nie wiedząc nawet, jak blisko niej kilka razy przeszedł. Odwiedził mały zagajnik, poleżał jakiś czas w jego cieniu, by schronić się przed upałem. Dopiero gdy blask słońca zaczął przygasać, wstał, rozejrzał się jeszcze raz dookoła, westchnął smutno i ruszył z powrotem w stronę mostku.

– Zaczekaj! – krzyknęła za nim mamuna.

W tej samej chwili podniosła się z wysokiej trawy, pozwalając, by ją zobaczył. Niewidocznym, wprawnym ruchem wcisnęła za krawkę na plecach kijankę i postąpiła ku niemu.

Odwrócił się z uśmiechem, ale nie ruszył w jej stronę, tak jak się tego spodziewała. Stał i patrzył na nią rozmarzonym wzrokiem soczyście zielonych oczu. Panna zwolniła kroku, podeszła ostrożnie jeszcze kawałek, jednak stanęła w pewnej odległości od niego.

– Przyszłaś – powiedział po prostu.

– Przyszłam. Czekalesz?

– Czekałem.

Zapadło milczenie i dwójka młodych wpatrywała się w siebie jakiś czas, zasłuchana w szum rzeki i wieczornego, ciepłego wiatru. W końcu junak uczynił krok w stronę wiły i wyciągnął w jej kierunku otwartą dłoń, na której spoczywała niewielka drewniana rybka.

– To dla ciebie.

Ona również zbliżyła się do niego. Delikatnie, samymi koniuszkami palców podniosła figurkę i przyjrzała się jej ciekawie.

– Dla mnie? – uśmiechnęła się i zatrzepotała rzęsami. – Sam to zrobiłeś?

Skinął głową.

– Niedługo zrobi się ciemno – stwierdził, zerkając na horyzont. – Powinnaś wracać do domu.

– Nie boję się ciemności – oznajmiła hardo.

Mężczyzna roześmiał się.

– Nie. Oczywiście, że nie, ale czy to wypada, żebyś włóczyła się po nocy w towarzystwie nieznajomego?

– Nie przejmuję się tym, co wypada. Robię, co chcę.

– A zechcesz się ze mną spotkać jutro?

Zaskoczył ją tym pytaniem.

– Dlaczego jutro? – odrzekła rozgniewana. – Co jest nie tak z dzisiaj? Co było nie tak z wczoraj?

– Powiem ci jutro – uśmiechnął się, przygryzając wargę.

Podeszła do niego. Ujęła w dłoń warkocz, wypływający spod uplecionego w ciągu dnia wianka z polnych kwiatów: czerwonych jak jej usta maków,



błękitniejszych od nieba chabrów, pomarańczowych jak zachodzące słońce nagietków. Bawiła się cienkim kosmykiem włosów na końcu, wodząc nim po wycięciu giezła, tuż nad piersiami. Podniosła na niego wielkie ciemne oczy, wolno oblizała wargi i szepnęła:

– Nie chcesz mnie?

Patrzył na nią przez chwilę z zaciekawieniem, jego twarz z uśmiechniętej stała się poważna.

– Przepraszam – powiedział w końcu. – Pragnąłem towarzystwa, nie przygody. Pomyliłem się.

Mężczyzna odwrócił się wolno i zaczął iść w stronę mostku. Rusałka wypuściła z ręki warkocz. Oniemiała, zapomniała nawet o ukrytej na wyciągnięcie ręki kijance, nie pomyślała, że ten moment mógłby być idealny, by zrobić to, po co naprawdę tam przyszła. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, aby mężczyzna po prostu od niej odszedł.

– Pężyрка! – krzyknęła za nim, dziwiąc się sama sobie.

Przystanął, nadal się nie odwracając.

– Mam na imię Pężyрка.

– Czębor – odparł i ruszył dalej, zostawiając ją samą bez pożegnania.

\* \* \*

Pężyрка została nad rzeką jeszcze długo po odejściu Czębora. Obracała w palcach małą drewnianą rybkę, przyglądała się jej z różnych stron. Potem brała niewielkie kamyczki i wrzucała je do rzeki. Miesiąc błyszczał jasno nad jej głową, oświetlając brzeg. Boginka myślami raz po raz wracała do nowo poznanego mężczyzny.

*Czy naprawdę chciałby mnie poznać? – pytała samą siebie. Co by pomyślał, gdyby dowiedział się o mnie prawdy? Czy nadal pragnąłby mojego towarzystwa?*

Odpowiedziało jej jedynie granie świerszczy i do jego wtóru wiła dumiała nadal o tajemniczym Częborze, który nie pragnął jej tak, jak inni mężczyźni, przez co i ona musiała zadać sobie pytanie, czy pragnie go tak samo jak innych mężczyzn. Z zamyślenia wyrwało ją odległe, acz głośne czknięcie, które śmignęło nieoczekiwanie przez chłodne powietrze nocy. W kilka chwil później, jakby je goniąc, dobiegły ją bełkotliwe słowa sprośnej piosenki.

Pężyрка wstała i znowu spojrzała na ściszaną w dłoni kijankę, dochodząc do wniosku, że lepiej będzie się jej snuło rozważania z pełnym brzuchem.

\* \* \*

Następnego dnia trel ptaków obudził rusałkę, która słysząc go, od razu pojęła, że nocna włóczęga i rozmyślenia sprawiły, iż spała dłużej niż zazwyczaj. Czym prędzej wypadła ze swojej groty i nie zatrzymywała się, aż nie dotarła do zagajnika nad rzeczką. Przez całą drogę zastanawiała się gorączkowo, czy Czębor przyjdzie się z nią spotkać, czy może uprzedniej nocy zniechęciła go do siebie zupełnie. A co, jeżeli się pojawi? Co ona wtedy zrobi?

Zatrzymała się przy linii drzew. Był tam. Stał pośrodku rzeczki z podwiniętymi nogawkami, bez koszuli, zastygły w bezruchu, pochylony nad bystrym nurtem, jedną rękę trzymał wypuszczoną na bok, drugą zaś zawieszoną nad powierzchnią wody. Nagle uderzył błyskawicznym ruchem, w rozbryzgu kropel coś zalsniło, a uderzenie serca później na brzegu podskakiwał dorodny boleń. Pężyрка wciągnęła głośno powietrze i klasnęła w dłonie. Mimo że dzieliła ją od junaka spora odległość, ten natychmiast obrócił się i spojrzał w jej stronę. Podeszła do niego wolno, rozmyślnie nęcąco kołysząc biodrami i gdy stanęła naprzeciw, pokręciła z uznaniem głową, po czym klasnęła ponownie.

– Winszuję! – powiedziała. – Nigdy nie widziałam, by ktoś tak łowił ryby. No, chyba że niedźwiedź.

Czębor uśmiechnął się pod wąsem i puścił do niej oko.

– Właśnie niedźwiedź mnie tego nauczył.

– Kpiarz – prychnęła.

– Na mą duszę, mówię szczerą prawdę! – zachnął się mężczyzna.

– Okropny kpiarz!

– Wcale że nie! Mego brata wołają Niedźwiedź i to on nauczył mnie tak łowić.

Wiła przyglądała mu się chwilę z uwagą.

– A jego kto nauczył?

– Twierdzi, że prawdziwy niedźwiedź.

Pężyрка wybuchnęła perlistym śmiechem.

– Jesteś najpaskudniejszym kpiarzem, jakiego spotkałam, Częborze. Ale cieszę się, że przyszedłeś, nie byłam pewna czy...

– Ja też się cieszę – przerwał jej szybko. – Było warto tylko po to, aby usłyszeć, jak się śmiejesz. Zjesz ze mną?

Kiwnęła głową.

– Nazbieram chrustu – zaoferowała się ochoczo.

– Wszystkim się zajmę. Ty sobie usiądź. Odpocznij.

– Nie mów mi, co mam robić! – prychnęła, pokazując mu język.

Obróciła się na pięcie i ruszyła do zagajnika w poszukiwaniu drewna na ognisko, cały czas jednak zerkając niepostrzeżenie na swego towarzysza sprawiającego rybę. Niedługo później, gdy ogień zapłonął gorąco pod rusztem ustawionym z patyków, a piękny boleń zaczął skwierczeć, miała okazję przyjrzeć się tajemniczemu mężczyźnie nieco bliżej. Podziwiała jego smukłe mięśnie, malunki wytrawione na skórze, zastanawiała się nad historią licznych starych blizn, świeżych skaleczeń i siniaków.

– Jesteś wojem? – zdecydowała się w końcu przerwać ciszę.

– To takie oczywiste? Myślałem, że jeżeli nie będę nosił broni, nikt się nie domyśli.

– Te blizny, malunki... – zacukała się. – To dość oczywiste. Byłeś w tej w bitwie, prawda?

Czębor zacisnął szczękę i pięści. Kiwnął głową.

– Przegraliście – bardziej stwierdziła, niż spytała.

Kolejne skinienie głową. Na chwilę znów zapadło milczenie.

– Wszyscy wojowie, którzy kręcili się po okolicy, wracają albo już wrócili do domów. Czemu ty nie odszedłeś?

Junak westchnął głęboko i odwrócił twarz.

– Nie mogę. Podczas bitwy rozdzielono mnie z moim bratem. Zawsze umawialiśmy się, że gdyby coś takiego się zdarzyło, spotkamy się w trzeciej wiosce na wschód od placu boju. To tu, więc siedzę i czekam na niego. Jedna starsza kobiecina pozwala mi spać w szopie w zamian za pomoc w gospodarstwie.

– Od bitwy minęło wiele dni... – zaczęła dziewczyna łagodnie.

– Nie! – Czębor uniósł ręce, odpowiadając na pytanie, które wcale nie padło.

– Częborowi nic nie jest, może musiał gdzieś się przycząić. Uwierz mi, nie

pomyślałabyś nawet o tym, gdybyś go znała. Jediną osobą, która zdołałaby zabić mojego brata, jest on sam, a o to go nie podejrzewam – zaśmiał się nerwowo.

– Taki wielki z niego wojownik? – spytała Pężyрка, chcąc sprowadzić myśli Czębora na weselsze tematy.

– Wielki to właściwe słowo! O łeb wyższy ode mnie i ze dwa albo i trzy razy szerszy, a ja sam, jak widzisz, ułomkiem nie jestem. Wygląda przy tym jak dziki zwierz, cały kudłaty i brzuchaty, włos rozwiany, broda jak czarna kosodrzewina wisi mu aż do brzucha. Zdarzało się, że ludzie pierzchali na sam jego widok, biorąc go właśnie za prawdziwego niedźwiedzia, a kilka razy nawet za wilkołaka.

Parszywe przecucie zaczęło kielkować w sercu wiły.

– Nie wiesz, czy nie został ranny? – spytała.

– Zdaje mi się, że widział, jak jeden z jeźdźców ugodził go włócznią w lewe ramię. Ale takie zadrapanie to dla niego drobnostka. Potem szyk się złamał i straciłem go z oczu. Czemu pytasz?

– Może rana powstrzymuje go od podróży – wyszeptowała, wbijając wzrok w swoje bosa stopy. – Pewno dotrze tu, jak tylko trochę wydobrzeje.

– Tak – zgodził się Czębora. – Pewnie tak właśnie jest.

– A wtedy odejdziesz...

– Może...

– Może?

– Tak, Pężyрко, może. Widzisz, w tej ostatniej bitwie zdążyłem pożegnać się z życiem. Byłem pewien, że nie uniosę cało głowy, potem wiele dni sam uchodziłem pościgowi. Nie mogąc spać, noce przepędzałem na rozmyślaniach ukryty w wykrotach albo przytroczony pasem do gałęzi, wysoko na drzewie. Spojrzałem wstecz na swoje życie i zrozumiałem, że nigdy nie byłem dobrym człowiekiem. Mordowałem, kłamałem, oszukiwałem, zdradzałem. Kobiety, które były dla mnie cudowne, rozkochywałem w sobie i porzucałem, a potem jeszcze wyśmiewałem ich naiwność. Ba! Nieraz zakładaliśmy się z bratem o to, czy uda się któremuś z nas spędzić z jakąś dziewczką noc albo kogoś zabić. Nie dokonałem w życiu niczego, czym mógłbym się pochwalić, Pężyрко. Niczego! Ale chciałbym to teraz zmienić. Kiedy ujrzałem cię tamtego dnia, stojąc na moście, od razu cię zapragnąłem, ale chwilę później powiedziałem sobie: *Nie,*

*Częborze, nie zrobisz tego, ta dziewczyna będzie pierwszym krokiem, który postąpisz, aby stać się lepszym człowiekiem.*

– Ja?! – spytała kompletnie zbita z pantafiku mamuna.

Wojownik delikatnym gestem ujął jej dłoń i spojrzał głęboko w oczy.

– Przepraszam, Pężyрко, nie miałem zamiaru zrzucić na ciebie tego wszystkiego, ale chcę być z tobą zupełnie szczerzy. Przede wszystkim dlatego, że masz w sobie coś takiego, co sprawia, że czuję, iż mogę powiedzieć ci wszystko, największą nawet tajemnicę. Muszę tu zostać tak długo, póki nie odnajdzie się mój brat, myślę, że to czas, jaki podarował mi los, bym spędził go z tobą, spróbował cię poznać. Kiedy natomiast Czycibor tu przybędzie, zdecyduję, co zrobić dalej. Może ruszę znowu z nim, a może... a może nie.

– Zostałbyś dla mnie?

– Nie wiem jeszcze, a nie złożę już nigdy żadnej obietnicy, której nie jestem pewien, że mogę dotrzymać.

Boginka nie odpowiedziała nic więcej, jedynie przyglądała się Czyciborowi uważnie i nie spuszczała z oka, nawet gdy ten wstał, żeby ściągnąć gotową już rybę z nad ognia. Znowu utonęła we własnych myślach. Rozważała to, co jej powiedział, zastanawiała się, jakie może mieć to znaczenie dla niej samej. Czy w ogóle powinno mieć to jakieś znaczenie? Gdy tak odpływała coraz dalej wewnątrz siebie, jej dłoń mimowolnie zaczęła pieścić rączkę wciśniętej za krawędź kijanki.

\* \* \*

Od tamtego poranka Pężyрко i Czycibor widywali się codziennie. Wspólnie spacerowali, zbierali zioła, leśne owoce, rozmawiali, śmiali się i jedli. Spędzali w swoim towarzystwie prawie całe dni, mimo to wojownik nigdy nie pozwolił mamunie zbliżyć się do siebie fizycznie, ona natomiast zawsze spotykała się z nim pod pretekstem zrobienia w rzece prania i nigdy nie rozstawała ze swoją kijanką.

Z początku rozstawali się zawsze o tej samej porze. Nim słońce zniknęło całkowicie za pofalowaną linią łagodnych pagórków, Czycibor wracał do swojej gospodyni. Pężyрко natomiast pod pretekstem powrotu do domu zniknęła w zagajniku, by wykraść się z niego niepostrzeżenie chwilę później i ruszyć na

łowy. Jednak już po kilku dniach, gdy pogrążeni byli w rozmowie przy pełgających płomieniach małego ogniska, na którym junak przygotował wcześniej podpłomyki, zastała ich noc. Zapatrzonych na siebie, zasłuchanych wzajemnie w brzmienie swoich głosów.

– Ciemno już – zauważył nagle Czębor.

– Musisz iść? – Wiła drgnęła niespokojnie, jakby chciała już wstać.

Mąż zamyślił się chwilę, rozglądając wokoło.

– Muszę... – rzekł ostrożnie, z namysłem. – Ale tego nie zrobię. Za dobrze mi tu.

– Za dobrze? – parsknęła z niedowierzaniem.

– Tak. Upał wreszcie zelżał, bryza wieje mi na twarz, od rzeki. Miesiąc błyszczący prawie tak pięknie jak ty.

Rusałka zaśmiała się.

– Pochlebca. – Pokazała mu język.

– Mówię z serca, Pężyрко. Przyjmij lub nie, ale, proszę, nie szydź.

Mamuna opuściła wzrok, czując, jak oblewa ją rumieniec.

Zapadła cisza, walcząca o miejsce na kamienistym brzegu ze szmerem rzeczki, szumem liści, pogwizdywaniem wiatru i graniem świerszczy ukrytych w wysokiej trawie.

– Słyszysz? – odezwał się w końcu wojownik. – Prawie jak melodia.

– Melodia! – podchwyciła ochoczo, zrywając się na nogi i wyciągając rękę w jego stronę. – Zatańcz ze mną!

Junak popatrzył na nią smutno. Bez słowa podwinął nogawkę, pokazując zamotany dookoła łydki gruby opatrunek.

– To z bitwy?! – zapytała zdumiona.

Kiwnął głową.

– Ale nawet nie kulejesz! – Wzięła się pod boki i otaksowała go podejrzliwie.

– Chodzenie to jedno – powiedział. – Za to taniec, tu, na mokrych głazach... Jeśli otworzy mi się rana, zaniesiesz mnie do gospodyni? – zażartował.

Rusałka zastanawiała się przez chwilę nad jego słowami. Cała rwała się do tańca, tak dawno nie miała ku temu okazji. Chciała płasnąć, aż nastanie świt, aż jej junak opadnie z sił, aż zsunie się w szemrzącą toń i... odegnała szybko tę myśl.

– A patrzeć możesz? Czy oczy też ci w bitwie ranili? – zgrzytnęła z przekąsem.

– Mogę – zaśmiał się. – I chcę.

W brzmieniu jego głosu było coś, co sprawiało, że uwierzyła, że chciała jeszcze bardziej zatańczyć, już nie z nim, a dla niego. Wolno przesunęła bosą stopą po gładkich kamieniach. Rozłożyła ręce. Wygięła ciało. Zastuchana w muzykę płynącą zewsząd zawirowała. Wiła się i płasała pośród nocy. Tańczyła z księżycem i gwiazdami, brała w objęcia wiatr wiejący od zachodu, chwytając zapach polnych kwiatów i ziół rosnących dookoła. Tylko od czasu do czasu zerkając ukradkiem na wpatrującego się w nią mołojca. Spodziewała się, że jej taniec go rozpali, że roztopi jego wstrzemięźliwość jak wiosenne słońce uparty, zamarznięty śnieg.

W końcu udało jej się zajrzeć mu w oczy, śledzące jej każdy ruch – zaiste dostrzegła w nich zachwyty. Nie był to jednak wzrok, którym przywykła być obdarowywana przez mężczyzn. Nie przebijał jej na wylot. Nie błyszczał od chuci i niecierpliwości. Nie miała też wrażenia, że wybiega nim w niedaleką przyszłość, pełną jedynie jego własnych pragnień i nadziei. Czębor patrzył na nią tu i teraz. Całym sobą chłonąc trwającą chwilę.

*Oczy nie kłamią* – pomyślała Pężyрка.

Zawirowała szybciej. Nie wiedząc nawet, kiedy uchyliła usta i wypuściła z piersi szczery, dźwięczący śmiech, do którego po chwili dołączył drugi – głęboki i głośny.

Mamuna opadła na kolana przy junaku. W porywie upojenia chwyciła jego rękę i przytuliła ją do twarzy. Nie cofnął się. Wręcz przeciwnie. Ujął jej drugą dłoń i przyciągnął do ust. Pieszczotliwie musnął wargami jej wnętrze. Przysunęła się do niego. Bardzo powoli, tak blisko, że ich nosy prawie się już dotykały. Dopiero wtedy Czębor delikatnie pokręcił głową, nie odwracając wzroku.

– Nie – szepnął.

– Dlaczego nie chcesz? – syknęła Pężyрка, czując, jak przepelniająca ją błogość zaczyna ustępować złości.

– Mówiłem ci, nie szukam przygody.

– To dalej byłaby tylko przygoda?

Nagle puściła go i się odsunęła.

– Nie... już nie – odparł spokojnie, mocniej ściskając rękę, której w przeciwieństwie do niej nie puścił. – Ale tu, na kamieniach, nad rzeką czułbym się tak jakby nią była, rozumiesz? Chciałbym inaczej, tak by to było niezapomniane dla nas obojga... Tak, aby to było coś nowego. Dla nas obojga.

Zaśmiała się wyzywająco, patrząc na niego z góry.

– Zabierzesz mnie do zamku? Do wielkiego łoża nakrytego futrem?

– Oczywiście! – Na jego twarzy zagościł cień uśmiechu. – Najpierw jednak podaruję ci suknię, całą z czerwonego jedwabiu. Naszyjnik ze złota i pereł, pierścienie ze szmaragdami, żebyś wyglądała jak prawdziwa królowa!

– Kpiarz! – pisnęła na poły nadąsana i rozbawiona.

– Na mą duszę! – krzyknął Czębor, bijąc się wolną ręką w pierś.

Oboje zaśmiali się, a junak delikatnie pociągnął ją za rękę i obrócił tak, by móc przytulić się do jej pleców. Ona złapała jego silne ramiona. Zapatrzyli się razem w nocne niebo.

– Mów dalej – szepnęła rusałka. – Co jeszcze mi kupisz?

– Kupię?! – zdziwił się mąż. – Jestem biednym wojem, nie stać mnie na kupno takich rzeczy.

Pężyрка stęzała. Podniosła głos w udawanej złości.

– To jak masz zamiar mi dać to wszystko, co już obiecałeś?

– Ukradnę.

– A zamek? – zachichotała. – Też ukradniesz?

– Zamków się nie kradnie! – oburzył się. – Ale można podbić. Znajdziemy jakiś, który ci się spodoba i podbiję go dla ciebie.

Wykręciła się, na ile mogła w jego ramionach i dała mu łokciem kuksańca w bok.

– A co z byciem lepszym człowiekiem?

– Dla ciebie, Pężyрко... – szepnął jej w ucho z tak bliska, że poczuła na skórze jego gorący oddech. – ...mógłbym nawet podpalić świat i dalej czuć się jak najlepszy z ludzi.

\* \* \*



Chociaż widywali się jedynie tydzień, Pężyрка szybko zdążyła przywyknąć do tych spotkań. Od kiedy Czębor pojawił się w jej życiu, znowu mogła z kimś rozmawiać, ponownie śmiała się, a przede wszystkim miała inny powód do opuszczenia swej groty niż polowanie. Tylko jedno psuło jej sielankę. Za każdym razem, kiedy młody wojownik wspominał swego brata, stawał jej przed oczami rosty mołojec o zmierzwionej czuprynie, z ręką wiszącą na brudnej chuście. Widziała, jak kijanka spada na jego głowę raz za razem, zmieniając ją w bezkształtną, krwawą masę. Czują na języku słodki smak jego juchy i wtedy nawiedzało ją uczucie, o którym dawno zdążyła zapomnieć. Zimna pustka ssła ją w trzewiach, głowa robiła się lekka i ciężka zarazem, a ją samą ogarniał smutek.

– Musisz go bardzo miłować – nie wytrzymała pewnego razu, gdy Czębor znów opowiadał o Niedźwiedziu.

– Jest całą moją rodziną, najlepszym druhem, towarzyszem broni. Jest moim bratem, ojcem i synem, w zależności od sytuacji.

– Czy ty znaczysz dla niego równie wiele?

– Bez wątpienia! – Wojownik nie zawahał się nawet przez moment. – Zrobiłby dla mnie wszystko, podobnie jak ja dla niego. Zawsze powtarza, że tak naprawdę jesteśmy tylko my dwaj. Ja i on przeciwko reszcie świata.

– To musi być bardzo... męczące. Jak i samotne.

Oczy junaka rozszerzyły się nagle w zdumieniu. Po chwili opuścił wzrok.

– Wszyscy zawsze uważają, że to niesamowicie chobre, brawurowe, że każdemu rzucamy wyzwanie. Wszystkim ludziom i bogom naraz.

– Ale kiedy jesteś sam, a za wroga masz wszystko i wszystkich dookoła, kiedy musisz wciąż pilnować pleców swoich i osoby, którą miłujesz, bez wytchnienia martwiąc się o jej los, to musi być wyczerpujące.

Wojownik pokiwał głową i westchnął ciężko.

– Dziękuję ci. Nikt tego nigdy wcześniej nie rozumiał.

– A Czçibor?

Czębor uśmiechnął się smutno i wzruszył ramionami.

– Nigdyś mu się nie zwierzył z tego, jak się czujesz? – syknęła zdumiona Pężyрка.

– Niedźwiedź nie jest osobą, której ktokolwiek chciałby się zwierzać. Więcej warczy i chrzaka, niż mówi, z jego szczeciniastej kamiennej facjaty nie da się

wyczytać żadnych uczuć, poza może gniewem, który zdaje się tam stale gościć. Jak już się odezwie ludzką mową, to po to jeno, by gadać o żarciu, picciu, zabijaniu albo z kogoś szydzić. Czasem, niezwykle rzadko, gdy kogoś polubi, zazwyczaj zwierzę albo kobietę, staje się dziwnie, niepokojąco dobrotliwy.

– Dlaczego dziwnie, a na dodatek niepokojąco?

– Nie wiem, ale trochę wygląda to tak, jakby prawdziwy niedźwiedź próbował pogłaskać małe puchate kaczątko, a ty, patrząc z boku, nawet jeśli znasz jego intencje, to i tak boisz się, że maleństwo raczej nie przeżyje tej całej niepojętej dobroci.

Pężyрка, która wyobraziła sobie tę scenę, zaczęła się śmiać tak mocno i długo, że aż rozbolał ją brzuch. Chwilę później nawiedził ją obraz kosmatej, groźnej twarzy, przemawiającej łagodnie i nazywającej ją „dzieweczką” i „krasawicą”. Znowu posmutniała.

– Może... może gdy Czcibor tu przybędzie, porozmawiacie o tym. Powiesz mu, że jesteś zbyt strudzony, by ciągnąć to dalej, że potrzebujesz wytchnienia. Przecież cię miłuje, pojmie to. Kto wie, może nawet zdecyduje się zostać tu z tobą i samemu również spróbować żyć inaczej?

– Nie, Pężyрко. Mój brat nade wszystko miłuje wojnę. Walka to jego żywioł. Dlatego właśnie nosi takie imię, a nie inne – ten, który czci bóg.

– A ty to ten, który często wojuje?

– Zawsze jakoś, zazwyczaj przypadkiem, udaje mi się narobić sobie wrogów. Rusałka pokręciła głową.

– Mnie to brzmi tak, jakbyście w ogóle do siebie nie pasowali.

– A zarazem jesteście dla siebie stworzeni. Jak topór i tarcza.

Na kamienistym brzegu rzeczki zapadło przedłużające się milczenie. Natrętne uczucie smutku i ciężaru spoczywającego na barkach mamuny rosło. Nagle zaświtała jej w głowie szalona myśl, że jeżeli powie Częborowi, co zrobiła, to niepokojące uczucie zniknie. Już otwierała usta, ale zamknęła je z powrotem. Co wtedy zrobi jej junak? Czy nie będzie chciał wziąć na niej zemsty za śmierć brata? Czy możliwe jest, żeby po tym wyznaniu chciał dalej przy niej trwać? Czy ona tego chciała? Tak. Tak, co do tego nie miała wątpliwości, ale nie mogła dalej czekać z nim na brata, który miał się nigdy nie pojawić. Jej ręka powędrowała za plecy. Poczowała pod palcami kojący dotyk białej wymoczonej dębiny. Powie mu

i niech się dzieje, co chce. Zrozumie, że uwolniła go od Czcibora, dała mu władzę nad własnym życiem, albo nie zrozumie. Wtedy jedno z nich zostanie na tym brzegu, a drugie znów będzie wolne. Samotne, ale wolne. Podjęła decyzję.

– Czębor... ja... muszę ci coś wyznać... Ja...

– Wiem – wszedł jej w słowo.

– Wiesz?! – krzyknęła zdziwiona.

– Tak, ale czekałem, aż sama zechcesz mi to powiedzieć.

– Jak się domyśliłeś? – spytała nerwowo, starając się wybadać, jakie uczucia kryje jego serce.

– To było równie oczywiste jak to, że jestem wojownikiem. Włóczył się całymi dniami sama, bosa i jedynie w gieźle. Gdy się rozstajemy, odchodzisz w bór, gdzie nie ma ani wsi, ani żadnych domów. Nigdy nie rozstajesz się z tą przeklętą kijanką i trochę zbyt często jak na praczkę masz zaschniętą krew pod paznokciami.

Przerażenie złapało wileń za gardło. Odsunęła się od swego towarzysza jak oparzona, instynktownie jej ręka złapała za rączkę kijanki. Była gotowa na atak, czuła, jak jej mięśnie się napinają, jak cała drży, a jej oddech przyspiesza.

*Czy to strach?* – przeszło jej przez myśl.

– Pężytko? – przemówił Cząbor łagodnie. – O co chodzi?

Patrzyła na niego jak zwierzę zapędzone w pułapkę, nadal nie wypowiadając ani słowa.

– Przepraszam – wyszeptał zakłopotany. – Wiem od jakiegoś czasu, że nie jesteś zupełnie człowiekiem, chociaż nie mam pojęcia czym... kim właściwie. Mamuną, wileń, rusalką, boginką?

*Ja też nie...* – przemknęło jej momentalnie przez głowę, ale od razu odgoniła natrętną myśl.

– Powinienem jednak pozwolić ci to samej oznajmić – kontynuował spokojnie wojownik. Tylko niepotrzebnie cię zażyłem.

Wyciągnął dłoń w jej stronę. Ostrożnie, powoli pogładził ją po ramieniu.

– Ty... – Jej głos brzmiał sucho, chrapliwie. Do końca sama nie wiedziała, o co chce go zapytać. – Nie boisz się?

Cząbor przez chwilę ociągał się z odpowiedzią, jakby szukając właściwych słów.

– Z początku, gdy to pojął, ale potem doszedłem do wniosku, że gdybyś chciała mnie zabić, miałaś ku temu sto okazji, a jednak wciąż żyję. Nie, Pężyрко, nie boję się i nic mnie to nie obchodzi. Pokochałem cię przez to, jaka jesteś, a nie kim cię stworzono.

Palce do bólu zaciśnięte na kijance poluzowały się nieco; mamuna poczuła, jak oczy zaczynają ją piec i wzbierają w nich łzy.

– Pokochałeś? Upiora?

– Dziewczynę – poprawił ją szybko, a po chwili dorzucił: – Upiora. To nawet lepiej, wiesz? Opowiadałem ci przecież o sobie, wszystkim, com uczynił. Wszystkich zabitych i skrzywdzonych przeze mnie ludziach. Pasujemy do siebie, ja i ty. Dwa potwory, które na powrót odnalazły ludzkie serca.

Przysunął się do niej powoli. Łagodnie ujął jej dłoń we własne, nie spoglądając choćby przelotnie na kijankę, którą wciąż trzymała.

– Kiedy przybędzie Czycibor, powiem mu, że zostaję, a on musi dalej ruszać sam. Wybuduję nam gdzieś małą chatkę pośród boru i będziemy mogli zostać razem, jeżeli tylko mnie zechcesz.

Pężyрко nie odpowiedziała. Przywarła do Czębora. Wtuliła się w jego mocne ramiona. Wolną ręką pogładziła pierś. Odnalazła jego usta i delikatnie musnęła je wargami. Nie odsunął się od niej tym razem, odwzajemnił pocałunek i przytulił ją mocniej. Trwali tak, złączeni czas jakiś, pieszcząc się wzajemnie, żadne z nich nie wiedziało, kiedy junak położył się na wznak, a rusałka znalazła się na nim. Znajoma fala podniecenia ogarnęła jej ciało, a wraz z nią pojawiła się żądza krwi. Kijanka, która wciąż tkwiła w jej dłoni, drgnęła niespokojnie.

Pężyрко uchyliła powieki i spojrzała na mężczyznę przed nią. Głęboko w jego soczyscie zielone oczy wpatrzone w nią z delikatnym wyrazem. Pod ich urokiem nie musiała nawet długo ze sobą walczyć. Jej ramię rozluźniło się samo, ona jedynie rozwarła palce i odłożyła kijankę na ziemię.

W tym samym momencie ostry niespodziewany ból przeszył jej głowę. Świat zawirował. Zmienił się w powódź oślepiającego światła. Wiła poczuła, jak jej bezwładne ciało osuwa się na bok. Ujrzała wiszącą nad sobą postać brodatego olbrzyma ściskającego topór zroszony krwią na obuchu.

*Czycibor! – Pojęła nagle. Nie zabiłam go! To nie był on! Czębor zaraz mu wyjaśni, Czębor...*

W ostatnim przeblysku świadomości zobaczyła, jak bracia obejmują się i klepią po plecach. Usłyszała głos swego junaka:

– Co tak długo?

Potem jaskrawe plamy krążące przed jej oczami zgasły i wszystko pochłonęła ciemność.

\* \* \*

Szmerzenie rzeczki pojawiło się gdzieś na granicy powracającej wolno do Pężyрки świadomości. W jego czyste, kojące tony szybko, jeden za drugim, wkradały się inne dźwięki: odgłos kroków, trzask płomieni, skwierczenie, fałszywe pogwizdywanie. Mamuna drgnęła i natychmiast tępy, pulsujący ból z tyłu głowy przypomniał jej o tym, co się stało.

Uchyliła powieki. Zobaczyła własne spętane nogi zgięte w kolanach, pod które ktoś wsadził kij. Bardzo powoli spróbowała się ruszyć. Daremnie. Cała była dokładnie związana, z rękami założonymi za plecy oraz sznurem owiniętym dookoła niej i sporego głazu, o który została oparta. Sapnęła cicho, lecz wściekle. Fałszywe pogwizdywanie umilkło.

– Obudziłaś się – zabrzmiał chropawy grzmiący głos, od którego rusałce podniosły się włoski na karku.

Mężczyzna był odwrócony do niej tyłem. Siedział w kucki wyraźnie zajęty czymś, czego nie mogła dostrzec zza jego szerokich pleców. Znad jego głowy unosił się dym. Pężyрка rozejrzała się nerwowo, wzrokiem poszukując Czębora lub jakichkolwiek śladów, z których mogłaby się domyślić, co stało się po tym, jak została ogłuszona. Nie znalazła niczego takiego, jednak kątem oka pochwyciła ruch, gdy wojownik, mogący być jedynie Czсібorem, zaczął się podnosić. Spojrzała na niego, a on na nią. Był potężniejszy od mołojca, którego zabiła parę tygodni wstecz, wyższy, szerszy, bardziej zwierzęcy i straszniejszy. Można by go wziąć za starszego, złego brata tamtego. Ubrany w zgrzebną koszulę nieokreślonego koloru, burą rozchełstaną przesywanicę i szerokie portki. U grubego pasa wisiał mu ciężki, złowrogo wyglądający miecz, a po drugiej stronie topór.

– Głodna? – zapytał, nawlekając na zaostrzony patyk oskubanego bażanta.

– Gdzie jest Czębor?! – krzyknęła. Chciała zabrzmieć pewnie, ale głos jej się załamał.

Niedźwiedź schylił się, podniósł drugiego ptaka i również umieścił na kij; postąpił wolno w stronę Pężyryki. Przykucnął naprzeciw niej i wymierzył w nią rożen.

– Ja pytałem pierwszy, ptaszynko – zadudnił. – Głodna?

Rusałka w odpowiedzi charknęła w niego, mierząc między oczy. Mołojec spokojnie otarł dłonią twarz, a następnie roztarł plwocinę o i tak ubabraną koszulę.

– Więcej dla mnie – oznajmił i zaczął się podnosić.

– Gdzie jest Czębor?!

– On ci nie pomoże, kwiatuszku.

– Chcę wiedzieć, gdzie jest!

Olbrzym pokręcił głową. Niespiesznie wrócił do ognia, ustawił nad nim bażanty. Odwrócił się znowu w stronę wiły i zacmokał kilkukrotnie ni to z dezaprobatą, ni to w zamyśleniu.

– Haaa... – westchnął. – Nie wierzyłem mu, gałganowi, a on jednak tego dokonał. Będziesz mnie kosztować cały antał przedniego miodu, ptaszyno. Do czarta z tym basąlykiem!

– O czym ty bredzisz?! – warknęła Pężyryka, która z każdą chwilą sierzdziła się coraz bardziej, zapominając o pierwszym strachu.

– Kiedy po bitwie krążyliśmy po okolicy w poszukiwaniu reszty naszych chłopców, wieśniacy powiedzieli nam o mamunie lub bogince grasującej w okolicy i o tym, że zapłacą, by odzyskać ciała tych, których im ubiła. By mogli ich z czcią pożegnać, pojmujesz. Czębor zapalił się od razu do pomysłu. Jak to on. A ja mu na to: „Braciszku, mamunę ukatrupić to nie problem, ale znaleźć jej zdobycz? Jej leże? Jak myślisz tego dokonać?”. A ten huncwot gada: „Sama mi pokaże”. Oczadział, myślę, ale mówię: „Pokaże ci? A jak ją do tego nakłonisz?”. „Uwiodę ją”, odparł on, a ja aż się zatchłem ze śmiechu. A teraz winienem mu antał miodu – zakończył z goryczą.

Gdy Pężyryka słuchała tej historii, miała wrażenie, jakby w brzuchu rósł jej kopiec mrówek, a żyjątko w irytujący sposób rozchodziły się po całym ciele,

sprawiając, że cierpło, kłuło i swędziało. Oczy zapiekły ją niespodziewanie i poczuła, jak spod rzęs zaczynają płynąć łzy.

– Czębor szuka teraz twego gniazda, ptaszyno – zagrzemiał olbrzym. – Twierdzi, że dość długo miał cię na oku, by samemu je odnaleźć. A jeżeli mu się nie powiedzie, wróci poprosić cię o wskazówki.

Rusałka zwiesiła głowę. Nie chciała, by ten mężczyzna widział, jak płacze. W jej głowie myśli gonili się nawzajem w koło, tworząc ferment, z którego jak na razie nie mogła niczego wyłowić. Niedźwiedź stanął nad nią, przesłaniając słońce, odtoczył od pasa bukłak, wyciągnął zębami korek i zachlupał nim tuż przed jej twarzą.

– Pij – powiedział, ponaglając ją ruchem głowy. – Ulży ci trochę.

Przysunął szyjkę naczynia do jej ust. Pężyрка zerknęła podejrzliwie na twarz olbrzymiego wiciądza i na ile mogła, zbliżyła wargi do otworu. Czębor przechylił naczynie i w usta rusalki wdarła się paląca słodycz. Piła chciwie, pierwszy raz w życiu kosztując miodu. Pierwszy raz od bardzo dawna pijąc coś innego niż krew. Wojownik odjął bukłak od jej ust, sam pociągnął z niego tęgi łyk i zakorkował.

– Powiedz, gdybyś chciała więcej, kwiatuszku – rzekł prawie łagodnie i olbrzymim łapskiem bardzo delikatnie pogłaskał ją po głowie.

*Bogowie! Jestem kaczątkiem...* – pomyślała z przerażeniem.

– Żeby mi się źlej umierało?! – wysyczała, próbując powstrzymać usta od drżenia.

– Hę? – Mołojec uniósł brwi. – Umierało?

– A co ze mną zrobicie?! Puście może?

– Wieśniacy chcieli ino ciała swych bliskich. Nie mówili nic o zabijaniu, więc czemu nie? Poza tym Czębor, zdaje się, naprawdę cię polubił.

Na tę ostatnią uwagę Pężyрка spięła się cała, zacharczała i plunęła na ziemię.

– Pies go trącał! Mam w to uwierzyć? I jeszcze w to, że nie zabijecie upióra, którego macie na łasce?!

Niedźwiedź roześmiał się gromko.

– Ptaszynko. – Jego ton był pobłażliwy, wesoły. – W każdej babie siedzi upiór, mniejszy lub większy, a jednak zwykle żadnych nie zabijamy, chociaż często są na naszej łasce.

Wysoka trawa zaszeleściła cicho od strony zagajnika i na kamienistą plażę wszedł Czębtor. Wyglądał inaczej niż wcześniej. Prostą koszulę zastąpiła haftowana tunika, na szyi pojawił się złoty łańcuch, na rękach bransolety i pierścienie. Nabijany gęsto błyszczącymi guzami pas obciążały mały toporek na bardzo długim stylisku i dziwny smukły, wygięty miecz. Nie wyglądał już jak zwykły wojownik, ale prawdziwy pan. Podszedł wolno do rzeki płynącej spokojnie zaraz obok obozu, by przykucnąć przy niej, napić się i zmoczyć twarz oraz włosy. Nie spojrzał nawet w stronę Pężyрки, mimo że ona poszukiwała wzrokiem jego oczu.

– I? – zapytał krótko Częcibor.

– Znalazłem – odparł bez cienia uczuć. – Urzędziła się w niewielkiej gromadzie przy starorzeczu. Jest tam trochę ciał, część mocno już zgniła. Niektórych nie da się rozpoznać, ale inne tak.

Wstał i podszedł do brata.

– Odnalazł się tam na przykład nasz druh Sławomir.

– Hooo. – Niedźwiedź wyraził zdumienie raczej bez większego przekonania.

– Przynajmniej wiemy, co się z nim stało.

– Czyli mamy, po co tu przyszliśmy?

– Tak, nie będziemy ich taszczyć z powrotem. Porozpadaliby się po drodze na kawałki. Niech wieśniacy sami tu przyjdą i robią, co chcą.

Częcibor pokiwał głową.

– A ona?

– Ona... – Czębtor dziwnie wypowiedział to słowo, jakby nie chciał wypuścić go z ust.

Po raz pierwszy od swojego powrotu spojrzał w stronę Pężyрки. Podszedł do niej bardzo powoli, zostawiając brata stojącego w pewnej odległości za nim. Patrzył z góry na boginkę przez dłuższą chwilę, a ona patrzyła na niego. Z początku gniewnie, potem tylko hardo, a moment później jej oczy zaszklily się, kąciuki ust wygięły w dół.

– Czębtor... – rzekła ni to w złości, ni to w rozpacz.

Wojownik pokręcił głową i przykucnął obok niej.

– Pężyрко, nie mogę powiedzieć niczego, co zmieniłoby cokolwiek z tego, co się już dokonało.



– Oszukałeś mnie! – pisnęła i skrzywiła się na dźwięk własnego głosu. – Okłamywałeś mnie, od początku mnie okłamywałeś!

– Jeno raz jeden cię okłamałem. Na samym końcu.

– Łżesz! – wrzeszczała, jakby go nie słysząc. – Wciąż łżesz! Co?! Potworowi można?!

Czębor dobył zza pasa sztyletu. Stal błysnęła w słońcu i sznury krępujące rusalkę opadły na ziemię. Mamuna spróbowała się zerwać na nogi, ale zeszywniałe od więzów członki odmówiły jej posłuszeństwa i wylądowała na ziemi. Junak, ciągle kucając obok, wyciągnął w jej stronę dłoń, oferując pomoc. Odtrąciła ją.

– Pężyрко, nie jesteś potworem. Nie większym niż ja czy on. – Ruchem głowy wskazał brata, który uśmiechnął się drapieżnie. – A zwodziliśmy się nawzajem. Ja musiałem cię uwieść, ty pragnęłaś mnie pożreć. Czy nie możemy uznać, że jest po równo?

Wiła utkwiała w nim zaskoczone spojrzenie. Po chwili jednak wyciągnęła ku niemu rękę. Oboje podnieśli się z ziemi.

– To chyba twoje – powiedział Czębor.

Sięgnął za plecy i wyciągnął zza nich kijankę. Mamuna złapała za nią, ale on nie puścił. Przyciągnął ją bliżej do siebie.

– Już dziś w nocy możesz mnie nienawidzić, ale teraz, w tym momencie, proszę, nie myśl jeszcze o tym.

Nachylił się ku niej niespiesznie, delikatnie. Zatrzymał o dwa palce od jej warg, a ona nieufnie, z wahaniem odwzajemniła pocałunek. Trwali złączeni w blasku olbrzymiego przybierającego kolor dojrzałej wiśni słońca. Wrogowie i kochankowie. Wojownik i wiła. Dwa potwory. Dwoje ludzi. Męczyzna i kobieta.

Pężyрка wygięła się do tyłu, głośno wciągając powietrze. Stal zaśpiewała przenikliwie, gdy częborowy sztylet upadł na kamienisty brzeg. Jego ostrze było lepkie od krwi. Nogi ugięły się pod rusalką, ale jej junak w porę ją złapał i delikatnie ułożył pod dużym głazem – miejscem jej niedawnego uwięzienia. Szkarłatna plama rozlewała się po białym gnieźle spod piersi rusalki jak wodospad, rozszerzając ku dołowi. Pężyрка oddychała szybko, płytko dysząc. Utkwiła przerażony i zaskoczony wzrok w Częborze, który delikatnie pocałował ją

w czoło i mocniej ścisnął jej dłoń. Kilka uderzeń serca później dziewczyna westchnęła głęboko, ze świstem, zamknęła oczy i znieruchomiała.

– HUUU! – zaskrzyphiał Niedźwiedź obserwujący całą scenę z odległości paru kroków.

Czębor wstał i podszedł do rozrzuconych przy ognisku juków. Zaczął pakować swoje rzeczy.

– Aż tak bałeś jej zemsty, braciszku?

Nie odpowiedział. Zarzucił jeden z tobołów na ramię.

– Szkoda jej. Zdążyłem ją polubić. – Nie poddawał się Czycibor.

Jego brat dalej milczał jak zaklęty, kiedy podnosił torbę i ruszał w stronę mostku.

– A bażanty? Jeszcze się nie dopiekły!

Jakby go nie słyszał, szedł dalej zdecydowanym krokiem.

– Niech będzie! Zostawię je, chociaż szkoda, ale powiedz mi, braciszku, czemuś ją zgnął, co?

– Zamknij się... – Głos wojownika brzmiał głucho.

– Przemówił! – ucieszył się brodac. – Odpowiedz mi zatem. Wdała była, darowała ci winę, tyś ją też chyba lubił. Mogliśmy się tu pokręcić jeszcze parę dni. Po coś ją zabił? Nie wmówisz mi, że z troski o lebiegi, co same przed nią nie byłyby się w stanie obronić.

Junak i tym razem nie odpowiedział, jedynie wznowił marsz.

– Ha! Już wiem! Możesz ty ją zaczął miłować, hę?

Brat Niedźwiedzia stanął nagle.

– Wielki wiciądz Czycibor, Wilk zwany Lisem – ryczał Czycibor kpiarskim tonem. – Pogromca niewieścich serc, postrach mężów, zdobywca tysiąca wianków wreszcie usidlony przez mamunę. – Olbrzymi wojownik zarechotał chrapliwie. – On jednak nie poddał się bez walki! Uniknął najgroźniejszej ze wszystkich broni: miłości, co osłabiłaby nawet takiego bohatera jak on, tym prostym sposobem, że zarznął swoją miłą.

– Zawrzyj pysk! – ryknął Czycibor, odwracając się szybko jak wąż.

Upuścił toboły i wyrwał szablę do połowy z pochwy. Czycibor instynktownie złapał za rękojeść miecza. Bracia mierzyli się spojrzeniami. Stali czas jakiś nieruchomo, z mięśniami napiętymi i gotowymi do działania, aż w końcu

Niedźwiedź zajął w oczy Lisa, i odnalazł w nich furję, jakiej nigdy wcześniej tam nie było. Dostrzegł jednak coś jeszcze – wyraźny błysk, refleks słońca odbijający się od wolno, acz nieubłaganie wzbierających łez. Przypomniał sobie ten wyraz twarzy, którego nie widział u brata, od kiedy obydwaj byli jeszcze dziećmi. Poczł również coś, czego nie czuł tak długo, że nie był już w stanie nawet tego nazwać. Westchnął głośno, puścił oręż i uniósł obydwie dłonie odrobinę w górę, rozcapierzając palce. Dopiero wtedy Czębtor, choć zgrzytnął wściekle zębami, wcisnął szablę do pochwy, złapał z ziemi swoje rzeczy nagłym ruchem i ruszył znów przed siebie.

Czcebtor nie odezwał się więcej. Nie spróbował też iść za bratem, wiedział, że lepiej zrobi, zostawiając go samego na tak długo, jak będzie mu to potrzebne. Wrócił zatem z powrotem do małego obozowiska, otaksował rumieniące się bażanty, a potem spojrzł w stronę nieruchomego ciała młodej dziewczyny, spowitego w biel i czerwień, z kijanką kurczowo ściśniętą w sztywniejących palcach. Zamyślił się na chwilę, a potem dobył topora i poszedł do zagajnika, by narąbać drzewa na pogrzebowy stos.

Gdy podniósł wątłe ciało Pężyрки, żeby umieścić je na gotowych do podpalenia bierwionach, z jej zaciśniętej dotąd dłoni wypadła mała drewniana rybka, potoczyła się po kamieniach i zniknęła w bystrym nurcie rzeczki.





## JACEK PELCZAR



To niespokojny duch, który przez całe życie szuka swojego miejsca na świecie. Były kierowca ciężarówki, tłumacz, drwal, agent ubezpieczeniowy, mechanik, dziennikarz prasowy, radiowy i telewizyjny, operator sprzętu ciężkiego, opiekun zwierząt, klucznik garderoby szkoły wiedźminów, urzędnik. W całym wirze życia nie zmieniły się u niego tylko pasja do historii Słowian i wikingów, która tkwi w nim od czasów liceum, gdy zaangażował się w ruch rekonstrukcji historycznej, oraz miłość do literatury. Oba te koniki idą ze sobą ramię w ramię od lat studiów na kierunku filologii słowiańskiej i tak już chyba zostanie, bo Jacek nie potrafi przestać pisać.



FLORA WOZNICA

**SZKODNIKI**

- IX -

Róża uciekała. Las zdawał się pochłaniać ją swą zielenią, drzewa coraz ciaśniej otaczać ze wszystkich stron. Dębowe korony pochylały się nad nią, jakby chciały wysssać życie. Oddychała coraz szybciej i płycej. Biegła przed siebie, mając nadzieję, że w końcu ucieknie z tego obskurnego miejsca. Kiedy tylko poczuła wbijające się w jej skórę iglaki, wybudziła się z koszmaru.

Prawie podskoczyła na łóżku, starając się dobudzić. Średnio jej to wyszło, bo zamiast tego pogrążyła się we wspomnieniach. Dawno temu ukończyła ochronę środowiska. Niegdyś, jeszcze w dzieciństwie, uwielbiała naturę, przebywanie wśród gór, roślin i oczek wodnych. Stanowiły dla niej oazę spokoju, relaksu i źródło inspiracji do codziennych działań. Cieszyła się tamtymi chwilami, kojarzonymi z ciepłem rodzinnego domu. Chwile beztroski jednak zmieniały się wraz z upływem lat na rzecz pędu za sukcesem, blichтром i spełnianiem marzeń. Podobnie zmieniał się otaczający jej wioskę las. Starzał się, marniał wraz z miejscami przygotowywanymi pod działki na nowe domy i sklepy. Ludzkie działania wydierały z roślinności wszystko co najlepsze, tłamsząc ją, wycinając, kosząc oraz paląc.

Niedawno skończyła trzydzieści lat. Nie była nawet w średnim wieku, a już odnosiła wrażenie, jakby od chwil przebytych w lesie dzieliły ją lata świetlne. Wracała do niego, bez sentymentu i z wielkimi nadziejami. Planowała wszystko doszczętnie powycinać, wdrożyć nową infrastrukturę, wybudować galerię handlową oraz autostradę. Od niedawna pracowała w firmie swojego męża i jako jej przedstawiciel od razu wpadła na pomysł wycięcia drzew ze swojego dzieciństwa. Wiedziała, że to świetna przestrzeń pod budowę, która w przyszłości przyczyni się do rozwoju ich przedsiębiorstwa. Bardzo lubiła takie inwestycje.

Przeciągnęła się z zadowoleniem i zaczęła szykować do podróży. Teraz mogła sobie na nie pozwolić, również finansowo, w odróżnieniu od czasów, gdy szczerze broniła środowiska. Bardzo żałowała swojego naiwnego, młodzieńczego idealizmu. Do niczego jej nie doprowadził, tylko wzmagając frustrację po ukończeniu dość ciężkiego, ścisłego kierunku studiów. Nie miała



po nim ani perspektyw, ani pracy w zawodzie. Towarzyszył jej tylko ogromny gniew i rozczarowanie.

Otrząsnęła się z zamyślenia, ubrała i wyjrzała za okno. Obok perfekcyjnie kwadratowej szyby znajdowało się kilkanaście plastikowych roślin, olbrzymi telewizor i kominek. Miała do niego sentyment, podobnie jak do luksusowego samochodu na podjeździe i ogrzewanego basenu. Pogoda była słoneczna, granitowa kostka chodnikowa zdawała się niemalże świecić. Okolica, pozbawiona drzew i krzewów, prezentowała się wręcz idealnie – czysto, minimalistycznie, bez zwierząt, pokrytych liśćmi miejsc i typowego dla wiosny błota. Róża bardzo się cieszyła, że niedługo po studiach poznała swojego męża. Dzięki niemu mogła odmienić swoje życie i zamieszkać w tak nowoczesnym, ekskluzywnym miejscu. Nie żałowała żadnej ze swych decyzji, coraz odważniej kierując się ideą, że czasem warto dążyć po trupach do celu. Wyszła na dwór. Mąż już siedział w samochodzie.

– Rozalio! Ile jeszcze mogę czekać? Pospiesz się, inaczej znowu się spóźnimy!  
– wykrzyczał do Róży wysoki, elegancko ubrany mężczyzna. Gdy się na nią złościł, używał pełnej formy jej imienia. Nie znosiła tego.

– Antoni! Jeśli będziesz się do mnie tak zwracał, to zobaczysz, jeszcze usiądę ci na podjeździe i nigdzie nie pojedziesz! Chcesz tego?! Chcesz, do jasnej cholery?! Czy chcesz być dziś na czas u klienta?! – odpowiedziała mu Róża, powoli wsiadając do samochodu i zatrzasnąwszy za sobą drzwiczki.

– Już, już, przepraszam! – pokajał się, pochylając głowę. Wolał z nią nie zadzierać. Odkąd pamiętał, imponowały mu jej stanowczość i temperament. Inspirowały go do działania. On odpowiadał za wiedzę i doświadczenie firmy, ona zaś za jej prezentację i motywowanie do rozwoju. Uważał, że była w tym świetna.

– No, wreszcie! Cały miesiąc czekałam na ten dzień, skarbie! Pokażemy jeszcze, na co nas stać – stwierdziła dobitnie Rozalia, gładząc męża po ramieniu.

Gdy dotarli do gminy, powitała ich wiosenna pogoda, zieleń drzew, łąki i pola. Przez nie wkrótce miała przebiegać autostrada, którą planowali wybudować za zgodą miejscowych władz, przedsiębiorców i polityków. Zaparkowali obok urzędu i wysiedli. Wiejska droga powitała ich dziurami oraz owadami, maszerującymi wokół kałuż.

– Ble! Ohyda! Okropne robactwo! – wykrzyczała Rozalia, z całej siły skacząc po mokrej ziemi, starając się zgnieść jak najwięcej mrówek, dżdżownic i innych zwierząt. Nie znosiła brudzić butów, ale te małe żyjątka obrzydzały ją tak bardzo, że wołała poświęcić markowe obcasy dla dobrej sprawy, byle tylko jak najwięcej ich pozabijać.

– Cóż, nie martw się, gdy wokół przebiegnie autostrada, to wiele ich nie zostanie, he, he, he! – zaśmiał się Antoni Piątkowski, również nieprzepadający za tym, co małe i żywe. W młodości nawet słynął z zabijania robaków patykami. Wolał ciszę, spokój i prostą, pokrytą asfaltem bądź betonem ziemię.

Piátkowscy pospieszyli załatwić wstępne formalności. Poszło im jak z płatka, urzędnicy bowiem mieli dostać za sprzedaż ziemi pod krajową drogę całkiem niezłą sumkę. Niewiele rzeczy oprócz kasy potrafiło ich zmotywować do działania. Gdy wychodzili z budynku, zbliżał się wieczór. Zrobiło się chłodniej i zbierało na burzę. Powietrze stało się wilgotne, a trawa przylepiała się do ich butów. Przeszli mozolnie do domu swoich gospodarzy – kuzynostwa Róży. Oni też chcieli wyrwać się z tej, ich zdaniem, dziury. Nie mieli więc żadnych oporów przed podpisaniem zgody na wycinkę lasu. Wyczekiwali momentu przeprowadzki do miasta i przelewu na koncie.

– Chuj z tym! Kurwa mać! – Na podwórzu bawił się młodszy kuzyn Rozalii, z upodobaniem kopiąc oraz tłukąc kamieniami w żaby i ślimaki. Alojzy miał zaledwie osiem lat, ale też już całkiem sporo rozmów z dyrekcją szkoły. Nienawidził życia na wsi, wszechobecnego brudu, smrodu i nadmiaru dźwięków. Swoją złość wyładowywał na zwierzętach i młodszych dzieciach.

– Alek! Zostaw to paskudztwo, ciocia przyszła! – zawołała do malca Róza, z obrzydzeniem patrząc na rozgrywające się przed rodzinnym domem sceny.

– Ciotka!? Niemożliwe! Tutaj, w tej dziurze?! – Malec wręcz podskoczył z zaskoczenia, na chwilę dając spokój biednym żyjątkom.

Rozalia była zaskoczona nie tylko tym, jak wyrósł jej kuzyn, ale też tym, jak zmienił się dom od czasów jej młodości. Olbrzymia kilkupiętrowa budowla stanowiła niegdyś miejsce zamieszkania kilku pokoleń rodziny Róży. Choć w dzieciństwie uwielbiała tę okolicę, od zawsze czuła, że jest w nim zbyt wielu ludzi, dlatego tuż przed studiami wyprowadziła się do miasta i odetchnęła z ulgą od wiejskiego harmidru. Czasem tęskniła za okalającą go przyrodą, ale sentyment

mijał dość szybko, gdy przypominała sobie, że dla magistrów ochrony środowiska zwyczajnie nie ma pracy. Argumenty materialne zrobiły swoje, a Róża wyładowywała swą wściekłość i rozczarowanie w firmie męża, bez skrępowań niszcząc środowisko naturalne, które dawno temu chciała chronić. Przynajmniej nie cierpiała z powodu biedy.

– Młody! Zostaw te paskudztwa, to dostaniesz od ciotki coś dobrego! No chodź tu, niech cię wyściskam.

– Ciotka zna się na biznesie! – wykrzyknął ochoczo Alojzy, pozostawiając ostatecznie miejsce zbrodni. Podbiegł do cioci, wskakując w jej objęcia. Dostał trochę gotówki i od razu się uspokoił.

Po radosnym acz nieco zaskakującym dla Rozalii powitaniu ruszyła wraz z mężem do domu rodzinnego. Ledwo weszli, poczuła zapach trzaskających w kominku drewna i pierogów w kuchni. Na chwilę wróciły pozytywne wspomnienia, pełne ciepła i stabilności. Nic nie mogło jednak przebić żądzy zarobku i zerwania ze starymi nawykami. Weszła dziarskim krokiem do swojego dawnego pokoju, gdy usłyszała jakby ciche skrobanie.

Podeszła do drewnianej szafy, szukając źródła dziwnego dźwięku. Faktycznie, zza starych drzwi dobiegało stukanie i drapanie. Otworzyła je, lecz w środku wisiały tylko stare suknie i garnitury.

– Heh, może to myszy tak harczą? – wypowiedziała to pytanie na głos, jakby oczekując na czyjąś odpowiedź, rozglądając się dookoła.

Gdy ponownie spojrzała w kierunku mebla, dostrzegła jakiś ruch zza fraka. Materiał falował i kołysał się coraz szybciej. Uniosła go lekko do góry i zobaczyła przed sobą groteskowy widok. Metrowy, pokracczny stworek stukał kopytami o dno szafy, przy tym wczepiając swe pazury w ubranie. Coś mamrotał pod nosem, od czasu do czasu się wygrażając.

– Ja wam dam! Urwisy, nicponie, zabójcy! Ja wam jeszcze pokażę, zobaczycie! – wykrzyczał w kierunku Róży. Chciała go chwycić, przecierając oczy ze zdumienia, ale nagle jakby zapadł się pod ziemię. Uznała to za wytwór zbyt wybujałej wyobraźni i położyła się zdrzemnąć po podróży.

Wieczorem we wsi było dość spokojnie, choć na horyzoncie zbierały się burzowe chmury. Alojzy, zadowolony z otrzymanej gotówki, pobiegł na strych,

by schować ją w swoim kufrze. Zakurzone poddasze przywitało go zapachem stęchlizny i wiatru zza otwartego okna.

Podszedł do schowanej pod parapetem skrzynki i schował tam wszystkie banknoty. Planował kupić za nie porządny kij bejsbolowy. Miał wrażenie, że ma za mało broni do walki z uprzykrzającymi mu spokojne życie zwierzętami. Chciał wyjąć schowany w kącie nóż, gdy znad okiennej futryny nagle wyleciał jakby olbrzymi puchacz.

Przypominający sowę stwór był ogromny i, donośnie pohukując, rzucił się z pazurami na chłopca.

– Bobo! Aaa! Mamo, pomocy! To obrzydlistwo znowu tu jest! – Alek przewracał się na podłodze, starając się uciec od atakującej go istoty, lecz ta nie dawała za wygraną.

Krzyki Alojzego zbudziły Różę, która przybiegła na strych. Tuż po jej wejściu na górę stwór wyleciał przez okno, zostawiając tylko kilka drobnych zadrapań na twarzy dziecka.

– Alojzy! Co tu się dzieje?! Dobrze się czujesz?! – zwróciła się do niego ciotka, wyraźnie zdezorientowana.

– Ciociu, tu było Bobo! Demon chciał mnie zabić! – Rozzłoszczony i przerażony Alek trzął się z oszołomienia.

– Alek, za stara jestem na takie numery! Już kiedyś chciałeś mnie na to nabrać, dobrze wiesz, że stworki z legend nie istnieją. Następnym razem zamknij okno, pewnie wleciał tu jakiś ptak.

– Przysięgam, że tym razem tu był! Chciałem go zabić, ale był ode mnie silniejszy! – stwierdził butnie chłopiec.

– Jasne, jasne, wracaj do łóżka, bo zaraz obudzę twoją mamę i powiem jej, że znowu próbujesz mnie nabrać! – zaśmiała się Róża.

– Ciotka znowu mi nie wierzy! Trudno, mam dość, wracam do pokoju.

Gdy Alek wszedł do swojej sypialni, od razu padł na łóżko i zasnął. Nie minęło jednak nawet pięć minut, a coś go obudziło. Z dziecięcej szafy rozlegały się upiorne dźwięki. Skulił się w rogu łóżka ze strachu i nakrył kołdrą. Na nic się to nie zdało, bo już po chwili poczuł ból.

Metrowy stwór w jednej ręce dzierzył kij, którym uderzał w tors chłopca, a w drugiej wielki wór. Buc zawzięcie walił w ciało Alojzego, klnąc i grożąc.

– Małe ścierwo! Jak cię dorwę, to w ziemi pogrzebię i tam będzie z ciebie większy pożytek, tfu! Nie wyrosło z ciebie nic dobrego, to przynajmniej trawa se urośnie! – Cały czerwony ze złości zamachnął się i włożył szarpiącego się dzieciaka do wora. Słowiański upiór okazał się silniejszy od małego, okrutnego chłopca.

Buc porwał łobuza i wyskoczył przez okno. Uciekał w kierunku lasu, gdy dopadła go Rozalia.

– Stój! Cholera, ty demonie! Zaraz cię zabiję! – zawołała do stwora. Ten jednak, zupełnie niewzruszony, uśmiechnął się szeroko i odrzekł:

– Łap mnie, jeśli potrafisz, he, he!

Biegł przez coraz większe połacie ziemi, aż przystanął nad olbrzymim bagnem. Róża, pełna wiary w swoje możliwości, prawie go tam pochwyciła. Na próżno jednak próbowała wyrwać mu siostrzeńca, bo z każdą próbą coraz bardziej zapadała się w błoto. Szamocząc się i wrzeszcząc, zauważyła nadlatującego w jej kierunku olbrzymiego owada. Wydzielał fosforyzujące światło, które niemalże ją oślepiło. Jakimś cudem, choć z problemami ze wzrokiem, udało jej się wyskoczyć z bajora i ponownie pognać za oddalającym się od niej bucem.

Wkroczyli na wiejski cmentarz. W powietrzu czuć było stęchlizną i nadciągającym deszczem. Stwór uciekał z worem na plecach, sprawnie lawirując pomiędzy starymi nagrobkami. Alek, prawie ściśle owinięty materiałem wora, zaczął kaszleć i się dusić. Przez drobną szparę u góry materiału wpadało bardzo mało tlenu. Zaczął rozpaczliwie wołać o pomoc.

– Umieram! Ratunku! Ciociu, na pomoc! – wrzeszczał, ostatkiem sił łapiąc oddech, lecz wór coraz mocniej zaciskał się wokół jego głowy. Alojzy nie mógł się już poruszać. Miał nadzieję, że w ostatniej chwili ktoś go uratuje, lecz czas mijał nieubłaganie. W końcu ujrzał światło i poczuł dotyk silnych dłoni. Już myślał, że to jego wybawienie, gdy początkowy szok i zaślepienie minęły.

Alek znajdował się na leśnej polanie. Buc stał tuż nad nim, radośnie się uśmiechając. Klepał go po plecach.

– Młody, dotarliśmy! Witaj w twoim nowym domu! – Stwór uśmiechnął się, ukazując rząd ostrych zębów. Obliznął się, łakomie spoglądając na twarz chłopca.

– Ratunku! Odejdź! – wrzasnął Alek, starając się otrząsnąć z szoku i uciec.

– Masz bardzo słodką twarzą! Ciekawe, czy będzie równie słodka, gdy się ją rozszarpie! – powiedział, podniósł chłopca do góry i zaczął nim machać w powietrzu.

– Aaaaa! Jezu, ratunku! Za co!?! – Chłopiec krzychał coraz głośniej, motywując tym ciotkę do przyspieszenia biegu.

Rozalia słaniała się ze zmęczenia, utrzymując się na nogach jedynie dzięki adrenalinie. Była coraz bliżej chłopca, kiedy zza nagrobka, o który się oparła, by złapać oddech po biegu, chwyciła ją szponiasta łapa.

Zza kościoła w jej kierunku ruszyła cmentarna baba, mlaszcząc i przebijając długimi palcami. Odziana w długą czarną suknię rozrzucała stare kości oraz rozkładające się mięśnie. Rozdziawiła paszczę, ukazując ostre białe zęby.

– Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz! – stwierdziła, łamiąc wyjęte z cmentarnej ziemi kończyny. Róża zaczęła drżeć, z przerażeniem myśląc, że zaraz zostanie rozszarpana przez upiora. Baba miała jednak inne plany. Rzuciła ją o brudną ziemię i pospieszyła w kierunku Alojzego.

Rozalia leżała z połamanymi kośćmi. Nie mogąc się poruszyć, jedynie obserwowała z oddali rozgrywającą się przed nią scenę. Zbliżała się północ i leśny cmentarz stawał się coraz bardziej upiorny, jakby połyskiwał światłem księżyca.

Z trumny zakopanej naprzeciw Róży zaczęły dochodzić dziwne odgłosy. Stukanie i rżenie narastało, aż z grobu w przestworza wyrwał się martwiec. Zbyt długo opłakiwany przez rodzinę nie mógł zaznać spokoju. Rozpościerając błoniaste skrzydła, uniósł się do góry i zaczął okrążyć cmentarz, obserwując potencjalne ofiary. Widząc, że ludzina została już wypatrzona przez pobratymców, z rozczarowaniem odleciał w kierunku wsi. Miał nadzieję, że tam zostały jeszcze jakieś smaczne, krwiste kąski.

Buc rzucił chłopca wprost w szpony cmentarnej baby. Gdy tylko go pochwyciła, wbiła pazury w jego oczy. Gałki nadziewały się jak mięso na szaszłyk, kiedy on wrzeszczał z bólu. Następnie rozpruła mu brzuch, wywijając jelitem jak lassem. Wyśmienicie się przy tym bawiła, smakując sok z trzewi. Alek dogorywał jeszcze chwilę, aż baba wgrzyzła się w okolice jego głowy i oznajmiła:

– Wiedziałam, że tam nic nie ma! Dawno nie żarłam takiego ścierwa! Resztki mózgu zepsute do szpiku kości. – Wypluła członki chłopca w pobliżu drzew. Po

chwili zwłoki pasożyta zarosły zielenią, dając życie pożyteczniejszym formom istnienia: krzewom, żukom i dżdżownicom.

Róża, otrząsając się z chwilowego szoku, zebrała siły i jakoś wzięła nogi za pas.

Nie uciekła jednak daleko, gdy napotkał ją czyhający na deser martwiec. Zdążył wybić większość wsi, ale wciąż miał chrapkę na nieco więcej. Wyrwał kobiecie serce i zachłannie chleptał krew niczym stary alkoholik wino.

Słowiańskie upiory, podobnie jak chcący umknąć kary ludzie, musiały zatuszować ślady swych zbrodni. Wiedziały bowiem, że ludzkość nie jest gotowa na przyjęcie starożytnej prawdy o siłach natury. Pozorując masowe samobójstwo po pijaku, skropiły okolice wsi alkoholem i, tradycyjnie, pocierając kamieniem o kamień, podpaliły budynki.

– To miejsce doznało oczyszczenia! Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz! – stwierdziły dobitnie, pijąc mszalne wino i czcząc swój sukces – ocalenie lasu przed wykarczowaniem. Od tamtej pory w owym miejscu panowała tylko zieleń oraz zwierzęta, nietknięte przez czas, budowę dróg, kościołów bądź inne szkodliwe działania człowieka.

## FLORA WOŹNICA



Urodzona 28 listopada 1995 r. we Wrocławiu. Pisarka horrorów, recenzentka i laureatka konkursów literackich.

Tworzy od czasu konkursu „Horror na debiut” (zorganizowanego przez Okiem na Horror), dzięki któremu na portalu Niedobre Literki pojawiło się jej pierwsze opowiadanie. Zwycięzcy Całorocznych Zawodów Literackich Horror Online i konkursu „Sto słów na Halloween”. Publikowała m.in. w antologiach: „Krew Zapomnianych Bogów”, „Krwawnik 2”, „Tabu”, „Słowiańskie koszmary”, „Maszyna. Antologia horroru industrialnego”, „City 4. Antologia polskich opowiadań grozy”, „Po drugiej stronie światła”, „Mroczne dziedzictwo. Antologia w hołdzie Jamesowi Herbertowi”, „Licho nie śpi”, „W cieniu Bangor”, „Zabawki”, „Sny umarłych. Polski rocznik weird fiction 2020”, „Obscura 2”, „Iron Tales: Blood Brothers” i „City 5”.





MAGDALENA ZAWADZKA-SOŁTYSEK

# TO ZŁOŻONA KWESTIA

- X -

Kiedy uderzył głową o ławę, Salomea usłyszała tylko głuchoe puknięcie. A gdy osunął się na ziemię, przypominał nieforemny, częściowo opróżniony worek mąki. Brudny płaszcz, który podobno kiedyś był śnieżnobiały, oblepiał jego chude członki, litościwie ukrywając uwiędłe ciało.

– Co brat znowu zrobił?! Ja mówiłem, żeby samemu nie chodzić do studni!

Od strony białego i prostego jak klocek czerskiego kościoła, zamkniętego w klatce drewnianych rusztowań, biegł mężczyzna. Wokół jego nóg łopotał bury habit. Na szczupłej twarzy odbijała się mieszanina troski i gniewu.

– No już. Wstajemy, tylko powoli – mruzczał kanonik.

Delikatnie wzięwszy leżącego na ziemi mężczyznę pod ramiona, usiłował go dźwignąć, ale gdy poczuł niebezpieczne chrupnięcie w plecach, przypomniał sobie, ile ma lat.

Grzeczne dziewczynki pomagają słabszym od siebie. Grzeczne dziewczynki okazują innym szlachetność swego serca – w głowie Salomei zabrzmiały słowa starej piastunki.

Salomea była grzeczną dziewczynką. Wiedziała o tym, bo wszyscy jej to nieustannie powtarzali. A skoro tak, to powinna coś zrobić. Rozejrzała się, ale akurat w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby bohatercko, w porywie szlachetnego serca, przyjść jej na pomoc. Zagryzła wargi i podjęła dziewczynską decyzję! Będzie grzeczna i szlachetna sama, bez niczyjej pomocy!

Mimo że nie powinna nawet na krok odchodzić od dworu, bo przecież wszyscy wiedzieli, że czarownica z Czerska poluje na samotne dzieci, podbiegła do księdza mocującego się z leżącym starcem i wsunąwszy małe rączyny pod łokieć poturbowanego mężczyzny, zaczęła ciągnąć w górę. Wspólnymi siłami zdołali wreszcie podźwignąć biedaka z ziemi i usadzić go na ławie.

Kapłan okrutnie dyszał. Nerwowo ocierał spływające potem czoło i tonsurę.

– Bracie, krzywdę sobie uczynisz! Moim świętym obowiązkiem jest troszczyć się o twoje zdrowie, nim brat von Balk po ciebie wróci. Będzie już dwa roki, jak zostawił cię pod moją opieką i pewno niedługo kolejne poselstwo do księcia naszego, mazowieckiego Konrada, się pojawi. Ale gdy tak będziesz się obijał wszędzie po grodzie, to jak mi przyjdzie w oczy spojrzeć braciom świętego zakonu

matki naszego zbawiciela? A płaszcz można w grodzie zdjąć i byłoby łatwiej się poruszać! – perorował duchowny.

Salomea nie słuchała, patrzyła na człowieka w białym płaszczu. Miał długą, zapadniętą do środka twarz. Był tak suchy i pomarszczony jakby go kto wyrzeźbił w kawałku kory. W miejscu, gdzie uderzył o ławkę, pojawiło się brzydkie zaczerwienienie i otarcie. To nie mógł być pierwszy raz. Takich śladów Salomea zauważyła więcej. Jedne prawie zniknęły, inne były trochę świeższe niż to najnowsze. Jednak siniaki to coś zupełnie normalnego. Sama miała ich pełno na łokciach i kolanach, co się nie podobało mamie, która ciągle powtarzała, że to nie przystoi panience wielkiego rodu. Jej uwagę przyciągnęło teraz coś innego.

– Co się stało z twoim uchem? – zapytała, wpatrując się intensywnie w marne resztki kształtnej niegdyś chrząstki. Obecnie w jej miejscu odstawały małe, dawno już wygojone strzępki okalające dziurkę do słuchania.

Wodniste oczy starca spoczęły na dziecku. Mężczyzna sprawiał wrażenie zdezorientowanego i wciąż oszołomionego swoim wypadkiem. Zaskoczył więc Salomeę, gdy odpowiedział bardzo wyraźnie:

– To ta straszna baba, co książęce dzieci piastuje!

– A brat znowu swoje! – wtrącił kanonik, który właśnie wrócił z glinianym dzbanem, pozostawionym w cieniu. – To nie po krześcijańsku takie bezceństwa opowiadać. Onegdaj brat perorował o rudym lisie, co to na tylnych łapach tylko chadza, ogon ma na głowie i ślepia mu na czerwono się jarzą! Lepiej już zamilknąć. Niech się brat napije i pokrzepi – mruknął duchowny i wcisnął mężczyźnie w ręce drewniany kubek, który napełnił mlekiem z dzbana.

Starzec się skrzywił i odsunął, ale kapłan był nieugięty.

– Brat pije! Mocy to bratu przysporzy, a i głupoty gadać przestanie. Ten płaszcz by się zdało też na chwilę zdjąć. Ciepło się pod nim bratu robi, to słabuje i się o niego potyka. A jak się potyka, to się przewraca, w głowę wali i się potem bratu wszystko miesza.

– Wcale mię nie jest gorąco i nic mi się nie miesza! – wybełkotał starzec, przetykając mleko. – A jak mię w nogi czasem chłód wchodzi, to se tak obciągnę materię i okrywam się, i mi lepiej. Zresztą płaszczu zdejmować nie wolno. Sam komtur Hermann von Balk mówi, że człeka w białym płaszczu z krzyżem złe się nie ima. Wszystek co złe bielą się brzydzi, a krzyża świętego boi. A tu się złe

jakoweś kręci. Wczora, z wieczora, sam zem widział, jak kole studni przemykało upiorzysko. Ślepia miało o takie, jako dwa talerze, i sierść jak u żubra kudłatą i sztywną, a nogi cienkie jako kije od mioteł.

– To czarownica była! – oświadczyła Salomea.

– A mówił brat, że dwunogi lis. A idźta wy z takimi bzdurami! Ani lis, ani żubr, ani czarownica. Skąd by się tu zresztą miała wziąć taka? – Kanonik nalał kolejny kubek mleka i podał go Salomei. Dziewczynka chętnie przyjęła poczęstunek.

– Sama słyszałam – szepnęła. Odgarnęła z czoła złociste kosmyki, które wymykały się luźnemu splotowi długiego warkocza. – Bo od wczoraj wszyscy szukają dziewczyny z czeladnej. Jedni twierdzili, że ona podobno niegrzeczna była i dlatego będzie mieć dziecko. Ale ja w to nie wierzę, bo wszyscy uważają, że dzieci to błogosławieństwo, więc chyba Bóg nie daje ich za niegrzeczność. Dlatego wierzę tym, co mówili, że to czarownica wokół grodu grasuje. Ona już podobno dzieci porywała. Może porywa też kobiety, co dopiero będę mieć dziecko?

– Bajania starych bab – parsknął kanonik. – Zabobony i banialuki. To szatan na ludzi zło sprowadza, a nie jakaś niewykształcona starowina z puszczy.

– To ni wiedźma, ni szatan, jeno ruda potworzyca! – wtrącił stary Krzyżak.

– Brat Klaus skończył już mleko? To brat Klaus odda kubek i sobie pójdziemy na plebanię. Zmierzcha się powoli, a ja jeszcze nabożeństwo odprawić muszę, a potem...

Od strony bramy grodowej rozległ się gwałtowny okrzyk. Wzniesiony gęste tumany kurzu rumak zarył kopytami tuż przed duchownym, który omal nie upuścił na ziemię dzbana.

– Niech ojciec wsiada. Musimy jechać!

Wysoki mężczyzna w siodle wyciągał do księdza szeroką dłoń. Przez kurz, który wywołał u wszystkich gwałtowny kaszel, stary kapłan zauważył tylko brodę i zmierzwione włosy.

– Prędko. Nie czas na zwłokę! – krzyknął jeździec.

Pochylił się, najwyraźniej gotowy ucapić kanonika wpół, jak robią to bezbożni mężczyźni z dzierlatkami, z którymi chcą folgować swojej żądzy.

Starzec okazał się jednak nadspodziewanie zwinny. Skoczył w bok, usuwając się o muśnięcie spod palców ksiązęcego drużynnika.

– A co to za obyczaj, żeby sługę bożego tak traktować? – obruszył się, gotowy za wszelką cenę bronić swej godności.

Tym bardziej że z okolicznych zabudowań zaczęli wychodzić ludzie i ciekawie się im przyglądać. Zaniepokojeni zamieszaniami chcieli wiedzieć, co się stało.

– Niech ojciec wsiada na konia – warknął jeździec, a po chwili wycedził przez zęby: – proszę! – które bardziej brzmiało jak groźba.

– Ale brat Klaus... – mruknął kanonik.

Spomiędzy ciżby wyłoniła się dojrzała niewiasta, za którą podążała młoda dziewczyna.

– My się nim zajmiemy – oznajmiła, pozwalając sobie na poufały gest i bez pytania wyjęła z rąk księdza dzban z mlekiem.

Staruszek nie miał wyjścia. Mimo strachu, który zawsze łapał go za gardło, gdy musiał się wspiąć na koński grzbiet, zebrał się w sobie i skorzystawszy z pomocy olbrzyma, wdrapał się na wierzchowca, po czym ucapił rycerskiego pasa, oplatającego jeźdźca.

Wtedy ów, bez ostrzeżenia, spiął konia i pchnął go w cwał. Kapłan poczuł, że zwymiotuje; postanowił zamknąć oczy. Kołysanie i podskoki stały się jeszcze gorsze. Czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Żałował, że pozwolił sobie na kubek chłodnego mleka.

Na szczęście uciążliwa jazda trwała krócej, niż się spodziewał. Wciąż z zaciśniętymi powiekami usłyszał wokół jakieś szepty.

– Nareszcie są! – Ktoś westchnął z ulgą.

Kanonik nie zdążył jeszcze dobrze przetrzeć zlanego potem czoła, gdy poczuł, jak czyjeś silne ręce biorą go pod ramię i niemal wleką ze sobą. Stare, niezdarne już nieco stopy potykały się o pędy młodych roślin pokrywających poszycie.

– Tylko kapłan tu teraz pomoże. – Czyjś niski głos tchnął mu do ucha niepokojące słowa. – To tutaj. Niech ojciec patrzy. Bracie Albercie! Słyszysz mnie brat?

– Tak, tak. Słyszę – wymamrotał starzec, wciąż nerwowo trzepocząc powiekami i usiłując opanować mdłości.

– No i co ojciec wielebny myśli?

Kapłan nie miał wyjścia. Oderwał spojrzenie od czubków swoich butów i zerknął wyżej. Najpierw zobaczył zbroszoną krwią leśną ściółkę. Była dosyć świeża, jeszcze gdzieniegdzie czerwieniła się połyskliwie w wieczornym blasku. Okalające teren krzewy zbryzgano obficie. Nakrapiane cętkami posoki zdawały się świadkami okrutnej jatki. Kanonik znowu poczuł mielenie w trzewiach. Z obawą podniósł wzrok wyżej. Z gałęzi drzewa zwisało ciało. Mały trupek, przywiązany za nogi i pozbawiony głowy. To z tej rany wylała się krew, która upstrzyła wszystko wokół. Pod ciałem powstała kałuża. Ostatnie zgęstniałe krople zastygły niby upiorny rubinowy naszyjnik wokół brzegów skóry.

Duchowny opanował zawroty głowy, ścisnął ręce w pięści, a potem ryknął:

– Czy wyście poszaleli?! Z grodu mię ciągniecie i jak ten worek mąki na konia troczycie, by wytrząść po wertepach, żeby na koniec martwą kurę na drzewie pokazać?

– Czary to! – zawołał jeden z mężczyzn, który stał gdzieś za plecami kanonika.

– Siła nieczysta moc swoją objawia! – wtrącił inny, o naznaczonej dziobami po ospie twarzy.

– Przecie kogut czarny i na dębowym drzewie zawieszony. Wiedźmy tu hasały! Stare cmentarzysko wyczuły – dorzucił ów, który przywiózł kapłana.

– Przez te wszystkie kości co je na rozkaz księcia rozrzucono w okolicy, jak przebudowę grodu zalecił – mruknął olbrzym, ale zaraz zamilkł pod ostrzałem karcących spojrzeń pozostałych. O księciu należało mówić dobrze lub wcale, jeśli człowiek chciał się cieszyć życiem i zdrowiem.

Kanonik Albert westchnął ciężko. Miał dość. Był zmęczony. Ani tu porządnej biblioteki nie miał. Ani warunków do spokojnej kontemplacji spraw boskich. Za to musiał się użerać z bratem Klausem i bandą niedouczonej głupców, którzy za grosz zaufania do Ojca w Niebie nie mieli.

– Toż żadne czary tu miejsca nie miały. Ot, głupio ktoś was chce przestraszyć.

– Jak nie czary, to po co kogut na drzewie wisi? I do tego czarny? – zapytał ospowaty.

– Taki to kogut jak ze mnie żaba – prychnął duchowny. Podszedł do wiszącego nad ziemią truchła i wprawiając wszystkich w zdumienie, szarpnął za

ogon zwierzęcia. Nie musiał się specjalnie wysilać, by gęsty pęk piór został mu w ręce.

– Od kiedy to czarny kogut ma ogon jak ten, kolorowy? Nie mówiąc już o tym, żeście ze strachu oślepli i kury od koguta odróżnić nie potraficie.

– Oj, bo nikt do przekłętego miejsca się zbliżyć nie chciał. Czarów lepiej niech zwykły człek nie tyka – mruknął ospowaty, podczas gdy reszta, mamrocząc coś i odwracając twarze, próbowała ukryć zakłopotanie.

– Toż z daleka przecie widać, jak kura wygląda, a jak kogut. A jak baba kiedyś portki włoży, to też będzieta myśleć, że to chłop?

– Przebóg! Baba w portkach? To się nigdy stać nie może! – zakrzyknął rudowłosa mężczyzna o zwalistej sylwetce niedźwiedzia.

Kanonik odrzucił koguci, czy też w tej sytuacji kurzy ogon, po czym spróbował wytrzeć ręce o czystą kępkę trawy, którą wypatrzył na uboczu.

– Może czy nie może... jak wy tacy mądrzy jesteście, że kury od koguta nie odróżniacie, to ja tam mogę uwierzyć, że baby portki włożą, a nawet, że się wszystkie pisać i czytać wyuczą – sarknął duchowny, oglądając, czy dobrze wyczyścił dłonie z krwi. – Ktoś was nastraszyć chciał. Pewno ci bezbożni Prusowie, co się zapuszczają w książęce puszcze. Ale czarów tu nie ma i nie będzie. Kościół w Czersku duży i mocny. Świętego przybytku żadne plugastwo nie zdierży, tedy róbcie swoje i się bzdurami nie zajmujta.

Zebrani wkoło mężczyźni ponownie poczęli między sobą szeptać, ale kapłan nie zamierzał dłużej mitrzyć czasu.

– Nabożeństwo mam! Nieszpory trza odprawić. Niech mnie tam który odwiezie do grodu. Jeno żeby nie było takiej galopady, przez którą żołądek mi na drugą stronę przed chwilą wywinęło! – gderał.

Utyskując niemiłosiernie, ponownie wdrapał się na koński grzbiet. Tym razem siedział sam i trzymał się lęku. Wierzchowca zaś prowadził jadący przed nim młodzian, na oko szesnaście wiosen mający.

\* \* \*

Kiedy ojciec Albert wrócił do grodu, brat Klaus wciąż siedział na ławie w pobliżu studni. Kurczowo trzymał w kościstej dłoni rękę małej Salomei, która dyndała

w powietrzu krótkimi nóżkami. Przed nimi stała Lubow, piastunka książęcych dzieci. Na głowie miała lniiany zawój. Ręce spłotła na brzuchu, a dłonie ukryła w rękawach, tak że ich rąbki stykały się w jedną linię.

Kanonik zauważył, że brat Klaus zaczął dygotać. Lubow śledziła ich nieruchomym spojrzeniem.

– Brat Klaus odda dziecko – zażądała.

– Nie jestem dzieckiem! – Salomea machnęła ze złością nogami.

– Jesteś, jesteś, moja panno! Wracaj mi natychmiast do środka i dokończ dzisiejszą lekcję czytania.

Z dworu wyłoniła się dojrzała niewiasta odziana w luźny strój, szyty z kosztownych materiałów. Jej głowę okrywał lekki welon przytrzymywany opaską ozdobioną perłami. Do ramienia kobiety tuliło się dziecko.

– Oj, mamó. Do modlenia w klasztorze nie potrzeba czytania – jęknęła dziewczynka, która wiedziała już, jaką przyszłość planowali dla niej rodzice.

Księżna Agafia zmrużyła szare oczy, w których zamigotał gniew.

– Lubow zabierze dziecko. Jaśnie pani się nie troska, jeno wypoczywa – powiedziała piastunka i wyciągnęła kościstą rękę ku Salomei.

– Nie! Jej nie zabierzesz! – zawołał stary Krzyżak, który osłonił dziecko swoim ramieniem.

– O co znowu chodzi? Czy nie można liczyć na odrobinę spokoju? – westchnęła księżna i wzniosła do nieba oczy, gdy małeńka córeczka w jej ramionach zaczęła płakać.

– Lubow dba o dzieci – mruknęła kobieta.

– Niech brat przestanie robić sceny – szepnął kanonik, pochyliwszy się nad uchem swego podopiecznego. – Toż dziecko idzie do matki. Nic mu nie będzie. Niechże brat ustąpi i pójdziemy do kościoła, bo czas na nieszpory.

Stary Klaus, na którego twarzy odbiła się dezorientacja, cofnął dygoczącą konwulsyjną rękę. Siedząca obok dziewczynka zeskoczyła z ławy i ze spuszczoną główką ruszyła za matką. Salomea to grzeczna dziewczynka. Salomea to panienska szlachetnego serca ze szlachetnego rodu. Salomea jest posłuszna i się nie sprzeciwia... Salomea gotowała się ze złości.

Wieczorne nabożeństwo przebiegło we względnym spokoju. Brat Klaus klęczał w bocznej ławie i nie zakłócał liturgii. Właściwie wszelkie obrzędy



kościelne były jedynymi chwilami, kiedy kanonik Albert nie musiał się zajmować bratem Klausem, bo ów całkowicie pogrążał się w modlitwie.

Niestety stary zakonnik tym szybciej wracał do swojej zwykłej formy, im dłużej trwał w nabożnym rozmodleniu. Nie inaczej było tego wieczora. Gdy wstawał z ławki, potknął się i z głośnym łoskotem ponownie opadł na kolana.

– Co brat znowu wyprawia?! – fuknął duchowny, gdy wierni, poszeptując między sobą i zerkając na Krzyżaka, opuszczali świątynię. – Prosiłem, żeby brat nie wstawał, póki wierni nie wyjdą. Przecież się umawialiśmy, że poczeka, a ja pomogę.

– A co ja, dziecko jestem, co by się ze mną cackać? – prychnął zakonnik. Chwycił drżącą dłońią za porysowany pulpit i ponownie spróbował wstać. Jednak znów potknął się o swój poplamiony płaszcz. Tym razem asekurowany przez księdza nie upadł, za to proboszcz otrzymał bolesny cios. Kiedy na moment odchyliły się poły płaszcza, zobaczył, że przy kościstym biodrze Krzyżaka wisi pochwa z mieczem.

– Na rany Chrystusa! Po co to bratu w kościele? – Kanonik nie wytrzymał i się przeżegnał.

– Złe krąży, powiadam ci. – Głos zakonnika odbił się głośnym echem w kościelnej pustce.

– Już o tym rozmawialiśmy – mruknął duchowny. – Żadne złe nie lęgnie się pod samym progiem świątyni. Takie gadanie obraża naszego Zbawiciela! – Podźwignął mężczyznę z ławy i poprowadził przez zakrystię na plebanię.

W mrocznych kątach zalegały głębokie cienie, które zwykle nie przeszkadzały księdzu Albertowi. Wszystko w tym miejscu było dziełem Pana i powstało za jego przyzwoleniem. Nie miał się więc czego bać, ale przez opowieści o czarownicach, upiorach i zjawach, stracił swoją zwykłą równowagę ducha.

– Au! Na rany... Czy brat może wreszcie przestać?! – krzyknął, kiedy stary Krzyżak boleśnie zdeptał stopy księdza. – Nie! Niech brat już nic nie mówi, tylko kładzie się do łóżka.

– Ale ona tam jest! Myślisz, że księżna wie? Musi wiedzieć! Czarownica jej służy i piastuje jej dzieci. Zaprzedała duszę.

Kanonik Albert nie miał już na to siły. Zacisnął zęby i nakłonił zakonnika, żeby się wreszcie położył. Stary Krzyżak bronił się jeszcze dłuższą chwilę jak

dziecko, które uparcie nie chce dać się odesłać do łóżka. Wreszcie spokojny, monotonny głos brata Alberta sprawił, że Klaus się odprężył, a jego pomarszczone powieki opadły i mężczyzna zapadł w sen.

Nim duchowny przystąpił do dzieła, odczekał dłuższą chwilę, by się upewnić, że jego współlokator rzeczywiście porządnie zasnął. Kiedy Klaus trafił pod jego opiekę, prawie nie sypiał. Zapadał tylko w lekkie drzemki i budził się z krzykiem. Z czasem przyzwyczyił się do otoczenia i nabrał zaufania do księdza z Czerska. Niemniej nigdy nie zrezygnował ze zwyczaju spania w zakonnym płaszczu, przytulony do miecza.

– Będzie tego. Tak się nie da żyć – szepnął kanonik.

Upewniwszy się, że Klaus śpi, zbliżył się do niego i najdelikatniej jak potrafił, zdjął płaszcz z ramion zakonnika. Materia była niemal sztywna od brudu i kurzu. Duchowny czuł, jak miejscami się lepi. Niestety Klaus za żadne skarby świata nie chciał się rozstać z okryciem, choćby po to, by je uprać.

Zabrawszy płaszcz, proboszcz wymknął się z izdebki, w której sypiali, i przemknął ciemnym korytarzem do kościoła.

Świątynia tonęła w ciszy i mroku. Kanonik Albert miał pełne prawo przebywać tutaj o każdej porze dnia i nocy, jednak czuł się w tej chwili jak intruz. Wstrząsnął nim nieprzyjemny dreszcz, gdy niosąc świecę, wyszedł na otwartą przestrzeń.

– Durny, stary osioł. Toż to święty przybytek. Co złego może się tu stać? – skarcił sam siebie.

Dźwięk ludzkiego głosu, nawet jeśli był to tylko jego własny, podniósł go na duchu. Szybko przeszedł przed ołtarz. Postawił świecę, a sam na podłodze rozłożył płaszcz. Potem ukląkł i ostrożnie go wyrównał.

– Wybacz mi, Najświętsza Panienko, patronko braci zakonnych. Ja to nie ze złości czy gniewu robię, jeno z troski o tego durnia, co któregoś dnia czerep sobie rozwali i się po prostu zabije.

Sięgnął po przywiązane do paska nożyce i począł ciąć. Nożyce były wprawdzie bardzo ostre, ale wełna za to zbita, do tego brudna i sztywna, więc cięcie szło mozolnie. Kanonik jednak wytrwale pracował, zawzięcie pomagając sobie językiem, który wędrował od jednego kącika ust do drugiego. Raz

wychodził niemal na brodę, a raz jego czubeczek leciutko dotykał środka górnej wargi.

– O tak... Teraz będzie dobrze. O! I jeszcze tutaj przytniemy. Powoli, żeby nie przesadzić. Dobrze... – mrucał kapłan.

Coś zaszeleściło w ciemności, a po chwili stuknęło. Ojciec Albert natychmiast zeszywniał. Poczuł, jak oblewa go zimny pot, a krew krzepnie w żyłach.

– Kto tu? – wychrypiął i zaskoczony przyciął sobie opuszek palca. Krew kapnęła na podłogę kościoła i odcinany brzeg płaszcza.

Coś znowu zaszeleściło. Staruszek dźwignął się z kolan i uzbrojony w nożyce odchrząknął.

– Kto tu? Pokaż się! – zawołał głośnie.

– To tylko ja – pisnął cienki głosik i w bladym kręgu światła pojawiła się niewielka postać. Miała białe gizełko sięgające kostek i dwa grube warkocze spływające z ramion do pasa.

– Księżniczka Salomea – zdumiał się kanonik. – A co ty tu robisz, dziecko?

– A ojciec co robi? – zapytała dziewczynka, zerkając na uzbrojoną w nożyczki dłoń i odcięty długi pas białej materii.

– Naprawiam płaszcz brata Klaususa – mruknął kanonik dość zgodnie z prawdą. – Mów zaraz, moja panno, co tutaj robisz!?

– Wody święconej chciałam trochę wziąć – odparła dziewczynka.

Duchowny zmartwiał.

– A na co tobie woda święcona, dziecino?

– Na czarownicę – odparła drżącym głosem.

– Brednie – mruknął kanonik.

Salomea wydeła policzki:

– To gdzie przepadło dziecko młynarza? A gdzie jest panna z czeladnej, co podobno miała dzidzię w brzuchu? No i wszyscy słyszeli o czarnym kogucie powieszonym w lesie na gałęzi. A brat Klaus mówił, że przy studni cosik straszło niedawno. Było kudłate i miało złe oko! A teraz coraz więcej ludzi choruje.

– Dziecko młynarzowej pewno zachorowało i umarło albo je komuś oddali na wychowanie. Mało to takich historii? Panna z czeladnej, jako sama nazwa

wskazuje, panną była. Ze wstydu uciekła, że niezamężną będąc, z mężczyzną legła i dała się zbrzuchacić. A koguta na drzewie pewno Prusowie, co grasują po lasach, powiesili. Wszyscy wiedzą, że to ludzie nieznający dobrych obyczajów i przed Chrystusową nauką się broniący. Tedy gusła odprawują, myśląc, że pobożnych przestraszą. A ty zostaw tę wodę w kościele, bo żadnej czarownicy w Czersku nie ma. Boża ręka nas chroni przed złem.

Salomea siedziała w ławie, przebierając nogami, i ścisnęła w dłoniach drewniany kubek ze święconą wodą.

– Ale przecież... – szepnęła nieprzekonana.

– Ukradłeś tę wodę. Kradzież niszczy świętość. Gdybyś ją dostała, to wtedy inna sprawa, ale grzech łamie moc świętości.

– To świętość nie jest mocniejsza od grzechu i zła? – zapytała Salomea zdumiewająco dojrzałe jak na dziecko w jej wieku.

– To złożona kwestia – odparł niechętnie kanonik Albert. – Jedno jest pewne: nie możesz czynić dobra poprzez grzech. A kradzież święconej wody jest grzechem.

Salomea westchnęła:

– To co mam teraz zrobić?

Duchowny podniósł się, otrzepał kolana i wyciągnął do dziewczynki rękę. Podał mu dłoń i kapłan ruszył z małą księżniczką ku drzwiom. Nie odzywał się. Po pierwsze był zły, że został przyłapany na gorącym uczynku. Martwił się, że mała wypapla to, co widziała, a wstyd mu było ją prosić o milczenie. Po wtóre był zły, że zapomniał zaryglować drzwi do świątyni! Nie zdarzyło mu się to od czasu, jak został proboszczem w Czersku.

Gdy wyszli na zewnątrz, poczuli przyjemne wieczorne powietrze. Usłyszeli w mroku grające świerszcze. Ponad dachami zabudowań niosły się nieco stłumione śmiechy i dźwięki rozmów. Konie spędzające noc pod otwartą wiatą parskaly cicho. Gdzieś stuknęło puste wiadro i padło soczyste przekleństwo. Zaraz potem odezwał się kwik i gwałtowny tętent.

– Uwaga! Znarowiło się bydłę!

– W mordę, Bogusz! Trzymaj drania! – Wściekłe głosy mężczyzn zaalarmowały kanonika i Salomeę.

Niestety w ciemnościach, chaosie krzyków oraz wściekłym kwiku konia nie sposób było się rozeznać, gdzie znajduje się niebezpieczeństwo. *Słodki panie Jezu, najświętsza Panienko ratujcie to dziecko niewinne!* – przemknęło księdzu przez głowę. Nagle poczuł gwałtowne uderzenie i upadł na ziemię. W pierwszej chwili miał wrażenie, że rozhukany wierzchowiec wpadł prosto na niego. Wypełniony przerażeniem krzyk Salomei zawibrował mu w uszach. Oczyma wyobraźni zobaczył dziewczynkę z roztrzaskaną czaszką. Krew wymieszana z szaro-różową masą mózgu rozlewa się po ziemi, a ogromne niebieskie oczęta patrzą na niego w martwym bezruchu.

– Księżniczka! – Kanonik Albert rozpaczliwie usiłował wrzasnąć. Niestety, wydusił z siebie jedynie żalorny skrzek.

Koń przegalopował obok. Kopyta waliły w ziemię tuż przy głowie duchownego. Kapłan nie był w stanie się poruszyć. W uszach miał łomot własnego serca, szum krwi i odgłos galopady. Przerażliwy krzyk Salomei ucichł jak ucięty nożem. Dziewczynka musiała być martwa! Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie, a światłość wiekuista... – Ojciec Albert zaczął się modlić, lecz nie dokończył. Poczuł, że unosi się w przestworza.

– Tutaj, tutaj. Połóżcie go ostrożnie. – Jakiś miękki kobiecy głos wydawał polecenia.

Autentyczna troska przebijająca w jego tonach wzbudziła w kapłanie wzruszenie, ale i rozpacz.

– Salomea... – wychrypiał, czując, że ledwie może poruszać ustami.

– Ciii... Niech ojciec nic nie mówi. – Czuły głos i łagodny dotyk miały ukoić jego rozpacz. – Księżniczka jest cała i zdrowa.

– Zdrowa...? – Kanonik natychmiast otworzył oczy i szarpnął się tak gwałtownie, jakby pragnął zerwać się z posłania.

– Lubow ocaliła moją córkę. – Księżna Agafia Świętosławówna z głęboką troską malującą się w szarych oczach siedziała na brzegu łoża, na którym złożono Alberta.

– Niechże ojciec leży! Uderzył ojciec głową o poidło. Baliśmy się, żeście zmarli, ale Lubow zauważyła, jak ojciec oddycha.

Stara piastunka książęcych dzieci, nieco korpulentna, o okrągłej twarzy usianej siateczką zmarszczek bez słowa położyła coś na ławie, tuż przy łożu.

Kanonik obrócił twarz w tamtą stronę i dostrzegł srebrny krzyż, ozdobiony ornamentowym żłobieniem i zawieszony na jedwabnym sznureczku. Musiał go zgubić w chwili ataku rozhukanego konia.

– Niech ojciec odpoczywa! – przykazała księżna, gdy stęknął gwałtownie.

Dłoń Lubow, która wciąż jeszcze spoczywała na jego krzyżyku, wyglądała dziwnie. Serdeczny palec sprawiał wrażenie wyrzeźbionego z ciemnego nieokorowanego kawałka drewna, z zakończonym czarnym jak polerowany obsydian szponem. Księżna podchwyciła spojrzenie kapłana i jak gdyby nigdy nic nasunęła na dłoń piastunki obszerny rękaw jej sukni.

Lubow spojrzała na księdza nieruchomymi oczyma, a on zapadł w głęboki sen.

\* \* \*

Ranek przyniósł poprawę. Albert mógł się dźwignąć ostrożnie z łoża. Ponadto Salomea naprawdę była cała i zdrowa, a otworzywszy oczy, zobaczył ją siedzącą na brzegu pośłania. Choć wyglądała dziwnie. Zdawało się, że jest w pełni sił, ale jej twarz pokrywała chorobliwa bladość. Ogromne oczy patrzyły z troską, a pod nimi rysowały się głębokie cienie.

– Wiem, kim jest czarownica z Czerska – oświadczyła bez wstępu dziewczynka. – To Lubow!

– Niemożliwe – mruknął kanonik, po czym zsunąwszy z łoża nogi, wstał.

Salomea też zeskoczyła na podłogę. Tupnęła ze złością i wyszczała:

– A właśnie, że prawda! Jak inaczej by mogła mnie przed koniem uratować? Ona rękę podniosła, a koń zaraz skręcił i mnie ominął! Tak tylko czarownice potrafią!

– Ciemno było – rzekł duchowny. – Zdawało ci się. Koń jak może człowieka ominąć, to zawsze to robi. Mnie też czaszki nie rozłupał, a mógł.

– Nikt mi nie wierzy, ale ja to udowodnię! Ona ma taki czarny pazur i tym pazurem kogutowi brzuch rozpruła, aż się z niego wszystko wylało! To znaczy krew się wylała. Ona ją do kubka zebrała i nie wiem, co było dalej, bo uciekłam. Jeszcze wszyscy zobaczycie, kto ma rację i będziecie żałować, że mnie nie słuchacie!

Dziewczynka obróciła się na pięcie i wybiegła z izby.

Kanonik Albert doprowadził się do porządku i mimo troski, jaką wszyscy mu okazali, uparł się wrócić do kościoła.

– Liturgia sama się nie odprawi – oświadczył. Trochę go w głowie łupało, ale nabożeństwo ważniejsze. Na chwałę Pana można przecież ścierpieć niewielki ból. To mała ofiara.

Przed kościołem kłębił się tłumek mieszkańców grodu. Wszyscy zdawali się czymś bardzo przejęci.

– Proszę księdza! Proszę księdza, znowu! Znowu to zrobiła! – wrzasnęła pulchna niewiasta o policzkach tak czerwonych, jakby je barwidłem wysmarowała.

– Czarownica gusła odprawuje. Koguta zarznęła! Krew spuściła! – krzyknął siwy mężczyzna o gładkich włosach, przyciętych pod garnek.

– O tam! Ojciec idzie i ojciec patrzy! – ciągnęła rumiana niewiasta.

– Ludzie!!! – Huknęły drzwi kościelne i z wnętrza świętego przybytku wypadł brat Klaus.

– Zło ten przybytek modlitwy zbrukało! Ciemne moce zakusy na pobożnych ludzi czynią!

Stary Krzyżak miał na sobie tylko wymiętą okrutnie lnianą koszulę i ciasne nogawice, które już dawno przestały udawać czarne. Chude biodra oplatał mu wysłużony pas rycerski, z którego zwisała pusta pochwa. Włosy brata Klause, cienkie i rzadkie niby babie lato, unosiły się wokół jego głowy jak zmierzwiona chmura. Wielkie piwne oczy osadzone w zapadłych oczodołach gorzały niezdrowym blaskiem.

– Jezusie, Maryjo. Rany Krysta, co się stało?! – Ludzie krzyczeli jedni przez drugich.

– Upiorzysko wlaźło do świątyni pańskiej! – wydarł się brat Klaus, a ludzie wpadli w popłoch. Jednak miast się rozpierzchnąć, zbili się w ciaśniejszą grupę i słuchali zatrwożeni.

– Z płaszcza zakonnego mię odarło, przed ołtarz go zawlekło i nożycami pocięło! Święty płaszcz zakonny ze świętym krzyżem! A krwią też ubroczyło i tak pod ołtarzem bezbożnie porzuciło, by kpić i szydzić z godności bożej!

– O słodka matulu! I co teraz z nami będzie? Co z nami będzie? – biadoliła rumiana niewiasta.

Reszta zgromadzonych zalewała się łzami. Niektórzy padali na kolana. Inni przyciskali ręce do twarzy i mamrotali modlitwy.

Kanonik Albert poczuł, jakby ktoś solidnie dał mu obuchem w głowę. Faktycznie, skaleczył się, kiedy ciął płaszcz brata Klausa, ale wcale samego płaszcza nie umazał, tylko trochę ten odcięty pas, który i tak miał przed porankiem spalić. Wszystko tak się potoczyło, że nie zdążył sprzątnąć krzyżackiej peleryny.

– A kogut? Co z tym kogutem?! – wydarł się siwy, obcięty pod garnek mężczyzna.

Nim kanonik zdążył zareagować, przerażony tłum pochwycił go za ręce i zaciągnął ku studni. Na haku przeznaczonym do wieszania wiadra wisiało kogucie truchło. Tym razem zwierzę powieszono głową do góry. Nie odcięto mu żadnych kończyn, za to rozpruto ciało od gardła aż do samego dołu. Musiało to być zupełnie niedawno, bo wnętrzności wylewające się z ptaka połyskiwały od krwawej wilgoci. Pod truchłem jednak nie było żadnej krwi poza paroma marnymi kroplami, które spadły tu i ówdzie.

Albert zmarszczył brwi i nie słuchał lamentów otaczającej go cizby. Ani krzyków brata Klausa. Nie docierały do niego napastliwe pytania. Pogrążony w myślach zastanawiał się. Ktoś spuścił z ptaka krew, nim go powiesił na studni, bo było jej tutaj zdecydowanie za mało i nigdzie nie dało się zobaczyć śladów rozbryzgu, a przy takiej ranie krew musiała trysnąć szerokim strumieniem. Po wtóre cięcie zdawało się bardzo równe i diablo precyzyjne.

*Diablo?* – przyłapał się na tym, że jego myśli skręcały w określonym kierunku i bardzo go to zmartwiło. *Co to mówiła Salomea? Lubow ma czarny szpon, którym rozcina ptaki.* Przypomniawszy sobie palec starej piastunki, który zobaczył, kiedy tamta odkładała na ławę jego zgubiony krzyżyk. Podobno rozchlastała koguta i zebrała jego krew...

– Brednie! To niemożliwe – szepnął kapłan, potrząsając głową jak pies, który otrzepuje się z wody.

– To czary! Siła nieczysta. Ciemne moce! – biadolili ludzie, przekrzykując się jedni przez drugich.



– Ja mówiłem, że to ona. Ta baba, co służy księżnej – szepnął księdzu wprost do ucha brat Klaus.

Kanonik zerknął ku ksiączęcej siedzibie. Sprawy zaszły za daleko. Ludzie wpadli w panikę i teraz żadne racjonalne tłumaczenia w niczym nie pomogą.

– To pewnie młynarzowa gusła odprawuje! Dzieciaka straciła i pewno złemu duszę zaprzedała, żeby jej dziecko oddał.

– A może być! W końcu dziewczka z czeladnej, co zaginęła przed paroma dniami, przy nadziei była! Pewno szatańską mocą chciała jej dzieciaka z brzucha wyrwać!

– Prawda! W końcu każdy wie, że jeśli czarnego koguta za gardło zdusisz, a brzuch mu rozplatasz i bebechy z niego wyciekną, to sprawisz, że ciężarna baba szybciej rodzić pocznie i choć sama zemrze, to dzieciaka czart przy życiu ostawi! Pewno tak młynarzowa postanowiła pierwородnego odzyskać!

Kanonik Albert nigdy nie przywykł do tego okrucieństwa i głupoty. Większość życia spędził z nosem między kartami mądrych ksiąg, ale jakoś musiał sobie radzić z paniką wierzących w zabobony ludzi.

– Trza wiedźmę chycić i jej łeb urąbać albo do koła młyńskiego przywiązać i poczekać, aż diabelstwo się utopi.

– Spokój! – ryknął.

Wszyscy umilkli. Bardziej z szoku, w jaki wprowadził ich wrzask łagodnego zwykle księdza, niż z czegokolwiek innego.

– Ja przed Panem odpowiadam za wasze dusze, tedy do mnie należy podjąć decyzję, co trzeba uczynić w tej sprawie – mówił kanonik, a ludzie zaczęli się powoli uspokajać. Skoro kapłan wziął na siebie odpowiedzialność za rozwiązanie tej sprawy, to trzeba było słuchać.

– Teraz udacie się do domów i do swoich zajęć, a ja...

– O! A tam coś jest! – zawołał cienki głosik.

Kiedy odwrócił głowę, zobaczył Salomeę, która przewieszona wpoł przez ocembrowanie, zaglądała w głąb studni.

– Księżniczko, zejdz...

Kanonik nie dokończył, bo Salomea pisnęła i poleciała głową w dół. Nim ktokolwiek z zebranych zdołał choćby pomyśleć o tym, by się ruszyć z miejsca, przy studni zjawiała się Lubow. Szybsza niż jastrzębica, w locie dopadła

cembrowiny, uderzając w nią wydatnym brzuchem. Zapała się nogami o belkę na dole i pochyliła w głąb zbiornika. Kanonik Albert poczuł, jak jego serce stanęło. Dopiero gdy Lubow stęknęła ciężko, wciąż tkwiąc głową w studni, z której wydobył się cienki pisk, ludzie rzucili się na pomoc.

– Zdażyła! – krzyknął siwowłosy mężczyzna, ostrzyżony pod garnek.

– Dzięki ci, słodka Matko, opiekunko dzieci! – dodała pobożnie rumiana niewiasta.

Dziewczynka na całe szczęście była tylko wystraszona. Nic poza tym jej nie dolegało.

– Złapała ją – wyszeptał konspiracyjnie brat Klaus.

– Nie powinna – bezwiednie odparł kapłan Albert, a zimne poty wystąpiły na całe jego ciało. Począł dygotać. – Nie powinna jej złapać. Nie powinna była zdażyć. Nikt by nie zdołał! Jej tam wtedy nawet nie było w pobliżu...

– Mówiłem ci, że to wiedźma – syknął brat Klaus, który najwyraźniej miał doskonały słuch, kiedy chciał.

Ludzie zajęli się księżniczką i studnią, w której Salomea coś zauważyła.

– To chyba człowiek! – krzyknął młody chłopak, usiłując dojrzeć coś na tafli wody.

Kanonik zmartwiał i popatrzył na chłopaka, który unosił pobladłe oblicze znad studni. Tuż za nim stała Lubow ze spojrzeniem wbitym w księdza. Było zimne, nieruchome i jakby martwe. Zaraz jednak odwróciła się i zabrała księżniczkę do matki, a ludzie poczęli przygotowania do oczyszczenia studni.

\* \* \*

– Wyłowili pannę z czeladnej. – Wiadomość przyniósł mężczyzna ostrzyżony pod garnek.

Ojciec Albert przyjął to z dziwnym spokojem. Czuł się zupełnie otępiały i zdezorientowany. Wykształcenie mówiło jedno, a fakty co innego. Faktom nie mógł zaprzeczać w nieskończoność.

Wstał z twardej ławy, na której siedział, wpatrując się tępo w ołtarz.

– Przygotujemy pogrzeb.

– Ale to samobójczyni – szepnął mężczyzna i natychmiast zasłonił sobie usta, jakby to słowo miało zbrukać spokój świątyni.

– Nie – odparł duchowny spokojnie. – To był wypadek. Taki sam jak księżniczki Salomei, tylko że księżniczka uniknęła śmierci. Koguta zawińcie w worek i przynieście. Spalę go.

To zdawało się trafiać mężczyźnie do przekonania, bo uspokojony wyszedł. Kanonik Albert znowu usiadł na ławie i zagapił się w ołtarz. Sam nie wiedział, ile czasu tak siedział i rozmyślał. Musiało być długo, bo cały zeszywniał.

– Ksiundz zachorzeje od takiego bez ruchu siedzenia w zimnie.

W mroku kościoła odezwał się nieprzyjemny jakby oleisty głos. Środkiem kościoła, między szpalerem ław szła niemłoda kobieta o wydatnym brzuchu. Gdy zbliżyła się do kapłana, stanęła naprzeciwko i popatrzyła na niego we właściwy sobie sposób. Długą chwilę trwali tak w milczeniu. Wreszcie proboszcz podjął:

– Jak to zrobiłaś? Nie powinnaś zdążyć złapać księżniczki. Nikt by nie zdążył.

Lubow wzruszyła ramionami.

– Księżna pani każe pilnować, to Lubow pilnuje, gdzie jest każde z jej dzieci. Każde! – zaznaczyła z mocą piastunka. – I Lubow wie, co one robią.

– Zawsze?

Kobieta skinęła głową i wskazała palcem drewniany kubek, który odstawiła tu Salomea.

– Księżniczka ukradła księdzu wodę święconą. Ksiundz kazał oddać i rzekł, że nawet jeden nieuczciwy uczynek niszczy świętość.

Gdy to mówiła, na jej obliczu nie drgnął nawet jeden mięsień. Czarne jak studnie oczy patrzyły na kapłana nieruchomo. Kobieta znów wskazała kubek.

– Ksiundz weźmie. Może trzeba znowu poświęcić, skoro księżniczka ukradła?

– Raz wystarczy. Chciałem małej dać do myślenia. Ma dobre serduszko, ale nie może czynić dobra poprzez nieuczciwość – odparł kapłan, sam nie wiedząc, dlaczego poczuł przemożną potrzebę tłumaczenia się starej piastunce.

Lubow powolutku skierowała spojrzenie czarnych oczu na krzyżacki płaszcz rozciągnięty równo na posadzce kościoła i odcięty od niego szeroki pas materii.

Wszystko leżało tak, jak to w nocy zostawił. Nawet krew na posadzce i odciętym pasie wełny.

– Ksiundz ma rację. Wszystek tu pod ochroną Jezusa Krysta, ale to na nic się zda, bo ludzie sami tę ochronę łamią.

– Co ty mówisz? – zdziwił się kapłan, nie pojmując, dlaczego stara kobieta wdaje się z nim w podobną dysputę. Nie wspominając już nawet o tym, że on jej słucha. Białogłowy nie powinny się wypowiadać w tak poważnych sprawach. – Nikt nie jest silniejszy od pana naszego Jezusa Chrystusa i Boga Ojca...

– To złożona kwestia! – przerwała mu Lubow, powtarzając jego własne słowa, i zanurzyła dłoń w kubku, a potem przetarła nią twarz.

Kanonik Albert nie zawył tylko dlatego, że krzyk uwiązał mu w gardle. Oblicze Lubow, które dotąd przypominało pomarszczone jesienne jabłuszko, zmieniło się w jednej chwili.

Kapłan zobaczył brązową jak kora drzewa skórę, oczy zapadnięte w głąb czaszki, połyskujące czerwonawymi punkcikami. Nos zrobił się ostry i wąski, niemal całkowicie spiczasty. Wklęśła skóra twarzy uwydatniała wysokie kości policzkowe. Usta, do tej pory drobne i mięsiste, rozciągnęły się w długą, wąską kreskę. Gdzieś zza lekko uchylonych warg połyskiwały żółtawe, zakończone w szpic zęby. Biała chusta skromnie okrywająca do tej pory głowę piastunki rozwiała się jak dym. W jej miejscu pyszniły się gęste, nastroszone jak siano rude kudły gdzieniegdzie pozlepiane w strąki. Tu i ówdzie wystawały patyczki, uschnięte listowie lub fragmenty kości.

– W imię Ojca i Syna i Ducha... – począł się modlić kanonik.

Stojąca przed nim istota zachichotała upiornie, najwyraźniej setnie ubawiona.

– Ksiundz przestanie. To nic nie da. – Zębaty uśmiech zrobił się tak szeroki, że sięgał niemal uszu!

Proboszczowi zrobiło się niedobrze. Nie pojmował, dlaczego ten piekielny pomiot może stać w kościele i szyderczo się uśmiechać. Jak to możliwe, że w świątyni pańskiej istota nieczysta nie staje w płomieniach?

– Ksiundz dalej nie rozumie? – zachichotała.

Tym razem brzmiało to nieco łagodniej niż przed chwilą. Zdawało się, że straszna twarz blaknie i rozmywa się, a na miejsce demonicznego oblicza wracają

dobrze mu znane rysy Lubow.

– Ksiundz sam powiedział, że cel nie może uświęcać środków. Wystarczy małe zło, mała nieuczciwość, by złamać świętość. – Lubow, której oczy wciąż jeszcze błyszczały czerwienią, wskazała na leżący pod ołtarzem pocięty płaszcz starego zakonnika.

– Czego chcesz?

– Wolności – odparła już dobrze mu znanym głosem starej piastunki. – Chcę, żebyś pomógł mi odzyskać wolność.

– Wolność? – zdziwił się kanonik.

Upiorzyca skinęła twierdząco głową. Zerknęła do kubka, który trzymała w dłoni.

– Mus mi służyć księżnej Agafii z Rurykowiczów i chronić jej dzieci. Mus mi być służyć jej matce Jarosławie, babce Annie, prababce, a nawet matce prababki jej prababki. A pierwszą z nich była Inga, seidkona, co na długiej łodzi przybyła z północy. Władza magią, której nie używały kobiety na mojej ziemi. Kiedy urodziła, przyszedłam do jej domu, bo słyszałam bicie serca jej dziecka. Zabieramy dzieci śmiertelnych kobiet. Taki nasz obyczaj. – Lubow wzruszyła ramionami. Ten ludzki gest zupełnie do niej nie pasował. – Inga mnie zobaczyła i uwięziła zaklęciem. Zmusiła do opieki nad dziećmi kobiet z Rurykowiczów. Obiecała, że za każde zdrowe i dobrze chowające się dziecko rodu, mogę sobie wziąć jedno innej kobiety. Tom brała. A jak ty myślisz? Skąd księżna wzięła siły, by wydać na świat dziewięcioro zdrowych dzieci? Ale już dość! Już nie chcę służyć.

Kanonik Albert przetarł dłonią czoło. Ręce mu drżały jak w febrze.

– To jej powiedz, że chcesz odejść. Ja nic nie mogę zrobić.

– Może ksiundz. Chcę miecz tego starego Krzyżaka, co go ksiundz pod swoim dachem trzyma. Ten miecz zniszczy czar, który mnie więzi. To ostrze z Ziemi Świętej. Jego moc wystarczy.

Kanonik chciał zasypać Lubow pytaniami, ale nagle sam pojał w czym rzecz. Upiorzyca nie mogła ukraść Krzyżakowi miecza. To by naruszyło jego świętość i nie zdołałaby złamać czaru. Ale jeśli ten miecz będzie dobrowolnie darowany...

– Nie mogę ci go dać. Jeśli go zabiorę, również złamię jego świętość.

– Możesz przekonać starego głupca. Niech mi da miecz, a odejdę. Nie dacie miecza, a zostaną i będą ginąć dzieci. Chyba chcesz je ocalić? – zapytała mamuna.

– Ale tak się też nie da. Nie można czynić dobra złymi sposobami. To nie podziała! – niemal jęknął kapłan, który poczuł się złapany w potrzask.

Lubow przysunęła kubek do ust i duszkiem wysączyła resztę święconej wody, a potem odstawiła naczynie na kościelną ławkę.

– W takim razie do jutra – powiedziała miękko. – Jutro się znów obaczym. A potem jeszcze jutro i jeszcze w kolejne jutro. I tak bez końca, póki pozwolisz, by czar trwał.







## MAGDALENA ZAWADZKA-SOŁTYSEK



Urodzona w 1983 roku w Sławnie. Mieszka w Gdyni. Ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Gdańsku, jednak po studiach chętniej zaczęła malować słowem niż pędzlem i ołówkiem. Debiutowała w zbiorowej publikacji utworami przeznaczonymi dla dzieci. Jej pierwsze powieści dla młodzieży „Gra bogów” oraz „Saga jesionu” osadzone w kręgu kultury skandynawskiej zyskały sympatię czytelników. W serii „Ślady Leszego” zaczerpnęła z bogatej kultury słowiańskiej. Znakiem rozpoznawczym jej utworów są niezwykle plastyczny język, charakterystyczne poczucie humoru oraz nieszablonowi bohaterowie.



FRANCISZEK M. PIĄTKOWSKI

**POWRÓT**

- XI -

*(...) Największa ze świątyń miała swe najświętsze miejsce w samym środku, i tak ono, jak i sama świątynia miała zastony zamiast ścian; sufit opierał się tylko na kolumnach. Ludzie Absalona potrzebowali dlatego jedynie zerwać zastony wokół przedsionka, by się zabrać za te wokół najświętszego miejsca.*

*Gdy zostały one ściągnięte, ukazał się tam posąg z drewna dębowego, przedstawiający boga, którego zwano Rugiewitem, i który ze wszech miar przedstawiał sobą wstrętny i ośmieszający wygląd. Mianowicie jaskółki pod jego twarzą zbudowały gniazda i w wielkich ilościach zrzuciły odchody po jego piersi. Tak, ten bóg zasłużył niewątpliwie, by jego posąg został tak wstrętne zapaskudzony przez ptaki. Miał on siedem ludzkich twarzy, zebranych pod wspólnym szczytem głowy; artysta dał mu siedem różnych mieczy, które wisiały w pochwach na jednym pasie, ósmy trzymał on wyciągnięty w prawym ręku; był on tak trwale umocowany żelaznym nitem, że nie szło tego wydostać bez odrąbania ręki, co też i się stało.*

*Był on ponadnaturalnej grubości, i tak wysoki, że Absalon, stojąc na palcach, ledwie mógł dotknąć brody małym toporem, jaki miał zwyczaj trzymać w dłoni. Bóg ten, jak wierzyli, miał moc jak Mars i utrzymywali, że rządził wojną. Nie było nic w tym posągu, na co można by patrzeć z przyjemnością, bowiem był on niezgrabny i brzydki.*

### **Saxo Gramatyk – Gesta Danorum**

Absalon, nieco zdyszany, wyszarpnął w końcu kunsztowny miecz z resztek drewnianej ręki idola, w której był osadzony przy pomocy żelaznego nita. Przez kilka minut rąbał z wściekłą zapalczywością twardą dębinę swoim nieodłącznym toporkiem, aż w końcu suche drewno uwolniło artefakt, którego tak pragnął. Wytarł troskliwie miecz skrajem płaszcza i schował go do inkrustowanej srebrem pochwy.

Pozostałych siedem mieczy – w równie pięknie i misternie zdobionych srebrnych pochwach, które zdjęte zostały chwilę wcześniej z szerokiego, masywnego pasa przytroczonego do figury – leżało już w niewielkiej drewnianej

skrzyni, owinięte pieczolowicie w purpurowy materiał, którego pełno było w świątyni Rugiewita w Charenzie.

Z namaszczeniem złożył ósmy miecz wraz z pozostałymi i skinął na swoich ludzi. Dwóch rosnących Duńczyków bez słowa złapało skrzynię za uchwyty i zastygło w oczekiwaniu na swojego dowódcę. Trzech kolejnych wojów chwyciło topory i zaczęło rąbać potężny dębowy posąg u samej jego podstawy.

Po raz ostatni spojrział z satysfakcją na zrujnowaną i ograbioną z legendarnych bogactw świątynię i na drżący pod ciosami toporów wielki posąg pogańskiego bożka. Ale to nie ten widok nappełniał go największą radością. Prawdziwy ogień w sercu Absalona rozpaliała zawartość skrzyni.

Rugianie, zupełnie bez walki, właśnie wydali w jego ręce ich największy skarb, którego znaczenia nie pamiętali już od setek lat i którego mocy nie byli już świadomi. Właściwie, oprócz biskupa Roskilde, nikt nie był świadomy mocy ośmiu mieczy Rugiewita. Pradawnej mocy, która strzegła dotąd całej Rugii przed niszczycielskimi zapędami Duńczyków i Sasów, i mogła uczynić go najpotężniejszym człowiekiem w tej części świata.

Odwrócił się w końcu na pięcie i wyszedł ze zrujnowanej kąciny, brodząc przez zwoje purpurowego, miejscami zbutwiałego materiału. Dwaj wojownicy taszczący skrzynię w milczeniu podążyli za nim. Po kilkudziesięciu minutach szybkiego marszu dotarli do niewielkiej zatoczki, gdzie czekała na nich płaskodenna słowiańska łódź.

Zapadał już zmierzch, gdy dobili wreszcie do niewielkiego okrętu stojącego samotnie na kotwicy nieopodal przylądka Arkona. Na brzegu czekali dwaj milczący i nieruchomi jak posągi konni z luzakiem. W świetle księżycy w pełni, z góry, z majestatycznego klifu spoglądały na nich potężne wały grodu i kikuty splądrowanej kilka dni wcześniej świątyni Świętowita.

Wokół nie było żywego ducha. Wszyscy mieszkańcy Arkony zmuszeni zostali przez Duńczyków do udania się pod gród Charenza, gdzie mieli zostać ochrzczeni przez biskupa Roskilde. Absalon musiał się spieszyć z powrotem, przedstawienie nie mogło odbyć się bez głównego aktora. Szczególnie że po raz pierwszy w dziejach pod Charęzą nie będzie pogańskiej, bałwochwalczej Nocy Kupały, tylko chrzest Ranów, na czele z ich książętami Jaromirem i Tesławem.

Niemi wojownicy wdrapali się ze skrzynią na statek, który po kilku chwilach ruszył na północ. Biskup z satysfakcją odprowadzał wzrokiem oddalający się skarb. Wiedział, że jego dwaj zaufani ludzie wykonają zadanie i miecze będą bezpiecznie czekać na niego w Roskilde, dopóki on nie skończy swojej pracy tu, na Rugii, i nie rzuci zamieszkujących wyspę Ranów na kolana.

Chwycił wiosła i po kilkunastu minutach dobił do brzegu. Gdy wsiadał na konia, zerwał się porywisty wiatr, a okręt ze skarbem zniknął powoli w nadciągających z wolna ciemnościach. Tylko biały żagiel migotał blado w srebrzystym świetle księżyca.

Jednak tego wieczora nie tylko biskup Absalon śledził wzrokiem niknący w oddali samotny okręt. W pewnej chwili od jednego z filarów podtrzymujących kiedyś zawalony teraz sufit kąciny Świętowita oderwała się czarna, niesamowita postać, która nie przypominała niczego co ludzkie ani zwierzęce. Postać ruszyła powoli przez opustoszały gród w kierunku morza i przystanąła na samym skraju klifu. Po chwili się wyprostowała. Dopiero wtedy nabrała kształtów bardziej człowieka, choć może lepiej by było rzec – niedźwiedzich.

Nagle tajemnicza istota uniosła nad głowę potężne ramiona i w tej samej chwili uderzył w nią potężny podmuch. Postać szamotała się przez chwilę, jakby chciała okiełznać narastający wicher, zamknąć go w potężnym uścisku i nagiąć do swojej woli. W końcu machnęła ramionami, jakby rzucała w morze potężny głaz i nagle... Bałtyk oszalał.

\* \* \*

Adam ciągnął energicznie za linkę przymocowaną do wyciągarki na jachcie, której drugi koniec nikał w granatowo-zielonych odmętach Morza Bałtyckiego. Po chwili przy akompaniamencie głośniego chrobotu automatu nurkowego z topieli wynurzyła się postać płetwonurka. Adam pomógł mu wydostać się z wody na rufę.

– To musi być to – wysapał Mateusz, gdy tylko pozbył się z twarzy maski do nurkowania. – Kuźwa, stary, to musi być to!

Dygotał cały z podniecenia, bo z pewnością nie z zimna. Bałtyk wprawdzie nie należy do najcieplejszych mórz, ale trwające wakacje były najcieplejszymi od

kilkunastu lat. Słońce prażyło niemiłosiernie przez cały miesiąc.

– Nie uwierzę. Dopóki. Nie zobaczę – wystękał Adam, usiłując pomóc koledze w pozbyciu się ciężkich elementów sprzętu do nurkowania. – Mieliśmy już kilka takich złotych strzałów, a potem okazało się, że gównem z tego było.

– Mówię ci. Widziałem to. Osiem podłużnych przedmiotów, trochę zbutwiałego drewna i kupa szlamu. Kiedy lekko oczyściłem mały fragment, błysnęło jakby srebro. Kiedy je wszystkie wyciągniemy, to zobaczysz. Mówię ci, że to jest to. Znaleźliśmy je, Adaś!

– To co? – Adam pomny kilku znalezisk, które okazywały się później srogim rozczarowaniem, dość ostrożnie podchodził do optymizmu przyjaciela. – Zadzwońisz do niego dzisiaj? Skoro jesteś taki pewny... Chciał przy tym być.

– A zadzwonię, niedowiarku. – Mateusz uwolnił się ze skafandra i usiadł ciężko na pokładzie. – W końcu to jego jacht, a przede wszystkim weźmiemy wreszcie naszą forszę.

– Świeczkę odpalę Neptunowi, żebyś miał rację, bo już nie wiem, jak mam przekonywać Sylwię, że od miesiąca nie grzeję dupy w Międzyzdrojach, tylko mrozę ją w tym talerzu z kluchami, zwanym Bałtykiem.

Widzę, że serwujesz powiedzonko niemieckich marynarzy z U-Bootów – parsknął Mateusz.

– Bo mieli rację – burknął Adam. – W przeciwieństwie do ciebie nie pałam taką miłością do tego zimnego bajora. Delikatnie mówiąc.

– Dobra, już nie marudź. To bajoro niedługo ustawi cię na kilka ładnych lat. Jak wrócimy do pensjonatu, to zadzwonię po Svena.

\* \* \*

Dwaj mężczyźni pochylali się nad plandeką rozłożoną na achterdeku jachtu. Trzeci klęczał nad kilkoma unurzanyymi w mule przedmiotami złożonymi na plandecę i pieczołowicie polewał je wodą.

Po kilku chwilach ich oczom ukazały się kunsztownie wykonane wczesnośredniowieczne miecze w pięknych, bogato zdobionych pochwach. Najdziwniejsze było to, że wyglądały na zupełnie nienadgryzione zębem czasu. Jak spod igły.

– Boże – jęknął wniebowzięty Mateusz. – To one! Ale jak to się stało, że one się tak zachowały? – Spojrzał pytająco na towarzyszących mu mężczyzn. – Sven, o co tu chodzi? To miały być stare wikińskie miecze do twojej kolekcji, jak mówiłeś, ale te tutaj to prawdziwy skarb.

– Mówiłem wam, że te przedmioty będą nietypowe – odparł mężczyzna nazwany przez Mateusza Svenem. – Takich mieliście szukać i świetnie się spisaliście.

– Muszą być bardzo cenne – zaczął Adam. – Wydaje mi się, że trochę za mało nam zapłaciłeś.

– Mieliśmy sporo wydatków. – Mateusz wstał z klęczek. – Przyznaj się. Wiedziałeś od początku, ile one będą warte.

– Wiedziałem. – Sven uśmiechnął się kpiarsko. – I pokryłem wszystkie wasze wydatki, już zapomnieliście? Poza tym taka była umowa i taką podaliście cenę. Ja się wywiązałem.

– Sto tysięcy dolarów na dwóch? Jeden taki miecz pewnie można sprzedać za tyle, a jest ich osiem – obruszył się Adam. – Odwaliliśmy całą robotę, a ty ewidentnie zrobiłeś nas w ciula.

– Powtarzam: zgodziliście się na taką cenę.

– Bo nam wciskałeś kit, że to stare graty o wartości kolekcjonerskiej i sentymentalnej.

– A wy wzięliście mnie za starzejącego się, bogatego pajaca, którego można wydymać na kilka sztuk zardzewiałego żelastwa. Jesteśmy kwita.

– A to niby czemu kwita? – włączył się Mateusz. – Dobrze Adam mówi. Zapieprzaliśmy ponad miesiąc, dzień w dzień, szukając tego twojego wraku ze starymi mieczami, które tak niby pragnąłeś do kolekcji. Te miecze są warte co najmniej dwadzieścia razy tyle, ile przyniosłeś kasy w tej swojej torbie. Dorzucisz drugie tyle i wtedy będziemy kwita. Weźmiesz sobie połowę mieczy, a drugą połowę, jak przyniesiesz drugą część forsy.

– Strasznie jesteście pazerni – roześmiał się Sven drapieźnie. – Ale teraz to i tak nie ma już znaczenia.

– Kurwa, my jesteśmy pazerni?! – oburzył się Adam. – Odjebaliśmy całą robotę, w każdej chwili mogło pójść coś nie tak, mogliśmy utonąć, mogli nas zamknąć za nielegalne poszukiwania. Ponad miesiąc, codziennie, siedzieliśmy

przez kilka godzin w ciemnej, lodowatej wodzie i babraliśmy się w śmierdzącym mule, kilka razy mogło nas wyjechać w powietrze, bo trafiliśmy na jakieś gówno z drugiej wojny. I to dla ciebie nie ma znaczenia? Niby, kurwa, dlaczego?

Sven bez słowa okręcił się na pięcie i sięgnął do leżącej obok sportowej torby.

– A dlatego, że nie potrzebuję zbędnych świadków – rzucił jeszcze, po czym błyskawicznie wyciągnął z torby pistolet i dwoma precyzyjnymi strzałami w głowę zastrzelił obu nurków.

Podszedł bliżej i wpakował w każdego po jeszcze jednej kuli. Następnie włożył miecze do sportowej torby, wyrzucił zwłoki obu nieszczęśników wraz z ubabraną mułem plandeką przez pawęż i skierował łódź w stronę lądu.

Późnym popołudniem kierowany przez Svena jacht przybił do spokojnego nabrzeża w Kamieniu Pomorskim. Mężczyzna wytaszczył z łodzi dwie sportowe torby i ruszył niespiesznie przez marinę. Nagle drogę zastąpiło mu trzech nieznanych mężczyzn.

– Pan Sven Larsson? – odezwał się najstarszy z nich, szpakowaty dryblas. – Czy może raczej pan Edward Światała?

– Przykro mi, chyba mnie panowie z kimś mylą – odparł Sven lodowato po angielsku.

– A może w końcu pan major Tadeusz Obszański? – Na twarzy dryblasa wykwitł sztuczny uśmiech. Twarze towarzyszących mu dwóch młodych byczków pozostały niczym wykute w kamieniu. – Urząd Ochrony Państwa. Myślał pan, że o panu zapomnieliśmy?

Sven spojrzał przeciągle po tęskniących za rozumem twarzach tajniaków i pokręcił z rozczarowaniem głową.

Popęlnia pan grubą pomyłkę, panie kapitanie, jak się domyślam, bo mi się pan nie przedstawił – odparł Sven, przechodząc na polski.

– Domyślny pan jest, ale o pomyłce niestety nie ma mowy. Mamy polecenie zatrzymać pana i doprowadzić do delegatury Urzędu Ochrony Państwa w Szczecinie.

Dobrze, załatwmy to szybko.

\* \* \*



Pułkownik Śródecki – chudy, niski siwiejący blondyn wyciągnął do Svena rękę na przywitanie, gdy doprowadzający go szpakowaty i dwa byczki zniknęli za drzwiami gabinetu.

– Przepraszam za formę, ale musimy zachowywać pozory. – Wyszczrzył się w taki sposób, żeby było wiadomo, że jego uśmiech nie ma niczego wspólnego ze szczerością.

– Sven Larsson – odparł, niechętnie ściskając dłoń pułkownika. – Czemu zawdzięczam tę przymusową wizytę w tym uroczym miejscu?

– Widzę, że mocno przyzwyczaił się pan do nowych personaliów, majorze. – Z oblicza Śródeckiego nie schodził lodowaty uśmiech. – Widzi pan – stęknął, sadowiąc się na powrót w fotelu za biurkiem – może pan zapomniał o dawnej ojczyźnie, ale ojczyzna nie zapomniała o panu. A po Operacji Samum nasi nowi sojusznicy udostępnili nam kilka wspaniałych zabawek, abyśmy ciągle mogli odświeżać naszą pamięć. Na przykład pamięć o panu. I nagle szczęśliwy los, choć teraz skoro już obaliliśmy komunę, powinniśmy mówić: dobry Bóg skierował pana prosto w nasze ręce. Pan sobie siądzie. – Wskazał krzesło przed biurkiem.

Nie rozumiem, do czego pan zmierza – odparł Sven głosem równie lodowatym co uśmiech jego interlokutora.

– Ciekawe rzeczy pan ze sobą wozi. Nie znam się na antykach, ale na zachodzie takie błyskotki zapewne idą za miliony dolarów, prawda?

– Te błyskotki mają wartość wyłącznie kolekcjonerską dla mnie i nie są na sprzedaż.

– Och, niechże pan nie robi ze mnie idioty. – Gadzi uśmiech jak przyklejony tkwił na twarzy pułkownika. – Po pierwsze taki z pana kolekcjoner jak z koziej dupy trąba, a po drugie przecież nie robi pan w detalu.

– Nadal nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– No dobrze. – Uśmiech wreszcie zniknął ze świńsko różowej twarzy Śródeckiego. – Zagrajmy w otwarte karty. Jasne sytuacje czynią przecież przyjaciół. Pozwolimy panu wywieźć z kraju te pańskie kolekcjonerskie przedmioty, warte zapewne kilka milionów dolarów na czarnym rynku, tym samym kanałem, który pan zorganizuje dla naszej kolekcji.

– Ciekawe rzeczy pan opowiada – parsknął Sven. – Pan też jest kolekcjonerem militariów?

– Prawie pan zgadł. Otóż mamy trochę militariów do przewiezienia – ciągnął niewzruszony pułkownik. – Ale tak, żeby nikt nie wiedział, że w ogóle mamy cokolwiek z tym wspólnego. Całą logistykę weźmie pan na siebie.

– Dlaczego ja?

– Bo dla pana i pańskich kolegów to bułka z masłem, a dla moich orłów z najświeższego naboru po czasach słusznie minionych to szczyt możliwości – wypalił bez ogródek.

Zapadła cisza. Obaj mężczyźni mierzyli się lodowatym wzrokiem.

– Nie muszę chyba dodawać, że jeśli pan odmówi, to dołączy pan do tych dwóch biedaków, których pan zastrzelił z glocka, który przy panu znaleźliśmy, a zwłoki zapewne wyrzucił do morza. Swoją drogą to chyba się pan starzeje, skoro potrzebował pan do tego aż czterech kul. – Na okrągłą twarz Śródeckiego ponownie wypełził gadzi uśmiech.

– Dla pewności tylko – mruknął Sven. – Dwie wystarczyły.

– No jakże się cieszę, że przestał pan w końcu odpierdalać przede mną ten idiotyczny teatrzyk.

– Czego chcecie?

– Najkrócej mówiąc, panie majorze, mamy do przerwania do byłej Jugosławii trochę karabinów, granatów, amunicji i innego sprzętu, ale tak, żeby mucha nie siadła na kryształicznym obrazie Trzeciej Rzeczypospolitej. Zorganizuje nam pan to wszystko, a do tego czasu pańskie skarby poczekają bezpiecznie u mnie. – Śródecki spojrzał wymownie na stojącą w gabinecie wielką szafę pancerną. – Dostanie pan je z powrotem, kiedy wraz z naszymi skarbami będzie pan opuszczał terytorium Polski, a my upewnimy się, że dalsza ich podróż przebiegnie bez zakłóceń. Oczywiście, jeżeli nie dopilnuje pan, aby sprzęt dotarł tam, gdzie trzeba, to również dołączy pan do pana Adama i pana Mateusza w ich podmorskim miejscu spoczynku. I czy schowa się pan w Roskilde, jak dotychczas, czy znowu ucieknie pan do Sztokholmu, czy raczej oddeleguje się, jak przed kilkunastoma laty, to i tak pana znajdziemy. Może czasy się zmieniły, ale sporo dawnych funkcjonariuszy pomyślnie przeszło weryfikację, także do tego fachowców jeszcze będziemy mieć. Czy wszystko jest jasne?

Sven zmierzył szefa delegatury UOP-u zde gustowanym spojrzeniem.

– Ależ niech pan nie udaje cnotki – zachnął się Śródecki. – Jakby pan takich metod nie stosował. Pytałem, czy wszystko jest dla pana jasne?

– Jasne – westchnął Sven i pokręcił głową z lekkim niedowierzaniem. – Czyli teraz służby Trzeciej Rzeczypospolitej bawią się w drobnych geszefciarzy?

– A dlaczegoż to nie mielibyśmy brać dobrych wzorców z pana i pańskich kolegów z Wojskowej Służby Wewnętrznej i Służby Bezpieczeństwa? Zmarnować lata doświadczeń? Panie majorze, szkoda takich pieniędzy! A tak na marginesie to ciekaw jestem, jak pan się wpieprzył w tę hecę z tymi nurkami...

\* \* \*

Starszy, zasuszony i siwy jak gołąb mężczyzna w nienagannie skrojonym czarnym garniturze siedział przy stoliku w restauracji sztokholmskiego Hotelu Grand i udawał, że studiuje kartę menu. W istocie jednak taksował badawczym spojrzeniem spod rogowych oprawek idącego ku niemu mężczyznę.

Człowiek ten, na oko lekko po pięćdziesiątce, miał sprężysty chód zdradzający mundurowego, szczupłą, wysportowaną sylwetkę i ubiór czerpiący pełną garścią z najnowszych trendów mody.

Gdy nieznajomy zbliżył się do stolika, starszy człowiek wstał i wyciągnął dłoń na przywitanie.

– Birger Noren – przedstawił się. – Będziemy rozmawiać po szwedzku, czy po angielsku? Pan wybaczy, ale po polsku nie znam ani słowa.

– Edward Światała – rzucił nieznajomy, ściskając suchą, kościstą dłoń. – Zostańmy przy angielskim. Wprawdzie mieszkam w Szwecji już trochę czasu, ale delikatna natura naszej rozmowy powoduje, że w szwedzkim mogą mi umknąć te najbardziej istotne szczegóły.

– Zatem, drogi Edwardzie, podobno jest pan jedyną osobą, która może nam pomóc w pewnej delikatnej i wymagającej maksimum dyskrecji sprawie.

– Zamieniam się w słuch.

– Bez zbędnych ceregieli. To lubię. – Uśmiechnął się Noren. – Otóż kilka setek lat temu, w XII wieku, biskup Absalon, czyli szara eminencja Królestwa Danii za czasów króla Waldemara Wspaniałego, uczestniczył w najeździe Duńczyków na Rugię. Tam między innymi splądrowano ostatnie świątynie

pogańskie Wendów, czyli Słowian Połabskich, konkretnie plemienia Ranów. Biskup osobiście nadzorował wywóz zrabowanych kosztowności. Wśród tych skarbów był też jeden ładunek o pewnym szczególnym znaczeniu. Dla osoby, która wiedziała, z czym ma do czynienia, a taką był Absalon, te przedmioty miały wartość niewyobrażalną, ale niewymierną w pieniądzu, bo dla zwykłego duńskiego wojaka były to piękne, kosztowne przedmioty, ale nic poza tym. Niestety, statek wiozący ten ładunek zaginął podczas sztormu i skarb przepadł bez wieści. Prawie bez wieści.

– Rozumiem, że to w tym „prawie” ma się kryć moja pomoc?

– Właśnie tak. Absalon został jakiś czas później arcybiskupem Lund i do końca życia nie szczędził sił i środków, aby odnaleźć zaginiony ładunek. Jednak prawdę o tym, co było tym ładunkiem, niemalże zabrał do grobu.

– Mieliśmy „prawie”, teraz mamy „niemalże”. – Edward uśmiechnął się pod nosem.

– Niemalże, ponieważ sekretarzem arcybiskupa i jednym z najbardziej zaufanych ludzi był jeden z najtęższych umysłów tamtych czasów, niejaki Saxo Gramatyk, autor *Gesta Danorum*, czyli potężnej kroniki duńskiej. Poczytał on zapiski na ten temat, których oczywiście do swojej kroniki nie włączył, i my te zapiski odnaleźliśmy podczas remontu w parafii Świętego Tomasza z Akwinu w Lund kilka lat temu. Zapewne trafiły tam po przejęciu katedry w Lund przez luterański Kościół Szwecji. Dzięki tym zapiskom byliśmy w stanie zakreślić, w maksymalnym przybliżeniu, obszar poszukiwań.

– Co to za przedmioty, bo rozumiem, że o nie chodzi w tej opowieści?

– To osiem mieczy zrabowanych ze świątyni Rugiewita w Charenzie.

– Mieczy? Stare średniowieczne miecze są dla was tak cenne?

– Jak wspomniałem, dla przeciętnego zjadacza chleba mają wyłącznie wartość rynkową, ale w odpowiednich rękach są bezcenne.

– Wie pan zapewne, że swoje honorarium będę ustalał na podstawie tej drugiej wartości?

– Jesteśmy gotowi ponieść stosowne koszty. Oczywiście w granicach rozsądku. Jest pan do tego zadania najlepszym kandydatem, ale nie jedynym.

– Właśnie, a dlaczego ja i dlaczego dopiero teraz?

– Chyba nie sądzi pan, że przedstawiciele Kościoła, i to pochodzącego z drugiej strony żelaznej kurtyny, mogliby podejmować jakiekolwiek działania na polskich wodach terytorialnych bez opieki polskich służb?

– Wasz skarb jest w Polsce?

– Według zapisków Saxo sztorm o niesłychanej sile zniósł okręt w okolicy wyspy Wolin i tam statek zatonął. A dlaczego teraz, pyta pan? Bo dopiero teraz, po zmianie ustroju, możemy podjąć jakiekolwiek kroki w tym kierunku. A pan z kolei jest człowiekiem, nazwijmy to, najbardziej ustosunkowanym w tym bałaganie, który w tej chwili jest w Polsce.

– Niepokojąco dużo o mnie wiecie.

– Wiemy tyle, ile trzeba. W końcu jesteście najstarszą organizacją na świecie.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedział Edward. – Jak daleko mogę się posunąć w swoich poszukiwaniach?

– Tak daleko, jak to będzie konieczne. Ma pan w tej sprawie wolną rękę. I proszę pamiętać, że im mniej świadków, tym lepiej.

\* \* \*

Pułkownik Śródecki podjechał służbowym BMW do jednego z TIR-ów na rumuńskich numerach rejestracyjnych oczekujących na załadunek na terminalu promowym w Świnoujściu. Z kabiny naczepy wyskoczył kierowca i wsiadł do samochodu od strony pasażera.

– Rozumiem, że wszystko gotowe?

– Gotowe. Trzy wagony kolejowe i trzy TIR-y. Jednym jadę sam, żeby wszystkiego dopilnować przy rozładunku w Ystad. Dalszą trasę pan zna.

– Muszę przyznać, że pańska sława nie jest na wyrost – odparł pułkownik z nutką podziwu w głosie. – W bagażniku są pańskie skarby, proszę sobie wziąć, kiedy pan wyjdzie. Ale żeby w tej sprawie skarżyć aż do Watykanu? Nieładnie, panie majorze. Aż tak nie ma pan do nas zaufania?

– A ktokolwiek ma do was jakiekolwiek zaufanie? Poza tym moi zleceniodawcy zaczęli poważnie się niepokoić. Sami uruchomili te sznurki. A wy się teraz bardzo boicie tych sznurków, nieprawdaż? – Posłał pułkownikowi ironiczny uśmiech.

– Kiedyś sznurki były czerwone, teraz są czarne. Ważne, kto tymi sznurkami pociąga. – Na twarz Śródeckiego wypełził znajomy, gadzi uśmiech. – No to cóż... W takim razie stopy wody pod kilem, jak to się mówi – powiedział kwaśno. – I niech pan już do ojczyzny nie wraca. Nawet jako turysta. Pan zapomni o nas, to my zapomnimy o panu.

– Jak w ten sposób będziecie rządzić, to niedługo nie będzie nawet do czego wracać. Żegnam.

Sven Larsson vel Edward Świtała vel major Tadeusz Obszański wyjął z bagażnika BMW sportową torbę, sprawdził jej zawartość, po czym wsiadł z nią do kabiny MAN-a i ruszył w otwartą paszczę polskiego promu kolejowo-samochodowego Jan Heweliusz. Był 13 stycznia 1993 roku, ale były major Wojskowej Służby Wewnętrznej nigdy nie był przesądny.

Chwilę przed północą prom oddał cumy i wypłynął w rejs do Ystad, a Sven zamknął się w swojej kajucie i zasnął snem sprawiedliwego, kładąc obok siebie osiem mieczy Rugiewita.

\* \* \*

Przez czarne niebo oświetlane srebrzystym blaskiem kończącej się pełni pędził Dziki Gon. Na pustym przylądku, na skraju stromego ponad dwudziestometrowego klifu stała wielka, samotna czarna postać. Stała niewzruszenie smagana natarczywymi powiewami wiatru.

Podniebna armia duchów zataczała niecierpliwie szerokie kręgi, czekając na ostateczny znak. Bałtyk ryczał coraz głośniejszym, a na coraz wyższych falach kłębiły się wściekle olbrzymie grzywy piany.

Postać uniosła nagle ramiona i w tej samej chwili zimowe niebo zasnuło kłębowisko chmur. Dziki Gon ruszył z ogłuszającym wrzaskiem na wschód. Na Bałtyku rozszalał się sztorm o sile przekraczającej skalę Beauforta, o sile przekraczającej ludzkie wyobrażenie.

Nieokiełznana czereda wyła, jęczała, ryczała potępieńczo; nieokiełznany, lodowaty wichur piętrzył fale na wysokość kilkunastu metrów, szarpał ich grzywy, aż w końcu Dziki Gon z całą swą niszczycielską mocą uderzył, w jakże

lichą w porównaniu z potęgą, z którą musiała się zmierzyć, skorupkę z napisem Świnoujście – Ystad na burtach.

Tajemnicza istota ruszyła przez nawałnicę w stronę dziwnego z pewnością wykonanego ludzką ręką stromego wzniesienia i wspięła się na sam jego szczyt. Stamtąd, z wciąż imponujących pozostałości wału broniącego niegdyś dostępu do potężnego grodu Świętowita, obserwowała pandemonium rozgrywające się na wschodnim wybrzeżu Rugii.

Pradawna moc zaklęta w dawno utraconych artefaktach wracała do domu i już na wieki miała spocząć nieopodal miejsca, którego kiedyś przez setki lat strzegła. W głębinach, które kryją zabrane przez żarłoczne fale Bałtyku resztki dawnej świątyni Świętowita.

Tymczasem targany wściekłymi atakami prom Jan Heweliusz przechylił się nieodwracalnie na lewą burtę i zaczął tonąć. Pół godziny później na ratunek Heweliuszowi ruszył niemiecki statek MS Arcona.

\* \* \*

Prom Jan Heweliusz zatonął o świcie 14 stycznia 1993 roku u wybrzeży Rugii wraz z kilkudziesięcioma osobami na pokładzie. Kilku ciał nigdy nie odnaleziono. Nie podjęto też próby wydobycia wraku. Prom wraz z ładunkiem spoczywa na dnie na głębokości 27 metrów. Według niesprawdzonych doniesień i teorii (również spiskowych) prom miał rzekomo przewozić tajny, nielegalny ładunek w postaci broni przeznaczonej dla stron konfliktu zbrojnego, który toczył się wówczas na terytorium byłej Jugosławii, oraz nielegalnych emigrantów z Rumunii zmierzających do Ameryki Północnej. Do dzisiaj wrak nie został zbadany.

Jednak jedno wiadomo na pewno. Ćwierć wieku po katastrofie Heweliusza pradawna moc na starożytnym arkońskim przylądku zaczęła powoli budzić się do życia... Ale to już zupełnie inna historia.

## FRANCISZEK M. PIĄTKOWSKI („LĘDZIAN”)



Mąż Karoliny, tata Zuzanny i Zofii, z wykształcenia prawnik, z zawodu adwokat, z zamiłowania bloger podróżniczo-kulinarny, z wyznania rodzimowierca słowiański. Z pasji pisarz i autor pierwszego nowoczesnego cyklu powieści rodzimowierczych: „Uniwersum Powiernika” („Powiernik”, „Widzący”, „Powiernik. Bogowie i stwory. Opowiadania”, „Obrońcy”, „Widzący. Bogowie i stwory. Opowiadania”).

Miłośnik klimatów śródziemnomorskich i latynoamerykańskich, owoców morza i historii, z naciskiem na historię dawnych Słowian. Muzycznie osadzony w neo-progrocku, power metalu i folku.





ARTUR GRZELAK  
**CO KRYJE TOŃ?**

- XII -

A gdy się toń jeziora księżycową plamą  
Osrebrzała, gdy wichry zawiewały chłodniej,  
Jam jeszcze leciał – jeszcze uciekałem od niej.

I może bym zapomniał – bo koń leciał skoro.  
Bo mi targały myśli tętniące kopyta.  
Gdzie ona? – oszukana – przeklęta – zabita...  
Patrzę na niebo, księżyc, na gwiazdy, jezioro...  
Wszak jęk tu nie doleci, wszak łez nie zobaczę.  
To jezioro – to fala – to ona nie płacze.

**Juliusz Słowacki** – *Sumienie*

## **Popas nad jeziorem**

Grupa jeźdźców wypadła zza ściany lasu, wzbudzając za sobą tuman kurzu. Cwałujące wierzchowce parskwały i robiły bokami coraz bardziej zmęczone ucieczką. Jeden z koni wyraźnie kulał, zostając w tyle. Przejechawszy jeszcze kilka staj, wojowie stopniowo zaczęli zwalniać. Dosiadający okulałą klacz mężczyzna zakrzyknął do swoich towarzyszy:

– Hej! Zaczekajcie!

Pozostali jeźdźcy wstrzymali wierzchowce, które oddychały ciężko po długim biegu. Przywódca grupy, brodaty woj we wgniecionym szyszaku, pokłusował na górującą nad okolicą skarpe i popatrzył w dal. W końcu odwrócił się do towarzyszy i zakrzyknął:

– Odjechaliśmy już wystarczająco daleko. Tu w dole, wodna toń się mieni. Jezioro jakoweś. Napoimy konie, opatrzymy rany, posilimy się i prześpimy parę godzin. Noc przeczekamy i najdalej jutro po południu w Mędrzycach staniem.

Pozostali wojowie nie odezwali się słowem, ale zgodnie pokiwali głowami. Każdy miał dość ucieczki po gęstych kniejach, bagniskach i bezdrożach. Wyprawa na Pomezzańskie pogranicze wydawała się obietnicą łatwego łupu, a zmieniła się w kilkudniową ucieczkę przed wojowniczymi Prusami. Na

szczęście byli już na ziemiach, które w teorii należały do księcia Bolesława i mogli czuć się w miarę bezpiecznie.

Nim zjechali nad jezioro, które okazało się całkiem sporych rozmiarów i znaleźli odpowiednie miejsce do obozowania, słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Promienie odbijały się w wodnej tafli żółtymi refleksami. W szuwarach i tatarakach słychać było kumkanie i rechotanie żab, a także świergotanie potrzosów. Na leżącej pośrodku toni niewielkiej wyspie można było dostrzec kilka czapli, które bacznie obserwowały odpoczywających wojów.

– Rybkę bym zjadł – rzekł Suligost, prowadząc strudzonego wierzchowca po piaszczystym brzegu. – Dawnom szczupaka nie kosztował.

– Weźmiesz pierwszą wartę – zakomenderował Zbywoj, zdejmując wgnieciony szyszak i obmywając posklejane krwią włosy. – To będziesz miał czas coś złować na śniadanie.

Suligostowi zrzędała mina, był obolały i zmęczony, ale ze Zbywojem nie było sensu dyskutować. Napoił konia, rozkulbaczył go i pozwolił popaść się w nadwodnych szuwarach. Obrok dawno się skończył, więc wierzchowiec musiał zadowolić się wysokimi trzcunami i tatarakiem. Pozostali wojowie również oporządzili swoje wierzchowce i zajęli się rozpalaniem ogniska oraz przygotowywaniem jadła.

Nim zapadł zmierzch, większość mężczyzn padła ze zmęczenia, wykończona przedłużającą się wyprawą. Słychać było głośnie pochrapywanie, a także jęki Witosza, który został ranny podczas potyczki z Pomezanami. Włócznia przeszła mu bok, rana była głęboka i zaczynała śmierdzieć. Istniała bardzo niewielka szansa, że chłopak wyjdzie z tego żywy. Żaden z wojów nie znał się na leczeniu, więc poili go ziołami, które pomagały uśmierzyć ból.

Nim Zbywoj ułożył się do snu, obszedł okolicę, jednak nie znajdując nic niepokojącego, wrócił do ogniska i usiadł z głośnym stęknięciem. Zdjął opończę i oderwał z niej skrawek materiału. Obwiązał sobie ranę na głowie, którą odniósł kilka dni temu. Podczas walki olbrzymi Pomezan o mało nie urwał mu głowy, wymachując maczugą. Szyszak zdołał zamortyzować uderzenie, a po chwili przeciwnik leżał pod nogami Zbywoja z rozprutym brzuchem. Wyczynem tym wzbudził podziw pozostałych członków drużyny, a wojowie zaczęli nazywać go Twardogłowym.

– Idę spać. Gdyby coś się działo, od razu mnie budź – mruknął Zbywoj w stronę Suligosta i położył się przy ognisku. Już po chwili słychać było jego donośne chrapanie.

Księżyc świecił dość jasno, odbijając się w tafli jeziora, po której od czasu do czasu rozchodziły się koncentryczne kręgi spławiających się ryb. Noc zrobiła się chłodniejsza, więc Suligost zarzucił na ramiona opończę. Ciemnozielony płaszcz był znakiem rozpoznawczym drużyny komesa Będzimira. Nakazał on, aby wszyscy wojowie wyruszający na łupieżcze wyprawy do Pomezanii nosili ciemnozielone opończe oraz okrągłe tarcze z białymi pasami. Komes chciał, aby Prusowie wiedzieli, kto dokładnie najędzie ich ziemie. Zamierzał wzbudzić strach oraz szacunek wśród wrogów.

Nocna cisza przerywana była pochrapywaniem kompanów, dalekimi odgłosami klekoczących czapli oraz odległym pluśnięciem. Tym razem zwiastującym coś o wiele większego niż płóć czy okoń. Suligost wstał, wyjął z sakwy sieć i postanowił umilić sobie wartę połowem. Oddalił się od obozu, zagłębiając w szuwarach. Brodził w płytkiej wodzie, przedzierając się przez przybrzeżne chaszczki. W oddali raz za razem słyszał plusk, a także... śpiew.

– Ki czort – rzekł sam do siebie. Przychylił się, aby być mniej widocznym, i zaczął stąpać o wiele ostrożniej. Przeszedł jeszcze kilka kroków i wyjrzał zza tataraków. W wodzie stała naga ciemnowłosa dziewczyna. Jej skóra zdawała się lśnić w blasku księżyca, co nadawało jej bladoniebieskiego odcienia. Dziewka obmywała się w jeziorze i podśpiewywała wesoło, najwyraźniej nieświadoma czyjeś obecności. Mężczyzna dostrzegł jej pełne piersi oraz płaski brzuch, niestety reszta ciała skryta była w wodzie. Suligost poczuł przypływ pożądania, dawno nie spółkował z kobietą, a ta, którą obserwował, była nad wyraz piękna.

Zastanawiał się co robić, kiedy nagle dziewczyna odwróciła się w jego stronę. Ujrzał jej ogromne oczy, które błysnęły zniewalającą zielenią. Mężczyzna myślał, że dziewczyna spłoszy się i zacznie uciekać, jednak ona jedynie zasłoniła piersi i śmiało na niego spojrzała. Uśmiechnęła się i zachęcająco skinęła mu dłonią.

– Chodź do mnie – usłyszał melodyjny głos.

Woj nie zastanawiał się długo. Działał jak pod wpływem impulsu. Rzucił niesioną sieć w szuwały za plecami i wkroczył do wody. Była zimna, a dno dość

muliste. Mężczyzna oddalał się od brzegu, ale dystans do dziewczyny wcale nie malał. W końcu przestał czuć grunt pod nogami i zaczął płynąć.

– Chodź do mnie – powtórzyła dziewczka.

Suligostowi zdawało się, że z miejsca gdzie założyli obóz, dobiegają jakieś hałasy, lecz równie dobrze mogło mu szumieć w uszach po tym, jak dostała się do nich woda. Choć tafla jeziora była spokojna, płynęło mu się coraz ciężiej. Ramiona i nogi rwały bólem, ubranie przemokło i zrobiło się ciężkie.

Dziewka zdawała się znajdować już na wyciągnięcie ręki. Kiedy w końcu Suligost do niej dopłynął, był wyczerpany. Ledwie unosił się na powierzchni, łapczywie łapiąc powietrze.

Dziewczyna uśmiechnęła się, spoglądając swymi ogromnymi szmaragdowymi oczami. Dotknęła jego twarzy, a kiedy Suligost chciał ją pocałować, szarpnęła się i mocno chwyciła go za ramiona. Z niesamowitą u tak drobnej osoby siłą wciągnęła go pod powierzchnię. Mężczyzna nabrał wody w usta, w panice starając się złapać oddech. Ciągnęła go coraz głębiej i głębiej, zanurzając się w ciemne odmęty jeziora. Suligost starał się uderzyć dziewczynę, jednak w wodzie jego cios nie zrobił na niej wrażenia. Młócił rękami i nogami, jednak coraz bardziej opadał z sił. Zakrzuszył się, czując, jak ciemnieje mu w oczach, a płuca palą żywym ogniem.

Opadał coraz głębiej, a ostatnim widokiem, jaki zobaczył, była twarz ciemnowłosej dziewczyny o szmaragdowych oczach.

## **Wizyta w Mędrzycach**

Według pogłosek zasłyszanych na gościńcu komes Będzimir z Mędrzyc prowadził rządy twardej ręki. Świadczyli o tym liczni wisielcy, którzy zdobyli trakt prowadzący do grodu. Trzebor kilkukrotnie mijał rozłożyste dęby, na gałęziach których dyndały zwłoki. Przyczepione do nich tabliczki oznajmiały, że byli to w większości złodzieje, szabrownicy lub schwytani na jednej z licznych wypraw Pomezanie.

Jeszcze będąc w Gnieźnie, Trzebor słyszał wiele opowieści o Będzimirze. Komes słynął ze swego męstwa, a także okrucieństwa, które udowodnił lata temu podczas walk z Goplanami. Teraz książę Bolesław nakazał mu umocnienie

północnych rubieży państwa, do czego Będzimir przykładał się nader skrupulatnie. Założył kilka umocnionych grodów, jak ten w Mędrzycach, do którego właśnie zbliżał się Trzebor. Zapuszczał się także na Pomezanię, gdzie łupił zamieszkujących te tereny Prusów oraz inne pomniejszych plemion. Przynosząc znaczne łupy, a także zdobywając licznych jeńców.

Trzebor zbliżał się już do Mędrzyc. O dziwo gród nie był wybudowany na planie okręgu, jak większość widywanych przez mężczyznę osad, ale miał kształt niezbyt regularnego trójkąta. Otoczony ziemnymi wałami oraz ostrokołem z kilkoma wieżycami wyglądał na całkiem solidne miejsce do obrony. Podgrodzie tworzyły nieliczne, zbudowane z byle czego chałupki i lepianki, wśród których kręciło się sporo ludzi. Trzebor popędził wierzchowca i ruszył w tamtą stronę.

Podgrodzie powitało go gwarem i mnogością zapachów. Ktoś głośno klócił się o cenę skór, ktoś inny piekł niezbyt świeżą rybę nad niewielkim ogniskiem. Jakaś kobieta głośno zwymyślała kogoś imieniem Dziwigor, który najwyraźniej bardzo jej czymś podpadł. Wszędzie biegały umorusane dzieciaki, potęgując panujący wokół harmider.

Za ostrokołem było o wiele ciszej, a największy hałas wydobywał się z warsztatu kowalskiego umiejscowionego tuż przy bramie. Tutaj większość mijanych osób tworzyli ubrani w kolczugi i ciemnozielone opończe wojownicy. Część prowadziła szkolenie bojowe, dźgając słomiane manekiny włóczniami oraz oszczepami. Inni ćwiczyli strzelanie z łuków lub ujeżdżali konie.

Trzebor minął plac ćwiczeń i ruszył w stronę siedziby komesa, mieszczącej się w najwyższym budynku w Mędrzycach. Budowla była w większości zbudowana z drewna, jedynie wieża, która górowała nad całym grodem, wzniesiona została z kamienia. Na jej szczycie powiewał ciemnozielony proporzec w białe pasy, noszący znaki komesa Będzimira.

Ku swemu zdziwieniu mężczyzna dostrzegł postawiony tuż przy wejściu totem przedstawiający Świętowita. Cztery twarze słowiańskiego boga wojny, płodności i urodzaju zwrócone były w cztery strony świata. Trzebor był zaskoczony, ponieważ od kiedy Mieszko przyjął chrzest, a książę Bolesław starał się narzucić swym poddanym wiarę chrześcijańską, takie posągi były rzadkim widokiem w większych grodach. Jak widać, Będzimir wolał pokładać nadzieję w powodzenie swojej misji walki z Prusami w starych, słowiańskich wierzeniach.

Przechodząc obok totemu, Trzebor zatrzymał się, zsiadł z konia i dotknął go, oddając cześć Świętowitowi. Poczuł nagły przyływ mocy i sił witalnych, a trzymany za uzdę wierzchowiec parsknął trwożliwie.

W tej chwili drzwi budynku otworzyły się i stanął w nich Będzimir. Komes był postawnym, choć nadgryzionym zębem czasu mężczyzną. Pobrużdżona zmarszczkami i bliznami twarz, a także skupione spojrzenie zdradzały, że wiele przeżył i wiele widział podczas swego żywota. Nosił się jak na wojownika przystało. Na kolczugę narzucił ciemnozielony płaszcz obszyty gronostajowym futrem. Za pasem zatknął toporek, a tuż obok zwisała zdobiona pochwa z mieczem.

– Przybył nasz oczekiwany gość. Książęcy łowczy we własnej osobie – rzekł władcym głosem, wyciągając prawicę na powitanie. – Witamy w Mędrzycach.

Trzebor uściśnął podaną dłoń i skinął głową.

– Głodnyś? Spragnionyś? – spytał komes. – Wieczera dopiero za parę godzin, ale jeśli trzeba, każę narychtować jadło.

– Nie trzeba – odpowiedział łowczy. – Przydałoby się jeno trochę obroku i wody dla konia.

– Ot, słuszna postawa. – Pobrużdżoną twarz Będzimira przeszył uśmiech. – W pierwszej kolejności o wierzchowca trzeba zadbać. Hej! Goworek! Oporządkuj konia i przygotuj go do dalszej podróży.

Jasnowłosy chłopak stajenny zjawił się nie wiadomo skąd, odebrał wodze od Trzebora i zaprowadził wierzchowca do stajni.

– Nie będziemy urządzać wielkopańskich audiencji, bo żaden ze mnie wielmoża. Siądźmy tu na pieńkach przy tartaku i pogadajmy jak wojownicy. Miodu się napijesz?

– Chętnie.

Zgodnie z wolą komesa zasiedli na solidnych dębowych pieńkach, z których największy z powodzeniem mógł służyć za stół. Służka przyniosła dzbanek i dwa kubki. Będzimir napełnił je, podał jeden Trzeborowi i przepił do niego.

– W sprawę zaznajomiony jesteś? – spytał, oblizując miód z wąsów.

– Pokróćce. Szczegółów żadnych nie znam.

– Otóż od czasu jakiegoś coś trapi okoliczne ziemie – zaczął komes. – Zaginęło ćwierć setki moich ludzi. Początkowo myśleliśmy, że zabili ich mszczący

się za nasze podjazdy Prusacy, ale nigdzie śladów bitki nie znaleźliśmy. Sądziłem również, że może znudziła im się służba u mnie i dyla dali w inne rejony. Ale gdy zaginął Zbywoj, wiedziałem, że to nie dezercja. – Będzimir zamilkł na chwilę i zagryzł wąsa. Odchrząknął i kontynuował: – Otóż trza ci wiedzieć, że Zbywoj to mój stary druh, bliższy niż brat, którego nigdy nie miałem. Połączyła nas żołnierska więź, która tylko podczas przelewania krwi się wytwarza. Wojowałeś kiedy w bitwie?

– Kilkukrotnie się zdarzyło – odpowiedział Trzebor, choć wolałby wymazać te wspomnienia z pamięci.

– Zatem doskonale wiesz, w czym rzecz. Zbywoj stał przy mym boku, gdy pod wodzą księcia Bolesława najeżdżaliśmy Miśnię i Łużyce. Opóźnialiśmy marsz niemieckich wojsk na bagnach pod Sprewą, ramię w ramię szturmowaliśmy Budziszyn. Później razem zasadzaliśmy się na Golpan, a kiedy ksiązę nakazał mi na pogranicze się udać, Zbywoj powędrował za mną, choć za zasługi własną dziedzinę mógł objąć. Jego nie mógł zwykły pruski kmiot zabić. Jeno jakieś lichy w tym zniknięciu palce maczało. Szukaliśmy po lasach, bagnach, uroczysskach, ale oprócz kilku skrzatów i starego okulawionego biesa, który nawet się nie bronił, kiedy moi wojowie zakuwali go włóczniami, na nic się nie natknęliśmy. Tedy pomyślałem, że trzeba po pomoc się zwrócić, a pogłoski o książęcym łowczym nawet tu, do Mędrzyc, dotarły. Słyszałem, że ubiliście borowego, który na trakcie przez Wisznickie Knieje kupców zabijał. Południcę, która chłopów na podgnieźnieńskich polach mordowała. Doszły mnie również słuchy, że wypędziliście bannika, który nawiedzał Ungera, biskupa poznańskiego. Ponoć w łaźniach po jajach go łaskotał i wrzątkiem oblewał. Prawda to?

– Prawda. – Trzebor kiwnął głową i napił się miodu. Musiał przyznać, że trunek był przedni, a tutejszy miodowar znał się na rzeczy. – Banniki to wredne i psotne stworzenia.

– Szczęście zatem, że u nas łaźni nie ma. A jedynymi osobami, które moich jaj dotyczą, są nałożnice. – Będzimir zarechotał i poprawił się na siedzisku.

– Zdołaliście dowiedzieć się czegoś jeszcze? – spytał łowczy, pragnąc nakierować rozmowę na bardziej interesujące tematy niż intymne wynurzenia komesa.



– Wszelkie tropy urywają się nad jeziorem, które okoliczni zwą Mełno. Znaleźliśmy jeno kilka koni oraz porzuconą broń. Ale ani śladu krwi, walki, ani ciała. Przepadli jak kamień w wodę.

Nastała chwila ciszy. Z placu ćwiczeń dało się słyszeć okrzyki i nawoływania musztrowanych wojów.

– Domyślcie się, co mogło mi ludzi zgubić? – zapytał w końcu Będzimir.

– Nad wodami wiele stworzeń żyć może. Utopce, wije, rusałki, baby wodne. Mogła być to pływająca w odmętach jeziora żyrytwa lub mątwiak. Niewykluczone również, że Prusowie ślady zatarli, aby popłoch i przerażenie wzbudzić.

– Też o tym myślałem. Naród to bitny i brutalny, przed żadnym czynem się nie cofający. Jednak wojuję z nimi już lat parę i wiem, że chętniej by zostawili ciała z bebechami rozwłóczonymi, aby swą siłę i okrucieństwo pokazać. Tedy widzi mi się, że co innego moich ludzi zaciukało.

– Postaram się tego dowiedzieć.

– Oczywiście zapłatę uiszczę po twym powrocie. – Twarz Będzimira skrzywiła się lekko. – Kiedy problem zostanie rozwiązany.

– Oczywiście. – Trzebor dopił resztkę miodu i odstawił kubek na pieńki.

– Dam ci swego człowieka do pomocy. Niecisława. Zna okolicę jak mało kto, a i w bitce radzi sobie nader dobrze.

– Wolę działać samojeden.

– Mimo to nalegam. Nie chciałbym, żeby książęcy łowczy przepadł na pograniczu.

– W porządku. – Trzebor podniósł się z siedziska.

– Jeszcze jedno – rzekł komes. – Zależy mi, żeby licho znad Mełna wygnać raz na zawsze. Umyśliłem sobie gród tam wybudować. Miejsce idealne, aby w Pomezzańskie tereny klinem się wbić i pod księcia Bolesława protekcję dołączyć. Bo zem słyshał, że mimo utyskiwań biskupa Ungera, bannika żywym puściłeś, na zawsze z Poznania jeno wyganiając.

– Czasem lepiej nie zabijać – odpowiedział oschle Trzebor.

– Tym razem żadnych półśrodków. Zgoda?

Łowczy kiwnął tylko głową.

## **Cisza na trakcie**

Przydzielony jako przewodnik woj okazał się wyjątkowo mrukliwym i niezbyt gadatliwym kompanem. Niecisław lata młodości miał już dawno za sobą, był lekko przygarbiony, krępy i łysiejący. Odzywał się raz na jakiś czas, kiedy mieli zmienić kierunek jazdy lub ominąć jakieś wykroty albo bagniska. Trzebor musiał przyznać, że przewodnik znał się na swoim fachu.

Kiedy zbliżyli się do rozległego torfowiska, Niecisław zatrzymał się, posłuchał, popatrzył i powiedział, że lepiej będzie, jeśli nadłożą drogi i pojedą przez lasy. Trzebor nie wiedział w jaki sposób, ale jego kompan potrafił wyczuć leże bagienników mieszczące się w okolicach torfowiska. Łowczy nie pytał, ale rad był, że towarzysz potrafi wyczuwać i omijać niebezpieczeństwa.

Droga wiodła w większości przez sosnowe lasy, trawiaste łąki oraz grząskie mokradła. Nie spotkali na szlaku ani jednego człowieka – tereny wyglądały jak wymarłe. Słysząc było jedynie biegającą po kniejach zwierzynę i odgłosy ptactwa. Raz gdzieś w oddali zawył leszy, dający znak, aby ludzcy przybysze trzymali się z dala od jego terytorium.

W końcu słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, a na miejsce noclegu Niecisław wybrał chroniący przed wiatrem jar, leżący na skraju boru. Noce były jeszcze chłodne, więc mężczyźni rozpalili niewielkie ognisko, aby choć trochę się ogrzać. Wyciągnęli jadło. Trzebor zjadł soloną rybę, a Niecisław pajdę chleba i podsuszaną kiełbasę.

Tuż po wieczerzy woj okrył się opończą i zasnął. Łowczy posiedział jeszcze chwilę przy ogniu, delektując się spokojem i słuchając dziecięcia, stukającego w drzewo w nieregularnym rytmie. Obracał w dłoni zawieszony na szyi talizman zrobiony ze szponów strzygi i zmówił krótką modlitwę do Peruna. Kiedy płomienie ogniska zaczęły przygasać, Trzebor położył się spać.

Rano wyruszyli w dalszą drogę.

## **Spalona wioska**

Zając wychynął z młodnika, przedostał się przez wysoką trawę i zatrzymał przy kępie macierzanki, gdzie pojawiały się już pierwsze kwiaty. Zaczął podskubywać

rośliny, zwinnie zrywając liście i wkładając je do pyszczka. Nagle zamarł w pół ruchu i zaczął się rozglądać, jednak nie dostrzegając żadnego zagrożenia, kontynuował posiłek. Strzała trafiła go tuż pod okiem. Siła uderzenia odrzuciła go w wysoką trawę.

– Trafiony – ucieszył się Niecisław, wychylając się zza pnia przewróconego buka i opuszczając łuk.

– Dobry strzał – pochwalił mężczyznę Trzebor, choć wyczuł, że zając był jeszcze młody, a do tego głodny, dlatego nie zdołał wyczuć niebezpieczeństwa. Mimo to postanowił pochwalić towarzysza podróży, po tym jak ten dość szybko dostrzegł, że to miejsce może być dobre na polowanie.

– W strzelaniu z łuku lepszy ode mnie jest tylko komes. Na własne oczy widziałem, jak ze stu kroków wróbla w locie trafił.

Trzeborowi jakoś nie chciało się w to wierzyć, ale postanowił tego nie komentować. Podczas krótkiego pobytu w Mędrzycach zdołał zaobserwować, że Będzimir cieszył się wielką estymą wśród swych wojów. Wzbudzał ogólny podziw, na który pewnie sobie zasłużył, wybierając się z nimi na liczne łupieżcze wyprawy. Łowczy wiedział, że wśród wojowników najlepiej zdobyć szacunek będąc najokrutniejszym z nich.

Niecisław podniósł zająca za uszy i sprawnym ruchem wyrwał z niego strzałę.

– Na obiad będzie jak znalazł. Trochę już zgłodniałem od rana.

– Jak daleko nad jezioro Mełno?

– Będzie jeszcze z pół dnia drogi.

– W takim razie ruszajmy co rychlej.

Woj kiwnął głową, włożył zdobycz do sakwy i wsiadł na konia. Trzebor poszedł w jego ślady i pokłusowali wzdłuż młodnika.

Po ponad dwóch godzinach drogi dotarli do starego, zarośniętego traktu, który wyglądał na dawno nieuczęszczany. Tutaj Niecisław przez chwilę zastanawiał się, zataczając kilka kręgów. W końcu machnął ręką i ruszyli na zachód.

Kawałek dalej ujrzeli jakieś zabudowania. Zza drzew dało się dostrzec kilka zniszczonych i zarośniętych budynków. Były to ruiny wioski, która najwyraźniej została spalona. Świadczyły o tym puste place, na których z rzadka rosła wągła trawa, a także stały kikuty kilku budynków, które nie do końca zostały strawione

przez płomienie. Teraz ruiny były wchłaniane przez okoliczny las. Zarosły krzakami, bluszczem, wiciokrzewem i mchem.

Na kamiennej cembrowinie studni siedziała sporych rozmiarów kukułka o ciemnoszarych piórach, z rdzawym nalotem na szyi. Z zaciekawieniem spojrziała na zbliżających się do wioski jeźdźców. Przekrzywiła łebek i zakukała.

Trzebor potrafił rozmawiać z niektórymi zwierzętami. Słyszeć ich myśli, wyczuwać emocje: strach, chęć przetrwania, radość, głód. Spoglądając na kukułkę, nie czuł nic. Jakby patrzył na kamień.

– Sio, przeklętniku! – krzyknął Niecisław, strasząc ptaka. Kukułka zerwała się do lotu, głośno kukając. Zatoczyła jeszcze kilka kręgów nad wioską i zniknęła za horyzontem. Trzebor długo patrzył w niebo, nie wiedząc, co o tym myśleć.

– Wredne ptaszyska zawsze nieszczęście zwiastują. – Woj splunął przez ramię, odpędzając zły urok.

– Wiesz, co tu się mogło stać? – spytał łowczy, pokazując ręką otaczające ich ruiny.

– Opowieści jeno słyszałem. – Niecisław spuścił głowę jakby zawstydzony. – Parę razy w Mędrzycach o tym opowiadali. Kilka lat temu, kiedy komes dopiero na tych ziemiach książęce porządki zaprowadzał, wioska pogan tu była. Podczas jednej z wypraw, podjazd ją najechał, mieszkańcy z widłami i kosami na nich czekali. Bitka się wywiązała i sioło z dymem poszło. Ot i cała opowieść.

*Historia jakich wiele na tych ziemiach* – pomyślał Trzebor, rozglądając się po ruinach. Wyczuł tu nikłe źródło mocy. Kiedyś w wiosce musiało znajdować się miejsce kultu. Okoliczni Prusowie czcili tu któreś ze swoich licznych bóstw. Łowczy wyraźnie wyczuwał ślady pradawnej magii, których nie wymazał nawet trawiący budynki pożar.

– Może ognisko rozpalę i wyrychtuję tego zająca? – zaproponował Niecisław.  
– Głodnym jak wilk.

Trzebor nie miał ochoty zostawać w wiosce dłużej, niż było to konieczne. Mimowolnie położył dłoń na zawieszonym na szyi amulecie. Rozglądał się bacznie, jakby nagle ze zgliszczy miał wyskoczyć na niego leszy lub inny krwiożerczy potwór.

– Ruszajmy dalej. Nie podoba mi się to miejsce.

Popędzili konie, a kiedy odjeżdżali, usłyszeli w oddali donośne kukanie.

## Dwa księżycy

Kiedy dotarli nad jezioro, zaczynało zmierzchać. Zasłonięty przez chmury księżyc dawał mało światła, jednak już z daleka widać było, że Mełno jest całkiem sporym zbiornikiem wodnym. Miało nieregularny kształt, spokojną toń i brzegi porośnięte tatarakiem i gęstymi szuwarami. Z niewielkiej wyspy niosły się godowe nawoływania czapli. Tafla jeziora była spokojna, poruszana jedynie delikatnymi powiewami wiatru.

Stanęli na skraju skalistej skarpy, obserwując horyzont. Trzebor nie wyczuwał żadnych śladów magii. Zamknął oczy i pozwolił zmysłom się wyostriżyć. Chciał wyłapać choćby najmniejsze drgnięcie mocy, skrawek nadprzyrodzonej energii. Słyszał było jedynie trzepot skrzydeł latających między szuwarami ważek. Żabę, która schwytała przelatującą obok jętkę. Karpia splewającego się tuż pod powierzchnią wody. Bekasy i świstuny świergoczące w szuwarach. Nic nadzwyczajnego, zwykle odgłosy żyjącej przyrody. Jezioro Mełno nie wyróżniało się niczym spośród setek innych jezior... oprócz tego, że w jego okolicy zaginęło kilkadziesiąt osób.

Niecisławowi przeciągle zaburczało w brzuchu, a Trzebor otworzył oczy i spojrzał na niego. Woj rozglądał się, najwyraźniej szukając dogodnego miejsca na rozbicie obozowiska. Zerknął na łowczego i powiedział:

- Wybacz, ale od rana nic nie jadłem. Z głodu umieram.
- Ja również. Znajdź miejsce na nocleg, a ja przejadę się wzdłuż brzegu.

Niecisław kiwnął głową i ochoczo popędził wierzchowca. Trzebor stał jeszcze chwilę na skarpie, obserwując leniwie falującą taflę jeziora. Zastanawiał się, jakie istoty kryją się w wodnej toni.

Objechał jezioro dokoła, co zajęło mu przeszło godzinę. Wypatrywał jaskiń, wodnych niecek lub zakamuflowanych wysp, na których mogłyby się gnieździć istoty, które zabiły wojów Będzimira. Niestety nic takiego nie dostrzegł. Brzegi w jednych miejscach były porośnięte szuwarami, w innych piaszczyste. A trochę dalej niedostępne przez gęstą plątaninę krzaków i chaszczy. Od wschodniej strony jezioro tworzyło rozległe, grząskie rozlewisko, rzadko porośnięte rozłożystymi wierzbami, więc Trzebor musiał je ominąć.

W końcu dotarł do miejsca, w którym Niecisław rozbił obóz. W niecce tuż pod porośniętą brzoźami skarpą. Nad niewielkim ogniskiem skwierczał oprawiony królik, roznosząc dokoła przyjemną woń pieczonego mięsa.

– Rychło w czas – rzekł woj. – Pieczyste zaraz będzie gotowe.

Łowczy zeskoczył z konia, spętał go i nakarmił resztką obroku. Obmył dłonie w jeziorze, woda okazała się całkiem ciepła. Następnie Trzebor usiadł przy ognisku i z lubością rozprostował nogi. Czuł przyjemne zmęczenie, które zawsze towarzyszyło mu po całodniowej podróży. Wsłuchał się w skwierczenie mięsa, dalekie pohukiwanie sowy, parskanie wierzchowców i kojący szum niewielkich fal uderzających o brzeg. Zerwał się wiatr, przeganiając chmury. Wyłonił się zza nich księżyc, który był w pełni. Jego jasne światło rozświetlało okolicę bladym blaskiem.

Zjedli zająca i po krótkiej rozmowie Trzebor stwierdził, że weźmie pierwszą wartę. Niecisław szybko zasnął, nakrywając się grubym płaszczem. Łowczy również poczuł senność. Wiedział jednak, że musi pozostać czujny. Gdzieś w tych wodach musiało czaić się niebezpieczeństwo, to że go nie wyczuwał, nie oznaczało, że go nie ma.

Aby odgonić sen postanowił zażyć kąpieli. Ostatni raz łaźnię odwiedził, będąc jeszcze w Gnieźnie, a było to przeszło tydzień temu. Od tamtego momentu prawie cały czas był w siodle, co oznaczało, że musiało od niego cuchnąć co najmniej na milę. Obok ogniska położył łuk, odpiął pas z mieczem. Zrzucił z siebie płaszcz, kolczugę, spodnie i buty. Poczował, jak owiewa go chłodny, orzeźwiający wiatr. Powoli zanurzył się w wodzie.

Księżyc odbijał się w tafli jeziora, zalewając wszystko migotliwym blaskiem. Światłne refleksy poruszały się wraz z falami, tworząc niesamowity widok. Runiczne tatuaże pokrywające plecy i klatkę piersiową łowczego zdawały się lśnić magiczną poświatą. Z daleka mogło to wyglądać, jakby jego ciało pokrywały wijące się węże.

Gdzieś w oddali słyhać było plusk. Trzebor rozejrzał się, jednak niczego nie dostrzegł. Orzeźwiony wyszedł z wody i przeszedł go chłodne dreszcze. Wiatr się wzmagął, było coraz chłodniej, a na ciemniejącym nieboskłonie pojawiły się deszczowe chmury.

Łowczy ubrał się czym prędzej, dorzucił do ogniska i usiadł przy nim. Czekał, wpatrując się w coraz szybciej ciemniejącą toń.

## Ćmucha

Z zachmurzonego nieba siąpiła mżawka. Krople uderzały w taflę wody z coraz głośniejszym staccato. Ognisko zaczęło przygasać, więc Trzebor dorzucił kilka gałęzi, aby utrzymać płomień. Niecisław nakrył się wyciągniętym z sakwy kocem i nie zważając na padający deszcz, spał dalej.

Księżyc ponownie przysłoniły chmury, przez które przebijał się jedynie nikły jego blask. Widoczność stawała się coraz słabsza wraz z przybierającym na sile deszczem. Zerwał się wiatr, nadbrzeżne szuwary szumiały od mocnych podmuchów.

Łowczy drgnął. Dreszcze mogły być spowodowane chłodem, jednak mężczyzna wiedział, że ich źródło jest inne. Coś pojawiło się w okolicy. Coś mającego w sobie cząstkę pradawnej magii.

Trzebor nie dał niczego po sobie poznać. Dalej siedział skulony przy ognisku, wpatrując się w ciemną toń.

Czekał.

Napiął mięśnie gotowy do natychmiastowej reakcji. Bezszelestnie wysunął miecz z pochwy. Wydawało się, że czas zwolnił. Wyostrzone zmysły wylapywały każdy szmer: krople deszczu uderzające rytmicznie w lustro wody, szczupaka goniącego niewielką płoć, dalekie pohukiwanie sowy, jakieś szepty na granicy słyszalności, których źródła nie mógł zlokalizować.

Nagle w wysokich tatarakach, które miał po lewej stronie, rozległ się plusk. Łowczy kątem oka złowił ruch. Zerwał się na nogi, głośnym okrzykiem alarmując śpiącego Niecisława.

Z szuwarów coś wyskoczyło. Ciemny kształt zaatakował z impetem. Trzebor odskoczył, unikając uderzenia, lądując bokiem w rozmokniętym od deszczu piasku. Zerwał się na nogi, jednocześnie wyciągając miecz. Zobaczył gramolącego się na nogi Niecisława, który wybudzony ze snu, nie bardzo wiedział, co się wokół dzieje.

Łowczy starał się namierzyć napastnika, ignorując rześisty deszcz siekający po twarzy. Dostrzegł coś na szczycie skarpy. Było to przypominające żabę stworzenie wielkości sporego psa. Grzbiet porastały mu kolce, a wielka paszcza, którą właśnie otwierał, pełna była zębisk. Dodatkowo stwór miał krótki, zakręcony ogon, na którego końcu tkwił ostro zakończony szpikuliec. Trzebor wiedział już, z czym ma do czynienia i mocniej zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

Ćmuch, bo tak nazywał się żabopodobny intruz, był rzadko spotykanym wodnym stworzeniem. Łowczy widział go po raz pierwszy, nie licząc kilku rycin i mało dokładnych opisów w czytanych dawno temu księgach.

Tymczasem ćmuch nie czekał, aż mężczyźni ockną się z zaskoczenia. Zaskrzeczał ogłuszająco, wybił się ze skarpy i runął na Niecisława. Woj nie zdążył odskoczyć, upadł obalony impetem i krzyknął z bólu. Stwór wygiął się i wbił ostro zakończony ogon w ciało przeciwnika.

Trzebor nie czekał ani chwili. Runął do przodu, chcąc strącić stwora ze swego kompana. Zamachnął się mieczem, ale ćmuch zgrabnie odskoczył, zostawiając rannego i znikając w szuwarach. Łowczy przyklęknął przy Niecisławie, z którego brzucha sączyła się ciemna krew. Koszula i opończa szybko przesiąkały, rana musiała być głęboka.

– Dasz radę uciekać?

Woj jęknął. Był blady, a w rozszerzonych ze strachu oczach czaiło się niedowierzanie. Pewnie pierwszy raz miał do czynienia z podobną istotą. Spróbował się podnieść, ale mimo pomocy nie zdołał ustać o własnych siłach. W tatarakach znowu coś zaskrzeczało. Żabi kształt ponownie wychynął z zarośli. Trzebor przeturlał się w bok, unikając uderzenia szpikulcem, szybko zerwał się na nogi i przeszedł do kontrataku. W dwóch susach dopadł do ćmucha i uderzył mieczem. Stwór zdołał odskoczyć, jednak ostrze zagłębiło się w jego ciele. Złowrogi skowyt rozległ się nad jeziorem. Wystraszone czaple z wysepki zerwały się do lotu.

Stwór w kilku skokach ponownie znalazł się na skarpie, z jego prawego boku sączyła się gęsta jucha. Wściekle wymachiwał ogonem i rozwierał pełną zębisk paszczę, w której spokojnie mogłaby zmieścić się ludzka głowa.

Trzebor sięgnął po schowany w cholewie buta sztylet i cisnął nim w stronę ćmucha. Zgodnie z planem monstrum zrobiło unik, a łowczy wykorzystując ten



czas, dopadł do pozostawionego przy ognisku łuku. Sprawnie sięgnął po strzałę, napiął cięciwę i posłał jedną po drugiej w kierunku przyczajonej na skarpie istoty. Stwór skoczył w dół z bojowym rykiem, od którego mogły pęknąć bębunki. Ominął w locie strzałę, jednak kolejna dotarła do celu. Ugodziła go w pokaźny brzuch, a ćmucha zaskowyczała i z impetem upadł w piach.

Łowczy nie czekał. Odrzucił łuk i rzucił się na przeciwnika, wykorzystując fakt, że ten był oszołomiony. Wykonał piruet, omijając wyszczerzony pysk, którym kłapało monstrum. Ciął potężnie, odcinając ogon. Ponownie się odwrócił i uderzył w odkryty bok. Ćmucha skoczył do ostatniego ataku, ale był już ranny i o wiele wolniejszy. Nie bez trudu jednak Trzebor uniknął ogromnego cielska, kopnął stwora w zakrwawiony bok, a następnie wbił z całej siły miecz w wielki łeb. Ostrze przebiło czaszkę i zagłębiło się w mózgu bestii.

Żabostwór wciąż kłapał wielkim pyskiem, wymachując w konwulsjach krótkimi przednimi łapami. Jego wylupiaste oczy robiły się coraz bardziej mętne. Wydał z siebie jeszcze jeden jęk, a potem oklapł, jakby uszło z niego powietrze.

Trzebor dyszał ciężko, zmęczony po walce. Nie wiedział, czy ćmucha był jedynym egzemplarzem żyjącym nad jeziorem Mełno. Równie dobrze za chwilę mogło się tu zaroić od jego pobratymców, więc łowczy zaczął się rozglądać. Odwrócił się w stronę wodnej tafli i zamarł.

Stała tam młoda dziewczyna o zielonkawym ciele i równie zielonych włosach. Nie licząc oblepiających jej ciało wodorostów, była naga. Podniosła dłoń do ust i dmuchnęła delikatnie, a spomiędzy jej palców wydobył się świecący w księżycowym świetle pył. Chmura w okamgnieniu dotarła do Trzebora, który próbował się ruszyć, lecz jego nogi były jak z kamienia. Czuł, że kręci mu się w głowie, miecz wypadł z bezwładnej dłoni. Chciał coś powiedzieć do stojącej nad brzegiem dziewczyny, ale usta otworzyły się, nie artykułując żadnych słów. Upadł na kolana, czując coraz większe zawroty głowy. W oczach mu pociemniało. W końcu upadł twarzą w piach i stracił przytomność.

## **Wizja przeszłości**

Siedząca na cembrowinie studni kukułka przechyliła łebek i z zaciekawieniem obserwowała krzątających się po wiosce ludzi. Kobieta oparzającą kaczkę

i skubiącą jej pióra. Dzieci wesoło biegające między zabudowaniami. Grupkę mężczyzn noszących worki do spichlerza.

Nagle większość mieszkańców uniosła z przestachem głowy. Z lasu dobiegły pohukiwania i tętent, które coraz bardziej przybierały na sile. Do wioski wjechała grupa zbrojnych. Jeźdźcy byli uzbrojeni w łuki, włócznie, topory i miecze, a na ich ramionach powiewały ciemnozielone opończe. Wpadli między budynki, wściekle atakując zaskoczonych wieśniaków.

Kukułka wzbiła się w powietrze, ocierając się o grzbiet jednego z wierzchowców. Wzniosła się ponad linię drzew i zataczała kręgi nad wioską, patrząc na rozgrywające się na ziemi wydarzenia.

Przebita włócznią staruszka upadła na wznak, krzycząc rozdzierająco, jednak jej wycie niknęło w panującym wokół tumultcie. Kilkuletnia dziewczynka upadła, uciekając przed galopującym jeźdźcem, a jej głowa pękła od uderzenia podkutego kopyta. Mężczyźni rzucili worki i złapali za widły, cepy, grabie i motyki. Ich opór był jednak daremny. Kilku padło, przebitych celnie wystrzelonymi strzałami, inni zostali zasieczeni ciosami toporów i mieczy.

Zapłonęła strzecha jednego domostwa. Później kolejne i kolejne. Po chwili większa część wioski stała w płomieniach. Kilka dziewcząt, dotychczas ukrywających się w przylegającej do lasu chacie, wybiegło z krzykiem i zaczęło uciekać. Jeden z napastników zauważył to i wydał rozkaz pościgu. Grupa jeźdźców odłączyła się od plądrujących wioskę i ruszyła w pogoń.

Kukułka zatoczyła jeszcze jeden krąg i poleciała ich śladem. Zza koron drzew, gęsto porośniętych gałęziami i liśćmi, migąły tylko nieokreślone kształty. Słychać było głośnie nawoływania, a także piski i jęki gonionych dziewczek.

Las się przerzedził, a pościg zagonił uciekinierki nad sporych rozmiarów jezioro, którego spokojna tafla lśniła w promieniach popołudniowego słońca. Jeźdźcy okrążyli dziewczki, które płakały, wzywały pomocy i błagały o ratunek. Wyłapywali jedną po drugiej, zdierali z nich sukienki, giezła i koszule. Rzucali na piach, szczypiąc piersi i rozchylając uda. Te, które się opierały, dostawały pięścią lub obuchem topora. Po wodzie poniosły się krzyki i jęki.

Trwało to długo, słońce zaczynało chylić się ku zachodowi. Kukułka wytrwale krążyła, obserwując i wyłapując szczegóły. Widziała wąsatego woja, który ku uciechu kompanów chędożył wyjąca z bólu dziewczkę, okładając jej

wypięty tyłek batogiem. Inni przypalali łono skowyczącej z bólu dziewczynie. Jeszcze inni starali się przytrzymać nieprzytomną lub martwą kobietę, aby ich towarzysz mógł sobie użyć.

W końcu na miejsce kaźni dojechała reszta napastników. Jeden z nich, najwyraźniej przywódca, wydał głośnie rozkazy, a zabawiający się wojowie zaprzestali procederu. Zagonili zakrwawione i ledwo żywe dziewczyny do jeziora, a te, które nie miały siły iść, po prostu wrzucili do wody. Napięli cięciwy łuków i strzelili. Tafla jeziora zaróżowiła się od krwi.

Jeźdźcy odjechali w las, radośnie pokrzykując, a echa ich okrzyków jeszcze długo niosły się po jeziorze.

### **Spotkanie z przeznaczeniem**

Przebudzenie nie należało do przyjemnych. Pod ciężkimi powiekami Trzebora wciąż majaczyły powidoki wizji, która została na niego zesłana. Z trudem otworzył oczy, przez chwilę starając się zogniskować wzrok oraz dowiedzieć się, gdzie się znajduje.

Był w skalnej grocie, gdzieś w oddali słyszał kapanie wody, a także głosy. Skupił się, żeby rozróżnić poszczególne słowa.

– Po coście go tu przytargały? – Podniesiony głos najwyraźniej należał do zdenerwowanej kobiety. – Ćmucha ubił! Kompana w zielonej opończy miał przy sobie!

– Laima nie chciała, aby go zabijać. – Drugi głos był o wiele delikatniejszy, dźwięczny i kojący.

– Zaraz się nam kolejna grupa nad jezioro zwali. Może już gdzieś pod lasem czekają?

– Jak przybędą, to się ich pozbędziemy! – Kolejny głos był władczy i nieznoszący sprzeciwu. – Tak jak poprzednich.

Trzebor nie był skrupowany, więc uniósł lekko głowę, aby sprawdzić, skąd dokładnie dochodzą odgłosy. Kilka kroków dalej dostrzegł trzy stojące kobiety; były nagie, o zielonkawym odcieniu skóry. Dwie z nich miały równie zielone włosy, a trzecia, najwyższa, niebieskie.

*Rusałki* – pomyślał łowczy. *Mogłem się tego spodziewać.* Wizja, którą na niego zesłały, kiedy był nieprzytomny, świadczyła o tym, że wojowie komesa Będzimira zhańbili je, a następnie zabili i utopili ciała w jeziorze. Udręczone dusze nie mogły odejść w zaświaty, więc stały się wodnymi upiorami – rusałkami. Polującymi na podróżnych zatrzymujących się nad jeziorem Mełno, odpłacając w ten sposób za cierpienia, których doznały.

– Szlag – zaklął bezgłośnie Trzebor, zastanawiając się co dalej. Nigdzie w zasięgu wzroku nie widział swojej broni. Ukrytego w cholewie sztyletu użył podczas starcia z ćmuchem, więc wyglądało na to, że jest bezbronny. Zresztą czy miałby jakiegokolwiek szanse z trzema rusałkami? Pewnie tak, ale sądził, że w grocie może być ich o wiele więcej, dodatkowo podczas rozmowy padło imię Laimy – pruskiej bogini przeznaczenia. A z nią nie poradziłby sobie, nawet gdyby miał tutaj cały arsenał księcia Bolesława.

Niebieskowłosa odwróciła się i dostrzegła, że mężczyzna odzyskał przytomność.

– Obudził się! – krzyknęła i wraz z pozostałymi rusałkami doskoczyła do niego, prezentując zakończone ostrymi szponami palce. Jedna z nich trzymała w dłoni należący do Niecisława zakrzywiony nożyk.

– Nie przyszedłem, aby was skrzywdzić – powiedział wolno Trzebor, podnosząc do góry ręce na znak, że nie ma złych zamiarów. – Wręcz przeciwnie. Mam dla was ważne wieści.

– Co możesz nam powiedzieć, co by nas obchodziło? – zadrwiła niebieskowłosa. To ona miała najbardziej władczy głos i najwyraźniej była najstarszą z rusałek. – He? Jak pola obrodzą? Albo czy ciepłe lato będzie? Wieści z ludzkiego świata nie są dla nas nic warte.

– Myślę, że jednak są.

Dwie młodsze rusałki przyglądały mu się z ciekawością. Szczególnie jedna. Trzebor wiedział, choć widział ją przez ułamek sekundy, że to ona uśpiła go nad brzegiem jeziora i zesłała na niego wizję przeszłości. Była drobna i koścista, o małych piersiach i wąskiej talii. Jej oczy lśniły szmaragdowym blaskiem, głębokim niczym toń jeziora Mełno. Kiedy zginęła, musiała być bardzo młodą dziewczyną.

– Zbyt mocno dałyście się komesowi Będzimirowi we znaki. Ludzi mu pogubiłyście, których na Prusów wyprawia. Umyślił sobie nad jeziorem warowny gród wybudować. Aby szlaki nowe wytyczyć i bliżej na pomezzańskie włości mieć. A kiedy dotrze tu z gromadą stolarzy, robotników i wojów nie dacie rady mu się przeciwstawić. Co innego kilku mężczyzn potopić, a co innego z kilkoma setkami się borykać.

– Łesz! – krzyknęła niebieskowłosa i syknęła niczym wąż.

– Skąd możemy wiedzieć, że prawdę mówisz? – spytała najmłodsza, najwyraźniej wystraszona wieściami.

– Nie mam powodów, by kłamać. Komes wynajął mnie, bym dowiedział się, co jego ludzi zabija, aby mógł w spokoju gród wybudować. Teraz już wiem, że to przez niego i jego żołnierzy tkwicie w czeluściach jeziora. Stąd mówię wam: odejdźcie, póki jest czas. Na północy jezior bez liku, znajdziecie sobie inne miejsce do życia.

Rusałki zamilkły, wyraźnie trawiąc zasłyszane słowa. Niebieskowłosa spojrzała na przestraszone towarzyszki i powiedziała:

– Chyba nie wierzycie, że ten łajdak prawdę mówi. Życie chce uratować, więc łże jak pies. Mężczyźni mają to już w zwyczaju. Pamiętacie tego ostatniego? Jak mu było... Suligost. Nawojce miłość wyznawał, a kiedy tylko czujność straciła, od razu uciekać począł. Dobrze, że ćmucha dopadł drania.

Młodsze rusałki pokiwały głowami, choć widać było, że nie czują się do końca przekonane.

– Co tedy z nim czynić mamy? – spytała swym delikatnym głosem szmaragdowooka, a Trzebor poczuł zalewającą go falę zimna. Nie wiedział, czy zdoła sobie poradzić, jeśli dojdzie do walki. Wciąż czuł się obolały i osłabiony po tym, jak został zauroczony. Napiął mięśnie, gotowy do obrony. Dyskretnie rozejrzał się, szukając gałęzi lub kamienia, czegokolwiek co mogłoby służyć mu za broń.

– Zaciukać go jak i innych – syknęła niebieskowłosa i podeszła krok bliżej, zbliżając ostrze do szyi łowczego.

W tym momencie w grocie rozległo się donośne kukanie. Nie wiadomo skąd pojawiła się kukułka, która przefrunęła nad stojącymi rusałkami, prawie zaplątując się w ich włosy. Wylądowała na skalnej półce, a nim Trzebor skierował

na nią wzrok, zmieniała postać. Kukułka przemieniła się w ubraną w powłóczytą białą szatę kobietę o długich, jasnych włosach opadających aż za ramiona.

– Dosyc – rzekła, a jej głos zdawał się rozbrzmiewać w całej grocie.

Rusałki skłoniły się kobiecie, a łowczy już wiedział, z kim ma do czynienia. Była to Laima, bogini losu czczona przez Prusów i Bałtów. Powiadano, że decyduje o ludzkim szczęściu i nieszczęściu, o tym, ile dni będziemy jeszcze chodzić po świecie. Powiadano, że od jej kaprysu zależał kiedyś dobrobyt, przetrwanie lub śmierć całych plemion. Była również opiekunką kobiet, ciężarne często prosiły o jej błogosławieństwo. Trzebor również schylił głowę, oddając hołd bogini.

Laima podeszła do łowczego i spojrzała na nożyk trzymany przez niebieskowłosa.

– Ten mężczyzna dzisiaj tutaj nie zginie. Inne przeznaczenie jest mu pisane. Większe czyny i wydarzenia będą jego udziałem. Uratuje jeszcze wiele istnień, nie tylko ludzkich. Niejedno również odbierze, choć tylko w sytuacji tego wymagającej. Niech powie, co zamierza, a wy go wysłuchacie.

W grocie zapadła cisza, przerywana jedynie dalekim kapaniem wody. Trzebor dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że powinien się odezwać. Podniósł głowę i spojrzała na górujące nad nim ruszałki.

– Wynieście się... – odchrząknął. – Wynieście się w inne okolice. Najlepiej jak najdalej od Mełna. Zabiorę truchło ćmucha do komesa i przekażę mu wieści, że zagrożenie zostało wyeliminowane. W ten sposób wy pozostaniecie bezpieczne, a ja wykonam powierzone zadanie.

Żadna z ruszałek nie protestowała. Szmaragdowooka zniknęła w jednej ze skalnych niecek i po chwili wróciła, niosąc pas z mieczem, łuk oraz kołczan należące do Trzebora. Łowczy odebrał od niej swoje rzeczy, ale wciąż nie mógł oderwać wzroku od Laimy. Nadal brzmiały mu również w głowie słowa dotyczące jego przeznaczenia wypowiedziane przez boginię.

– A co z nim? – spytała niebieskowłosa, wskazując nieprzytomnego Nicysława, który leżał na kamieniach nieświadom rozgrywających się wokół wydarzeń. – To twój druh?

– To człowiek komesa – odpowiedział Trzebor, przewiązując się pasem.

– Nosi takie same barwy jak ci, którzy nas potopili.

Łowczy przez chwilę zastanawiał się, co czynić. Dziwnym trafem oraz ingerencją bogini zdołał wyjść z tej kabały cało. Nie miał jednak pewności czy Nicisław również będzie miał tyle szczęścia.

– Jego sobie zostawcie. – Głos Laimy nie znosił sprzeciwu, więc Trzebor tylko przełknął głośno ślinę. Zerknął w stronę mężczyzny, z którym w ciągu ostatnich kilku dni dzielił trudy podróży. Nie miał żadnej pewności czy Nicisława nie było podczas plądrowania i palenia wioski, które widział w swojej wizji. W końcu służył w drużynie Będzimir już od jakiegoś czasu. – Zemsta tego wymaga. Jego ludzki żywot skończy się nad jeziorem Mełno.

Niebieskowłosej nie trzeba było dwa razy powtarzać. Obnażyła zęby w drapieźnym uśmiechu, który posłała w stronę łowczego, odwróciła się i podeszła do nieprzytomnego Nicisława.

Trzebor nie chciał na to patrzeć, wiedział, że skoro bogini wydała taki wyrok, nie będzie już w stanie uratować woja. Usłyszał tylko, jak ostrze zatapia się w ciało mężczyzny oraz cichy jęk bólu, który temu towarzyszył.

– Chodź – powiedziała najmłodsza z rusałek, która niespodziewanie pojawiła się przy jego boku. – Zaprowadzę cię do wyjścia.

Trzebor odwrócił się, by ostatni raz spojrzeć na Laimę. Bogini patrzyła prosto na niego.

– Uważaj na mężczyznę z krzyżem na szyi – powiedziała i zniknęła, a zamiast niej w grocie pojawiła się okazała kukułka. Łowczy miał pewność, że był to ten sam ptak, którego widział w wizji płonącej wioski.

## **Powrót do Mędrzyc**

Parciany worek ze stukotem uderzył w klepisko. Był zakrwawiony i cuchnący, mimo to Będzimir podszedł, podniósł go i wyrzucił zawartość ze środka. Truchło ćmucha upadło na podłogę, z głośnym bzyczeniem zaczęły zlatywać się do niego muchy. Komes z zaciekawieniem przyglądał się ubitemu potworowi, szturchając ścierwo końcówką miecza oraz oglądając je z każdej strony.

– A więc to ubiło tylu moich wojów?

Trzebor uznał, że nie musi odpowiadać na to pytanie. Kiwnął tylko głową.

– Co to za kreatura?

– Ćmuch. Bardzo rzadki i śmiertelnie niebezpieczny.  
– Że też takie paskudztwo Zbywoja ubić zdołało. Natknąłeś się na jego ciało?  
– Niestety nic nie znalazłem. Ćmuchy to wodne stworzenia. Martwe ofiary w odmęty wciągają, by żywić się nimi podczas mrozów i chłodnych miesięcy. Ciało Zbywoja znajduje się najpewniej gdzieś na dnie jeziora. Nadzarte przez ćmucha i ryby.

Będzimir zacisnął szczęki. Przez twarz przeszedł mu skurcz. Wyraźnie widać było, że potwierdzenie wieści o śmierci wojennego kompana zrobiło na nim wrażenie.

– Masz gwarancję, że nie ma tam takich więcej? – spytał w końcu komes.

– Przetrzęsnałem brzegi i szuwały. Nic więcej się w nich nie ukrywało.

Będzimir zamachnął się i z całej siły kopnął truchło, które przeturlało się pod ścianę. Spoczywające tam psy rzuciły się na nie, rozszarpując i miażdżąc ścierwo.

– A gdzie Niecisław?

– Niestety zginął. Walczył dzielnie, jednak rany były zbyt poważne. Jad ćmucha powoduje powstawanie ropni na skórze, więc musiałem spalić jego ciało, aby nie przywlec ze sobą żadnej choroby. – Łowczy nie lubił kłamać, jednak nie mógł powiedzieć, że poświęcił życie jednego z ludzi komesa, aby zawrzeć pakt z rusalkami.

Będzimir popatrzył na łowczego i przyglądał mu się dłuższą chwilę. W końcu uśmiechnął się, sięgnął po przywieszoną przy pasie sakiewkę i cisnął ją w stronę Trzebora. Ten chwycił ją zwinnie i równie szybkim ruchem schował w przewieszanej przez ramię sakwie.

– Dobrze się spisałeś. Jednak pogłoski o tobie nie są przesadzone. Szybka i fachowa robota.

Zapadła cisza, przerywana jedynie przez warczące i rozrywające truchło ćmucha na sztuki psy.

– Słuchaj – rzekł po przedłużającym się milczeniu komes. – Pogranicze to niebezpieczna dziedzina. Jak nie ćmuchy to Prusacy. W gęstych kniejach, bagniskach i na pojezierzach aż gęsto od wszelkiej maści stworów. Zostań przy mnie w Mędrzycach. Jak widzisz, mogę cię hojnie wynagrodzić.

*Aby pomagać w paleniu kolejnych bezbronnych wiosek – pomyślał Trzebor. Aby brać udział w okrucieństwie, gwałtach i morderstwach. Czym innym były*



*udziały w bitwach, gdy stawali naprzeciw siebie szkoleni do walki wojownicy, a czym innym topienie i zabijanie niewinnych kobiet.* Łowczy nie dał jednak po sobie poznać, jakie myśli kłębią mu się w głowie. Zamiast tego rzekł:

– Tereny to piękne i w pracę dla kogoś takiego jak ja bogate, jednak będę musiał odmówić. Obiecałem księciu, że wrócę, jak tylko z waszą prośbą się uporam. Bolesław kolejną wyprawę szykuje i chce mieć mnie przy swym boku. Obowiązki książęce wzywają.

Będzimir kiwnął głową i usiadł ciężko na drewnianym krześle. Wyglądał na zmęczonego, jakby nagle opuściły go wszelkie siły.

Trzebor nie miał zamiaru zostawać tu ani chwili dłużej. Nie odwracając się, wyszedł z budynku, w którym przyjął go komes. Odebrał wierzchowca od chłopaka stajennego i popędził go.

Chciał jak najszybciej zostawić Mędrzyce za plecami.





## ARTUR GRZELAK



Rocznik 1987. Urodzony w Warszawie, zamieszkały w Płońsku. Magister zarządzania pracujący w branży motoryzacyjnej. Od lat zainteresowany fantastyką i historią. Do tej pory publikował w internetowych magazynach: „Creatio Fantastica”, „Histeria”, „Biały Kruk”, „Szortal” i „Silmaris”. Na papierze debiutował w pokonkursowym zbiorze Płockiego Klubu Fantastyki „Tropem czarnego kota”. Jego opowiadania można znaleźć również w następujących antologiach: „Słowiański horror”, „Sny umarłych 2019”, „Tabu II”, „Żertwa” oraz „24.02.2022”.



E. RAJ

LISZEC

- XIII -

Zgrzyt, zgrzyt. Drapie długopisem po wyblakłym wydruku z gotowcami.

Przyglądam się jej tylko peryferyjnie, bo wtedy widzę ją naprawdę. Ma pazury jak Baba Jaga i strzechę rudych włosów, do tego wielki krogulczy nos. Gdy popatrzę od frontu, wydaje się całkiem niewinna, poza tym, że też jest jędzą. Wstaje i mijając mnie, rzuca wydruk na moje biurko z mściwym grymasem na parszywym pysku.

– Znowu nie uwzględniłaś moich zaocznych w grafiku na przyszły miesiąc. Mam rozpieprzony rozkład, muszę się teraz zamieniać z Kaliną!

Nie zaszczycam jej spojrzeniem. Odwarkuję:

– Osiem osób nie będzie się do ciebie dopasowywać, Pola. Weekendy dzielę pomiędzy wszystkich. Sprawiedliwie.

Wydaje z siebie prychnięcie, a potem oddala się w milczeniu, stukając cienkimi obcasami o podłogę z paneli przemysłowych. Zza jej opuszczonego biurka wierna przyboczna, Kalina, rzuca mi wyniosłe, zimne spojrzenie. Wiem, co myśli, bo widzę dymek nad jej głową. Tekst w tym dymku brzmi tak: „Ta Liwia to przydupaska szefa. Ciekawe... czy mu obciąga?”

Czuję, jak fala gniewu, stresu i słodkiego męczeństwa przetacza się przez mój system. Wbijam palce w uda, aby pozbyć się obrzydliwej wilgoci. Po sekundzie bujania się nad mentalną przepaścią zagryzam usta i wracam do swojego ciała. Ale nerwy nie zniknęły.

Otwieram plik Excela zawierający statystyki, które codziennie uzupełniam na polecenie kierownika działu. Potem odpalam program pocztowy na imapie<sup>6</sup> i wpisuję nazwisko tej wiedźmy w polu do przeszukiwania poczty. Zawężam zakres dat. Wskakują mi cyfry. Niskie, a jakże! Uśmiecham się pod nosem, bo już wiem, bo już je mam! Widzę to czarno na białym. Te dziwki nie odpisywały na maile klientów, tyle ile powinny. Gadały na czacie. Plotkowały. Pewnie o mnie. Paranoja? To moje drugie imię. Ale ja wiem, ja przecież wiem...

Znam je jak zły szeląg.

Z prawdziwą rozkoszą wpisuję ich niskie cyferki w kolumny.

Tylko dziewięć wysłanych maili z odpowiedziami dla klientów przypada na cały, długi dzień. Na osiem godzin! Czyli nieco ponad jeden na godzinę. Serio?

Wiadomość pisze się w kilka minut. Co zrobiły z resztą czasu?

Zerkam do formatki rozmów telefonicznych, aby mieć komplet danych. Zsumowany czas rozmów z klientami: trzydzieści dziewięć minut. Ten czas odejmuję. Podsumowując: przez siedem godzin wysłała dziewięć maili. Uuu, kochana. To nie będzie dobrze wyglądać w raporcie. Obok mojego nazwiska wpisuję czterdzieści jeden. Starannie wytłuszczam cyferki, nienawistnie mrużąc oczy.

Taaak. Pracowało się. Intensywnie! Wzorowo. Nie to, co te czarownice.

Humor poprawia mi się odrobinę, ale czy można mieć satysfakcję z bycia najbardziej wydajną pracownicą w Biurze Obsługi Klienta, skoro jest się też najbardziej znienawidzoną? Gdy wstaję, oczy wszystkich konsultantek kierują się na mnie. Zatrute strzały chyżo śmigają w powietrzu. W pokoju robi się zielono od toksycznych oparów.

Reszta pracownic jest na krótkiej smyczy Poli i jej powierniczki, Kaliny. Nawet te początkowo neutralne musiały wybrać front. A nikt nie opowie się za przegranym, ten prosty fakt znany był już w czasach pierwszego triumwiratu. Tylko szaleniec stanąłby po stronie Pompejusza po bitwie pod Farsalos! Wszyscy poszli za Cezarem. I dlatego Pola tu rządzi – zgodnie z maksymą: *divide et impera*<sup>7</sup>.

Udaję się do pokoju socjalnego. Ostracyzm w biurze obsługi klienta to dla nich mało. Sąsiednie działy znają sprawę. Gdy mijam innych pracowników na korytarzu, łapię rozbawione uśmieszki, pogardliwe spojrzenia, pełne politowania kiwnięcia głową.

Tym razem mam szczęście.

W pokoju socjalnym jest tylko jedna pracownica, na dodatek chyba nowa, bo jej nie rozpoznaję. Stoi przy zlewie i wygląda, jakby myła ręce. Mijam ją, podchodzę do ekspresu. Nie żebym potrzebowała pobudzenia... Kortyzol napędza mnie wystarczająco od rana do wieczora, nie muszę stosować sztucznych dopalaczy.

Za ekspresem stoją pudełka z herbatą, biorę jedno z nich, nalewam z bidonu gorącą wodę. Gdy się prostuję, widzę, że pracownica na mnie patrzy. Lekko się uśmiecha. Czy też już wie?

Dopiero teraz zauważam, że jest dość dziwna. Ma rozpuszczone, proste włosy w kolorze słomy. Ubrana jest w długą zieloną sukienkę niczym jakaś leśna rusalka. Cóż to za strój do korpo? *Dress code*<sup>8</sup> jej nie obowiązuje? Odpowiadam nieśmiałym półuśmiechem i umieszczam kubek na stole. Teraz jesteśmy ustawione na wprost, zatem głupio byłoby tak milczeć.

– Hej, chyba się jeszcze nie widziałyśmy, prawda? Jestem Liwia – mówię sztucznie wesołym tonem. Udaję pogodną, beztroską. Przez sekundę tworzę wrażenie normalności, iluzję zwykłej dziewczyny z biura. Nic nadzwyczajnego się tu nie dzieje.

Ale ona nie daje się zwieść, jej oczy wnikają w moją duszę jak harpun Ahaba<sup>9</sup>.

– Nie chciałybyś kiedyś pozbyć się tego całego gówna ze swojego systemu, Liwio? – zaczyna swoją perorę. – Ile jeszcze wytrzymasz pospinana w supełki, ile jeszcze stresorów musi zastukać do okienka, nim padniesz na raka? Tak. Stres to jeden z czynników zwiększających szansę na tę paskudę. Kortyzol w nadmiarze to dziwka. Chcesz łykać chemię z peruką na łbie, gdy inni będą realizowali swoje życiowe marzenia, bujając się w nieznośnej lekkości bytu?

Siedzę oniemiała.

Ale mi pojechała...

Co to ma być, jakaś wróżka czy co? Widząc moje zaszokowane spojrzenie, powoli podchodzi do stołu i opiera się o jego skraj. Pochyla się, mówiąc:

– Zrobimy taki numer jak w bajkach, zgoda? Dam ci coś, co pozwoli wypchnąć z twojego systemu ten syf, z którym żyjesz i który zżera cię od środka. Ale wiesz, nic nie jest za darmo.

Zaczynam wreszcie rozumieć, że na teren firmy wdarła się wariatka. Powoli wstaje. Muszę dostać się jakoś do ochrony, nim zrobi coś nieodpowiedzialnego.

– Już uciekasz? Nie zapomnij wziąć tego!

Kładzie na stole przejrzysty, opalizujący tęczowo kamień. Jest piękny, przez chwilę przykuwa mój wzrok i budzi dziecienną potrzebę posiadania kolorowych błyskotek. Ale to trwa tylko przez moment. Mijam ją i truchtem opuszczam pomieszczenie. Jednak zanim wychodzę, zauważam jeszcze, że kobieta... ma bosa stopy!

Kuriozum.



Ochroniarze są trzy poziomy niżej, przy głównym holu wejściowym. Zbiegam po schodach i jestem u nich w dwadzieścia sekund.

– Panowie, proszę o pilną pomoc! – mówię lekko zdyszana. – Na teren firmy weszła jakaś obca kobieta, jest zaburzona psychicznie, trzecie piętro, pokój socjalny.

Jeden z ochroniarzy udaje się za mną z nieco zdziwioną miną, ale generalnie otwartym umysłem. Wchodzimy po schodach, a potem do pokoju socjalnego, który okazuje się jednak pusty.

– Gdzie ona jest? – pyta mężczyzna. To już starszy pan, może były policjant? Pewnie dorabia sobie do emerytury. Gdy patrzę na niego kątem oka, wydaje się przypominać brodatego krasnoluda. Ciekawostka.

– Yyy... Była tu dwie minuty temu. Słowo daję, na pewno macie ją na kamerach. Musiała gdzieś pójść, pewnie będzie grasować po firmie i może... kraść?

Ochroniarz obrzuca mnie sceptycznym spojrzeniem.

– Dobrze, sprawdzę.

Z marsową miną schodzę za nim na parter, bo nie zamierzam odpuścić tematu. W klitce, którą zajmują, mają szereg monitorów podzielonych na sekcje. Mężczyzna wybiera ujęcie z kamery na korytarzu trzeciego piętra i przewija nagranie. Widać na nim, jak wchodzę do pokoju socjalnego, a potem następuje chwila, gdy nic się nie dzieje. Później monitor pokazuje, jak wybiegam z pomieszczenia, a dwie minuty potem wkraczam tam ponownie, w towarzystwie ochroniarza.

Starszy pan wznosi na mnie oczy, które mówią dobitnie, co sądzi o moim zachowaniu.

– Ona naprawdę tam była... – szepczę, przyciskając dłonie do ust. Co tu się wydarzyło?

– Wariatka... tam była? – pyta, a ja słyszę w jego tonie drwinę. Tak. Pasuję mu do tej roli. Także jemu? Widzę to pogardliwe spojrzenie. Ciekawe, nawet nie spytał, czy to głupi kawał. Od razu jestem na celowniku.

Klnę pod nosem i wychodzę z pomieszczenia. Wracam na swoje piętro. Pokój socjalny nadal jest pusty, a na stole nic nie leży. Warczę lekko pod nosem – to taki

mój dziecinny sposób wyrażania frustracji. Czy zaczynam mieć haluny? To ja jestem tu wariatką? Tak ze mną źle?

Czując się tak, jakby ktoś uderzył mnie pięścią w brzuch, wracam do pomieszczenia zajmowanego przez pracownice biura obsługi klienta. Na mój widok Pola krzywi się lekko i mówi:

– Były do ciebie dwa telefony. Prawdopodobnie powinnaś oddzwonić. Klienci VIP!

Nie odpowiadam, tylko wbijam wzrok w wyświetlające się na panelu ostatnie numery. Kalina i dwie inne pracownice przyglądają mi się z kpiącymi minami. Wredne dziwki. Biorę się za oddzwanianie, nie mam innego wyjścia.

Po szesnastej wychodzę z biura w bardzo złym nastroju, czyli dzień jak co dzień. Jednak mój humor nie poprawia się wcale, gdy wsiadam do samochodu. Oto bowiem na przednim siedzeniu leży... pięknie lśniący kamień, który widziałam na stole w socjalnym!

Mam takie wrażenie, jakby ktoś dał mi bejsbolem w łeb. Niewidzialna rusalka osiągnęła swój cel. Z wściekłością chwytam błyskotkę i wyrzucam z samochodu, najdalej jak mogę. Poza ogrodzenie parkingu, na trawiaste tereny wokół sąsiedniego bloku. Halunom mówię nie!

Wracam do domu, gotując się w środku. Odmawiam złożenia broni.

Na dodatek korek nie chce się skończyć. Niemal wyję, uderzając rękami w kierownicę. Minuty zamieniają się w kwadransy, a kwadransy w godzinę... potem półtorej, gdy wreszcie docieram do domu.

W osiedlowej zabce przy moim bloku kolejka sięga aż do wyjścia. Mają otwartą jedną kasę. Przejścia między regałami są tak ciasne, że przepycham się, przewracając towary. Wściekłość we mnie wciąż rośnie i rośnie, a potem okazuje się, że czytnik karty psuje się, właśnie gdy nadchodzi moja kolej. Muszę wyjść z zabki, by wypłacić pieniądze z bankomatu i znów wrócić na koniec ogonka.

Moje wkurzenie osiąga zenit. Podchodzę z zakupami do kasy i dokładnie wtedy kończy się im papier. No nie! Kasjerka niespiesznie wymienia rolkę. Mam ochotę walnąć ją w łeb, ale udaję cywilizowanego człowieka. Ta cienka maseczka narzuconej kultury piecze i uwiera, ale tym razem daję radę. Kiedyś wybuchnę. Jak ten koleś z filmu *Falling down*<sup>10</sup>. I może zabiję ich wszystkich?

Będę miała spokój, dopiero jak zewnętrzny świat się zmieni i... dopasuje do mnie.

W mieszkaniu jest pusto, ciemno i zimno. Zakupił je dla mnie ojciec w przypływie łaskawości, naiwnie wierząc, że założę dużą rodzinę i przyda mi się komfortowa przestrzeń. Wielka, szczęśliwa rodzinka? Stuknęła mi trzydziestka, a do tych wnuków ciągle daleko. Żeby je mieć, trzeba jeszcze... mieć z kim. A mnie każdy wkurwia. I wszystko mnie wkurwia.

Rzucam zakupy na stół, a wtedy o mały włos umyka mi to, co na nim leży.

KAMIENŃ.

Przeklęty, osobliwy, uparty kamień.

Rozglądam się nerwowo, ale nie widzę nigdzie wariatki z firmy. Czy mogła się tu wkraść? A może jednak mam jakieś problemy z mózgiem? Niezdiagnozowany rak? Omamy wzrokowe są częścią problemów w przypadku guza mózgu.

Podnoszę klejnot dwoma palcami, podchodzę do okna. Otwieram je i wyrzucam niepokojący obiekt za okno. Odczuwam natychmiastową, wielką ulgę. Zamykam okiennice, zaciągam rolety. Wracam do stołu, by odkryć z przerażeniem, że... kamień nadal na nim leży.

– Cholera jasna! – Odsuwam się pod ścianę.

Co to ma być, co tu się wyprawia?

Próbuję przeanalizować w głowie słowa dziwnej rusałki. Mówiła coś o pozbywaniu się negatywnych emocji, całego tego skłębionego kołtuna gniewu, rozpacz i wściekłości. Mojej złości na świat. Jądra ciemności.

Co tak piękny, tęczyowy kamień może mieć z tym wspólnego?

Czy jest jakimś demonicznym artefaktem i powinnam wezwać egzorcystę?

Gdy tylko o tym myślę, oczami wyobraźni widzę, jak tu przychodzi, rozgląda się i nie znajduje żadnego klejnotu. Bo z moim pechem tak właśnie by było. I tylko wbija we mnie wzrok, przekonany, że to ja zaraz opadnę na czworaka, w pozycji określanej „mostkiem” i zacznę zasuwać po ścianach, wydając z siebie gulgotzące dźwięki. Chyba każdy widział to w *Egzorcystcie*.

Próbujesz ściągnąć na coś uwagę? Ściągasz ją na siebie. Tak to działa. Sprawdzone z autopsji.

Zanoszę kamień do małego pokoju, w którym nie ma nic oprócz kilku mat do jogi, ławeczki do brzuszków, paru hantelek i hula-hoop. Ambitny pomysł na domową siłownię – zakończony fiaskiem. Rzucam dziwny przedmiot na ziemię i zamykam drzwi. No i co? Nadal jest w domu, niech już będzie, jak musi.

Z rzeczywistością nie da się walczyć, przynajmniej na to wygląda.

Wow? Aż trudno uwierzyć, że ja to powiedziałam. To stoi w sprzeczności z moją fundamentalną filozofią życiową.

Kładę się do łóżka i po raz pierwszy od miesiący nie dręczą mnie paranoiczne „myślenice” czy uparte ruminacje<sup>11</sup>.

Zasypiam spokojnie, zasypiam szybko, zasypiam... wolna.

Poranek jest jeszcze lepszy. To piątek, ostatni dzień przed weekendem, moim cotygodniowym wybawieniem. Zaglądam do siłowni. Kamień nadal tam leży, choć z daleka wydaje mi się mieć nieco inny kolor, ale nie poświęcam temu więcej uwagi.

Jadąc do pracy, łapię się na tym, że podśpiewuję sobie *You are the reason* Calluma Scotta i Leony Lewis. Ja i nucenie czegośkolwiek? Niesamowite. Zdumiewająca transformacja.

W pracy zasiadam do swojego biurka i ze spokojem zaczynam realizację codziennych obowiązków. Robię to pomimo tradycyjnych, krzywych spojrzeń, jakie posyła mi wiedźma Pola. Ach, gdyby tylko ludzie widzieli, jak ona naprawdę wygląda... Hm. Dziwne, po raz pierwszy w ogóle mnie to nie obchodzi.

Nawet gdy drukarka, na której drukuję raporty dla naszego kierownika, się zacina, nie odczuwam fali stresu czy złości. Usterkę spowodowała magia wiedźmy Poli. Kątem oka widzę, jak pod nosem mruczy swoje zaklęcia. Proszę kolegę z sąsiedniego działu o pomoc i sprawa zostaje szybko załatwiona. Jego natura też jest specjalna – to gnom, a oni umieją rozsypać każdą magię. Widzę kątem oka jego śmieszne uszy i dziwaczne wibrysy. Urocze. Puszczam do niego oko, na co reaguje rumieńcem.

Raport zanoszę szefowi do jego oszklonego kubika. Przegląda wydruk pobieźnie.

– Dziękuję, Liwia. Jednak... poproszę dziś też o zestawienie miesięczne. Właśnie się dowiedziałem, że mam o jedenastej spotkanie z nowym dyrektorem

działu usług komercyjnych, potrzebuję mu pokazać coś więcej. Muszę to mieć w godzinę.

Normalnie bym się wściekła. Ręce by mi drżały, może nawet zrobiłabym mu wyrzuty, że stawia mnie w takiej sytuacji. Przygotowanie zestawienia miesięcznego to robota na kilka godzin. Zamiast tego kiwam głową jak wzorowa służbistka i zasuвам do biurka. Wrzucam wysoki bieg, mobilizując się do działania.

Szef dostaje zestawienie dokładnie na dziesiątą pięćdziesiąt sześć.

Podczas chwili odpoczynku w socjalnym pechowo opieram się o pobrudzony kawą blat kuchenny. Moja kremowa ołówkowa spódnica ma teraz brązową podłużną plamę. W pierwszym odruchu chcę zakląć i zwyzywać tych brudasów, którzy nie ścierają po sobie, tylko nasyfią jak się da i gdzie się da. Mam ochotę myśleć o swoim pechu i przeklętym losie, jednak...

Odkrywam, że nie muszę! Wow.

Ze spokojem idę do łazienki, czyszczę spódnicę mydłem z dozownika i korzystam z suszarki do rąk. Takie rzeczy się zdarzają! Po co robić szum? Po co się wściekać o takie pierdoły?

Serio... Skąd u mnie ten kołczing duchowy dla ubogich? To przecież moje flagowe powody do wkurwu! Co jest? To ja czy już nie ja?

– O, cóż to? Incydent kałowy w toalecie? – Pola mruży oczy, wchodząc do łazienki i dostrzegając mnie przechyloną na bok, pod suszarką. W lustrze jej krogulcze palce kreślą w powietrzu magiczne esy-floresy. Pewnie potknę się po drodze o wykładzinę.

Otwieram usta, by się jej wrednie odciąć, ale... wypływa ze mnie tylko:

– Nie, ktoś rozlał kawę na blacie.

– Ty to masz pecha. Zawsze coś! – Śmieje się pogardliwie i zamyka w kabinie. Wzruszam ramionami i kończę suszenie. Potem poprawiam makijaż i wychodzę. Gdy wracam na swoje miejsce, odkrywam, że na biurku leży sterta korespondencji!

W pierwszym momencie nogi się pode mną uginają, ale... otrząsam się i siadam.

Do naszej firmy ludzie okazjonalnie piszą tradycyjne listy, zwłaszcza starsze osoby, nieumiejące poradzić sobie z obsługą kont hostingowych. Gdy

przychodzi taka paczka, listy są rozdzielane sprawiedliwie między pracowników, aby każdy zajął się jedną sprawą. Dziś... nie było mnie, gdy przyszedł koleś z HR. Te idiotki kazały mu położyć wszystko na moim biurku! W normalnej sytuacji zrobiłabym scenę. Rozdałabym im listy, powarczała... A jednak wbijam wzrok w papiery i milczę.

Obserwuje mnie siedem par kobiecych oczu. Co robi Liwia?

Wstaję i z szafki wydaję koperty oraz plik kartek. Z absolutnym spokojem zaczynam odpisywać, list po liście. Wzrok spuszcza na dół, każda wraca do swojej pracy. Jedna afera mniej – dzięki mnie? Hm. Zawsze mam przecież wybór. Wybuchnąć albo nie.

Stop. Zaraz?

Wczoraj jeszcze myślałam, że jak nie wybuchnę, to świat się zawali, zjedzą mnie żywcem. Że muszę walczyć, walczyć non stop! Chociaż codziennie przegrywam. Ale powinnam walczyć do upadłego. Napięte nerwy, napięte ciało. Zwarta i gotowa!

A dziś? Coś się faktycznie zmieniło. Jestem odprężona. Nie mogę już udawać, że nic się nie dzieje.

Magia kamienia... działa?

Tego dnia wracam do domu zamyślona. Na odtwarzaczu puszcza sobie audiobooka *Nieznosna lekkość bytu* Kundery i z jego pomocą udaje mi się przetrwać nudną godzinę w korku. W żabce kolejka jest jeszcze dłuższa niż ostatnio, ale ja po prostu sobie w niej stoję. Nie klnę pod nosem, nie wściekam się, nawet gdy kasjerka liczy mi ekstra paczkę krakersów.

Mam wrażenie, że wreszcie kontroluję rzeczywistość, a nie ona mnie. Banał godny Coelho, ale jakoś... dobrze mi wybrzmiał.

Na klatce schodowej spotykam sąsiadkę. Mieszka na wprost mnie. Mijamy się bez słowa, bo kiedyś pokłóciłam się z nią o pogryzioną wycieraczkę. Jej pies, wredny brodac monachijski, skuczy całymi godzinami, gdy ona jest w pracy. Futrzak na mój widok kuli ogon pod siebie i chowa się za jej łydką. Zwierzęta zawsze mnie unikały – kolejna ciekawostka mojego życia. Nawet te wielkie, rottweilery, dobermany. Wszystkie się mnie boją, kulą, wycofują.

Wracam do pogrążonego w mroku domu i pierwsze, co robię, to badam, co się dzieje z kamieniem. Coś nie daje mi spokoju. Zapalam światła. Gdy otwieram

drzwi, wydają z siebie cienki skowyt, jak mały szczeniaczek.

Na ziemi leży coś okropnego.

Zakrywam usta, próbując się opanować.

Bryła mięsa, tkanki, niczym wielki guz przepleciony grubymi żyłami, lekko pulsującymi... Przypomina nieco jajo lub może... niekształtny embrion? Przyklejona plecami do ściany wsuwam się do siłowni. To coś... to coś jest chyba żywe! Widzę minimalne ruchy, jakby oddychało.

Borze szumiący, borze zielony. Co to jest?!

To, co mówiła kobieta z firmy, wiruje mi w głowie. Kawałki układanki próbują wskoczyć na swoje miejsce. Czy to ja zasilam ten dziwny, rakowaty twór?! Moje negatywne emocje?

Osuwam się po ścianie. Gapię się w niego jak zahipnotyzowana. Podnoszę od czasu do czasu ręce do oczu, przecieram je, szczypię się w policzki. Ale ta drgająca masa nadal tam jest. Nie chce zniknąć, nieważne jak bardzo staram się wybudzić z koszmaru.

Po blisko godzinie bezmyślnego gapienia się na ten przerażający obiekt zaczynam dochodzić z nim do ładu. Zaczynam go akceptować, tak peryferyjnie. Na marginesie mojej rzeczywistości.

Opuszczam pokój, gdy już się całkiem ściemnia.

Potrzebuję odpowiedzi, by nie zwariować.

Siadam do komputera, ale pomimo wielu godzin poszukiwań rezultaty są mizerne. Udaje mi się tylko natrafić na pewnym forum na wypowiedź jednej z użytkowniczek, pochodzącej z zapadłej wsi pod Głubczycami. Kobieta o nicku „SlavicWitch77” pisze w poście poświęconym dziwnym, starym zwyczajom, że jej prababka mogła złe myśli i przekleństwa rzucane na daną osobę przekierowywać na inne przedmioty, na przykład roślinę, czasem zwierzę, a czasem martwy obiekt. Jednak czy mogły to być... własne złe myśli? Własne złe emocje?

Od razu piszę wiadomość do tej użytkowniczki, ale ponieważ post pochodzi sprzed kilku lat, nie mam wielkiej nadziei na rychłe uzyskanie odpowiedzi. Klikając w przycisk „wyślij”, mam takie uczucie, jakbym poprzez drażnienie tematu czyniła to wszystko bardziej realnym, jakby to robiło się bardziej substancjalne, im bardziej zasilam to swoją uwagą.

Idę spać zadziwiająco spokojna, mimo że rano ma wpaść do mnie matka. Zwykle byłabym na nogach aż do północy, snując się z kąta w kąt jak splątana kula drgających nerwów. Moja rodzicielka zalicza się do osób, z którymi nie mogę się dogadać.

Ale... zasypiam jak noworodek!

Ledwo otwieram oczy, słyszę walenie w drzwi. Zamiast spać się jak rozjuszona kocica, z uśmiechem odciągam zasuwę zamka i wpuszczam ją do środka.

– Mogłabyś chociaż patrzeć na telefon, Liwio! – syczy od drzwi, zrywając kapelusz z głowy. – Pisałam ci, co oni znowu wyrabiają, nie mogłam wczoraj spać!

– Kto, mammo?

– No kto, nasz rząd oczywiście, wiesz, jakie mają pomysły, zamierzają...

– Mammo, nie denerwuj się. Usiądź, zrobię ci kawę. – Prowadzę ją do kuchni, ale nie zamierza dać się zatrzymać. Czuje potrzebę, by mi wszystko opowiedzieć, by wzbudzić we mnie te same nerwy, jakie nakręca teraz w sobie. Musi zatruć mój system, kruchą homeostazę, w której weekendowo funkcjonuję. I zwykle daję się jej w to wciągnąć. Ale nie dziś. Widzę ją niemal tak, jakbym miała aktywne jakieś trzecie oko.

Wielki kłębek ciemnej, poplątanej energii.

Czy ja też tak zwykle wyglądam? Tylko... nie dziś. Mama gada i gada, i gada. Z polityki zmienia temat na swoją siostrę, z którą się nie dogaduje. Mieszkają dom w dom, ale nie potrafią się porozumieć. Ludzi zajmuje zagadnienie niemożności kontaktu z obcymi cywilizacjami w kosmosie, a na własnych podwórkach mają większe dylematy. Trwa to od siedmiu lat, bo wtedy pokłóciły się o coś błahego. Zwykle pamiętam, w czym leży problem, ale nie dziś. Dziś wszystko obłożone jest miękkimi poduszkami, od których się odbijam. Ona mówi, a ja sobie luźno pływam w jej słowach, ale nie daję się pochwycić nerwowemu nurtowi.

Nagle mruży oczy, które mają ten sam kolor co moje, ciemny, zielonoszary.

– A ty? Coś taka zgaszona, pasywna? Co kombinujesz? Miałam nadzieję, że wreszcie kogoś tu z tobą zastanę. To nie jest normalne, by trzydziestoletnia kobieta żyła sama!



Nabieram powietrza w płuca. Moja magiczna poduszka musi zrobić się przez chwilę wyjątkowo gruba, abym nie wybuchnęła matce w twarz skumulowaną wściekłością. Częściowo dlatego, że sama chciałabym z kimś być, ale... też dlatego, że mam dość jej mieszania się w moje sprawy.

Jednak ta cała wściekłość jest ze mnie skutecznie odsysana – odpływa w eter, zasilając coś, co rośnie za ścianą. A dziś dostanie smakowitą porcję! Matka mówi i mówi o moich zasuszających się jajnikach, o wadach genetycznych u dzieci starszych kobiet, o skwaśniałych starych pannach oraz o moim wrednym charakterze, który odstrasza zalotników... Jednak moja czacha – zamiast zacząć dymić jak zwykle – skutecznie przesyła cały ten syf do tajemniczej osobliwości w sąsiednim pomieszczeniu.

Po dwóch godzinach wypełnionych próbami cywilizowanej konwersacji z mojej strony i bezustanną ofensywą matki, ona wreszcie wychodzi.

Ale ten dzień nie jest skończony.

W soboty sprzątam, a to jest coś, co zawsze wprawia mnie w zły humor. Szarpiąc się z odkurzaczem co tydzień, klnę jak szewc, próbując wsunąć go w ciasne szczeliny pod łóżkiem i pod szafami. Walka z obrzydliwym kurzem i kotami w kątach doprowadza mnie do szewskiej pasji.

Ale nie dziś! No przecież!

Dziś sprzątam jak rasowa pani domu – z uśmiechem na ustach, podśpiewując sobie radośnie. A nawet robię coś więcej. Piekę sobie pierniczki, bo są moją ukrytą słabością. I nic mnie przy tym nie denerwuje, nawet gdy wychodzą lekko przypalone.

Dopiero koło siedemnastej decyduję się zaglądnąć do siłowni. Nie ukrywam, robię to z duszą na ramieniu. Moje obawy okazują się w pełni uzasadnione.

Najpierw widzę mrok...

Na środku pokoju znajduje się coś, co mogę tylko opisać jako olbrzymi, skulony twór podobny do ludzkiego płodu, ale... rozmiarów dorosłego mężczyzny. Zapalam światło.

Widok jest tak przerażający, że obraz pływa mi przed oczami. Łapię się futryny, osuwam na kolana. Wizyta mojej matki nieźle go doładowała, czymkolwiek jest. Powoli wchodzi do pokoju, a wtedy... Wtedy dzieje się niewiarygodne.

Stwór porusza się, jakby mnie usłyszał, i chyba nawet próbuje się rozprostować, podnieść głowę (głowę?). Jednak jest dość mocno oklejony śluzem i wciąż nie do końca ukształtowany. Jego skóra przypomina skórę Inżyniera z Prometeusza<sup>12</sup>, wydaje się biała, lekko przezroczysta, ale wciąż jeszcze widzę na niej wypukłe, pulsujące żyły i warstwę gęstego, lepkiego żelu.

Czy to... człowiek? Humanoid? Jego twarz wydaje się lekko wydłużona, jakby miał silny prognatyzm. Dziwna, zmutowana istota. Skąd się tu wzięła? Czy kamień był czymś w rodzaju nasienia, a moje emocje są jego pożywką?

Co będzie, gdy się ostatecznie uformuje? Urośnie?

Coś mi pika w kieszeni. Podnoszę smartfon do oczu.

Nowa wiadomość na forum?

Z bijącym sercem otwieram skrzynkę odbiorczą. „SlavicWitch77” odpisała na moje zapytanie! Odczytuję, co następuje:

Ja nie znam takiego rytuału jak przenoszenie negatywnych emocji na kamień, ale spytałam babcię, która dużo się nauczyła od prababki. I ona powiedziała, że musiałyby zobaczyć ten kamień, bo kiedyś słyszała pewną dziwną historię. Dotyczyła tęczowego kamienia. Jak wygląda twój?

Trzęsącymi się dłońmi wprowadzam odpowiedź:

Serdecznie dziękuję za odpowiedź! To dużo dla mnie znaczy, bo jestem z tym sama. Tak, kamień był kolorowy. Lecz teraz stało się z nim coś o wiele gorszego. Zaczął obrastać jakąś... tkanką. Początkowo przypominała guz rakowy, a teraz bardziej wygląda na olbrzymi embrion. Wydaje się żywy. Jestem przerażona. Co robić? Czy zwariowałam?

Wysyłam odpowiedź, a potem chowam komórkę. Wbijam wzrok w monstrum, drżące lekko na środku siłowni. Mam wrażenie, że jest głodne. Wyczekuje?

I nagle przychodzi mi do głowy pewien pomysł.

A może by tak... postąpić wbrew zdrowemu rozsądkowi i nieco go doładować?

Ta myśl, tak szokująca, nieoczekiwana... wydaje się sztucznie zaszczepiona w moim umyśle. Czy nad tym twór także sprawuje kontrolę? Może wpływać na moje decyzje? Faktycznie wydaje się już bliski ostatecznej formy, pewnie się niecierpliwi... Pomóc mu czy nie?

Uśmiecham się krzywo i wstaję. Udaję się do kuchni, gdzie stoi mój laptop, i zasiadam do gry, która od zawsze kosztowała mnie najwięcej nerwów. *World of Tanks*.

Wiele lat temu, gdy chodziłam z pewnym chłopakiem, nauczyłam się jej zasad. Graliśmy razem w plutonie, on na czołgach, ja na artylerii. Rozstaliśmy się, ale nałóg pozostał. Od czasu do czasu biorę udział w kilku bitwach, ale nie za często, by nie nadwyręzać nerwów.

Zaczynam rozgrywkę i po chwili powód do wściekłości pojawia się sam. Mam duże lagi. Ping skacze na trzysta. Sekundę potem – kolejny powód. Rzuciło mnie na Himmelsdorf, miejską mapę, a to oznacza, że użyteczność artylerii znacznie spadnie. Krążę z kąta w kąt, szukając miejsca do ostrzału, ale łatwo nie jest. Normalnie już bym klęła, na czym świat stoi, ale cudowna moc kamienia odsysa ze mnie całą negatywną energię. Mój team okazuje się słabszy. Kolejny powód do nerwów. Głupie boty<sup>13</sup> nie jadą „na wzgórze”, skutkiem czego wkrótce jesteśmy oflankowani. Zakląłabym pod nosem z wściekłości, ale zamiast tego łagodnie się uśmiecham. To już nie ja, naprawdę! Jestem innym człowiekiem, ale... czy tego właśnie chcę?

Wychodzę z bitwy, bo słyszę piknięcie telefonu. Serce zaczyna bić mi szybciej.

### Zadzwoń pod numer...

Mrugam i chwilę gapię się w cyferki.

Wow, podały mi numer. Podchodzą do sprawy poważnie.

Powinnam dzwonić do jakichś wiejskich babek? Czy faktycznie mogą coś wiedzieć? Nigdy nie lubiłam takiej formy kontaktu, za mailami i SMS-ami łatwiej się ukryć. Normalnie poczułabym falę stresu, ale jej nie ma. Zamiast tego wstaję.

Muszę na niego zerknąć. Ciągnie mnie tam. Potrzebuję się upewnić, że jest realny.

Gdy wchodzę do pogrążonej w mroku siłowni, zagryzam usta. Powoli zapalam światło.

Tak, rozgrywka mu pomogła. Zdecydowanie. Stwór na mój widok unosi głowę.

Jego oblicze... jest przerażające. Wygląda jak twarz jakiegoś golema, tylko nie jest zrobiona z topornie uformowanej gliny, ale z nie do końca ukształtowanej cielistej masy, bladej jak mąka, pokrytej czerwonymi nitkami żył. Nie ma oczu, powieki jeszcze się nie wytworzyły, nie rozdzieliły. Za to jego pysk jest wydłużony, niemal wilczy, choć nie tak wydatny. Stwór zaczyna macać pokrytymi śluzem rękami po podłodze, jakby czegoś szukał.

Maca i maca... Wygląda to nieco bezradnie. W pewnej chwili zaczynam odczuwać pewien rodzaj politowania. A może nawet szczerego żalu?

Nie wiem czemu, skąd ten straceńczy impuls we mnie, ale zaczynam przesuwac się po podłodze w jego stronę. Gdy jestem już blisko, waham się. Mogę chwycić jego dłoń, a mogę się cofnąć. To moment graniczny.

Dotknąć go? Zobaczyć, co się stanie? A może nie ryzykować?

Stres skręcałby mi teraz bebechy, gdyby nie to, że właśnie ze mnie ucieka i odżywia tę karykaturalną istotę. Dopiero teraz zauważam, że stwór jest... płci męskiej! Odczuwam dziwny, niepokojący dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Wcześniej sądziłam, że skoro w jakiś sposób jego siła życiowa wypływa ze mnie, może to będzie kobiecy embrion, coś jakby mój mroczny klon? Ale to nie jest żaden klon. To coś innego...

No dobrze, raz kozie śmierć.

Chwytam jego dłoń i...

W następnej chwili gorzko tego żałuję.

Stwór wydaje z siebie coś w rodzaju warkotu i skacze w moją stronę.

Wrzeszczę.

Przewraca mnie na ziemię i przygniata swoim ciałem. Wiję się jak węgorz, rzucając na boki, próbując go odepchnąć, ale... jest zbyt silny. Jego ciało, które wydawało mi się ulepione z ciastoliny, wcale nie jest takie miękkie w dotyku.

Stawia opór. Na dodatek moje ręce ślizgają się po nim, po tym dziwnym śluzie, który go pokrywa, udaremniając wszelkie próby ucieczki.

Mam moment głębokiej paniki, ale on... także zostaje ze mnie odessany. Jeszcze intensywniej, mocniej, niemal jakby stwór włączył energetyczny odkurzacz. Próbuję się spiąć, ale też nie mogę. Energia stresu jest w całości transferowana do potwora.

To chore – taka myśl kołacze mi się w głowie. Może mnie zabić. A ja będę pasywna jak lalka? Po prostu mu pozwolę? Dam się rozerwać na kawałki?

A potem inna myśl przebija się na powierzchnię mojej świadomości. Nie zabije mnie, bo to ja go żywię. Moje przetrwanie jest w jego interesie...

Uspokajam się, opadam bezwładnie. Po prostu sobie leżę.

Jego pozbawione oczu lico przesuwa się nade mną, próbując mnie powąchać. Węszy, niczym pies, swoim wydłużonym pół ludzkim, pół wilczym nosem. Zsuwa się niżej, w okolice mojej szyi, być może nasłuchując pulsu. Mam na sobie tylko T-shirt i spodnie od pizamy. Opiera czoło o moje ramię i chwilę tak trwa, jakby nad czymś rozmyślał. A potem chwytą dwoma rękami za materiał na dekolcie koszulki i jednym brutalnym ruchem ją rozrywa!

Wrzeszczę ponownie, co chyba go cieszy, bo mam wrażenie, że jego szczęki rozwierają się jeszcze szerzej, korzystając z dopływu nowych sił. Oczy pozostają zamknięte, ale pysk może teraz otworzyć się na pełną szerokość.

Jestem zdezorientowana. Obnażona, przekonana, że on zechce mnie ugryźć lub w jakiś inny sposób skrzywdzić, byle zapewnić sobie ciągły przyływ energii... Będzie pobudzał mnie do stresu i żarł, pasł się na mnie jak pasożyt lub wynaturzony padlinożerca.

Powolutku przesuwa głowę w dół, trzymając wargi bardzo blisko mojej skóry. To niesamowite, w normalnej sytuacji skręcałabym się teraz ze stresu, wiem to, widzę to niemal w głowie, jak sapię i jęczę, i wiję się, ale nic z tego nie manifestuje się na płaszczyźnie fizycznej. Moje ciało po prostu leży, poddało mu się.

Białe wargi zbliżają się do mojej piersi. Czuję, jak zamykają się na lewym sutku.

Napinam się w akcie protestu, ale zaraz opadam, nie czując w sobie potrzeby do walki.

Aż tak mnie zmienił? Ten dziwny kamień, który stoi za tym wszystkim, który pewnie jest teraz gdzieś głęboko w jego wnętrzu? Pozwalam mu ssać pierś, jakby szukał w niej mleka, a moje ręce leżą spokojnie na macie do jogi.

Zawieszam wzrok na suficie.

To wszystko jest chore. Po prostu chore. Jak najgorszy koszmar, z którego nie możesz się obudzić. Taki w zwolnionym tempie.

Oddałam część swojej duszy, a została mi dziwaczna pasywność, bezwolność? Ograbiłam się z czegoś. Może i nie jestem już nieszczęśliwa, zestresowana, wściekła, ale wykastrowałam się z czegoś, co było esencjonalne dla mojej osobowości: woli walki.

Kiedy byłam nastolatką, czytałam *Przebudzenie* Anthony'ego de Mello i próbowałam się nim leczyć ze stresów. Wyobrażałam sobie, za podpowiedzią autora, że jestem niebem, a moje nieposłuszne, bolesne emocje – tylko chmurami, które pędzą po nim bez końca. Ale one – to nie ja. Próbowałam, próbowałam i próbowałam. I poległam.

Nie umiałam wygrać z moim rozbujanym umysłem, z moimi wieczornymi „myślenicami”, w których zadreślałam się nieskończoną ilością alternatywnych scenariuszy wydarzeń. W każdym z nich robiłam coś inaczej. Lepiej! Naprawiałam sytuacje. Wychodziłam obronną ręką. Tryumfowałam. Albo unikałam konfliktów.

Od dwóch dni to zniknęło. Czy muszę nauczyć się... siebie na nowo?

Przeraża mnie myśl, że w chory sposób kocham swoje męczeństwo.

Na ten moment nie wiem jeszcze, jaką decyzję powinnam podjąć. Pozostaję zawieszona pomiędzy potrzebą działania a ciekawością, by popchnąć to szaleństwo o jeden krok dalej.

Wargi potwora ssą moje piersi, a ja powoli podnoszę dłoń i kładę ją na jego lepkiej głowie. Nie przeszkadza mi. Dotykam wilgotnej skóry. Mogłabym zatopić w niej paznokcie, rozorać ją, rozszarpać – bo jest tak miękka. Ale chyba jeszcze nie chcę. Jeszcze nie jestem gotowa, by oddać to, co mi dał. Ma lekko szpiczaste, wydłużone uszy, co jeszcze bardziej nadaje mu wygląd krzyżówki ludzko-wilczej. Tylko nie ma żadnego futra, jest idealnie gładki.

Cisza.

Zamykam oczy, poddaję się temu. On zachowuje się trochę jak zwykły kochanek, co jest w jakiś sposób bardziej wstrząsające niż sam ten akt. Jego palce zaciskają się na moich sutkach. Potem zrywa mi spodnie. Zsuwa się niżej, a jego mokry język dotyka mnie tam, między nogami. Czuję odrazę, ale czuję też coś jeszcze.

Czasem... upadek jest czystą rozkoszą.

Wyrwał ze mnie walkę, ukradł mi ją. Dlatego teraz przegrywam.

Zaciskam powieki. Jakie to łatwe – przegrywać! Nie ma nic łatwiejszego... To jest słodkie. Słodko-gorzkie. Moje biodra unoszą się lekko. Niemal nieznacznie. Czuję, jak przenika mnie chora, słodka fala. Powinien być w niej wstyd i odraza, ale nie ma, bo on je zabrał. Ale nie zabrał rozkoszy. Więc ona bierze mnie w posiadanie. Jęczę i chcę więcej, więcej! Chcę niemożliwego.

I on mi to daje. To jest nagroda dla niego za zwycięstwo nade mną, a dla mnie... za moją porażkę. Unosi się w górę i... wchodzi we mnie.

Wydaję z siebie okrzyk – resztkowy, płynący z jakiejś pozostałości, która we mnie jeszcze wegetuje. Ślad tego, czym byłam kiedyś.

Częścią siebie pragnę poddać się temu aktowi – ale moja druga część domaga się zniszczenia tej chwili. Obejmuję go ramionami, kompletnie wbrew sobie, ale za to w zgodzie z moim upadkiem. Jego ciało jest lekko przejrzyste. Coś pulsuje w nim jak sztuczne serce. Magiczny, tęczy kamień. Źródło tej chorej aberracji, która opanowała moje życie.

Muszę to z niego wyrwać, wyłącznie w ten sposób mogę go zlikwidować!

Ale chyba nic się nie stanie, jeśli to zadanie jeszcze chwilę poczeka.

Tylko przez moment.

Porusza się we mnie, wypełnia mnie, a ja poddaję się temu pierwotnemu, obscenicznemu aktowi. Jest tak niewłaściwy, jak to tylko możliwe. Anormalny, gorszący.

Eksploruję swoje granice. Bez jego odsysającej moją neurotyczność mocy nie mogłabym ich poznać. Czy to jakiś pokrętny dar? Tylko dziś, tylko teraz. Ten jeden raz, jestem... wolna.

Każdy jego ruch, każde pchnięcie, przesuwa mnie odrobinę dalej na skali psychicznej abulii<sup>14</sup>. A zarazem, uwalniając mnie od potrzeby kontrolowania

wszystkiego i potrzeby reagowania na wszystko, pozwala mi reagować... na nowym poziomie.

Wyginam ciało w łuk, przyjmując w sobie to, co zostało ze mnie wyrwane i urosło, wzrosło w osobliwej pętli, w osobliwym sprzężeniu zwrotnym...

I przez ten jeden krótki moment – kocham go.

Głęboko kocham.

Miłością czystą, niemal piękną, bo wolną od chęci posiadania.

Zaciskam palce na jego śliskich ramionach. A on mnie pieprzy. Mocno i gwałtownie, jakby skupiła się w nim cała moja siła do walki, moja wieczna gonitwa za zwycięstwem, mój paniczny strach przed opuszczeniem gardy.

Krzyczę, bo to jest zbyt dobre, bym mogła sobie podarować ekspresyjne oznaki przyjemności. Co mi zależy? Nic mi nie zależy! Pieprzyć to wszystko. Dać się pieprzyć.

Orgazm uderza mnie tak mocno, jak fizyczny cios w podbrzusze. Przeszywa na wylot, paraliżuje. Powiedzieć, że się drę – to za mało. Monstrum reaguje, dociska mocniej swoje blade biodra do mojego krocza. Czuję, jak dochodzi. A ja na to także pozwalałam. Bo już wiem, że... nic nie trwa wiecznie.

Wszystko nieruchomieje.

Jest po wszystkim. Zaczynam nowy rozdział. Nasza chora... miłość się skończyła.

Trwała przez jedną nanosekundę, gdy wielbiłam go za ten przewrotny dar.

Ale teraz zamienia się w zranienie.

Stwór spełza ze mnie i kuli się w sobie, przybierając pozycję, w której go znalazłam, wchodząc do siłowni, zupełnie jakby chciał zregenerować swoje siły.

Wstaję i wychodzę z pomieszczenia w poszukiwaniu smartfona.

Moja twarz jest blada i ściągnięta.

Jeszcze nie jest za późno, by wykonać telefon. To ostatnie minuty zanim to, co się wydarzyło, opanuje mój mózg jak zdradziecka inwazja.

Zanim... zacznę lubić to, co mi zrobił.

Dlatego muszę go wykonać. Muszę. Miotam się po mieszkaniu, aż wreszcie znajduję urządzenie w kuchni, na blacie. Drżącymi rękami, wciąż całkiem naga, wykręcam numer zapisany w wiadomości prywatnej z niszowego forum o słowiańskich wierzeniach.



Cztery sygnały, a potem słyszę starczy, drżący głos:

– Tak?

Przez moment chcę rzucić telefonem o ścianę, przerwać połączenie. Zalewa mnie fala paniki? Nie, przecież już nie mam takich uczuć. Miecz, który został przeciwko mnie skierowany, ma dwa końce. Dlatego mówię:

– Nazywam się Liwia. Pani wnuczka podała mi ten numer, bo mam poważny problem. Zostałam obdarowana tęczowym kamieniem przez dziwną... rusałkę. A teraz ten kamień zamienił się w wielkie monstrum, które żyje i rośnie.

– Musisz go zabić! – Głos staruszki nagle się wzmacnia, ożywia, niemal młodnieje. – Musisz, zanim on zabije ciebie. Odessie z ciebie wszystko, aż nie zostanie nic, cień, wydmuszka. Pozbawi cię woli życia!

Milczę, bo przecież to wiem. Wiem też, co mam zrobić, to jest oczywiste. Nim zniknę. Muszę się spieszyć, mój czas się kurczy.

– Czym on jest...?

– To Liszec<sup>15</sup>. Starosłowiański, zapomniany demon. Tylko oni oczywiście nie nazywali go demonem. Przychodzi do określonych osób, by narodzić się na nowo. Ale tylko do osób z mojego rodu... Ktoś z twoich przodków musiał pochodzić z regionu Głubczyc.

Milczę, zaszokowana jej słowami. Serce chce mi przyspieszyć, ale na to jest już za późno.

– Moja prababka była z Baborowa.

– No proszę. Baborów jest piętnaście kilometrów od Głubczyc. Sądzę, że wiem, o jaką odnogę rodziny chodzi – mówi powoli. W słuchawce zapada teraz cisza, jakby kobieta czekała na moje pytania.

– Co to... za dziwna rodzina? Dlaczego akurat do mnie przyszła ta... rusałka?

– Rusałka to jego wysłanniczka. Odwiedza te z naszego rodu, które... odpowiadają jego wymaganiom. Są nerwowe. Niespokojne. Mogą go... zasilić.

Czuję, jak robi mi się gorąco. Wybrali mnie z powodu mojej neurotyczności?

– Tysiąc lat temu w regionie Głubczyc żyło niewielkie plemię, z którego się wywodzimy – kontynuuje opowieść. – Nazywano je Lupiglaa<sup>16</sup>. Mieliśmy swoje tajemnice, które przetrwały... dłużej niż chwała naszego plemienia. Określano nas: Wilcze Głowy.

Mam niemal permanentny szczękoscisk. Wilcze? Czy lekko wilczy pysk tego stworza ma z tym coś wspólnego? Niby ludzki, a jednak z silnym prognatyzmem... Jakby nie mógł się zdecydować, czy przybrać bardziej ludzką, czy może zwierzęcą formę.

– Co to za tajemnice?

– Długo by mówić... Ale jedna, o której powinnaś wiedzieć, to że w naszym plemienu rodziły się dzieci, które widziały więcej niż inne. Prawdziwą naturę ludzi i nadprzyrodzonych istot żyjących między nami. Gdybyś tego nie miała, nie ujrzałabyś rusalki.

Zaczynam rozumieć, o czym mówi staruszka. Przecież całe życie to widziałam. Kątem oka. Na peryferiach wzroku. Inne twarze. Inną rzeczywistość. Uważałam to za wytwory mojej wyobraźni...

Ale to nie jest teraz sednem problemu!

– Jak go zabić...? – To powinno wybrzmieć. Z trudem formułuję te zdradzieckie słowa.

– Przecież już wiesz. Musisz wyrwać mu z piersi kamień. A potem go spalić, bo tylko ogień może go zniszczyć. Liszec nienawidzi tego żywiołu.

– Dziękuję za porady. Wiem, jak... wariacko to brzmi. Przepraszam za zawracanie głowy.

– Poczekaj, to nie wszy...

Rozłączam się, bo nie potrzebuję więcej zachęt i namów. Układam już doskonały plan, perfekcyjny plan.

Mam jasność.

Życie z nim byłoby jak pigułka z *Matrixa*. Codzienne zażywanie niebieskiej. Znieczulanie się. A ja zawsze wybierałam czerwoną. Skakałam na główkę. To była esencja mojej osobowości.

Zrywam się na nogi.

Wyciągam z szuflady nóż do filetowania ryb, solidnie naostrzony. Zaciskam na nim palce, aż bieleją knykcie. Nie pozwolę temu monstrum żyć pod jednym dachem ze mną. To „demon”, staruszka to potwierdziła. Pasożyt. Pozbawi mnie życia albo... ja pierwsza go dopadnę.

Nie mogę się wahać, bo wahanie pozbawi mnie impetu. A potrzebuję dużo energii, by przebić się przez opary passywności i apatii. Przez chorą potrzebę, by

iść tam znowu i dać mu się pieprzyć na wszystkie strony, za wszystkie czasy. By otoczyć to monstrum ramionami i zatracić się, utonąć, przegrać.

Stanowczym krokiem wchodzę do siłowni. Silnym kopniakiem trafiam Liszca w ramię, tak że przewraca się na plecy. W sekundę jestem przy nim. Jego biała, lepka klatka piersiowa z pulsującymi żyłami ujawnia się, bezbronna, jak u przewróconego psa. Uderzam w nią z całą siłą, na jaką mnie stać.

Wydaje z siebie przeraźliwy skrzek, jak olbrzymia, bagienna ropucha. Ale ja trafiłam celnie. Za pierwszym razem. Jego pulsujące, dziwne, nieco przejrzyste serce zostało przedziurawione.

Rozrzuca ramiona na boki, co przypomina trochę przetrwały odruch Moro<sup>17</sup>.

Ale to nie koniec. Mam do wykonania najgorszą część zadania. Tnę nożem po skosie i do tyłu. On tylko słabo jęczy i kończyny mu drgają. Półwilczą głowę ma mocno odgiętą.

Wsadzam dłoń w powstały otwór. Chce mi się wymiotować, ale się nie poddaję. W końcu odebrał mi zdolność do przejmowania się, więc wykorzystuję to bezlitośnie.

Zabijam w sobie wyrzuty sumienia i dziwne uczucie przykrości... że coś tracę. Nie ma na to miejsca.

Grzebię i grzebię, w nadziei, że natrafię na magiczny kamień. Muszę włożyć tam rękę niemal do łokcia, by wreszcie wśród miękkich dziwnych organów – natknąć się na coś twardego. Wyrывam to z przykrym mlaśnięciem.

JEST!

Tak, mam go. Znowu. Lśni jak kawałek opalu, tęczowymi pryzmatami rozświetlając moją dłoń, pokrytą świeżą krwią.

Wstaję, zostawiając bezwładne, blade ciało na matach do jogi. Nie oglądam się.

Udaję się do schowka i wyciągam z niego turystyczną kuchenkę gazową. Mam małą butlę z gazem, szybko doczepiam ją do urządzenia i układam kamień na metalowym palniku. Jeszcze tylko zapałki i do dzieła!

Działam sprawnie i bez wahania. Odkręcam zawór, przysuwam zapałkę.

Ogień bucha, otaczając połyskujący klejnot.

A ten... zaczyna pisać!

Cienkim, przenikliwym piskiem, jak gwizdek do czajnika. Rozpaczliwie, przeraźliwie. Przechodzi mnie dreszcz...

I nie znika!

Drzę, a zatem wiem już, że się udało. To wróciło.

Mój ukochany, swojski stres. Moje ukochane, przekłete przejmowanie się całym światem – jest znowu na miejscu. Melduje się na służbie!

Kamień tymczasem szybko ciemnieje i... rozpada się na czarny pył. Wyłączam palnik i chwilę mu się przypatruję. Na metalowym ruszcie leży teraz zwykła, niewielka kupka zwęglonego proszku. Odczekuję stosowny moment, a gdy temperatura opada, zsypuję proch na mały talerzyk.

Coś rodzi się w mojej głowie. Coś absurdalnego, niezrozumiałego.

Gapię się i gapię... Wącham go... A potem, nie mogąc się oprzeć dziwnemu odruchowi, wsypuję sobie zawartość talerzyka do gardła. I przepijam sokiem pomarańczowym na szybko przyniesionym z lodówki.

Czuję się dziwnie nasycona.

Może nawet bardziej samym aktem, niż tym – co spożyłam. Czuję, że zrobiłam coś właściwego. Wzbiera we mnie kolejna silna potrzeba.

Nowe pragnienie.

I teraz wiem, że to nie ostatnia osoba, którą muszę zabić.

Jest jeszcze jedna. Wiedźma. Baba Jaga żyjąca pomiędzy ludźmi. A oni o tym nie wiedzą. Sądzą, że to zwykła pracownica biura, ale ja widzę prawdę. Jej toksyczną, obrzydliwą naturę.

Uśmiecham się mrocznie, delektując się zaszłą we mnie zmianą, przypływem dziwnej mocy. Czuję się tak, jakby wraz ze zniknięciem kamienia padła we mnie jakaś tama, która przez ostatnie dni blokowała moje negatywne emocje. Teraz wracają i... spiętrzają się jak monstrualne tsunami.

Nagle słyszę ciche piknięcie telefonu.

Podchodzę do parapetu i wyglądam za okno. Jest ciemno, mokro i ponuro. Smartfon leży w zasięgu mojej ręki. Sięgam po niego okrwawioną dłonią. Przez moment nawet podoba mi się ten obrazek. Jest wyzwalający. Cały ten syf, gromadzony przez lata, wreszcie ma okazję wydostać się ze mnie. Odczuwam niemal narkotyczne upojenie, na granicy ekstazy. Czy jednak, w ostatecznym rozrachunku... coś mu zawdzięczam?!

Na ekranie widnieje SMS:

Babcia nie zdążyła dokończyć, nim się rozłączyłaś. Liszca można zabić, ale jeśli... najpierw odbyło się z nim stosunek, sprawy mogą się skomplikować.

Co, co, co?

Zamieram.

Zaciskam powieki, a potem otwieram je ponownie.

Tysiąc myśli przebiega mi przez głowę. Tysiąc scenariuszy – bo w końcu jestem w tym specjalistką. Niezliczone ścieżki, miliony potencjalnych odpowiedzi. Ale tylko jeden wniosek wysuwa się na czoło.

Przenoszę spojrzenie na ścienny kalendarz, na którym zaznaczam daty ważne dla swojego kobiecego cyklu. Dziś wypada jego czternasty dzień...

Zagryzam usta.

Jak oszalała pędzę do siłowni i z trzaskiem otwieram drzwi.

No oczywiście, jakżeby inaczej. Na matach nie ma nikogo, jest tam tylko wielka, rozmazana plama krwi...

A więc to nie może się tak skończyć?

Dokładnie wtedy czuję jego ręce na moim tułowiu, jak obejmują mnie od tyłu mocnym uściskiem. Są czarne. Czarne jak węgielny pył, który przed chwilą spożyłam. On, tak jak ja, też przeszedł transformację. Dociska mnie do ściany i czuję na moim udzie jego wzwiedzioną męskość.

Wrzeszczę, choć nie wiem, czy ze strachu, czy z ekscytacji.

Wrzeszczę tak głośno, jak to tylko możliwe.

Ale nikt mnie nie usłyszy. A nawet jeśli, to nie przyjdzie.

Z sąsiadami też przecież jestem skłócona.

## E. RAJ



Z wykształcenia informatyk, kulturoznawca i grafik, z zawodu projektant, z zamiłowania rysownicza, malarka i autorka powieści dark fantasy oraz horroru i erotyki. Pisze od dziecka, ale „Uczeń nekromanty” jest jej pierwszą powieścią wydaną drukiem. Jej opowiadania można też spotkać w kilku antologiach – jak „Sny umarłych”, „Krawędzie otchłani”, „Tabu II”, „(Nie)realna magia” – i innych.



OLAF PAJĄCZKOWSKI

# DRZEWA

- XIV -

No mówię ci, chłop z głową na karku, wiele rzeczy mi wytłumaczył.

Samochód podskoczył na wybojach. Leszek zaklął.

– Nie, sorry, to nie do ciebie, poczekaj chwilkę – rzucił do telefonu komórkowego. Wóz za szybko staczał się z obrośniętego lasem wzgórza; reflektory wycinały z mroku kształty grubych pni drzew, które zdawały się wylaniać z każdej strony, wręcz pchać na maskę. Leszek przycisnął komórkę policzkiem do ramienia, by uwolnić lewą dłoń i położyć obie ręce na kierownicy. Stopa mocniej nadepnęła na pedał hamulca. Poczł się nieco pewniej.

– Stało się coś? – zaniepokoił się Jędręk. Leszek prychnął.

– E, sam wiesz, jak to jest na górkach. Zjeżdżasz normalnie, a tu nie wiadomo kiedy prędkości się nabiera. Ale spoko. Co ja to mówiłem? Chwilkę... – W światłach samochodu ukazała się ściana lasu. Leszek skręcił więc w prawo, w szpaler utworzony z pni. – Sorry, ostry zakręt. No, spotkałem się z tym gościem, co go w necie poznałem, mówiłem ci. Świetny gość, mózg jakich mało. Tyle wiedzy. Opowiedział mi o związkach religii naszych przodków z wierzeniami Persów i Hindusów. Sześć godzin zleciało jak z bicza strzelił. Nawet nie zauważyłem.

– Hindusów?

– No tak. Bo... Albo nie, słuchaj, mam lepszy pomysł. Ta górka, ten las, cała ta okolica: świetna, jakby wyrwana żywcem z prasłowiańskich czasów. Może w przyszły weekend zabierzesz Kaśkę i tu przyjedziemy? Ja wezmę Wikę, pogadamy o związkach z Persją, odpoczniemy trochę.

– No nie wiem, Kaśka ma w poniedziałek inwentaryzację, nie wiem, czy...

– Olej to! – Leszek się roześmiał. – I niech ona też oleje! Należy wam się trochę relaksu! Harujecie jak woły, i co? Życie jest krótkie! Kiedy ostatnio byliście na wakacjach, co? I nie mam tu na myśli urlopu w Wawie i łażenia po barach, ale taki wypad do lasu, oddychanie świeżym powietrzem, a nie tym smogiem! Kontakt z naturą, z życiem! No! Przyda wam się coś takiego, naładujecie akumulatory! Przyroda to piękna rzecz, bije na głowę tę zasraną cywilizację. Tu człowiek odżywa, a w tych naszych miastach zdycha...



Reflektory wyszarpaneły z ciemności przygarbione, chude stworzenie. Wielkie oczy załśniły. Stwór rzucił się w prawo. Za późno. Leszek krzyknął.

\* \* \*

Bolesny ucisk w skroniach powoli wyrywał go z czerni. Oczy piekły jak nigdy. A w ustach czuł nieprzyjemny, metaliczny posmak.

Boże, ale się dziś nie wyspał.

Gdy sięgnął ręką w prawo, by sprawdzić na komórce, ile jeszcze zostało mu do wyjścia do roboty, zdał sobie sprawę z tego, że usta ma pełne krwi.

Wtedy wszystko sobie przypomniał.

Poderwał głowę. Za szybko. Kark eksplodował bólem. Jęknął, dotykając czoła. Nie zdziwił się, kiedy wymacał ogromnego guza.

Gdy wreszcie ból karku zniknął, pozostawiając po sobie tylko dziwaczne wrażenie, że jego ciężka czaszka była przymocowana do za cienkiej szyi, która w każdej chwili może pęknąć, rozejrzał się.

Szybę pokrywała pajęczyna pęknięć, po podłodze wały się notatnik, dezodorant, kilka kartek papieru zadrukowanych znalezionymi w Internecie informacjami na temat słowiańskich bóstw. Skrzynia biegów kleiła się od keczupu, na hamulcu ręcznym wisiała sałata, kotlet wylądował pod nogami Leszka. Resztki niedoszłej kolacji: hamburgera, którego położył na desce rozdzielczej; miał go zjeść przed wyjazdem, ale po spotkaniu z tamtym gościem głód zastąpiło podekscytowanie. Natomiast tuż przed mężczyzną – balonik... Nie, nie balonik. Poduszka powietrzna. To ona ocaliła mu życie. Jej białą powierzchnię brudziło jedynie parę kropelek krwi, pewnie z rozciętej wargi. Mogło być o wiele gorzej. Mogła lepić się od kawałków mózgu.

Zadrzał. Przed oczami stanęła mu scena sprzed wypadku. Na drodze nagle pojawiło się to stworzenie. Wielkie lśniące ślepia, długie ostre zęby, coś jakby grzywa na łbie... Wilk? Nie słyszał, żeby w tych lasach mieszkały wilki. Wściekły pies? Chyba za duże na psa. Może jelen? Może to nie grzywa, a poroże? Wszystko wydarzyło się przecież w ułamku sekundy, nie zdążył się przyjrzeć.

Tylko czy kolizja z jeleniem miałyby taki skutek? Uderzenie było potężne, jakby grzmotnął w coś twardszego od ciała.

Z czymkolwiek miał do czynienia, nie przeżyło, zmasakrowany trup pewnie leżał gdzieś niedaleko. Zadrżał lekko na myśl o wyjściu w ciemny las, jęczący ponuro wiatrem, ale musiał zobaczyć, jak bardzo zwierzę uszkodziło samochód.

To postanowiwszy, sprawdził najpierw, czy telefon komórkowy nie został zniszczony. Gdy wyciągnął Nokię z kieszeni, z ulgą zauważył, że ciągle działała. To dodało mu otuchy. Mając pod ręką tę cieniutką nić łączącą go z cywilizacją i innymi ludźmi, otworzył drzwi i wyszedł w noc.

Przód auta wyglądał, jakby rąbnął w drzewo. Głębokie wgniecenie, kawałki metalu i szkła walające się po drodze, urwany zderzak i kilka długich rys na lakierze. Jeden reflektor rozbity. Drugi wydobywał tylko niewielki fragment rzeczywistości z wszechobecnej czerni lasu. W świetle mężczyzna nie dostrzegł tego, czego się spodziewał – ani śladu tajemniczego stworzenia. Leszek padł na kolana i przez chwilę przypatrywał się jezdni, pomagając sobie latarką w telefonie komórkowym. Oględziny nie trwały długo. Nic. Oczekiwał, że po takim uderzeniu asfalt będzie zalany krwią. Spojrzał raz jeszcze na zderzak i reflektory. Czyste.

Po plecach Leszka przebiegł dreszcz.

– Mniejsza z tym... – mruknął, wzruszywszy ramionami, i szybko wrócił do wozu. Gdy zamykał drzwi, zauważył, jak mocno trzęsą mu się ręce. – Spadam stąd.

Samochód nie chciał zapalić.

\* \* \*

Jakieś dwadzieścia minut później się poddał. Czegokolwiek by nie próbował – auto nie reagowało. Leszek co prawda nie znał się za dobrze na mechanice, ale na jego oko pod maską wszystko było w porządku. Nie potrafił znaleźć usterki. Zadzwoił więc do Jędrka, żeby przyjechał i go stąd zabrał.

Coś ścisnęło serce mężczyzny. W telefonie słyszał jedynie ciszę.

– Pewnie padła mu bateria – mruknął, wybierając numer Wiki.

To samo.

Gdziekolwiek by nie dzwonił – odpowiadała mu ciężka cisza.

Oblał go zimny pot. Uniósł wzrok i rozejrzał się, przyglądając tej wszechogarniającej ciemności, z której wystawały chude gałęzie, jak palce jakichś starożytnych stworów, i grube pnie wyglądające zupełnie inaczej niż za dnia: na zniszczone przez chorobę, martwe. Znowu uciekł do samochodu.

\* \* \*

– Leszek, co ty, odbija ci? – szepnął do siebie, skulony za kierownicą. – To przecież tylko las. Normalny las. Co się tak posrałeś? Nieraz po lasach w nocy łąziłeś.

Przypomniał sobie ostatni słowiański obrządek, w którym brał udział, Noc Kupały. Jędrzek niosący pochodnię, Wika w tradycyjnym stroju. Uśmiechała się szeroko, a w oczach odbijał jej się blask ognia. Zgromadzili się na polanie, by tańczyć i śpiewać, a las wydawał się spokojny i ciepły, jak na olejnym obrazie. Można było odnieść wrażenie, że drzewa patrzą na uczestników uroczystości z rozrzewnieniem, tak jak starszy brat przygląda się zabawom małego braciszka, a z ich drewnianych serc emanuje sympatia i miłość do człowieka.

– To pewnie szok – zdecydował. – Niecodziennie rozbijasz sobie łeb w jakimś wypadku. To szok, jestem w szoku, nic więcej, jestem w szoku. – Wyszczерzył się. – No, nie ma co tu gnić, zbieram się.

Z tego, co pamiętał, główna droga znajdowała się już całkiem blisko, wystarczyło iść jezdnią cały czas przed siebie, wędrowka nie powinna zająć więcej niż dziesięć minut. Gdy wyteżył słuch, to poza odgłosami lasu zdołał wychwycić dźwięk mknących po szosie samochodów. Zupełnie niedaleko.

W nagłym przeblasku inwencji wyciągnął z wozu dezodorant i wydobył ze spodni zapalniczkę. Widział coś takiego na filmach. Jeśli okazałoby się, że się mylił i w tej dziczy naprawdę mieszkają wilki, to obroniłby się własnoręcznie zrobionym miotaczem ognia.

– To był tylko jeleni – mruzczał do siebie. – Przestraszony jeleni, łania czy coś... Może dzik. Tak, dzik. Wyglądał na dzika. Zabiłem go, a uderzenie odrzuciło go gdzieś w krzaki. Tu nie ma wilków, nigdy nie było, ale strzeżonego...

Westchnąwszy, zamknął auto. Schował klucze do kieszeni. Zapalniczkę chwycił tą samą ręką, w której trzymał telefon komórkowy, przycisnął ją do

wnętrza dłoni najmniejszymi palcami, drugą złapał dezodorant. Ruszył jezdnią, oświetlając sobie drogę blaskiem ekranu smartfona. W wyciętym z mroku okruchu świata szary asfalt płynął powoli pod butami jak brudna rzeka. Co jakiś czas przesuwiał światelko na boki, a wtedy ukazywały mu się wyszczerzone twarze utworzone na nieregularnej powierzchni kory drzew. Czasami z krzaków dobiegały odgłosy poruszenia. Przełknął ślinę. Z początku pogwizdywał cicho, ale prędko przestał, a las otworzył się całą gamą dźwięków: do przytłumionego jęku wiatru dołączyły pohukiwania sów czy puchaczy, cykanie świerszczy. Przyroda nigdy nie śpi.

W pewnym momencie odwrócił się do samochodu. Nie było go już widać. Leszek musiał być blisko szosy.

Coś zawarczało z przodu. Obrócił się błyskawicznie. Światło komórki wyłowiło lśniące ślepią. Leszek rzucił się w bok, między drzewa i krzewy. Biegł w głąb lasu, biegł szybko, jak nigdy w życiu. Liście, światło, liście, gałęzie, warczenie z tyłu. Uderzenia cienkich witek po twarzy. Stopy ciężkie jak ołów. Kłucie w sercu. I to coś za nim.

Coś chwyciło go za nogę. Krzyknąwszy, runął na ziemię. Telefon gdzieś poleciał. Światło zgasło.

Cudem nie wypuścił zapalniczki i dezodorantu. Przetoczywszy się na plecy, cały spocony i z trudem łapiąc oddech, wydał z siebie pełen strachu i frustracji ryk. Jeden krótki jęzor ognia wypalił mrok. Mniejszy niż na filmach zniknął po sekundzie. Potem zapalniczka wypadła mu z rąk.

Warczenie ustało.

Przez dłuższą chwilę przed oczami Leszka latały wielokolorowe plamki, a mężczyzna sapał, leżąc nieruchomo na ściółce. Kiedy w końcu źrenice na powrót przyzwyczyły się do ciemności, nie zauważył niczego poza ledwo dostrzegalnymi kształtami drzew i sufitem z liści. Nigdzie śladu ślepi.

A może nigdy ich nie było?

Leszek zachichotał histerycznie, ścierając wielkie krople potu z twarzy. Spanikował, przestraszył się jak dziecko. Nic go nie goniło, to tylko wyobraźnia. Rozluźnił się, dopiero teraz zdając sobie sprawę z tego, że boleśnie napiął mięśnie. Bolała go też wykręcona noga, uwięziona, jak wyczuwał, w dziurze w ziemi. Z trudem podparł się na łokciach i spróbował wyjąć stopę z pułapki.

Nic z tego. Gdy przyjrzał się nogawce, zobaczył, że but ugrzązł w płataninie korzeni starego drzewa. Pewnie władował się prosto w opuszczoną norę jakiegoś zwierza. Usiadł, złapał udo obiema rękami i pociągnął, ale wysiłek nie przynosił efektów, zupełnie jakby drzewo nie miało zamiaru go wypuścić.

A nawet wzmocniło uścisk. Bolesny dreszcz wspiał się po łydce Leszka.

– Co do diabła? – wyszeptał, czując, że ponownie oblewa go zimny pot. – Daj spokój, znowu ci coś odwala... I chyba fona zgubiłem, pięknie, nie ma co...

Ale korzenie zaciskały się coraz mocniej i mocniej.

Gdy małe ząbki przecięły nogawkę, mężczyzna wrzasnął.

Reagując instynktownie, popsikał korzenie sprayem, lecz kły nie cofnęły się; teraz wbijały się w skórę. Leszek zbladł; przed oczami stanął mu obraz odgryzionej kończyny. Krzycząc, zaczął okładać korzeń pięściami.

– E, panie, co pan tak się drzesz?

Dyszząc ciężko, uniósł wzrok. Pochylał się nad nim mężczyzna z siekierą w ręku. W ciemności nie mógł się dokładnie przyjrzeć, ale był to chyba starszy człowiek, niski, lekko zgarbiony.

– Niech mi pan pomoże! Zaraz mi odgryzie nogę!

– Kto odgryzie? Drzewo? – zachichotał senior, klękając przy Leszku. – Niech się pan nie boi, noga wpadła panu między korzenie i z tego cały dym...

– Ale tam są zęby!

Delikatnie, bez żadnego problemu, staruszek uwolnił Leszka.

– No i widzi pan? Najgorsze to spanikować. Wtedy człowiek nie myśli jasno i najprostszej rzeczy zrobić nie potrafi.

Leszek obejrzał uważnie nogę, dotknął szorstkich dżinsów. Nawet w mroku zorientował się, że na nogawce nie było śladu po rzekomym cięciu. Tylko kostka pulsowała nieprzyjemnie.

– Ale wyraźnie czułem, jak mnie coś gryzie... – mruknął, ale już bez przekonania. Przyjął wyciągniętą dłoń starca i niezgrabnie wstał z ziemi. Kostka była chyba zwichnięta, nie mogła utrzymać ciężaru ciała.

– Wyobraźnia, drogi panie. Był pan przestraszony, noc jest, nieprzyjemnie i w ogóle, to się człowiekowi różne rzeczy mogą wydawać... – Senior najpewniej zauważył, że Leszek kuśtyka, bo wziął go pod ramię. – No, proszę pana, widzę, że jednak drzewo nieco pana pokąsało, co? – Zachichotał; chichot szybko przeszedł

w suchy kaszel. – Przepraszam. No, niech się pan rozchmurzy i pójdzie ze mną. Mieszkam niedaleko.

– Jak mnie pan znalazł? – spytał młodszy mężczyzna, kiedy ruszyli przez ciemne ścieżki.

– Jak mówiłem: mieszkam niedaleko. Zaraz pan zobaczy mój domek, teraz go słabo widać, bo przed wyjściem światła zgasilem, ale to już prawie... No, w każdym razie: siedziałem sobie, a tu przez okno widzę jakiś płomień. No to wyszedłem to sprawdzić. To pan ten ogień zrobił? Ognisko pan chciał zrobić czy co?

– Nie, nie... wie pan, wydawało mi się, że coś mnie atakuje i zrobiłem taki mały miotacz ognia... z dezodorantu i zapalniczki...

– Z dezodorantu i zapalniczki? – Staruszek, zaniósłszy się kaszlem, przystanął na chwilę. – No czego to ludzie teraz nie wymyślą... Ale przerwałem panu, proszę mówić dalej.

– To właściwie wszystko. No, tym małym miotaczem chciałem wystraszyć to coś, co mnie goniło... to, co niby mnie goniło – poprawił się prędko. Dziadek zamilkł, lecz Leszek nie mógł znieść dochodzących zewsząd odgłosów nocnego lasu, dodał więc: – Zgubiłem drogę.

– To przez bełty.

– Pewnie tak – zaśmiał się cicho Leszek, lecz zauważywszy, iż staruszek mu nie wtóruje, powstrzymał wesołość.

Wtem gęstwina się przerzedziła i mężczyźni wyszli na polanę. Niedaleko stał piętrowy dom. Sądząc po jego stanie, po popękany tynku i poszarzałych ścianach, został zbudowany dawno temu. Okna tonęły w czerni, drzwi przecinało kilka rys. Po podwórku wałały się śmieci – kawałki papieru, rozbite butelki, zgniłe owoce. Leszek dostrzegł nędzną budę dla psa znajdującą się przy niskim płocie. Po chwili mężczyzna zorientował się, że kilkanaście metrów za domem, na skraju polanki, biegną tory kolejowe.

– Tory? – mruknął. – Nie pamiętam, żeby były tu tory...

Przypomniał sobie odgłosy samochodów, które dotarły do jego uszu niedługo po wypadku. Może nie były to auta, lecz pociąg?

– No, jak mówiłem, bełty panu drogi poplątały – odparł staruszek, gdy weszli na podwórko. Po lewej jakieś małe stworzonko skryło się za stertą drewna.

– Zdarza się. – To powiedziawszy, puścił ramię Leszka, wyciągnął z kieszeni klucze i otworzył drzwi. Te uchylły się z ostrym jękiem, odsłaniając wnętrze pograżone w jeszcze głębszym mroku niż świat na zewnątrz. Zza progu buchnął ciężki zapach zgnilizny i wilgoci.

– Nie chcę panu przeszkadzać, skorzystam tylko z telefonu, żeby przyjechali koledzy i mnie zabrali, wie pan, zrobiłbym to sam, ale zgubiłem komórkę, niech się pan nie martwi... – wyrzucił z siebie Leszek, przetykając ślinę.

– Z tym będziemy mieli problem. – Zaśmiawszy się, starzec sięgnął do środka. Blask zalał wnętrze. – Nie mam telefonu. Zapraszam, niech pan wejdzie.

Leszek skinął głową i powoli, starając się za bardzo nie obciążać pulsującej kostki, a przy okazji ignorując coraz szybciej dudniące serce, wkroczył do domu. Kiedy minął próg, odetchnął z ulgą.

Światło starodawnej lampy, kołyszącej się leniwie pod sufitem, zdawało się zanikać w brudnych, prawie czarnych ścianach. Gdzieś wisiły grube pajęczyny, jak ohydne zasłony, klejące się do najwyższych regałów i szczytów sprzętów. Poza tym Leszek nie dostrzegał innych śladów zaniedbania. Pokój pachnął od zgromadzonych w nim przedmiotów, ale wszystkie ułożono skrupulatnie. Dwie ściany zastawiono meblami. Z półmroków głębokich półek i szklanych frontów barków wyzierały, jakby nieśmiało, soczyste owoce – głównie jabłka – złote puchary, naczynia i ozdobione czerwonymi oczkami sztylciki. Były też książki, wielkie tomiszczą w twardych okładkach, i wypełniające niemal każdy centymetr przestrzeni kwiatki w doniczkach: rośliny opanowały podłogę, ściany i meble. Umieszczono je jednak tak, by pozostawić wolną drogę do wyjść oraz do ułożonego na środku stołu, na którym leżał spory bochen chleba.

Naprzeciwko znajdowało się dwoje drzwi: jedno zamknięte, drugie zaś prowadzące do korytarzyka, w którym Leszek dostrzegł schody na drugie piętro i kolejne drzwi. Nad wejściem do korytarza wisiła wymizerowana głowa dzika o przekrwionych oczach. Spomiędzy pożółkłych kłków wystawał czerwony jęczor.

– No, proszę się rozgościć, pod stołem są taborety.

Leszek przestał lustrować pomieszczenie i obejrzał się na gospodarza, który wkroczył za nim do domu. Starzec akurat przekręcał klucz w zamku.

– Niech pan wybaczy ten bałagan, tam, wyżej, ale nie mogę wchodzić na drabinę. Boję się, że spadnę, złamię nogę i nikt mnie nie znajdzie, no, tym bardziej że nie mam telefonu. – Starszy mężczyzna skończył mocować się z drzwiami, obrócił się do swojego gościa i posłał mu olśniewający uśmiech pełen bielutkich zębów. Prawdziwe czy droga inwestycja? – A ścian nie chce mi się bielić. Nikt i tak mnie nie odwiedza.

Dopiero teraz, w sztucznym świetle lampy, Leszek mógł przyjrzeć się dobroczyńcy. Facet wyglądał trochę jak seniorzy z reklam funduszków emerytalnych: lata pozostawiły na jego twarzy pewien ślad, lecz niegdyś musiała to być twarz przystojna, a zmarszczki nie były znowu tak liczne. Piękny uśmiech, błysk w oku, bijąca od gospodarza energia życiowa... Gdyby poddać go zabiegom pielęgnacyjnym, to może przypominałby emerytowanego aktora, który w czasach złotej ery Hollywood grał głównie amantów.

Ale ubrania nosił takie same jak wiecznie zmarznięty dziadek Leszka. Wełnianą czapę okrywającą głowę tak, że nie wystawał ani jeden włos, grube rękawiczki, zielony szalik zasłaniający całą szyję, kurtkę z chyba dwoma podszewkami, wysokie gumki...

– A, przepraszam, nie przedstawiłem się – powiedział staruszek, widocznie błędnie interpretując powód, dla którego Leszek taksował go wzrokiem. – Dobromir Ślepowron, do usług pańskich. – To mówiąc, podał młodszemu dłoń. Nie zdjął rękawiczki.

Leszek uścisnął prawicę, po czym rzucił prędko:

– To ja przepraszam. Nie podziękowałem jeszcze panu za ratunek. Leszek Rychter.

Dobromir skinął głową, długo przyglądając się swojemu gościowi, jakby nad czymś poważnie dumał. W końcu wyminął go i, wyciągnąwszy spod stołu dębowy taboret, usiadł.

– Nie ma za co dziękować. W niczym panu nie pomogłem. No, może trochę uspokoilem. Panika to nasz najgorszy wróg. Odbiera zdrowy osąd. No, niech pan wreszcie spocznie. Herbaty?

Leszek pokuśtykał do stołu, wyjął drugi taboret i ciężko nań opadł. Kostka znowu odezwała się tępych bólem.



– Nie, dziękuję – odparł. – Jak mówiłem, nie chcę panu robić kłopotu. Gdyby mógł mi pan wskazać kierunek, w którym mam iść, żeby dotrzeć do głównej drogi...

– Chce pan tam po nocy iść? – zdumiał się Dobromir. – To jakieś dziesięć kilometrów.

– Dziesięć? – Tym razem to Rychter był zdziwiony. – Ale wydawało mi się, że jestem bliżej szosy...

– No, jak mówiłem: bełty – zachichotał starzec. – A poza tym nocą to się inaczej idzie. Łatwo zgubić kierunek, choć wydaje się, że człowiek idzie dobrze, to jednak minimalnie zbacza, no i klops! Nie zauważa, kiedy wchodzi do serca puszczy! Jakby pan teraz poszedł, to jeszcze bardziej by się pan zgubił. Samochodem to pewnie byłoby raz i dwa. Odwiózłbym pana...

– Naprawdę? – spytał z nadzieją młodszy człowiek.

– ...ale niestety nie mam samochodu – dokończył senior ze śmiechem.

– No tak – mruknął pod nosem Leszek.

– Chodzenie w lesie po zmroku jest niebezpieczne. Pana wycieczka mogła mieć dużo gorszy finał niż spotkanie ze splątanymi korzeniami. Proponuję więc panu: niech pan przeczeka do rana. Tak będzie bezpieczniej.

– Zaraz, co pan ma na myśli?

– No, choćby strzygę.

– Strzygę? – Leszek prawie spadł ze stołka.

– Ano tak. Taki słowiański potwór, który...

– Nie no, przepraszam – przerwał mu młodszy mężczyzna – wiem, czym jest strzyga, ale... No, z całym szacunkiem, ale...

– Myśli pan, że stary dostał fioła, co? – Znowu roześmiał się Dobromir. – Nie, nie jest ze mną tak źle. Jeszcze. Żartowałem sobie. Tak po prawdzie, to jakiś czas temu związało do lasu kilka psów z nielegalnej hodowli. Tacy jedni kryli się w pobliżu, urządzali walki psów i tak dalej. W każdym razie: ludzie informowali policję o tym, podobno się te bestie na spacerowiczów rzucały, ci przyjechali, popatrzyli, nic nie zobaczyli. Potem znowu były skargi, psy całkiem zdziczały i jeszcze zaczęły się rozmnażać bez opamiętania, zrobiło się z tego duże, wściekłe stado, więc tym razem bardziej uważnie przeczesał okolicę i wszystkie wyłapał. Albo przynajmniej tak powiedzieli. Bo mogli któregoś przeoczyć. Ja tam

mieszkam tu od lat i żadnego nie spotkałem, ale kto wie, co się w tych gęstwinach leśnych kryje? Lepiej nie kusić losu. A zresztą: w sumie też nie wiadomo, czy i jakieś pradawne stwory się tu nie chowają. Tego człowiek nigdy nie przewidzi. No, niech pan powie: zwiedził pan wszystkie lasy? Jest pan na sto procent pewien, że nigdzie... A zresztą: ja panu coś powiem. Ale zanim się rozgadam: to co, zostanie pan do świtu? I co z tą herbatą, co?

Leszek, trochę oszołomiony nadmiarem informacji, skinął głową i rzekł tylko:

– Poproszę.

Starzec wstał, wszedł do korytarzyka i, mrugnawszy szelmowsko do swojego gościa, zawarł za sobą drzwi. Młodszy mężczyzna zmarszczył brwi, wsłuchując się w ciężkie kroki seniora rozbrzmiewające coraz dalej i dalej. W końcu rozległ się trzask zamka i jęk zawiasów, podobne do wrzasku potępieńca. Potem szum wody.

Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Dobromir, niosąc dwie filiżanki w różowe kwiatki. Uśmiechając się do Leszka, postawił przed nim naczynie pełne parującej cieczy. Rychter podziękował i upił łyczek. Malinowa.

– No, na czym to ja...? – spytał starszy pan, sadowiac się na swym miejscu. – A, no tak. Stwory z dawnych czasów. Pan myśli, że to głupie, prawda? No tak, każdy mądry człowiek powie, że przesady, zabobony i tak dalej. Ale no, niech pan powie: zdarza się przecież, że ktoś czasem znika bez śladu, prawda? Jak miałem jeszcze telewizor, to oglądałem ten program... jak to tam było... o tych zaginionych ludziach, to późno w nocy leciało, trochę mnie niepokoił, wyznam panu... no, nieważne. Ważne jest to, że corocznie znika dużo ludzi i nikt ich nigdy nie znajduje. Nie wiadomo, co się z nimi stało. Przepadają jak kamień w wodę. Albo odnajdują się po latach – ich kości albo zwłoki. I niech mi pan powie: czy nie jest możliwe, że stwory z dawnych legend istnieją naprawdę, ale dobrze się kryją, a jeśli ktoś je odnajdzie, to od razu zostaje zlikwidowany? I wiedza o ich istnieniu nie zostaje rozpowszechniona, bo nie zostawiają żadnych świadków? I żyją sobie dalej w głębinach lasu?

Po plecach Leszka, wbrew jego racjonalnemu osądowi, przebiegł dreszcz, jakby słowa starca obudziły jakąś pierwotną, ukrytą w podświadomości wiedzę.

– Może być – powiedział bez przekonania, irytując się nieco reakcją własnego organizmu. – Przepraszam, że zmienię temat, ale jestem bardzo ciekawy... Jeśli oczywiście mogę zapytać... Ale czemu pan mieszka w środku lasu, tak daleko od cywilizacji? Nie jest to chyba idealne miejsce na budowę domu?

– A, rzeczywiście, ale wie pan: mnie tu się podoba. Wiem, że może trochę pana nastraszyłem tymi opowieściami, ale nie jest tu tak źle. Mnie żaden pies jeszcze nie pokąsał. – Uśmiechnął się lekko. – Widział pan pewnie tory, prawda? No, kiedyś tu pociągi co chwilę jeździły, niedaleko była też wioska, Żarkowa się nazywała. Ja byłem dróżnikiem. Przepracowałem czterdzieści lat, ale potem komuna upadła, a za nią jakoś tak wiele innych rzeczy. – Zachichotał sucho. – Kolej też podupadła. Mówię panu, kiedyś PKP to było zupełnie co innego niż teraz, ech, szkoda gadać. Zredukowali ilość kursów, mój rewir prawie zupełnie ominęli, no i jakoś tak sobie tu żyję. Jakby pan wyrzął, to za domem jest moja budka dróżnika. No a wioska to zupełnie zniknęła. Młodzi pouciekali do większych miast, starzy poumierali, potem przyszli jacyś szabrownicy, porozbierali chałupy i teraz po Żarkowej nic nie zostało. Chyba nawet na mapach nie ma. I prawie nikt już tędy nie chodzi, poza spacerowiczami, rowerzystami, wie pan: miłośnikami ruchu na świeżym powietrzu i łonie natury. Ale powiem panu, że wcale mi to nie przeszkadza. Jestem tu sam, znudziłem się już tym wszystkim, wolę sobie w spokoju odpocząć. Co jakiś czas zapasy przywozi mi wnuk, mam kurki. Zresztą: jesteśmy w sumie dość blisko cywilizacji, zaraz jest to wzgórze, na którym się spotykają ci różni miłośnicy wiary naszych przodków, tam jest święte miejsce wszystkich Słowian. Zrobili z tego co prawda atrakcję turystyczną. – Dobromir westchnął ciężko. – Ale ma to też swoje dobre strony, bo jest tam taki mały sklepik spożywczy. Jadę tam sobie co jakiś czas na rowerku i szlus.

– A mnie, właśnie jak wracałem ze wzgórza, popsuł się samochód.

– O! Był pan na wzgórzu? – spytał starzec, najwyraźniej szczerze zainteresowany. – Co pan tam robił?

– Wie pan, chyba mamy coś wspólnego. – Uśmiechnął się Leszek. – Ja też mam czasami dość tej całej cywilizacji, tego smrodu, tego tłoku. Lubię robić sobie wypad na łono natury.

– O tak, natura! – Senior wyszczerzył zęby. – Dla mnie te wszystkie brudne miasta mogłyby nie istnieć! Zresztą sam pan widzi. – To powiedziawszy, puścił oczko do swojego gościa.

– Tak, właśnie tak! Dla mnie też! – Zapalił się Rychter. – Człowiek kisi się w tym smogu, traci kontakt z tym, co najważniejsze. A dopiero kontakt z przyrodą przypomina mu, że żyje. Drzewa, łąki, nawet bagna – niektórzy mówią: „nie idę na bagna, żadne bagna, śmierdzi tam!”. Ale jakby się jeden z drugim w końcu wybrał, ruszył, za przeproszeniem, dupę, zamiast tylko głądzić, to zobaczyłby, że bagna to nie są te czarne ziemie i ten cały smar z kreskówki, ale że jest tam różnorodność życia. Że nie trzeba się od razu ładować do tych bajor, że można na brzegu stanąć i podziwiać: ptaki, rośliny, zwierzęta, wszystko.

– O, to pan jest lepszy nawet ode mnie. Ja, szczerze powiedziawszy, jakoś tak bagnisk nie bardzo, wolę jednak lasy...

– No lasy to jest poezja! Pan to wie najlepiej. A kiedyś wszyscy to wiedzieli. Że przyroda to jest klucz do wszystkiego. Do szczęścia. Kiedyś to człowiek nie otaczał się tą całą technologią, tylko dotykał drzew, szanował zwierzęta, rozumiał świat. Po prostu żył. Teraz o tym zapomnieliśmy, zatraciliśmy to.

Dobromir skinął głową, popijając herbatę.

– Nasi przodkowie żyli lepiej od nas – kontynuował Leszek. – Dlatego bardzo ich szanuję. Interesują mnie dawni Słowianie.

– Tak?

– Jestem jednym z, jak pan to ujął, miłośników wiary naszych przodków i...

– Pan też? – przerwał mu starzec, śmiejąc się głośno. W jego śmiech wplątał się inny dźwięk, na granicy słyszalności. A może tak się jedynie Rychterowi zdawało.

– Też? Często pana odwiedzają turyści w drodze na wzgórze? – spytał Leszek po chwili.

– Nie o nich mi chodzi! Jak pan myśli, skąd te wszystkie puchary i pamiątki?

– To mówiąc, wskazał na precjoza ustawione na meblach. – Żywo, naprawdę żywo interesuję się wiarą dawnych Słowian. Wiem o niej bardzo dużo.

Leszek przyjrzał się raz jeszcze sztyletom i złotym kielichom. Wyglądały na drogie. Potem przeniósł wzrok z powrotem na starszego pana, który nawet pijąc

gorącą herbatę, nie zdjął wełnianej czapy i rękawiczek.

– Wie pan, właśnie dlatego tu przyjechałem – powiedział Rychter. – W Internecie poznałem jednego specjalistę od religii...

Przerwał, bo znowu coś usłyszał. Jakby drapanie pazurów o drewno. Delikatne, ciche.

– W Internecie? – mruknął Dobromir, mrużąc lekko oczy.

– Tak, na forum slavicdeities. Szukałem tam informacji na temat źródła niektórych wierzeń dawnych Słowian i znalazłem...

Drapanie było teraz głośniejsze, wyraźne. A także bardziej agresywne, jak gdyby pazury coraz szybciej rysowały ślady na powierzchni drewna.

Dobromir widocznie też to usłyszał, bo zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Przepraszam na momencik – rzekł, wstając od stołu. – Pies coś chce. Zaraz wracam.

Podszedł do trzecich drzwi, tych, które do tej pory pozostawały zamknięte i, uchyliwszy je nieco, wślizgnął się do środka. Leszek spojrzał w tamtym kierunku, lecz zobaczył tylko ciemność. Po jakiejś sekundzie dobiegł go odgłos uderzeń, a tuż po nich okrzyki Dobromira: „Leżeć! Leżeć!”. Zapadła cisza.

Rychter przez chwilę siedział w milczeniu, przypatrując się czarnej szparze w drzwiach. Nic się nie poruszyło. Nie rozległ się żaden dźwięk.

Dobromir wrócił do głównego pomieszczenia, uśmiechając się szeroko.

– Ech, rozbestwione psisko, wyczuł pana i chciał tu wleźć. – Zamknąwszy za sobą drzwi, siadł przy stole. – Pozwoliłbym mu, gdyby nie to, że na starość zrobił się wredny i gryzie każdego obcego. Może zresztą nie ma się co dziwić. Niewielu tu mamy gości. Odzwyczaił się już od innych ludzi. No, to na czym pan skończył? O tym Internecie pan mówił?

– No cóż, interesuję się religiami, tak ogólnie. Sam nie jestem zbyt religijny, ale te wszystkie mity, ci wszyscy bogowie, te różne systemy, wydaje mi się to bardzo ciekawe. A najciekawsza wiara dawnych Słowian, bo to nasza wiara. Szczególnie zastanawia mnie, skąd się wzięła, skąd te pomysły, więc staram się to zgłębiać. Dzisiaj spotkałem właśnie tego człowieka, o którym mówiłem, bardzo mądrego badacza rodzimowierstwa. Facet przeczytał masę książek, artykułów, także po angielsku i w językach, których nie znam, nigdy się nie nauczę i o których nawet nie słyszałem. – Leszek zachichotał. – Przedstawił mi bardzo

ciekawy wywód, w którym udowodnił, że swoje wierzenia nasi przodkowie przynieśli – czy też przejęli – ze starożytnego Iranu...

– Udowodnił! – Rychter podskoczył na taborecie, gdy starzec, krzyknąwszy, huknął pięścią w stół. Młodszy mężczyzna odsunął się, zobaczywszy wykrzywioną, zaczerwienioną twarz Ślepowna. Dobromirowi oczy błyszczały, zaciskał zęby, dyszał; wydawało się, że zaraz ciśnie filiżanką w swego gościa. – Nic nie udowodnił, proszę pana! Niech pan nie słucha głupców! Są pseudospecjaliści, którzy naczytają się głupot w podrzędnych czasopismach, a to bujdy! Wymysły współczesnych ludzi, którzy nie mają żadnych dowodów na poparcie swoich teorii! Nie byli tam i nic nie wiedzą! Przepraszam za mój wybuch – powiedział, gdy już się nieco uspokoił. – Ale dość mam tych wszystkich mądrali. Na czym się oni opierają? Niech pan powie!

– Mówił, że jego źródła... – zaczął nieśmiało Leszek, ale starzec przerwał mu, kręcąc głową.

– Źródła! – prychnął. – Proszę pana, jakie źródła? Czy mają teksty pisane z tamtego okresu? Czy opierają się na wartościowych przekazach? Nie, większość tego to tylko tak zwane rekonstrukcje. Domysły. Albo porównania. Myślę, że pewne rzeczy musiały być kiedyś takie, bo teraz też są takie albo podobne. Przystawia się współczesne myślenie do dawnych czasów. A ja panu powiem, że to błąd! Że wartości się zmieniły! Zasady się zmieniły! Współczesny człowiek nie przeniknie myślenia przodka, bo płaszczyzny porozumienia nie ma! To, co dla współczesnego ważne, nie było ważne dla tamtych! I na odwrót! Albo te zapożyczenia. Te są najbardziej bzdurne! Że Germanie mieli Thora, to nasz Perun musiał oczywiście być zapożyczony od nich! Że cała nasza religia musiała być zapożyczona z Iranu! Że co, że niby tacy niedorozwinięci byliśmy, że nie zasłużyliśmy sobie na własną? – Dobromir zaśmiał się niewesoło, a potem pochylił się ku Leszkowi, by kontynuować szeptem: – Niech pan posłucha. Ja wiem, że niektóre rozprawy są wartościowe. Wielu wspaniałych badaczy przypomniało ludziom o wierze przodków. Dużo z ich ustaleń jest trafnych. Ale to... to zwykłe bzdury. Nie za dobrego eksperta pan sobie wybrał.

– Ale skąd pan...?

– Był pan na naszym wzgórzu. Czy pana ekspert powiedział, co niegdyś się na nim działo?

– Oczywiście. Miały tam miejsce rytuały religijne, najpewniej coś związanego z równonocą...

– No właśnie. – Ze staruszka jakby uszło powietrze. Pochylił głowę, skrzyżował ręce na piersi i mówił dalej, nie patrząc na Leszka. – Proszę pana, tutaj w dawnych dniach kapłani przychodzili, by udobruchać potężnego upiora. Mieszkał na wzgórzu. Żywił się krwią. Nocą przychodził do domów, wyważał drzwi i pił z ludzi, zwierząt, wszystkiego, co krwawiło. Nic nie mogło go powstrzymać. Chłopi próbowali go zabić ogniem; potem całą hałastrą usiłovali zatłuc. W końcu zjawili się nawet wojowie i kapłani. Sięgnęli po miecze, rzucali klątwy. Nic jednak się go nie imać: ani ogień, ani woda, ani stal. Był niepokonany. Każdy atak tylko coraz bardziej go rozwścieczał. Wreszcie ludzie zdali sobie sprawę z tego, że nie mogą walczyć z taką potęgą i kapłani zaproponowali mu pokój. Zobowiązali się przyprowadzać pokarm, a on w zamian miał zostawić miejscowych w spokoju. Stwór z pewnych powodów się zgodził, a kapłani wykorzystali tę sytuację dla swoich celów: przyprowadzali mu bowiem więźniów i zbrodniarzy, których należało pozbyć się ze społeczności, oraz wszystkich tych, którzy nie pasowali im ze względów politycznych. Wywrotowcy, niewierni, wyznawcy innych religii. Drzewa w tym lesie wiele widziały. I co, tego pański kolega nie wiedział. – Starzec bardziej stwierdził, niż zapytał. – Nie ma tego w jego mądrych źródłach. Ani w książkach.

– A skąd pan to wie, skoro nigdzie o tym nie napisano?

Dobromir, zmarszczywszy brwi, długo przypatrywał się Leszkowi. Na zewnątrz znowu zawył wiatr.

– Proszę pana, ale pan łapie za słówka! – W końcu wybuchnął szczerym chichotem. Wyciągnął rękę i delikatnie musnął palcami ramię Rychtera, uśmiechając się ciepło. Wyglądał teraz jak dziadek przemawiający do ukochanego wnuczka. – Nie no, oczywiście, że są pewne prace na ten temat, no bo inaczej to skąd bym ja to wiedział? Jasne. I chętnie je panu pokażę. – To mówiąc, wskazał na grube tomiszczą. – Ale, jeśli pan pozwoli, to dopiero rano, przed wyjazdem. Jest pan sympatycznym chłopcem, bardzo pana polubiłem, więc chyba podaruję panu jedną z tych książek o Słowiańszczyźnie.

– Naprawdę? – zdumiał się Leszek. Czując w sercu przyjemne ciepło, roześmiał się. Starzec najprawdopodobniej miał takie pozycje, których Rychter

nie znał. Takie, których nie można nigdzie indziej znaleźć.

– Tak. Wie pan, ja już jestem stary, ktoś to dalej musi nieść i tak dalej... Ale o tym pogadamy rano. Zaprowadzę wtedy pana do drogi. A teraz proszę za mną, pokażę panu, gdzie może pan odpocząć.

– Nie chciałbym robić kłopotu... – powiedział niepewnie Rychter, ale tamten machnął ręką.

– Nalegam.

Leszek przez sekundę przyglądał się uśmiechniętemu gospodarzowi. Pod grubą warstwą ubrań musiał kryć się bardzo chudy mężczyzna.

Wreszcie, skinąwszy głową, ruszył za Dobromirem do korytarzyka, tam zaś udali się po schodach na piętro. Po chwili kostka przypomniała Leszkowi o sobie tęnym pulsowaniem. Starał się jej nie obciążać.

– Kiedyś tu mieszkała moja nieboszczka żona, mój syn i córka – wyjaśnił starzec, gdy dotarli do szczytu schodów, wskazując po kolei na troje drzwi. Leszek zauważył jeszcze drabinę prowadzącą na strych. – Może pan zająć sypialnię mojego syna. – To mówiąc, Ślepowron nacisnął na środkową kłamkę. – Proszę. – Włączył światło.

Rychter wkroczył do niczym niewyróżniającego się pomieszczenia. Dostrzegł standardowe elementy wyposażenia chyba każdego pokoju na świecie: okno, łóżko, stolik nocny, szafa, krzesło, lampa. Wrażenie zwyczajności psuły brudne ściany, z pajęczynami wiszącymi pod sufitem.

– Dobranoc, niech pan śpi dobrze. – To powiedziawszy, emeryt się oddalił.

Rychter długo stał pośrodku pokoju, rozglądając się, starając się znaleźć jakiegokolwiek ślady bytności poprzedniego lokatora, lecz pomieszczenie było pozbawione charakterystycznych cech; jego przeszłość zupełnie zatarto. Wszystko zniknęło wraz z człowiekiem, który tu niegdyś mieszkał.

Mężczyzna podszedł do okna, lekko utykając. Zbliżył twarz do niemytej od dawna szyby. Przed oczami ciągle miał błyskające w czerni ślepie, a z tyłu głowy opowieść o zdziczałych psach. W wyobraźni widział sforę bestii biegającą wokół domu, czekającą na to, aż Leszek spróbuje opuścić budynek, a kiedy tego nie uczyni, gdy zamiast tego zdecyduje się na sen, rozluźniony złudnym poczuciem bezpieczeństwa oferowanym przez zamknięte na dole drzwi, jeden z nich wskoczy mu do pokoju.



Gdy jednak zobaczył podwórko, uśmiechnął się na tę myśl. To jak w jakimś tanim horrorze. Kiedy księżyc wyglądął zza chmur, rozświetlając nieco mroki nocy, zauważył, że było zupełnie pusto, tylko najbliższej rosnące drzewa potrząsały gałęziami. Dalej rozlewała się jedynie ciemna ściana lasu. Westchnąwszy ciężko, pokuśtykał do łóżka. Położył się na nim. Było twarde.

Nie mógł przemóc się, by zdjąć ubranie. Nie potrafił zmrużyć oka. Wsłuchiwał się w jęk wiatru za oknem i przywoływał obraz wykrzywionej twarzy Ślepowrona, uderzającego pięścią w stół. W źrenicach starego płonęły dziwne iskry, jego oblicze jak gdyby się rozciągnęło, skóra napięta, jakby zaraz miała pęknąć. Leszek przypomniał sobie jedną z finałowych scen *Psychozy* Hitchcocka, kiedy to Norman Bates, przebrany za swoją matkę, rzucił się z nożem na dwójkę bezbronnych ludzi.

Rychter podskoczył, gdy na dole coś stuknęło.

– To tylko staruszek – mruknął, biorąc głęboki wdech. Wtem coś sobie uświadomił. Odór, który czuł, wchodząc pierwszy raz do domu, zniknął. Nos przyzwyczaja się do zapachów i po jakimś czasie zaczyna je ignorować, to prawda, ale miał nieodparte wrażenie, że ten pokój nie śmierdzał tak jak salon na parterze.

Znowu uderzenie, teraz na granicy słyszalności, w pomieszczeniu, które musiało znajdować się bezpośrednio pod stopami Leszka.

Rychter wstał, po czym, opuściwszy sypialnię, skierował się na schody. Tak cicho, jak potrafił, ruszył w dół. Wzdrygał się przy każdym jęknięciu starych drewnianych stopni; zatrzymywał się wtedy na chwilę i nasłuchiwał, a gdy upewnił się, że nic się nie dzieje, szedł dalej. W końcu znalazł się w głównym pomieszczeniu, w którym pił herbatę ze Ślepowronem; gdyby nie wpadające przez okno przy drzwiach światło księżycy byłoby tu ciemno jak w grobie. Zaklął pod nosem, kiedy przypadkiem kopnął jedną z donic stojących na ziemi. Dotarł do drzwi. Pamiętał, że starzec je zamykał, lecz mimo to nacisnął na klamkę. Nie drgnęły. Zbliżył się do okna.

Długo zmagał się z nim, jak gdyby od dawna nikt go nie otwierał, lecz wreszcie odskoczyło do tyłu, a do środka wdarł się zimny powiew nocnego powietrza. Był wolny.

Zawahał się. Mógł w każdej chwili odejść, stał jednak jak sparaliżowany, na granicy dwóch światów. Za nim staruszek, przed nim zaś czarny las. Kiedy już zdecydował się wyjść, gdy już stawiał stopę na parapecie, przed oczami Leszka stanął obraz wściekłych psów, o szalonych ślepiach i zaślinionych kłach, czających się w cieniach, rzucających się mu do gardła, gdy tylko opuści budynek. Lecz wizja zgasła, a zostało puste podwórko przed domem i ściana drzew. Oraz śpiew wiatru. Nic nie poruszyło się w półmroku, żadne źrenice nie błysnęły groźnie. Mimo to Rychter cofnął się do środka.

Dyszząc, rozejrzał się po pomieszczeniu, z jedną dłonią zaciśniętą na parapecie. Jego wzrok przesunął się po książkach, sztyletach, pucharach, aż zatrzymał się na drzwiach, za którymi zniknął Ślepowron, by skarcić psa.

Leszek gapił się na wrota, nie poruszywszy się ani o milimetr; wreszcie puścił parapet i zbliżył się do nich. Przytknąwszy ucho do drewnianej powierzchni, wytężył słuch, lecz słyszał jedynie ciszę. Żadnego szczekania, warczenia, nawet oddechu. Położył dłoń na chłodnej klamce i zawahał się; w końcu obejrzał się przez ramię, aby raz jeszcze spojrzeć na otwarte na oścież okno, po czym pchnął drzwi.

Odór wręcz uderzył go w twarz, jak gdyby zapach, wypuszczony przez Rychtera z więzienia za drzwiami, prędko wyrwał się na wolność. Leszek stał nieruchomo na progu, wpatrując się w ciemność. Nic. Żadnego poruszenia. Tylko ten smród zgnilizny, ciężki, przytłaczający, w przedziwny sposób stłumiony do tej pory przez grube drewno, atakował go ze zdwojoną siłą. Wreszcie oczy przyzwyczyły się na tyle do czerni, że mógł już dojrzeć dwa niewyraźne kształty po drugiej stronie: zarysy skrzyń czy też łóżek. Przełknął ślinę i cofnął się za próg. Zerknąwszy jednak w kierunku otwartego okna, znajdującego się w odległości jakichś czterech długich kroków, włożył rękę w mrok i sięgnął w prawo. Dotknęła zimnej powierzchni. Wcisnął przycisk. Światło zalało pomieszczenie.

Leszek z trudem powstrzymał krzyk.

Niewyraźne kształty okazały się rodzajem ołtarzy, a raczej katafalków, na których leżały dwa ciała. Rychter odwrócił wzrok; zebrało mu się na wymioty, lecz gdy opanował pierwszy atak mdłości, jakaś niezdrowa fascynacja zmusiła go, by znów spojrzeć na zwłoki.

Pierwsze należały do włóczęgi: stare, poplamione ubranie było w wielu miejscach rozerwane. Skołtunione włosy lepiły się od brudu i krwi. Szara skóra wykrzywionej w przerażeniu twarzy i głębokie zmarszczki upodobniały oblicze umarłego do gumowej maski. Dożył sześćdziesiątki, może siedemdziesiątki, nim znalazł się na tym katafalku.

Drugi człowiek w chwili śmierci był o wiele młodszy. Delikatne rysy twarzy, jeszcze nieco dziecięce, nie tylko sprawiały, że wydawał się uosobieniem łagodności, mężczyzną, który nigdy nie uniósł się gniewem, ale mogły też świadczyć o bogatym życiu duchowym – dowodem trafności tego przypuszczenia był habit, najpewniej franciszkanina. Zmarły wyglądał jak męczennik z obrazu czy opowieści: zmaltretowany, lecz równocześnie pogodzony z losem, spokojny.

Obaj mieli poderżnięte gardła. Ich ręce rozkładały się szeroko na boki. Nadgarstki nacięto. Krew spływała po kamiennych ołtarzach do wiader.

- Boże... – jęknął Leszek, cofając się, ale nie odrywając wzroku od ciał.
- W istocie.

Obejrzał się. W głównym pokoju, pomiędzy nim a prowadzącym na wolność oknem, stał Ślepowron. Nie nosił już czapki, szalika ani rękawiczek. Jego dłonie przypominały szczypce kraba, były jednak szare i chropowate, przywodzące na myśl korę drzewa. Kilka zielonych liści kleiło się do tych dziwnych rąk, inne, wraz z nitkami pnączy, wiły się wokół brązowej szyi. Nie miał włosów, lecz zgniłą, rozkładającą się seledynową masę. Gdy mówił, nie poruszał ustami; twarz nie wyrażała ani gniewu, ani zaskoczenia, ani nienawiści – nie wyrażała niczego, nie była bowiem twarzą. Leszek zdał sobie sprawę z tego, że to maska: martwa tkanka naciągnięta na głowę Ślepowrona. Do tej pory tego nie zauważył, lecz teraz wszelka iluzja zniknęła; oblicze starca pękało i spod cienkiej warstwy gnijącej skóry wydostawały się krótkie pędy.

– Widzę, że nie umiesz zachować się jak kulturalny gość i siedzieć tam, gdzie gospodarz przykazał, co? – spytał stwór, robiąc krok w kierunku Rychtera. – Nieładnie tak otwierać komuś szafy. Ale może to i lepiej. Ładuj się do środka.

Leszek mimowolnie wycofał się, minął próg drugiego pomieszczenia, nie mogąc oderwać oczu od kreatury, która szła ku niemu. Nie liczyło się nic, tylko to stworzenie pokryte zielonymi liszajami, ohydny bąblami z gnijących roślin.

Lecz gdy zawadził piętą o jedno z wiader, a krew splamiła mu spodnie, spojrział raz jeszcze na trupy i coś w nim krzyknęło. Serce zaczęło bić jak młotem, nogi zrobiły się miękkie, a oddychanie stało się torturą. Zimny pot oblał całe ciało.

Zaraz dołączy do tych ludzi.

– Nie! – wrzasnął, a potwór zatrzymał się w progu. – Czego ode mnie chcesz? – zapytał drżącym głosem. Tamten pokręcił głową, a duża połać skóry odpadła od martwej twarzy.

– Ta wiedza na nic ci się już nie przyda. – To powiedziawszy, zrobił kolejny krok do przodu. Leszek zatoczył się na katafalk.

– Na Białoboga, odejdz! – zawył powodowany jakimś impulsem, lecz potwór zachichotał ochryple. Dźwięk ten przypominał trzask ognia.

– Nic o nas nie wiesz, marny ludziku – syknął napastnik.

– Jezu Chryste, błagam, zostaw mnie...

– Teraz wzywasz innych bogów? – Stworzenie pokręciło łbem. – Ten pustynny idol nic ci nie pomoże. Jego wzrok tu nie sięga. Drzewa przysłaniają widok. Zresztą nawet gdyby usłyszał, to jest młodszy od nas. Za dużo się zmieniło. Dość już tego. Jestem głodny.

– Są rzeczy, które są wieczne.

Rychter spojrział w lewo, tam, skąd dochodził głos. Młody franciszkanin szedł ku nim chwiejnym krokiem. Oblicze miał blade, a oczy puste. Krew ciągle lała mu się z nadgarstków i przeciętego gardła, plamiła habit.

Leszek popatrzył na potwora. Tamten także gapił się na zakonnik.

– Jakim cudem? – warknął Ślepowron. Franciszkanin uniósł dłonie. Potwór parsknął. – Chcesz ze mną walczyć? Znowu cię zabiję.

Ale młodzieniec stanął przed starcem i rozłożył szeroko ręce, otworzył ramiona, i trwał tak, niewzruszony i cichy. Na jego twarzy malował się spokój. Żrenice błyszczały. Uśmiechał się lekko. Leszkowi mignęły przed oczami obrazy świętych, Buddy, Zaratustry, wszystkich tych ludzi, o których czytał, od kiedy zainteresował się religiami.

Ślepowron z początku chichotał; ponury, niski dźwięk, rodzący się gdzieś w głębi trzewi, a nie w gardle, wibrował coraz głośniejszy, aby przerodzić się w pełen pogardy rechot, aż wreszcie – urwać raptownie. Stwór zamilkł, jęknął, odskoczył do tyłu jak oparzony.

– Wróciliście! – wrzasnął. Twarz starca zaczęła się topić.

Rychter nie czekał na to, co stanie się później. Kiedy stworzenie oddaliło się o jeszcze jeden krok od nieruchomego zakonnika, a potem wycofało w kierunku przejścia prowadzącego do schodów, otwierając tym samym drogę ucieczki, Leszek rzucił się przed siebie. Wbiegł do głównego pomieszczenia, pędem minął Ślepowrona, staranował dwie doniczki i jak pocisk wyleciał przez okno, w ciemność.

Zimne powietrze. Mrok. Runął ciężko na nogi. Kostka eksplodowała bólem, stracił równowagę. Padł na brzuch. Dłonie otarły się o kamienie. Zwierzęcy ryk. W ciemności błysnęły jasne ślepie. Coś śmignęło nad nim – rozmyty kształt z zębów, pazurów i grzywy kolców – z hukiem wleciało do domu, wyrwijąc po drodze całą framugę okienną. Rozległ się trzask łamanych mebli. Upadek ocalił mu życie.

Zerwał się raptownie, ignorując ból. Nie patrzył za siebie, na zniszczone okno. Na plecach czuł już zęby, które wbijają mu się w ciało, jeśli tylko się zatrzyma, choćby na chwilkę. Gnał przed siebie tak szybko, jak jeszcze nigdy dotąd. Wskoczył pomiędzy drzewa, między ostre gałęzie i martwe pnie. Agonalny wrzask dochodzący z domu. Potem śmiech i słowa w jakimś dziwnym języku, wykrzykiwane komendy. Zwierzęcy ryk, ostra melodia polującego drapieżnika, a zaraz po nim tętent końskich kopyt. Leszek ciągle nie spoglądał za siebie, na dom. Biegł. Pośród drzew, między szpalerami z gałęzi chcącymi rozedrzeć ciało, a las zdawał się nie mieć kresu. Być może nie miał. Teraz rozumiał, teraz wszystko widział: drzewa go obserwowały, próbowały złapać. Coraz więcej krzaków, coraz więcej chudych ramion i szponów zadających ból. Więcej pnący czepiających się kostek. Tak, patrzyły na niego, oceniały, szeleszcząco rozmawiały. Otaczały. Dusiły. Chwytały. Było ich coraz więcej i więcej, aż w końcu nie było już niczego innego. Tylko ich szepty. Tylko ich dotknięcia. Tylko ich nienawiść.





## OLAF PAJĄCZKOWSKI



Urodzony w 1988 roku w Opolu, tam też mieszka do dziś. Publikował w antologiach (w tomie z 2018 roku i w drugim tomie z 2020 roku „Snów umarłych. Polskiego rocznika weird fiction”, ósmym tomie „Fantazji Zielonogórskich”, w „Almanachu młodych”) oraz w czasopiśmie i na portalach (m.in. w magazynach „Biały Kruk”, „OkoLica Strachu”, „Silmaris”, „Szortal Na Wynos”, „Imaginarium Opolskie”). W 2014 wygrał konkurs „Dębowe Pióro” na opowiadanie cyberpunkowe, od 2019 roku powieść w odcinkach, „Pajęczynę”, publikuje na swych łamach magazyn „Biały Kruk”, a w 2020 na rynku pojawiła się jego książka – „Sekrety Opola” (otrzymał za nią Nagrodę Miasta Opola za osiągnięcia w dziedzinie kultury w kategorii Debiut kulturalny roku).





PAWEŁ FAMUS

# SIEDLIŠKO DARIUSA

- XV -

Prawdziwych mistrzów sztuki wytwarzania amuletów, talizmanów i artefaktów już nie ma – tak raczył mawiać ojciec Dariusa, gdy targował się z magami próbującymi zaniżyć ceny magicznych przedmiotów. Dlatego Darius przykładał wagę do rzeczy istotnych, pomijając całkowicie rzeczy zbędne, co czasami doprowadzało magów do szału. Od śmierci ojca zaczął cenić swoje wyroby i w zasadzie odszedł od robienia talizmanów tak sobie, zwracając się ku zamożnej klienteli zamawiającej przedmioty na wymiar. Bardzo szybko przewyższył sławę ojca, a to przełożyło się na ilość zamówień.

Owiany tajemnicą eliksir okazał się największym sukcesem. Darius sporządzał go sam. Nawet komponenty gromadził w tajemnicy, żeby nikt nie mógł domyślić się składników i procesu wytwarzania. Bogaty warsztat, jaki zgromadzili jego przodkowie, potrafił wykorzystać do produkcji przyrządów potrzebnych do stworzenia eliksiru. Jednak najważniejszą rzeczą był zbiór owoców śliwy. Dlatego siedział już trzecią noc z rzędu, oczekując mgły, która w końcu sierpnia w okolicach Cieszyna pojawiała się co roku, lecz przychodziła niepostrzeżenie. Zazwyczaj była zapowiedzią końca lata i przynosiła ze sobą coraz chłodniejsze noce. Im mgła była bardziej gęsta, tym lepszy eliksir uzyskiwał. Niestety ostatnie trzy lata były słabsze. Elixir szybciej się kończył i Darius zmuszony był powstrzymać się od pracy w warsztacie gdzieś w okolicach jesieni, czekając do zimy, kiedy eliksir przejdzie swój cykl. Niestety od dwóch lat wzrosło zapotrzebowanie na wszelkiego rodzaju artefakty. W łaski powróciła wszelkiego rodzaju magiczna broń, a tej bez eliksiru zrobić się po prostu nie dało. Popyt spowodowała interwencja królewskiej loży krakowskiej, zwana przez miejscowych krucjata, która dwa lata wcześniej, czyli na wiosnę 1996 roku, omal nie doprowadziła do krwawej masakry.

Z tyłu za chatą, którą dla niepoznaki jeszcze jego dziadek obwarował zaklęciami widzenia powodującymi, że wyglądała jak wiele innych domów w okolicy, rosła święta śliwa. Nikt z normalniaków nie mógł się spodziewać, że na ulicy Spadowej znajduje się kuźnia artefaktów, tak samo jak nie mógł zobaczyć, że za domem rośnie wysokie i bardzo stare drzewo, na którego owoce czekał Darius. Starodawny przepis mówił, że dookoła drzewa należy rozpalić

kadzidła, ale on wiedział, że wystarczy jedno. Ważne było opalenie konkretną, równie tajemniczą mieszanką. Za to nic nie stało na przeszkodzie, żeby na ogniu upiec sobie coś smacznego. Kupił zwykły grill i rozpałił go pod śliwą tak, żeby dym okadzał koronę drzewa. Kiedy wesołe płomienie zaczęły przygasać, a dym z tajemnych składników unosił się pomiędzy gałęziami świętego drzewa, Dariusz położył na ruszt kielbaski śląskie i czekał aż się upieką. Musiał być teraz bardziej czujny, gdyż dzikuny biegające dookoła ogrodu i strzegące jego tajemnic mogły się podkraść do pieczonego mięsa. Pora na pojawienie się mgły była odpowiednia, ale chyba dzisiaj też nic z tego nie będzie. Zmartwił się, a że na zmartwienia najlepsze było piwo Brackie to wyjął jedno z wiaderka z zimną wodą. Rozglądniętą się za otwieraczem, ale nie pamiętał, gdzie go położył i nie zauważył niczego pod ręką, co byłoby pomocne. Już miał sięgnąć po klucze w lewej kieszeni, gdy przypomniał sobie o starodawnym sposobie. Ustawił kapsel na kancie drewnianego stołu i prawą ręką go pacnął. Metalowa zatyczka wykonała kilka niesamowitych piruetów, nim miękko wylądowała na skoszonej rano trawie. Spojrzał na szyjkę butelki w oczekiwaniu na pojawienie się delikatnej mgiełki, a kiedy jego oko zauważyło, że się ona unosi, przyłożył butelkę natychmiast do ust. Zamknął oczy i przechylił zawartość. Nie uszło jego uwadze, że to jego praprapradziadek pomagał ludziom wybudować browar w mieście. Sześć guli wystarczyło i Dariusz otworzył oczy. Niebo, które jeszcze kilka minut wcześniej było gwieździste, zaszło teraz jakąś szarością. Nie odstawił butelki, ale spowolnił spożywanie i przyglądał się uważnie temu, co widzi przez gałęzie śliwy. Chwila nostalgii i zadumy minęła w momencie pojawienia się dwóch z trzech dzikunów. Stwory podobne do dzików zwęszyły piekące się mięso, a jako zwierzęta magiczne i wszystkożerne postanowiły wziąć udział w kolacji przygotowywanej przez pana. Zachodziły go dzikie wieprzki z dwóch stron, jakby urządzały sobie polowanie, wyliczyły, łajzy, że jednemu z nich na pewno uda się coś ściągnąć z ognia. Ich podchody były o tyle nieporadne, że mlaskały przy tym, jakby już się posilały. Z pyska tego, którego widział, ciekła ślina, ciepłe żarełko działało na niego, jak nie przymierzając narkotyku. Nie mógł i nie chciał się powstrzymać. Przeszł z nogi na nogę, zdobywając co krok kawałek terytorium i skracając dystans do grilla.

– Poszły won! – Darius wstał, a gdy krzyk nie pomógł, tupnął, używając ździebko magii, żeby w promieniu kilku metrów zatrzęsła się ziemia. – Do bramy. Pilnować nieproszonych gości!

Dopiero tupnięcie przegoniło zwierzaki, a Darius usiadł, przechylił głowę i zaczerpnął łyk zimnego piwa, którym prawie się zakrztusił. Zauważył bowiem, że wśród konarów, na samym czubku drzewa pojawiły się pierwsze strugi mgły.

– A zatem to dzisiaj – powiedział sam do siebie, ale nie zerwał się na równe nogi, miał jeszcze przynajmniej piętnaście minut do zbiorów.

Nałożył sobie kielbaskę na talerzyk otoczył ją wianuszkiem musztardy i keczupu. Ze słoja wyciągnął kiszzonego ogórka i ukroił pajdę dzisiejszego chleba z chrupiącą i pachną skórką. Pobłogosławił posiłek, modląc się do dawnych słowiańskich Bogów, w których wierzył, i przystąpił do kolacji, albowiem uważał, że do każdej pracy należy mieć siłę i głowę wolną od wszelkich smutków, a głodu nienawidził całym sercem. Zjadł, a w zasadzie połknął kielbaskę, wypił drugie piwo, lecz tym razem delectował się nim. Mgła tymczasem objęła już swoimi mackami całą świętą śliwę i nadal gęstniała, co jeszcze bardziej mu się podobało. Zdjął resztę kielbasek z grilla i wyłożył na talerzyk. Przez chwilę zastanawiał się, czy może zdąży zjeść przepięknie pachnący posiłek, ale uznał, że teraz musi przystąpić do zbiorów, a kielbaski równie dobrze smakują na zimno. Dorzucił kilka szczap do ognia i uwolnił jeszcze więcej koniecznego do zbioru dymu. Następnie przyłożył do pnia wysoką drabinę i mimo nadwagi wskoczył niczym rąca kozica na wierzchołek drzewa. Wiaderko wykonane z dębiny nieco mu ciążyło, ale przepis wyraźnie mówił o kontakcie owoców z drewnem dębu. Co napełnił wiaderko, to schodził, zrzucał wsad i wskakiwał na nowe miejsce i tak przez kilka godzin aż do momentu, kiedy śliwa została ogołocona z owoców, a mgła zaczęła się rozrzedzać. Następnie cały urobek przetransportował do piwniczki, gdzie czekała wielka cebrzyna z dębu. Teraz wsad musiał leżeć przez dwa dni przykryty lnianym prześcieradłem. Zabezpieczył wszystko trzema kamieniami zaklętymi w talizmany odstraszające owady i inne szkodniki. Na dzisiaj skończył, lecz proces warzenia eliksiru dobrze się rozpoczął. Darius był dokładny i wiedział, że pośpiech może pogorszyć jakość przyszłej mikstury. Wrócił do kielbasek, gdyż uważał, że należy mu się coś dobrego od życia. Sięgnął

po piwo i zasiadł w niewygodnym, ale ulubionym płóciennym krzeselku. Nagle poderwał się na równe nogi.

– O wy, kurwy przebrzydłe! – wściekł się, bo dopiero teraz zauważył, że talerzyk z kiełbaskami był pusty, a ślady wyraźnie wskazywały na podłą ingerencję dzikunów.

Włochate mendy zeszyły z posterunku przy bramie i pożarły jego jedzonko. Przywołał je do siebie, ale przyszedł tylko jeden z nich. Minę miał potulną, gdyż jak się Darius domyślał, tamte dwa wysłały tego niewinnego. Nie miał powodu, żeby nakrzyczeć na dzikuna, ale porozmawiał z nim, pokazując mu miejsce zbrodni. Tamten powąchał talerz i oczywiście się poślinił, więc Darius go przegonił.

Przez kilka dni nic się nie działo. Zdążył więc przemyć śliwki wodą ze świętego źródła, a później rozkroić i wyciągnąć pestki. Nie zapominając, żeby w co setnej pestkę zostawić. Znowu wszystko przykrył lnianym prześcieradłem i odczekał jeden dzień. Kolejnego dnia czekała go mozolna robota. Musiał przerzucić rozkrojone śliwki do wielkich szklanych kadzi, zalać wszystko magicznym roztworem, zamieszać i zatkać wszystko dębowym korkiem zakończonym bulgulatorem. Wreszcie zakończył proces wstępny, mógł odpocząć, więc ruszył w kierunku barłogu. Nagle rozbrzmiały dzwonki przy bramie, dzwoniły przyjaźnie, ale to nie poprawiło mu humoru. Był wprawdzie wiatr, ale dzwonki były tak skonstruowane, że mogła je uruchomić tylko ludzka ręka. *Kogo niosło?* Przecież na furtce wisiała wyraźna wywieszka wykuta ze stali, żeby nie przeszkadzać. Magiczne oko patrzyło na bramę, ale Darius nikogo tam nie widział. Jakiś podstępny magik schował się za zasłoną z magii luster. Mistrz talizmanów pożałował, że nie zamontował przy drzwiach kwarcowego pryzmatu wykonanego ze skał Sahary wschodniej. Tego amuletu nie oszuka byle zakłęcie. Dzwonienie nawołujące rzemieślnika nie ustawało, a dzikuny nie odszczekiwały się obcemu, co sugerowało, że znają przybysza. Wdział robocze gacie i ruszył niespiesznie ku wrotom. Dzikuny dziwnie się zachowywały, merdały dupami, gdyż natura pozbawiła je ogonów. Dochodził do wniosku, że łajzy widziały przez zakłęcie luster. Gdy podszedł do wrót, nieproszony gość zdjął zakłęcie i Darius zobaczył najpotężniejszego maga, jakiego nosiła ziemia. Stał przed nim Szczyńściorz.

- Czy na furcie nie stoi: nie przeszkadzać?
- Stoi. Ważna sprawa jest.
- I co z tego? – pytał, otwierając furtę.
- Weź, pomóż.

Szczyńściorz przywitał się z Dariusem bardzo serdecznie. W końcu byli przyjaciółmi jeszcze z czasów, kiedy nie był magiem. Mistrz talizmanów nie wierzył w przypadki, ale ten był wyjątkowy. Nic nie wskazywało, że niedaleki sąsiad posiada moc tak wielką, że pokona przedpotopowe bóstwo, Wikozióra. Pana zawieruchy, podstęp, kłamstwa, zdrady i żądy.

- W czym rzecz? – zapytał, ale nie wpuścił gościa do środka.
- Chodzi o syna Baby Jony.
- Co z nim? – Dariusz uznał, że sprawa musi być na tyle poważna, że trzeba się z przyjacielem rozmówić.

- Jona nie chce się przyznać, kto jest ojcem.
- Ale ty dumny jesteś. Przecież od razu widać, że to twoje.
- Chciałbym to jakoś sprawdzić.
- Jak się Baba zorientuje, a zorientuje się na pewno, to cię zabije.
- W tym, rzecz, żeby się nie zorientowała.
- Człowieku, ty wiesz, do czego ona jest zdolna?

- Co znowu zrobiła? – Weszli w końcu na teren posiadłości Dariusa. Miraż jednorodzinny domku zniknął i pokazał się warsztat z kuźnią i kamienny dworek.

- Dwa dni temu siedziała sobie na rynku w Cieszynie, gdy podeszło do niej dwóch obcych magów, którzy chcieli ją złapać. Liczyli, być może, na jakąś nagrodę za ujęcie baby, ale Jona wyciągnęła swój pozłacany czekan. Tu chciałbym przypomnieć, że nadal jesteś mi winny wyjaśnienie, co do jego właściwości oraz sposobu wykonania. Wracając do zdarzenia, pogoniła sromotnie natrętów, tak że aż poskarżyli się do miejscowej starszyny. Gdy to nie pomogło, teleportowali się do łoża królewskiej w Krakowie, a ci, jak się dowiedzieli, kto kogo pognał, to ze śmiechem na ustach wyrzucili paniczek za drzwi.

- Bardzo dobrze, ale to chyba nie jest jeszcze takie straszne.

– Masz rację, to był dopiero początek. Potem poszła do zamkniętego parku dla stworzeń magicznych, na ulicy Regera.

– Do smoków?

– Uhm. Weszła i zabrała smocze łuski z leżących blisko zaklętych wrót smoczych szkieletów. Uciekła niezauważona, ale smoki ją wywęchały i zaczęła się nowa awantura. Całe miasto drżało, aż przyszli do mnie, żebym zbadał za pomocą moich wynalazków, co jest przyczyną tych tąpnięć, bo jeszcze wtedy nie wiedzieli, że smoki są sprawcami.

Darius i Szczynściorz weszli do warsztatu, gdzie mistrz talizmanów ustawiony miał stół dla gości. Zasiedli i zaraz potem Darius nalał po szklanicy miodu i powrócił do opowieści.

– Wziąłem kawałek bazaltu z Santorini, wiesz, że to najmocniejszy kamień żywiołu ognia, a przy okazji dobrze się sprawuje w domenie żywiołu ziemi. Utoczyłem talizman, obciążyłem go rytami i zaczynam sprawdzać. A tu od razu wychodzi mi park na Regera, więc pytam, czy ktoś był u smoków? A oni na to, że nikt nie był i się nie wybiera. Dopiero kiedy wróciła mistrzyni opiekunów magicznych istot i stworzeń, Izabella, zbadano sprawę. Właściwie smoki nie wkurzały się zbyt często, gdyż mało kto je odwiedzał, ale jak już, to na całego. Wierzono w możliwości Izabelli, jednak niewielu stawiało na to, że wróci. Udało się jej, lecz historia o kradzieży i zbezczeszczeniu smoczych zwłok mocno dotknęła starszysnę. Wiesz, co oni mogą babie zrobić, a zwłaszcza tej?

– Nic – poprawnie zgadywał Szczynściorz i postawił na dębowym stole kolejny bukłak z miodem, co spowodowało serdeczny uśmiech na twarzy Dariusza.

– Smoki obraziły się do żywego, ponieważ w ich kulturze nie grzebie się zmarłych a ogląda z powagą szczątki i czci, medytując. Powiedziały, że tym razem przeniosą pozostałości w głąb rezerwatu, znaczy one ujęły to inaczej, sam wiesz czemu. – Szczynściorz kiwnął głową, dając znać, że wie, o co smokom chodziło. – I ludzkim zwyczajem zakopią kości, żeby innym magom nie przyszło do głowy okradać zmarłych – dokończył gospodarz.

– Straszne.

– Czy ty, aby nie drwisz?

– Skądże. Ile tego zabrała? – zapytał młody mag, a widząc konsternację na twarzy Dariusa, skonkretyzował: – Ukradła.

– W tym właśnie rzecz, że sporo. Tak na jedną zbroję płytową i broń.

– Po co jej to?

– Tego jeszcze nikt nie wie, ale domyślam się, że to ja pierwszy się dowiem, bo do mnie je przyniesie, żeby przekuć.

– Smocze kości to zasadniczo stal – wymądrzał się Szczynściorz, który niedawno ukończył z wyróżnieniem AGH.

– Może z chemicznego punktu widzenia, ale podobną strukturę mają na przykład kości bazyliuszka albo morskiego behemota. Ta stal jest po prostu mocno magiczna i bardzo rzadka, a przez to kosmicznie droga oraz pożądana.

– Zastanawiam się, dlaczego mi to wszystko opowiadasz? – Szczynściorz wyciągnął przepiękny i cudownie pachnący boczek, położył przed Dariusem, żeby ten go pokroił do przekąski.

– Żebyś wiedział, co cię czeka, jak Jona przyłapie cię na sprawdzaniu aury dzieciakowi – powiedział, a potem wstał, przyniósł deskę i nóż do krojenia wędzonki, ale spojrzał przy tym wymownie na maga. – Żeby się moje dzikuny tylko nie dowiedziały, co my tu jemy. One są bardzo wrażliwe, a do świnek czują miłosny pociąg. Obrażą się, jeśli dowiedzą się, że zjadamy jakiś obiekt ich westchnień i prokreacyjnych wyczynów. Jak one mi tu wzdychają, że chcą iść na randkę do wydepilowanych pańienek...

– Ty rozmawiasz z dzikunami?

– „Rozmawiasz”? Ja tylko je rozumiem! – Nie chciał się przyznać, że dyskutuje ze stworzeniami magicznymi, bo mógł zostać uznany za wariata.

– Dobra, przejdźmy do konkretów. Jak możesz mi pomóc? – Szczynściorz po tych słowach wyciągnął z kieszeni fiolkę ze złotym płynem.

Dariusz wziął prezent do ręki, ale jego dłoń zaczęła po chwili drżeć, a z oczu popłynęły łzy.

– Nie może to być – wycedził ze wzruszenia.

– Wiesz, co to jest?

– Czy ja wiem? Domyślam się jeno. To złota rtęć. Krew smokozyliuszka, takiej hybrydy.

– To dlaczego płaczesz? Jest twoja. Proszę.



– Dlaczego płacze? Popatrz na moją biblioteczkę. Pełno tam almanachów, encyklopedii, zaklęć i opisów magicznych substancji. Jest tam też książka, raptem dziesięć stron. Zaczyna się zdaniem: *Substancje, których nigdy nie zobaczysz*. Złota rtęć jest na początku listy – westchną. – Pomogę, ale i tak będziesz musiał być ostrożny i jeszcze jedną rzecz będziesz mi musiał przynieść.

– O co mianowicie chodzi?

– Pamiętasz, jak w zeszłym roku odnalazła cię trytonka Monika?

– Oczywiście.

– Potrzebuję talizmanu, dzięki któremu cię odnalazła.

– Może da się zrobić.

– Musowo go potrzebuję.

– Trytonka jest w jego posiadaniu.

– Nie wiem, czy ci go odda, ale nawet jeśli, to już go nie odzyska, ponieważ będę musiał go zmienić i zniszczyć.

– Myślę, że się zgodzi.

Posiedzieli tego dnia do późna, a Darius nie zabrał się do pracy nad pilnymi zleceniami. Dzikuny pojawiły się spóźnione i całe szczęście, gdyż boczek został wcześniej zjedzony i nie trzeba było się przed nimi tłumaczyć z jedzenia szczątków ich miłosnych uniesień.

Szczyńściorz wymknął się niepostrzeżenie, ale następnego dnia nie udał się do Krakowa po talizman należący do trytonki Moniki. Wolał przespać przepicie miodem. Za to Darius wstał wcześniej i to w bardzo dobrym humorze. Wrócił do warsztatu i najpierw sprawdził, czy otrzymany wczoraj dar nie był tylko omamem, ale nie był. Flakonik ze złotą rtęcią spoczywał na dnie makabrycznie trudnego do sforsowania sejfu jego własnej konstrukcji. Przytulił go do piersi i wymamrotał w swoim pradawnym języku mrocznej rasy:

– Maj prestiż. – Jego twarz na ułamek sekundy pociemniała, a aura przygasała.

Odstawił skarb we flakoniku do stojaka na płynne ingrediencje i pieczołowicie zamknął sejf. Nałożył na niego kilka zaklęć oraz klątw, przyłożył amuletem ostrzeżenia i wrócił do pracy. Miał poważne zamówienie do dokończenia. Jeden z magów loży śląskiej, bogaty i wpływowy czarnoksiężnik, zapragnął rydwanu. Ciągnąć go miały płoszaki, nieco podobne do koni

magiczne stworzenia o bardzo pożądanym zdolnościach. W dawniejszych czasach powszechnie stosowane do podróży. Trudność polegała na tym, że mag się uparł, żeby rydwan był ciągnięty przez trzy, a nie przez dwa lub cztery stworzenia. Trudniej było ułożyć sterowanie pojazdem, ale miał już pomysł i motywację. Kuźnia ruszyła i Dariusz produkował podzespoły, przygotowując pojazd. Nie spodziewał się, że Szczynściorz wróci po trzech dniach. Na szczęście pojazd zaprzęgnięty w płoszaki odjechał z zadowolonym kupcem w siną dal i Dariusz mógł zająć się talizmanem na potrzeby ryzykującego życiem młodego maga. Talizman, który przywiózł Szczynściorz, wykonany był z bursztynu, wewnątrz którego zatopione były włosy, ale nie było pewności czyje. Żeby to sprawdzić, trzeba by zniszczyć bursztyn, a wtedy nie uda się z niego zrobić artefaktu.

– Widzisz, jak zniszczymy kamień, to dowiemy się, czyje są włosy w nim zatopione, lecz jeśli będą twoje, to nie dojdziemy ojcostwa. Jak będą chłopaka, to każdy mag w tym mieście będzie mógł je sprawdzić. Chcę użyć bursztynu do budowy magicznego urządzenia nazywanego lunetarium. Będzie ono miało jeszcze jedną zaletę. Będziesz mógł sprawdzić, czy jest twoim synem z pewnej odległości.

– Z jakiej? – dopytywał Szczynściorz, dbając o własne bezpieczeństwo.

– Przy dobrych soczewkach i mocnej magii około stu metrów.

– Może się udać.

– Powinno – przytaknął Dariusz, choć i tak wątpił w powodzenie misji.

Umówili się za trzy dni. Mistrz artefaktów i talizmanów miał nadzieję, że uda mu się pogodzić pilne zlecenie Szczynściorza z innymi projektami. Podszedł do szafki z najpotrzebniejszymi narzędziami, w której miał schowany jeden z ostatnich już flakonów z eliksirem z zeszłorocznego zbioru. Miarka „na palec” powinna wystarczyć. Łyknął. Wspomaganie wiedzy i mocy rozlało się falą ciepła po jego wnętrznościach i napełniło go mądrością i ochotą do pracy. Ten codzienny rytuał był mu bardzo potrzebny, ale uzależnił się od mikstury, tracąc wiarę we własne możliwości.

Podszedł do stołu i wyciągnął bursztyn, gdy usłyszał dawno niesłyszany dźwięk. To bulgulator zaczął pracę, ale pierwsze bulgnięcie było ciche i niepewne jak chłopak na pierwszej randce. Dariusz powstrzymał się od pracy, bo chciał

sprawdzić, czy naprawdę rozpoczął się właściwy proces. Powtórne bulgnięcie uradowało jego duszę.

Praca szła tego dnia dobrze. Ruszył z zamówieniem dla Szczynściorza, a przy okazji wykonał kilka innych zleceń. Miarowe bulgotanie eliksiru królowało tego dnia w warsztacie, w którym zazwyczaj rozbrzmiewała muzyka AC/DC.

Trzeciego dnia lunetarium było gotowe, ale Szczynściorz się nie pojawił. Przyszedł dzień później i tłumaczył się, że magowie cieszyńscy mają jakiś problem z katedrą. Dowiedzieli się, że jest w mieście i prosili o pomoc. Dariusa mało to interesowało, za artefakt było zapłacone z góry, więc mógł czekać.

– Muszę ci wytłumaczyć, jak działa. Kiedy spojrzysz na chłopaka i zobaczysz go w kolorze fioletowym, to będzie oznaczało, że kosmyk zatopiony w bursztynie jest jego i że jest twoim synem. Jeśli kolor będzie niebieski, to oznaczać będzie, że kosmyk jest twój i że też jest twoim synem.

– Wspaniale.

– Zrobiłem też wariant ostrzegawczy. Jeśli pojawi się kolor czerwony, to znaczy, że jego matka znajduje się w odległości dziesięciu metrów od lunetarium. Rozróżniasz kolory?

– Tak.

– To będziesz wiedział, kiedy uciekać. – Darius śmiał się, kiedy to mówił.

\* \* \*

Szczynściorz nie chciał ryzykować nieumówionego spotkania z Joną. Musiał podejść do jej siedliska niepostrzeżenie i wiedział, jak to zrobić. Skorzystał z ludzkiego środka transportu, przewidując, że Jona może stosować talizmany ostrzegające o pobliskiej teleportacji i tym samym sprytny, tajny plan przestałby być sprytny i tajny. Wyjechał pekaesem z Cieszyna w stronę Ustronia i minąwszy Golezów, wysiadł. Potem udał się w stronę siedliska, korzystając z polnej drogi znanej tylko miejscowym rolnikom. Kiedy przekroczył tory linii kolejowej, wzmógł czujność. Wchodził na włości Baby Jony – domek i zabudowania z lecznicą oraz sadami i łąkami. Od południowej strony, z tej akurat nadchodził, dostępu do domku bronił strumyk. Od wschodu rozciągał się podmokły teren, na którym, jak podejrzewał, Baba ustawiła pułapki bagienne. Od północy

ciągnęło się wzniesienie, po którego grzbiecie biegła droga pomiędzy sąsiednimi wioskami, ale podejście do chatki było zbyt oczywiste. Za to od zachodu mieszkało kilkanaście rodzin, które na pewno ostrzegłyby Jonę. Pozostało tylko podejście południowe, przy okazji rolnik – normalniak, właściciel gruntu – miał tu łąkę. Trawy były wysokie, więc Szczynściorz podkładał się ostrożnie chcąc, osiągnąć dystans stu metrów.

Nad strumieniem rosły wysokie drzewa, ale one nie przeszkadzały w obserwacji, gdyż ich korony rozpościerały się wyżej niż podwórko. Znalazł dobre miejsce i wyciągnął lunetarium, a dla pewności zastosował zakłęcie luster. Przez krótki czas obserwacja była nudna, młody mag zdążył przyjrzeć się obejściu. Zauważył kilka ciekawych, naznaczonych magią instalacji, po podwórku kręciły się też magiczne stworzenia, które Jona objęła opieką. Pod drzewem jabłoni stał osiodłany płoszak. Ludzcy magowie zaprzestali ich dosiadać, widocznie Baba miała jakichś egzotycznych gości.

Nagle sprawy jakby przyspieszyły. Najpierw od strony wschodnich mokradeł przybiegła młodzieńka uczennica Jony, Jadora, dziewczę o długich, prostych i jasnych jak snopki pszenicy włosach. W kwestii urody była przeciwieństwem Jony. Szczynściorz miał okazję poznać uczennicę swojej ukochanej. Byli tu kiedyś w odwiedzinach z Dariusem.

Jadora wpadła do chaty, a zaraz potem ze środka wyszedł młody elf, który niósł pod pachą jakąś niedużą przesyłkę. Elfy, odwrotnie niż ludzie, szanowały, a nawet czciły baby. Ich kontakty były częste i przyjacielskie. Elf wskoczył na płozaka i pognał w stronę wzgórza. Potem Jadora wyszła z dzieckiem Jony, ale gdzieś się spieszyła, więc Szczynściorz miał mało czasu, żeby skorelować barwy w lunetarium. Na pomoc przyszedł mu chłopak, który wyrwał się Jadorze i odbiegł od niej na kilka kroków. To wystarczyło, żeby lunetarium zaświeciło się na niebiesko. Na chwilę o wszystkim zapomniał. Był z siebie dumny. Nie zwrócił uwagi na to, że urządzenie zmieniło kolor na fioletowy, co powinno go zastanowić. Wytłumaczył to sobie w ten sposób, że właśnie Jadora wzięła malca na ręce i zaburzyła działanie artefaktu. Nagle wynalazek Dariusa rozbłysł intensywną czerwienią. *Czerwone, co to znaczy czerwone? Cholera!* Odłożył artefakt, ale chyba było już za późno, Baba musiała być tuż-tuż.

– Co ty tu robisz, mój kochany? Nie mogłeś zająć normalnie, jak człowiek, w odwiedzinie? – W jej ręku widniał pozłacany czekan, który w żaden sposób nie przypominał kwiatów przywitania.

– Chciałem cię odwiedzić, tylko nie miałem pewności, że jesteś.

– Zawsze mogłeś użyć szklanej kuli, laruma albo strzałki.

Larum było zwykłą tablicą dedykowaną, na jednej się pisało, a na drugiej ktoś mógł odczytać wiadomość. Strzałka działała na nieco innej zasadzie – pisało się na pergaminie, a wiadomość szybowiała do odbiorcy.

– Pisałem, ale nie odpowiadałaś.

– Nic nie dostałam – skłamała.

– Czy teraz zaprosisz mnie do środka?

– Zapraszam.

Przez strumyk przeszli kładką i już byli przy chacie. Jadora właśnie wychodziła z tajemniczej komórki. Chłopak wyrwał się do matki, ale zauważył nowego dorosłego, zatrzymał się i patrzył na Szczynściorza. Potem spojrzał na matkę i powiedział:

– Ociec?

– Tak to twój ojciec. Wyrodny.

– Co to, to nie. Jak masz na imię?

– Jonatan – odpowiedziała za chłopaka matka.

– Co to znaczy? – Szczynściorz miał na myśli nawiązanie do jednego elohima, ale Jona musiała mieć już dawno przygotowaną odpowiedź.

– To po matce, a przy okazji oznacza syna pierwotnego pierwszego króla, a to chyba ty, nie uważasz?

– Jakieś to tłumaczenie zbyt patetyczne.

– Wejdiesz? – Jona chyba nie była zbyt przygotowana na odwiedzinie ojca swojego syna.

– Oczywiście.

Chata z zewnątrz wyglądała dosyć przeciętnie, ale w środku niczego jej nie brakowało. Szczynściorz zastanawiał się, co robi na ścianie mokra szmata wielkości prześcieradła, ale szybko się okazało, że był to pierwszy na świecie egzemplarz telewizora z płaskim ekranem.

– Czy Jonatan nie jest trochę za stary jak na nasze dziecko? – Młody mag sporo ryzykował, a kiedy Jona spojrzała na niego, dodał pospiesznie: – Wygląda na cztery lata.

– Matematyk się znalazł. Zastanów się, po jakich jest rodzicach.

Jadora przyniosła z kuchni ciasto i kawę. Szczynściorz kawy nie pił, ale bał się zaprotestować.

– Ciasto fantastyczne.

– No myślę. Powiedz mi, co schowałeś w kieszeni na łące?

Magik pomyślał, że zaraz skończy się miła atmosfera.

– Lunetę – chciał dodać, że „zwykłą”, ale w ostatniej chwili zastanowił się, że każdy przymiotnik może być użyty przeciwko niemu. – Jak mnie namierzyłaś na łące?

– Zakłęcie luster wzbudziło schowane w polu talizmany. Pokażesz mi tę lunetę?

*Kurwa! Zaraz Jona wpadnie na rozwiązanie zagadki.*

– Lepiej mi powiedz, czemu okradłaś smoki?

– Już ci donieśli? Chcę Jonatanowi zrobić zbroję, zbieram materiały.

– Uzbierałaś dla dwóch dorosłych – specjalnie przesadził.

– Za parę lat będzie, jak znalazł.

– Za dwadzieścia – sprostował Szczynściorz.

– Bardziej za pięć. Mówiłam ci, że szybko rośnie.

Malec poszedł się bawić w pokoju obok, układał klocki lego dla czternastolatków, co w kontekście tego, co Szczynściorz usłyszał o chłopcu, nie było dziwne. Jona wreszcie usiadła i zaczęła rozmowę o tym, co działo się w jej życiu, po tym jak drogi jej i młodego maga się rozeszły. Z jego perspektywy wyglądało to tak, że po czterech miesiącach znajomości, na początku sierpnia 1996 roku, rozstali się. Powiedziała mu, że musi pilnie wyjechać do Babskich spraw. Potem słuch po niej zaginął. Nie odpowiadała na listy, jedyne czego był pewny to, że żyje. Rok później wróciła, ale nadal się z nim nie skontaktowała. Przyplątała się powódź tysiąclecia, wtedy też zorientował się, że Jona ma dziecko. I jeszcze wówczas wszystko mu pasowało. Niemowlak musiał być jego synem, jednak już rok później dzieciak nie pasował do układanki, a za dwa lata nikt by nie uwierzył, że jest owocem ich krótkiego związku.

Z punktu widzenia Jony wyglądało to zupełnie inaczej, dosadniej i bardziej kolorowo. Wmawiała Szczynściorzowi, że musiała pojechać na ratunek Rzeczypospolitej Babskiej ukonstytuowanej na terenach łoży szczecińskiej, komturii wolińskiej. Tam w starożytnych ruinach największego ongiś miasta Słowian zawiązał się ruch bab. Reaktywowano oddziały zbrojne zwane na wschodzie Dżidami a na zachodzie Dżagami. Tym sposobem Szczynściorz dowiedział się, dlaczego młode dziewczyny czasami tak właśnie się nazywa, bo mówiło się przecież, że piękna i młoda kobieta wchodzi w serce jak dzida. Musiała pomóc, bo Wolin został najechany przez Germanów.

– Kogo? – Szczynściorz nie mógł sobie tego wyobrazić.

– Brandenburczyków.

– Znaczą Niemców – upewniał się młody mag.

– Przecież mówię.

– Właśnie, że nie. Germanie to łacińska nazwa wszystkich ludów zamieszkujących na północ od Dunaju i wschód od Renu. Wszystkich – podkreślił – a nie tylko tych, które ukradły tę nazwę. Podobnie jak tysiąc lat później Prusów, których wybito, tak samo jak wcześniej Słowian od Renu do Łaby.

Nie chciała się z nim wdawać w dyskusję dotyczącą historii, szczególnie kiedy nie miała pewności, czy żył w tamtych czasach.

Nagle Szczynściorz zauważył, że coś go przywołuje, coś ściąga jego uwagę. Zaczął rozglądać się po salonie, a potem spojrzął w stronę pokoju, w którym bawił się Jonatan. Chłopiec trzymał coś w ręku. Przedmiot błyszczał i emanował energią oraz kolorami. Obroty przedmiotu zdawały się powodować zwiększanie mocy artefaktu. Jona też patrzyła na ręce malca.

– Jonatan, odstaw talizman na miejsce.

– Co to jest?

– Kamień przywołania. Skleciłam go, bo mały chciał poznać ojca.

– To on mnie przywołuje?

– A co? Sam nie chciałeś go odwiedzić? – Pytanie należało do tych niebezpiecznych, ale nie śmiertelnych.

– Od kiedy go ma? – Szczynściorz odroczył wyrok.

– Od dwóch tygodni.

– Jak pamiętasz, chciałem zobaczyć małego od roku, więc sama rozumiesz. Malec podbiegł do ojca z artefaktem i położył go przed nim na stole.

– Ociec – zagadnął i poczekał, aż ten popatrzy na niego. – Dziwne to szkiełko jest. Jak patrzę na mamunię, to mamunia jest czerwona, jak na Jadorę to jest żółta, jak na ciebie, to niebieska. – Ten układ przypomniał Szczynściorzowi o lunetarium i momentalnie oblał się potem. – Ale teraz wszystko robi się czarne.

– Jakie, synku?

– Czarne, mamuniu.

– Jadora! – Jona wydarła się, chociaż uczennica siedziała zaraz za drzwiami sąsiedniego pokoju. – Zabieraj Jonatana do waru, a chyżo.

– Cóż się dzieje?

– Napad! Artefakt ma też przypisaną funkcję ostrzegawczą. – Wstała i energicznie podeszła do haka, na którym powiesiła połączony czekan, a potem sięgnęła ręką do lnianego woreczka z talizmanami i wypowiedziała serię zaklęć i zaśpiewów mających ją przygotować do starcia.

Jej aura rozblęła i wokół niej pojawiły się świetliste ryty, które budowały jej odporność i magiczną ochronę. Jadora zdążyła wybiec z małym do szopki, którą Szczynściorz widział przez lunetarium a która okazała się być warem, czyli zabunkrowanym schronieniem, a Jona była gotowa do walki. Mag wstał i sięgnął do worka z ziołami. Ostatnio trenował magię przyrody, którą niektórzy podciągali pod magię żywiołu życia, uznając za jedną z mniej ważnych lub słabszych, nie doceniając jej zalet. Obsypał się seledynowym proszkiem będącym mieszanką płatków kwiatowych i traw dających wsparcie w walce. Potem obsypał Jonę.

– Co to?

– Nie zaszkodzi – odparł.

Jeszcze przed pojawieniem się napastników zaczęły brzęczeć talizmany ochronne.

– Dziwne, idą od strony wioski.

– Co w tym dziwnego? – pytał, wyciągając buławę, a drugą ręką zaklinając talizmany bojowe, żeby uzyskać właściwe działanie magii.

– Od strony wioski nie można dostać się niepostrzeżenie.



– Muszą o tym nie wiedzieć. Atakują bez przygotowania, z marszu. Albo są pewni siebie, albo odważni, albo zdeterminowani.

– Albo głupi – dodała Jona. – Czuję, że się rozdzielili i część idzie od wzgórza.

– Ilu ich jest?

– Chyba sześcioro.

– Idziemy ich przywitać. Chcesz iść razem, czy się rozdzielamy?

– Osobno szybciej ich zabijemy – stwierdziła, otwierając drzwi, a jej czekan zabłysnął granatowym światłem, a aura nabrała mrocznego odcienia. Szczyńściorz wiedział, że nie będzie jeńców.

Wyskoczyła i od razu zniknęła za zasłoną luster. Młody mag wyszedł z chaty wyprostowany, spokojny, pewny siebie. Od jakiegoś czasu nie stosował przesłon, a wręcz odwrotnie – rozświetlał swoją aurę. Przeciwnicy znali jego legendę i kiedy widzieli, że nadchodzi, popełniali błędy, które on wykorzystywał bezwzględnie. Od strony wzgórza posiadłość Jony oddzielona była polną drogą przeznaczoną do wykorzystania przez sąsiadów, którzy mieli gdzieś dalej swoje pola. Za drogą stała rozpadająca się drewniana szopa otoczona kilkoma przechylonymi drzewami i krzakami. Wtedy zobaczył rozbłyski trzech aur. Chyba ich nigdy wcześniej nie spotkał, więc nie chodziło o prywatną zemstę. Wyczuł coś jeszcze, słaby odór słodkiej stęchlizny. Jedna z aur miała nietypowy kolor, wzór i kształt. Należała do przywoływacza zmarłych, inaczej zwanego nekromantą. Z tymi trzema było też jakieś zwierzę. Stworzenie magiczne przywołane do życia z zaświatów. Musiało gdzieś się czaić w krzakach i na pewno nie należało do tych usposobionych przyjaźnie. Tamta trójka chowała się za szopą, więc młody mag domyślał się, że posła przodem istotę.

Zamyślił się i to omal nie kosztowało go życia.

– Miau, teraz!

Szczyńściorz w ostatniej chwili uskokczył. Kot wielkości kuczka rzucił się na niego z grubej gałęzi drzewa. Stworzenie nie miało aury, ale było czuć, że jest wrogie i ma pewne zdolności, w tym bojowe. Osłona na magu znowu zaiskrzyła, kot rzucił się z pazurami, a charakter cięć świadczył o tym, że w końcu się przebiję. Tymczasem trzy czarownice rozpoczęły podchodzenie do ofiary. Musiał działać szybko i zdecydowanie. Opuścił zasłonę, kot nekromantki zamachnął się,

ale kiedy zasłona opadła, to uderzenie okazało się dużo za silne. Szczynściorz uchylił się, a łapa martwego kota poszybowała tuż nad jego głową. W tej sekundzie zmaterializował w lewej dłoni włócznię i obracając się, wepchnął ją kotu przez gardło do czaszki. Wydawało się, że to powinno kota zabić, ale niestety tylko go zatrzymało, więc mag uskoczył i przyłożył do korpusu stworzenia berło. Zanucił inkantację uzdrawiania, ponieważ dla zmarłych magia życia była zabójcza.

– Ulecz się – zakończył zaklęcie, jednak zwierzę nie zginęło, tylko spowolniło swoje ruchy.

Szczynściorz uskoczył. Kot zombi miał jeszcze ochotę zaatakować, ale pozostawiona w jego szczęce włócznia przeszkadzała mu w poruszaniu się. Fajnie, że Jona miała rozsiane po posiadłości głązy, za którymi można się było schować. Kilka śmiertelnych zaklęć przefrunęło tuż obok, w tym najgroźniejsze – życzenia śmierci. Wtedy młody magik postanowił zachwiać przewagą przeciwnika i wydobyl z płóciennego worka przypiętego do pasa kamień, artefakt tworzący postaci, sługi magiczne na wzór golema. Zaplanował wrogie przejście kotełka Miau, ale kłopot był w tym, że trzeba by umieścić go w ciele tworu, a ten szamotał się kilka metrów od głązu. W normalnych warunkach każdy mag przywołałby swoje zwierzę pomagające mu w bitwie, ale orły wyszły z mody i Szczynściorz musiał sam podkraść się do konającego stworzenia. Musiał się spieszyć, żeby zdążyć przed jego śmiercią. Sęk w tym, że kotełek był już martwy i tylko teraz udałoby się go przejąć. Jeśli magia uzdrawiania zadziała, będzie za późno i zwierzę zostanie bezpowrotnie odesłane w zaświaty. Musiałby się wychylić zza głązu i przebiec do stworzenia, ale trzy czarownice były już blisko. Przeskoczył i przeturlał się do odchodzącego kotełka. Wtedy w jego kierunku nadleciały zwykłe zaklęcia noży, które i tak nie mogły mu zagrozić, jednak trafiły w lewy bok zwierzęcia i klatkę piersiową. Kot próbował go zaatakować, lecz nie miał już siły i ledwo się poruszał. Szczynściorz przywarł do niego, wytrącając go z i tak wątpliwej równowagi. Przerzucił berło do lewej ręki, a prawą wyciągnął z kieszeni kamień golema i z całej siły wepchnął go we wnętrzość nekrokota.

Czarownice były już niemal na wyciągnięcie ręki. Najbliżej znajdowała się Beata, jedna z trzech wojowniczek Liliany, uzbrojona w bojowy artefakt,

francuski bagnet, i rzucała kolejne mordercze zaklęcie. Młody mag, trzymając nadal berło w lewej ręce, odmachnął się i utworzył tarczę, na której zatrzymało się uderzenie Beaty. Szczynściorz wyrwał tkwiącą w paszczy kota włócznię, a potem cisnął nią w wiedźmę. Jej tarcza ochronna nie zadziałała, a włócznia przebiła jej prawy bark i wbiła się w skarpę za wojowniczką, ale Szczynściorz nie zamierzał na tym poprzestać i przywołał włócznię z powrotem. Przeszyła ona po raz kolejny upadającą czarownicę, tym razem przez klatkę piersiową. Liliana zawyła, jakby ten ból dotyczył jej osobiście, a Róża wydała okrzyk bojowy. Rzuciły się na niego i wściekle atakowały, szarża była o tyle niespodziewana, co szalona. Zabójcze zaklęcia otaczały młodego maga i odsuwały od nekrokota, który powoli przeistaczał się w golema, ale Liliana, poprzednia właścicielka kotełka, chyba tego nie zauważyła. Próbowwała powtórnie przejąć nad nim kontrolę, próbowała zatrzymać działanie inkantacji uzdrawiającej, ale nie wiedziała, że nie to zagrażało jej kotełkowi. Problem tkwił głęboko ukryty w jego środku i to dosłownie.

Szczynściorz opanował furię napastniczek i przeszedł do kontry. Najbliżej stała Róża. Wymachiwała swoim artefaktem bojowym, z wiedzą i doświadczeniem magicznego zabójcy. Sztylet skierowała w stronę maga i już śpiewała inkantację, ale mag był szybszy.

– Apogeum! – krzyknął i skierował w stronę Róży pochwyconą włócznię i buławę.

Uderzenie było silne, tarcza obronna nie przepuściła, ale zasada zachowania mocy odrzuciła agresorkę i rzuciła nią o głaz, który znajdował się pięć metrów za nią. Tym razem to było za dużo, zemdląca, ale jej stan był poważny. Z ust potoczyła się jasnoczerwona krew, a z dłoni wypadł sztylet, oddech z głębokiego przeszedł w płytki i niezauważalny. Szczynściorz nie miał czasu analizować stanu zdrowia rannej, ponieważ Liliana podchodziła szybko, a jej aura ciemniała od pragnienia zemsty i z wściekłości.

- Odpowiesz za wszystko, odmieńcu!
- Skąd taka nienawiść?
- Zabiłeś mi siostrę i kochankę.
- Nikt cię nie zapraszał na włości baby.
- Dlaczego ty tutaj jesteś?

- Czemu pytasz? Po kogo tu przyszedłaś? Czy ja cię znam?
- Mnie nie znasz, ale je – wskazała na dwie czarownice – uwolniłeś z więzienia w Krakowie, a teraz je zabiłeś.
- Zaatakowałaś mój dom.
- To nie jest twój dom, tylko tej baby.
- Już jest mój. Przyszedłaś po nią?
- Tak.
- Dlaczego?
- Bo ona zabiła Skazę.
- Dla twojej zemsty położyły tu głowę, a ty zaraz do nich dołączysz, kobieto o złotych nogach.
- Stawaj! Miau, bierz go! – krzyknęła do nekrokota, ale ten przechodził właśnie przemianę w golema i jako taki podległy był temu, kto włożył w niego kamień.

Sama rzuciła się na Szczynściorza, miotając przeróżnymi zaklęciami niosącymi kalectwo lub śmierć. Zbliżała się, ale moc młodego maga osiągnęła już poziom nieosiągalny dla jej możliwości. Odganiał się od niej, jednak nie ustąpił na krok. Zakłęcie pioruna kulistego było uważane za jedno z trudniejszych do wywołania podczas magicznych pojedynków, a jej udało się je wykonać i cisnąć w niego. Przeszło przez jego osłonę z ziołowych inkantacji, a zapach, jaki wywołała ta ewolucja, uderzał w nozdrza czymś podobnym do kadzidła. Mag złapał w obie ręce płonącą białym ogniem kulę, z której wyskakiwały niby frędzle płomienie elektronów. Kula zatrzymała się, nie robiąc mu krzywdy. Liliana już to kiedyś widziała i wiedziała, co się teraz wydarzy. Mag wziął więcej powietrza w płuca i dmuchnął w stronę pioruna, a ten pomknął ku czarownicy. Uskoczyła w ostatniej chwili, uważając, żeby nawet rąbkiem błękitnej spódnicy nie zahaczyć o elektryczne frędzle, gdyż cała siła przywołanego zaklęcia była zdolna do przeskoczenia na ofiarę. Schroniła się za głazem; teraz to ona musiała skrywać się za masywnym kamieniem.

Szczynściorz już chciał dokończyć sprawę, ale nad wioską nagle pojawiło się mnóstwo wyładowań piorunów kulistych. Chwilę jego zawahania wykorzystała Liliana i poderwała się, próbując uciec.

- Miau. Bierz ją! – krzyknął do nekrokotełka, a właściwie golemokotełka.

Kot będący już golemem, czyli pozażywą emanacją energii egzotycznej magii pochodzącej spoza ludzkiego wymiaru, nie był jeszcze do końca uformowany. Ruszył w stronę czarownicy, ale bez poprzedniego animuszu i tempa. Lila nawet nie zauważyła, że teraz ona jest celem dla bestii. Stanęła pomiędzy Różą i Beatą, przywołała zakłęcie spętania, którym związała też kota i dokonała teleportacji. Szczynściorza to już nie interesowało, sunął przy pomocy zaklęcia lewitacji nad wioskę, gdzie iskrzyło i dochodziło do wyładowań. Założył kaptur, a do twarzy przyłożył podobną do srebra maskę zemsty, której poszukiwał przez ostatni rok w podziemiach królewskiego miasta Graka. Dla niej stracił rok życia i rozstał się z ukochaną i synem. Wszystko po to, by wydłużyć swoje życie na Ziemi. To ona dawała mu więcej niż buława ściągnięta dwa lata temu z kosmicznego kamienia zwanego czakramem. Utracił maskę tysiąc lat temu, walcząc z ostatnim z elohimów narodów błota Europy Zachodniej.

Gdy przybył do wioski, było już po walce. Jona stała nad zwęglonymi przez pioruny ciałami brandenburskich magów. Gdy zobaczyła go w masce, coś ją zmusiło do skłonienia się.

– To mnie szukali, szukali zemsty za Wolin. A co u ciebie? – powiedziała onieśmielona.

– Zabiłem dwie z trzech czarownic. Chciały zabić cię za jakąś Skazę. Wiesz, o co chodzi?

Tłumaczyła mu historię Skazy przez dwa tygodnie, które spędzili po raz pierwszy od dwóch lat jak prawdziwa rodzina. Potem spotykali się na tyle, na ile pozwalały im ich magiczne obowiązki.

Trzeciej niedzieli adwentu 1998 roku Szczynściorz spotkał się z Dariusem, gdyż ten chciał się podzielić ważnym osiągnięciem. Zasedli w pracowni, a Dariusz wyciągnął ukrytą za książkami mistrzów amuletów, talizmanów i artefaktów buteleczkę ekstraktu szczęśliwości wyekstrahowaną ze świętej śliwy, owianym tajemnicą sposobem. To był eliksir i to jaki.

– Pali suka, co?

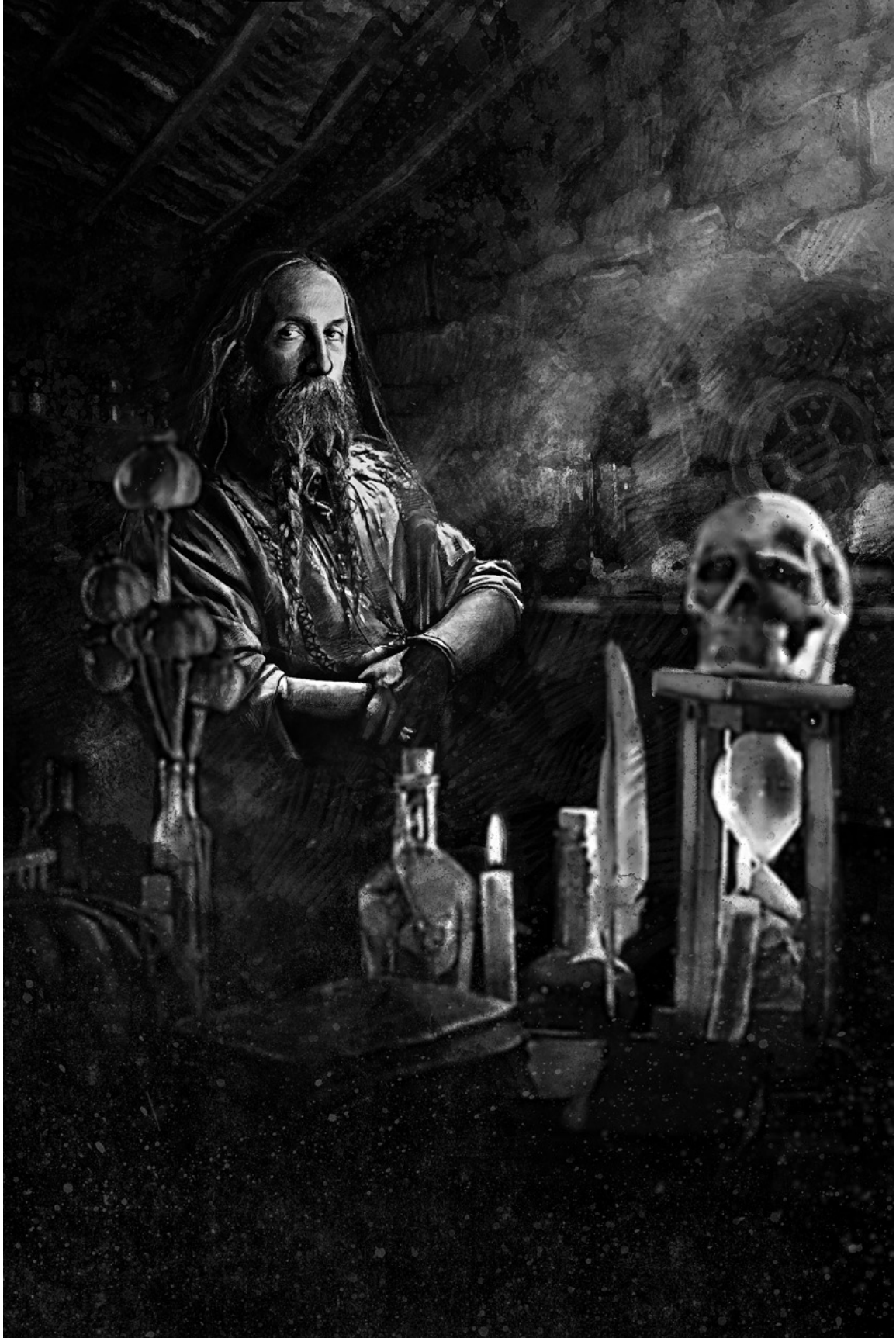
– Tak – odpowiedział młody mag, nabierając haust powietrza.

Rozmawiali całą noc, a eliksir był bardzo udany i wspomagał dyskusję. Pod koniec Dariusz zapytał:

– Nie widzisz korelacji pomiędzy twoim pojawieniem się u Jony, a atakiem czarnoksiężników? Myślisz, że kamień splątania w rękach chłopca, który przyzywa ciebie i jej wrogów, nie miał wpływu na to, co się wydarzyło i w jakiej kolejności?

– Coś w tym jest – odparł niechętnie, przepijając gorzką prawdę.

– Dobrą radę ci dam – powiedział Darius, zaczynając się śmiać. – Nie wierz nigdy kobiecie.







## PAWEŁ FAMUS



Urodzony w 1971 roku w Cieszynie. Ukończył studia chemiczne na AGH w Krakowie. Rozpoczął służbę w Straży Granicznej, którą zakończył na stanowisku średniej kadry dowódczej, a następnie pracę w ochronie placówek zagranicznych. Interesuje się wieloma dziedzinami nauki (matematyka, fizyka, chemia, astronomia, historia), dużo czyta, głównie beletrystykę, uprawia tenis i narciarstwo (teraz niestety rzadziej). Korzystając z okazji, zwiedza świat. Buduje modele redukcyjne w skali 1:72, ma w tej dziedzinie kilka sukcesów, dodatkowo jest sędzią międzynarodowym w trzech klasach. W pewnym momencie postanowił zacząć pisać to, co sam chciałby przeczytać, czyli polską space operę. Polskie Imperium w naszej galaktyce – Drodze Mlecznej, z jej problemami i wojną ze starymi przeciwnikami. Kiedy już spełnił to marzenie, wziął się za coś innego – historię alternatywną. Zawsze chciał znaleźć sposób na wyjście z drugiej wojny światowej. Bezmiar ofiar, strat materialnych, zło i cierpienie... chciał, żeby to wszystko nie było naszym udziałem. I tak powstał cykl o pokręconym tytule „Progres wsteczny”. Obecnie skupia się na pisaniu powieści urban fantasy pod tytułem „Szczyńściorz”.

Autor razem z żoną i córką mieszka dziesięć kilometrów od Gdańska.



JAROSŁAW DOBROWOLSKI

# ONA O DWÓCH DUSZACH

- XVI -

Był krótki moment, kiedy rozmyślałam, czy dobrze zrobiłam, wychodząc z tej cholernej celi. Bo przecież jak często zdarza się, żeby w takim przybytku jak Arlanowo otrzymać jednoosobowy apartament tylko dla siebie? Więźniarki chciały być zabawne i nazwały więzienie niczym znany kurort, ale oczywiście przekręciły nazwę, a potem tak już się utarło. Szarostalowe Arlanowo, pełne ciasnych apartamentów i przegranych życiorysów. Nie miało nic wspólnego z komfortem, ale przyznam, że choć mój miniaturowy pokój śmierdział szczykami i gównem, to przynajmniej miałam w nim święty spokój. Do czasu...

Jeszcze niedawno, kiedy leżałam w więziennym szpitalu, zastanawiałam się, czy któraś z pańienek nie pofatyguje się, aby wyciąć mi drugi uśmiech pod brodą lub spenetrować kijem od szczotki z brudnym mopem na końcu. Może miałam złe wyobrażenia o więziennych obyczajach, ale nic takiego nie nastąpiło. W izolatce było to jeszcze mniej prawdopodobne, więc mogłam w spokoju kończyć tu swoją rekonwalescencję.

Oto zatem leżałam sobie w celi odosobnienia. Zwinięta w kłębek na twardym posłaniu kontemplowałam zapachy z obsranego kibla, którego nigdy chyba nie myto. Nie włączali mi tam światła, a pomalowane na czarno okno nie przepuszczało najdrobniejszego promienia słońca, więc nijak nie szło zgadnąć pory dnia i nocy. Jedyne co widziałam, to cienka kreska światła pod metalowymi drzwiami i cień strażniczki od czasu do czasu przemierzającej korytarz. Tylko tyle.

Do Arlanowa trafiłam, ponieważ pan sędzia uznał, że mój mąż nijak nie mógł dwadzieścia siedem razy upaść na kuchenny nóż. Obrońca zaś nie chciał lub nie potrafił udowodnić, kto tu był prawdziwą ofiarą. Oczywiście na policji zalegały zgłoszenia sąsiadów, jak to z naszego domu ciągle słychać było płacz i krzyki. Oczywiście patrole regularnie przyjeżdżały do nas na interwencję. Tyle że kiedy już się pojawiały, otwierał im miły pan z uśmiechem dobrze znanym z telewizji. Pan, który twierdził, że prawdopodobnie zbyt głośno oglądaliśmy telewizję. Ja zaś... no cóż, zastraszona uśmiechałam się nieśmiało. Mężunio był na tyle łaskawy, że nie bił mnie po twarzy.

Trwało to latami, a moja córka dorastała w tym bagnie. Podkreślam, że moja. Mężuś dostał ją ze mną w promocji. Nigdy się nie dogadywali, a kiedy zrobiła się nieco bardziej pyskata, to po każdej kłótni przychodził do mnie wyżyć się ze swoich frustracji.

Paradoksalnie z każdym kolejnym policzkiem, pociągnięciem za włosy czy byle wyzwiskiem robiłam się coraz bardziej wytrzymała. Bo ile można znosić przemocy i upokorzeń? Nawet worek treningowy staje się coraz twardszy, kiedy się go systematycznie obija.

Doszło do tego, że zwyczajnie się nie odzywałam. Byłam duchem we własnym domu, cholernym elementem wystroju. Leżałam cicho, kiedy mąż pokładał się na mnie, sapał i wciskał mi swoje końcówki w różne miejsca. Nie odpowiadałam na zaczepki, a kiedy podnosił na mnie rękę, to przyjmowałam cięgi ze stoickim spokojem. Stałam się dla niego martwa.

Kiedy sfrustrowany zagroził mojej córce, coś we mnie pękło. Aneta miała wtedy dwanaście lat. Co ona była winna? Wróciła właśnie od koleżanki i przygotowywała sobie kolację. Najpierw czepiał się, że za późno przyszła, a potem miał do niej pretensje, że nie zapytała, czy on przypadkiem nie jest głodny. A nie był, bo dopiero co skończyliśmy późny obiad. Ale, jebany, czepnął się tak dla zasady. Może potrzebował, by ktoś mu w końcu odpowiedział? Odezwał się do niego. Zareagował w jakikolwiek sposób... No więc dziewczyna zrobiła swoje. Zwzywała go i kazała spierdalać. Nie wiem, czy byłam wtedy bardziej przerażona, czy dumna. Nadal nie wiem.

Niestety... dla niego niestety. Popęłnił błąd, podniósł na nią rękę. Niby takie ojcowskie karcenie, ale jak już wspomniałam – nigdy nie był dla niej ojcem. Nic w życiu nie zrobił, żeby na to zasłużyć.

Zanim zadał drugie uderzenie, w jego plecach tkwiło już ostrze noża do krojenia mięsa. Dobry wyrób, najlepsza japońska stal. Ciął włókna i potrafił przepiłować kości.

Prokurator mówił, że dziewięć razy uderzyłam męża w plecy. Dopiero wtedy zdołał się do mnie odwrócić. Obraz jego wykrzywionej w bólu i gniewie twarzy zostanie ze mną do ostatniej chwili. Dziwne, bo nie był zaskoczony, tylko zły, że mu przerwałam. Widzę go nawet teraz. Gorejące oczy i grymas przypominający jedną z tych masek demonów jak w samurajskich hełmach.

Kolejny sztych wsadziłam mu w oczodół tak głęboko, że zarysowałam kości czaszki. Następny trafił w policzek, przecinając dziąsła i język oraz naruszając krtań. Potem schodziłam coraz niżej. Dwa razy w szyję, pięć w klatkę piersiową... Chyba szukałam serca. Wtedy zdołał jeszcze mnie złapać, ale nie widział już, co robi. Ja zaś wsadziłam mu w brzuch nóż, którym dopiero co kroiliśmy kotlety na obiad. Podobno na koniec jeszcze zahaczyłam o podbrzusze.

Dwadzieścia siedem dźgnięć. Głębokich, pełnych pasji. Niczym odwrócony akt miłości.

Aneta była przerażona, lecz zdaje mi się, że widziałam też ulgę w jej oczach. Myślę, że gdyby nie ja, to prędzej czy później ona poderżnęłaby mu gardło we śnie. Niestety już wtedy obie wiedziałyśmy, że będą konsekwencje tego czynu.

Afekt nie jest w Polsce żadnym usprawiedliwieniem. Jak się okazuje zeznania sąsiadów dotyczące przemocy domowej również. Bo najwyraźniej trzeba naprawdę wiele determinacji, żeby uderzyć kogoś dwadzieścia siedem razy. Mogłam zrobić to raz czy dwa w samoobronie, ale kontynuowałam, aż byłam pewna, że już nie wstanie. Poza tym... był znany. Senator, filantrop, człowiek głęboko wierzący i okazujący to na każdym kroku.

Trzeba było ze mnie zrobić przykład. Przecież miejsce kobiety jest w kuchni, a ta rozwódka, była dziennikarka co go kiedyś uwiodła i ciągnęła od niego kasę na siebie i swoje nieślubne dziecko, to samo zło przecież jest! Boże broń, żeby w dzisiejszych czasach taką ułaskawić. Zaraz książkę napisze, ludzi podburzy, sondaże zepsuje. Więc mnie wsadzili. Dobrze, że nie wpadli, żeby wrócić do palenia kobiet na stosie.

Do mojego apartamentu – tej zimnej, obmierzłej klitki – trafiłam trochę na własne życzenie. Mogłam być nieco bardziej uległa, ale chyba już nie potrafię. Bo w Arlanowie niestety takie jak ja, czyli panie z dobrego domu, mają zwykle przejebane. Zwłaszcza te, które było w swoim czasie stać na parę modyfikacji.

Mężunio lubił wygląd krągłości pod bluzką. Lubiał pochwalić się silikonowym, acz gustownym biustem żony i jej pełnymi ustami. Niestety za kratami doskonała praca doktora Leszczyńskiego stanowiła jedynie powód do zazdrości.

Zaczęło się od ukradkowych spojrzeń i niewybrednych komentarzy wypacykowanych jak niedorozwinięte dziwki młódek lub szturchnięć

pomarszczonych pijaczek. Jedna czy druga próbowały mnie dotknąć. Z początku unikałam ich i wzdrygałam się jak wstydliva uczennica. Ot głupi odruch, bo po latach gwałtów ze strony męża niewiele już mnie ruszało. Ale kiedy w końcu zabrakło mi cierpliwości i natrętne picze dostały po ryju, to uznały, że zabiorą mnie do pralni na małe *tête-à-tête*. Postanowiły usunąć mi implanty, żeby zobaczyć, jak takie wyglądają. Miałabym im to za złe, gdyby nie fakt, że nigdy ich nie chciałam.

Dopadły mnie w cztery. Najpierw obity po twarzy, a potem skopały. Zastanawiały się, czy botoks może wypłynąć z pękniętej wargi, ale na tym etapie niewiele już miałam go w sobie. Następnie zakneblowały mnie i przywiązały sznurami zrobionymi z ubrań do wbudowanych w ścianę pralek. Rozerwały koszulkę i bawiły się powodami do dumy mojego zmarłego męża. Dwoma balonami w rozmiarze D. Szukały blizn po operacji, ale nie wiedziały, że doktor Leszczyński sprytnie wsunął wszczepy przez sutki. Nie zraziły się jednak.

Mojka zrobiona ze szczoteczki do zębów to strasznie chujowe narzędzie, które niestety nie zastąpi porządnego skalpela. Chirurg w szpitalu cholernie się męczył, żeby zaszyć rany. Dwa upiorne uśmiechy na moich żebrach, poszarpane niczym paszcze jakiegoś potwora.

Czy bolało? Myślę, że to mało powiedziane. Ale jakie to ma teraz znaczenie?

Czemu zatem trafiłam do karceru? Bo gdy rzuciły mnie na ziemię niczym krwawy ochłap, odwróciły się, żeby się umyć. Głupie pizdy myślały, że jeżeli z bólu puściły mi zwieracze, a ja leżałam już w kałuży krwi, to sprawa jest załatwiona.

Kiedyś, jak jeszcze pracowałam w mediach, zaczął mnie chuligan na demonstracji tylko dlatego, że chodziłam z mikrofonem i zadawałam pytania. Kamerzystę odgradzili jego koledzy, więc przez chwilę byłam sama. Wielki drab górował nade mną niczym wieża zrobiona z mięsa i patriotycznego odzienia. Pchnął mnie na krawężnik i kopnął. Jedyne co pamiętam, to przestrzeń, która zrobiła się dookoła nas, kiedy chuligani rozpierzchli się niczym ławica spłoszonych rybek. Stałam nad przerażonym demonstrantem zalewającym się krwią. W dłoni trzymałam jakiś kamień czy inny kawałek betonu. Potem niczym w filmie złożonym z przeźroczy przypominam sobie kamerzystę odciągającego

mnie w kierunku kordonu policji i kolejne fale szoku zalewające mój umysł i ciało.

Może jestem opętana? A może doświadczenia z mężusiem sprawiły, że gdzieś w środku wyhodowałam swojego małego demona. Bo jak to możliwe, żeby ktoś w stanie agonalnym rzucił się na współwięźniarkę, wylupił jej oczy i przegryzł tętnicę?

Wbrew pozorom nie jest to takie trudne. Wystarczy skoczyć ofierze na plecy, wbić palce w oczy, przytulić się, ale tak bardzo mocno. Potem tylko z całych sił zacisnąć zęby na szyi i czekać. Kiedy koleżanki wkrótce już martwej pindy będą cię odciągać, to zaciskasz zęby coraz mocniej. Nie trzeba nawet szarpać. Przynajmniej dopóki jedna z nich nie wpadnie na pomysł, żeby dać ci czymś ciężkim po głowie.

Dlatego właśnie leżałam sobie w odosobnieniu. Zmarznięta, zszyta i nie do końca zagojona. Winna już dwóch morderstw.

W Arlanowie siedziałam od dwóch lat, siedmiu miesięcy, osiemnastu dni i trzynastu godzin. Tak, liczyłam nawet minuty. Powód był oczywisty – tęskniłam za córką. Do niedawna kalkulowałam, że kiedy mnie wypuszczą, Aneta będzie kończyła dwadzieścia jeden lat. Niestety opiekun zabronił jej spotykania się ze mną. Sama nie wiem, co byłoby dla niej lepsze – rozłąka czy widok mamusi w tym uroczym miejscu.

Zanim trafiłam do karceru, spędziłam dwa długie tygodnie na szpitalnym łóżku. Duszona przez gorset z bandaży i opatrunków, zupełnie jak po operacjach u doktora Leszczyńskiego. Wysłuchiwałam narzekań podstarzałych, wyniszczonych panienek o tym, co i gdzie je boli. Przyziemnych historii złamanych nosów, wypadających zębów i bolesnych okresów oraz trudów zmagania się z menopauzą.

Lekarz był starym zboczeńcem, a pielęgniarki... no cóż, nie zależało im na rozmowie. Jedyнным pozytywem w tamtym czasie okazała się znajomość z Melą.

Młodsza ode mnie dziewczyna dopiero co trafiła do tego wesołego kurwidołka. Osadzona za rozbój oraz zniszczenie mienia mocno nieociosana dziewczucha z Podhala. W moim mniemaniu miała ogromny potencjał. Nawet potrafiła się jakoś wysłowić, ale w tym, co mówiła i jak to mówiła, dało się odczytać ilość zła, jakiego w życiu doświadczyła oraz mnogość utraconych szans.

Któregoś dnia wygadała się o ojcu pijaku i matce latawicy. Mówiła, jak bił ją regularnie, a podczas libacji u nich w domu, kiedy wszyscy leżeli już nieprzytomni, dobierali się do niej koledzy tatusia. Cóż mogła zrobić? Uciekła, jeszcze zanim skończyła szesnaście lat. Poznała starszego od siebie faceta, który ją przygarnął i był dla niej dobry. Żyli tak sobie, dopóki nie odkryła, że typ jest heroinistą. Kiedy brakło mu na towar, to zapożyczał się lub sprzedawał wszystko, co miał pod ręką. Raz nawet kazał jej jechać do dilerów i zrobić mu laskę za działkę. Wybrała inaczej. Zabrała jakiemuś dzieciakowi pistolet na kulki i poszła obrobić lombard. Zuch dziewczyna, z fantazją. I to wszystko w szóstym miesiącu ciąży.

Leżałyśmy w szpitalu, a ona szykowała się powoli do porodu. Pierwsze fałszywe skurcze, pierwsze bóle i niepokój. Kiedy maska twardej opadła, płakała, błagając wszystko co święte i plugawe, aby nie urodziła w zakładzie. Nikt nie słuchał. Tak przynajmniej mi się wydawało.

Polubiłam ją. Głównie za to proste i dosadne poczucie humoru, jakim czasem się popisowała. Myślę, że nasłuchiwała się sporo pijackich żarcików ojca i jego kumpli. Zawsze miała coś ciekawego do wrzucenia. Na wszystko znajdowała jakąś pokręconą anegdotę lub kąśliwy komentarz. Kiedy tylko pielęgniarka się skrzywiła lub strażniczka zachowywała się, jakby połknęła kij, ona potrafiła obrócić to tak, że można było ze śmiechu szwy sobie pozrywać. Ot nasza mała, nieociosana Mela.

Leżąc w celi odosobnienia zastanawiałam się, czy już urodziła. A może poczuła się lepiej i siedziała w swojej celi, czekając na jakieś konkretne ruchy Tadzia. Bo tak właśnie chciała dać chłopcu na imię. Tadeusz. Mówiła, że to po ojcu.

Tuż zanim zabrano mnie do karceru, zostałam wezwana na spotkanie z urzędnikiem, który przekazał mi smutne wieści. Przylepili mi kolejne trzy lata do wyroku i tydzień rehabilitacji w moim małym pokoiku. Ot sprawiedliwość. Nagroda za dzielne zniesienie amatorskiej operacji chirurgicznej i przekroczenie obrony koniecznej.

Kiedy wróciłam do szpitala po swoje rzeczy, Mela wydawała się nadzwyczaj podekscytowana.

- Nie uwierzysz! - powtarzała w kółko. - Rozmawiałam z nią.
- Z kim?



– Z Elą – odparła z nadzieją w głosie. – No tą... Czarną Elą, no – podkreśliła z błyskiem w oku. – Ale nic nikomu nie gadaj. Będzie dobrze. Zobaczysz, będzie naprawdę dobrze.

– Mel, dziewczyno. – Uśmiechnęłam się, kanalizując ostatki ciepła, jakie mogłam w sobie znaleźć. – Coś ci się zdawało. Nie ma żadnej takiej w Arlanowie. To bujda.

Czarna Ela była miejscową legendą. Oczywiście w naszym wspaniałym przytułku resocjalizacji kiblowało z nami siedemset innych kobiet. Myślę, że gdyby je zebrać na spacerunku i rzucić kamieniem, trafiłoby się w jakąś Elżbietę. Ale ta Ela to było coś innego. Podobno zamknięto ją tu jakieś pięćdziesiąt lat temu za dosyć makabryczne osiągnięcia. W latach siedemdziesiątych to miejsce musiało być jeszcze bardziej szare i kurewsko smutne. Jak się okazuje, obecność seryjnej morderczynie młodych dziewczyn była tu sensacją porównywalną z wizytą gwiazdy rocka.

Ela ponoć miała temperament. Potrafiła uwieść każdą i każdego. Ładna, inteligentna, magnetyczna niczym rodzimy Charles Manson. Mówiono, że gziła się z więźniarkami, strażnikami, lekarzami, a nawet z kapłanem. W jej obecności nikt nie mógł czuć się bezpieczny, bo albo go wyruchała, albo odgryzła jakąś jego część ciała. Gdyż ze wszystkich jej perwersji podobno najbardziej podniecał ją smak ludzkiego mięsa. Mówiło się, że kiedy jej szaleństwo sięgnęło zenitu, została w końcu zamęczona przez strażników, a jej ciało ukryto gdzieś na terenie zakładu. Więźniarki jednak nie zapomniały. Opowiadały sobie o niej. Mówiły, że była strzygą, że miała dwie dusze i tylko jedna z nich umarła. Wymyślały coraz bardziej niestworzone historie, a z czasem zaczęły się do niej odwoływać jak do jakiejś świętej. Bały się jej i wielbiły jednocześnie. Zrobiły z niej swoją własną Santa Muerte, tyle że w warunkach polskiego szamba.

– Ale ja... – Mela jęknęła niepewnie.

– Ciii – uspokajałam. – Uwierz mi. Dwa lata tu jestem i jedyna Ela jaką znam to szczerbata grubaska, która po pijaku zatłukła męża patelnią... Może nie Czarna, ale na pewno ciemna.

Mela posmutniała. Trochę ją rozumiem. Nadzieja to cholernie mocny narkotyk.

Siedząc w karcerze, sporo o niej myślałam, chyba tak samo dużo co o Anecie. Młodziutka była. Może nie niewinna, ale miała w sobie tę samą iskierkę temperamentu co moje dziecko. Już teraz widziałam siebie za osiem lat, kiedy wychodzę, żeby zobaczyć, jak moja dziewczynka jest na studiach, zakłada rodzinę. Mela była właśnie w tym wieku.

Kiedy nie ogarniasz, czy jest dzień, czy noc to zaczynasz tracić zmysły. Jesteś non stop pobudzona, by za chwilę być potwornie zmęczoną. Niby chce ci się spać, lecz ciało ma problem z zaśnięciem. Raz masz pusto w głowie, by za chwilę zalał cię natrętny strumień świadomości, wyrzuający pod czaszką słowa oraz myśli wrzeszczące i zabiegające o uwagę niczym oszalałe z radości szczeniaki.

Strażniczki przynosiły posiłki w miarę regularnie. Tak przynajmniej mi się wydawało. Ich przybycie zawsze zwiastowały spokojne kroki na korytarzu. To były zupełnie inne kroki, niż kiedy po prostu przechodziły. Nieco wolniejsze, ale bardziej pewne siebie. Ja zaś, niczym pupil doktora Pawłowa, zaczynałam się wtedy ślinić na myśl o letnich ziemniakach, wodnistej zupie i kawałku słabo doprawionego kurczaka smakującego śmiercią.

Ostre niczym szpilki zimne światło zalewało pomieszczenie jeszcze zanim ktokolwiek do niego wszedł. Po chwili słychać było szcęk zamka, skrzypnięcie wrót i w małym przedsionku za kratą pojawiała się kamienna twarz strażniczki. Taca lądowała na półce, z której mogłam ją sobie odebrać. Oczywiście cerber pozostawał ze mną do końca posiłku, uważnie patrząc, czy aby nie zrobię sobie krzywdy. Olewałam to i na wpół ślepa pałaszowałam cokolwiek mi podali, zaspokajając proste potrzeby instynktu przetrwania.

Co zatem sprawiło, że wyszłam z celi przedwcześnie? Może to fakt, że jedzenie nie pojawiło się na czas. Może krzyki i zawodzenia, które słyszałam we śnie. Trudno powiedzieć, bo od kiedy zamknięto mnie w karcerze, sama nie wiem czy i ile spałam. Z jednej strony wszystko, co działo się między jednym a drugim posiłkiem, mogło być snem. Z drugiej – te krótkie chwile, kiedy mózg musiał już odpocząć, mogły stanowić zaledwie niezauważalne pauzy pozbawione cudownego i błogiego zejścia w głębsze fazy snu.

Nie wiedziałam, czy jestem przytomna. Niedobrze mi było po ostatnim posiłku, a smród z kibla zrobił się wyjątkowo odrażający. Przenikał całe

pomieszczenie, nieubłagane wślizgując się do moich ust i nosa, co pod wieloma względami przypominało chwile spędzane sam na sam z moim zmarłym mężem.

Skóra mi ścierpła, a włosy na karku stanęły dęba... Przecież we śnie nie czuje się zapachów... Nagle krzyki odbijające się echem w korytarzu zdały się nader prawdziwe. Było w nich też coś dziwnego, nieludzkiego wręcz. Coś, co w jakiś sposób tańczyło szalony taniec na granicy bólu i rozkoszy. Obrazy, które podpowiadała mi wyobraźnia, przypominały chory romans Gigera i Beksińskiego.

Usiadłam na twardej pryczy, stękając z bólu. Wpatrywałam się w ciekłą linię przyćmionego światła wdzierającego się do celi przez szparę pod drzwiami.

Niespodziewanie, niczym grom z jasnego nieba, celę zalała fala jaskrawego światła. Nieprzygotowana zasłoniłam twarz. Porażone nagłym impulsem gałki oczne zostały ściśnięte w czaszce, jakby moja głowa zamieniła się w wielkie imadło. W tej jednej chwili czułam każde połączenie nerwowe na linii mózg – oko.

Musiałam się rozejrzeć, lecz jaskrawe plamy tańczyły mi przed oczami, kłując źrenice lodowymi szpilkami. Na próżno starałam się je odegnąć, by przyzwycząić wzrok do nowych warunków. Czułam lży powoli materializujące się w kącikach oczu.

Nie mogłam skupić wzroku, przez chwilę nawet myślałam, że ośleplam. Przecierałam oczy i mrugałam. W końcu dotarła do mnie oczywista prawda – w celi znowu było ciemno.

Zastanawiałam się nawet, czy jest to jakaś wymyślna tortura, którą postanowiono umilić mi pobyt w tym cudnym apartamencie. Kurczowo zaciskając powieki, przygotowywałam się na kolejny atak.

Czas mijał nieubłagane, lecz nic się nie działo. Otworzyłam w końcu oczy i podskoczyłam na mojej twardej pryczy. Wszystkie mięśnie przerażonego ciała spięły się w jednym momencie, a z ust wydobył się niekontrolowany krzyk.

Oto zobaczyłam postać stojącą tuż przede mną, na samym środku ciasnej celi. Jej głowę otulały kaskady włosów ciemniejszych niż mrok w pomieszczeniu, a w miejscu, gdzie powinna być twarz, ziały dwie bezdenne czeluście patrzące na mnie z chorą fascynacją.

W panice zacisnęłam mocno powieki. Jak małe dziecko oszukiwałam się, że jeżeli ja nie widzę potwora, to potwór nie widzi mnie. Policzyłam w myślach do dziesięciu, otworzyłam oczy i odetchnęłam z bolesną ulgą. Byłam sama, a w celi zapalono światło.

Nie był to koniec niespodzianek. Tym razem odkryłam, że zarówno drzwi do celi, jak i krata wewnętrznego przedsionka stały otworem.

Może to jakiś syndrom więźnia lub resztki grzecznej dziewczynki we mnie. Śmieszne i żałosne zarazem. Cokolwiek to było, sprawiło, że nie wyszłam od razu. Siedziałam na prycy, obejmując rękoma podkulone nogi i wciskając brodę w kolana. Jak zahipnotyzowana wlepiałam wzrok w otwarte drzwi, oczekując, że za chwilę pojawi się w nich posępna twarz strażniczki. Ale ile można tak siedzieć?

Mogła minąć minuta, godzina, może nawet cały dzień, ale ostatecznie ciekawość zwyciężyła. Zbliżyłam się zatem do wyjścia tak cicho, jak tylko mogłam.

– Halo? – zawołałam niepewnie. – Czy coś się stało? Cella jest otwarta. Nie wiem, co się dzieje... Wyrzę teraz na zewnątrz...

Wychylnęłam na korytarz. Ciasny i duszny, śmierdział pastą do podłogi. Prowadził kilkanaście metrów ku ścianie zakończonej ostatnim karcerem, a w drugą stronę – ku kracie śluzy.

Dwadzieścia jeden drzwi sal odosobnienia stało otworem. Ledwo dające jakiegokolwiek światło żarówki oświetlały początek i koniec korytarza pomalowanego farbą olejną o paskudnym odcieniu zleżalej musztardy.

Nieśmiało zajrzałam do celi obok, potem do kolejnej i jeszcze jednej. Nigdzie nie zastałam ani żywej duszy. Oprócz dalekiego już echa ni to krzyków, ni to szeptów słyszałam odgłos własnych kroków i swój oddech, głośny niczym szum wiatru.

Powoli zbliżyłam się do śluzy, licząc, że tam znajdę kogoś, kto powie mi, co się dzieje. Jak na złość zawsze zamknięta krata została odbezpieczona i zapraszała wręcz, żeby przekroczyć jej próg.

Kolejna brama doprowadziła mnie do stróżówki położonej tuż przy klatce schodowej. Próbowałam zajrzeć do środka, lecz niewiele dało się dostrzec przez zbrojone szkło. Pomieszczenie wydawało się zaciemnione. Mimo wszystko zapukałam w szybę.

– Halo – powiedziałam. – Co się dzieje? Wszystkie cele są otwarte. Nigdzie nie ma strażniczek.

Znowu odpowiedziała mi cisza.

Czasami sami karcimy siebie za to, że dajemy się ponieść paranoi. Uprawiamy pieprzone czarnowidztwo w głowie, dopisując sobie mroczne scenariusze. Paranoja jest jak wyrafinowany drapieżnik. Skrada się do ciebie, podgryza. Osłabia morale, a kiedy niczego się nie spodziewasz, atakuje z pełną siłą. Tak było i ze mną.

Postanowiłam wejść wyżej, na parter budynku. Kolejna śluza znajdowała się tuż przed schodami. Już miałam przejść przez jej drugą bramę, kiedy dookoła zawyły syreny alarmowe. Świdrujące dźwięki wibrowały mi w uszach, sprawiając, że nogi się pode mną ugięły. W tym samym momencie zaskoczyły silniki wszystkich bram, natychmiast je zamykając.

Wiedziona instynktem rzuciłam się, próbując złapać bramę i nie pozwolić jej się zamknąć. Głupie, wiem. Przecież śluzy w więzieniu służą do powstrzymania osób takich jak ja – próbujących wydostać się na zewnątrz. Jak można było się spodziewać, nie zdążyłam. Moje ramię, prawa noga oraz kawałek klatki piersiowej zostały przytrzaśnięte przez stalową kratę. Do syren alarmowych dołączył dzwonek sygnalizujący zacięcie bramy.

Silnik urządzenia nie dawał za wygraną, próbując mnie zgnieść. To ciekawe, że w tamtej chwili nie myślałam o konsekwencjach tego, co robię. Niczym zwierzę w potrzasku próbowałam się wydostać i przemóc bezduszną machinę. W uszach dźwięczała mi kakofonia syren i dzwonek alarmowych, a ja czułam, jak pękają mi szwy na klatce piersiowej, żebra powoli się uginają i przeskakuje mi staw w ramieniu.

Nie poddawałam się jednak. Oparłam nogę o kratę i wykorzystałam ją jako punkt podparcia, mając nadzieję przeciążyć mechanizm bramy.

Maszyna nie ustępowała. Ból promieniujący od ramienia rozlewał się na całe ciało, a na koszulce pojawiły się pierwsze wykwity świeżej krwi. W desperacji chciałam wyć, ale powoli traciłam oddech. Z moich ust wydostawało się jedynie pozbawione mocy charczenie.

Nie mogłam tam utknąć. Nie chciałam dać się zamknąć w śluzie, gdyż nie wiedziałam, czy kiedykolwiek jeszcze się otworzy. Powoli zaczynałam tracić

świadomość.

I nagle stało się. Kompletnie bez ostrzeżenia syreny zamilkły, światła zgasty, dzwonki ucichły. Mechanizm bramy odpuścił.

Upadłam na podłogę, łapiąc oddech, jakby był pierwszym w moim życiu. Ramię rwało okropnie. Pod bluzką pociłam się krwią przeciekającą przez bandażę. Rzecz w tym, że cieszyłam się, bo byłam wolna... Na tyle, na ile mogłam być w tamtej chwili. Spojrzałam w górę schodów ze strachem i nadzieją, zacisnęłam zęby, i ruszyłam przed siebie.

Piętro wyżej zastałam ten sam obraz, który widziałam przed chwilą. Niedomknięte kraty, puste stróżówki, otwarte drzwi na podwórze. Ani żywej duszy.

Na zewnątrz panowała noc, choć rozświetlona jakąś dziwną luną niewiadomego pochodzenia. Wyszłam z budynku. Zimny wiatr owiewał puste alejki pomiędzy betonowymi kłocami Arlanowa. Gdzieś nade mną kotłowały się ciemne chmury, grożąc w każdej chwili ulewnym deszczem. W całym budynku nie paliła się ani jedna żarówka, ani jeden reflektor. Kamery były wyłączone. Nic nie emitowało żadnej formy sztucznego światła. A jednak pomimo gęstych chmur zasłaniających niebo coś z zewnątrz rzucało lunę na kompleks.

Rozejrzałam się ponownie i dopiero wtedy ujrzałam ogromne snopy światel strzelające w niebo tuż za murami więzienia. Czyli gdzieś jednak był prąd.

W pewnym momencie zdało mi się, że zobaczyłam poruszenie w pobliżu bloku, w którym znajdowała się moja cela, ta właściwa. W ciemności trudno było cokolwiek wywnioskować, jednak ten sam budynek mieścił zarówno więzienny szpital, stołówkę jak i oferował wyjście na położony wewnątrz jego murów spacerniak. Jeżeli gdziekolwiek można było zgromadzić rezydentów Arlanowa lub dowiedzieć się co właściwie ma miejsce, był nim blok A.

Martwiłam się o Melę. Co robi? Czy leży teraz w więziennym szpitalu pozostawiona z widmem nadciągającego rozwiązania? A może jest z innymi więźniarkami, gdziekolwiek teraz były?

Szarpnęłam drzwi wejściowe budynku A i weszłam do środka. Echo moich kroków odbijało się w pustych korytarzach. Postanowiłam jak najszybciej dotrzeć do szpitala. Nie chodziło o zerwane szwy, musiałam sprawdzić co z Melą.

Dyszałam coraz mocniej, już nie tyle idąc, co biegnąc przed siebie. Krew dudniła mi w uszach. Choć krwotok pod bluzką na razie ustał, to prawe ramię paliło żywym ogniem. Każdy kolejny ruch stawał się torturą.

Skręcałam w korytarz prowadzący do stołówki i śliska podłoga uciekła mi spod nóg. Tylko cudem uniknęłam uderzenia głową o beton. Z bólu miałam ochotę wymiotować.

W końcu jakoś zdołałam złapać oddech. Mimowolnie jęknęłam, kuląc się na podłodze w pozycji embrionalnej. Nie wiem, jak długo tak leżałam, ale wiedziałam, że nie chcę już się ruszać. Skręcałam się, próbując w ten sposób odgonić cierpienie, zupełnie jakby było żywą istotą. Żadna pozycja nie przyniosła ukojenia. Miałam ochotę umrzeć.

Po jakimś czasie świat wrócił na swoje miejsce. Zasłona bólu opadała, a moje zmysły zaczęły rejestrować otoczenie. Leżałam na twardej podłodze w zimnym korytarzu. Coś potwornie cuchnęło. W powietrzu wisiał smród kojarzący mi się z mięsem, z rzeźnią. To co przykuło moją uwagę, to mokra substancja rozlana dookoła. Lepka i śliska zarazem.

Podniosłam się, czując, jak moje ubranie odkleja się od podłogi. W tym świetle nie widziałam dokładnie, ale miałam wrażenie, że leżałam w kałuży krwi. Na wpół płynnej, na wpół zastygającej, urozmaiconej kawałkami skrzepów i bliżej nieokreślonych tkanek.

Przesunęłam się nieco do ściany i spróbowałam wstać. Udało mi się. Dalej należało już iść nieco ostrożniej. Wstając, odkryłam coś jeszcze. Coś, co było tak abstrakcyjne, że niesiona z tym groza owładnęła mną dopiero po chwili. Ściany spływały krwią.

Wzdrygnęłam się i odsunęłam ostrożnie. Nie potrafiłam opanować dreszczy, znowu zbierało mi się na mdłości. Próbowałam przyjrzeć się ścianie, ale niewiele widziałam w łunie wpadającej przez zakratowane okna.

Nie wiem, na ile podpowiadała mi to wyobraźnia, w której nadal natrętnie kłębiły się koszmarne stwory z plakatów Beksińskiego, a na ile wzrok mnie mylił. Wydawało mi się, że plamy krwi na ścianach wyraźnie układały się w regularne wzory. Jakiś koszmarny, nieznan mi alfabet łuków i geometrycznych linii. Agresywny w swej wymowie i tajemniczy niczym te pokręcone napisy na okładkach płyt zespołów deathmetalowych.

Zimny dreszcz obrzydzenia ponownie przeniknął moje ciało. Zadałam sobie wtedy to pytanie po raz pierwszy. Czy oszalałam? Czy to możliwe, że postradałam zmysły? Może ciągle siedzę tam w karczerze? Może mającę w gorączce, bo moje rany zaogniły się, bo podany w więziennym szpitalu antybiotyk zwyczajnie nie zadziałał? A może tak naprawdę umarłam od ran i to jest jakaś wersja mojego piekła? Zamknięta w samotności. Na zawsze tułająca się po labiryncie własnego więzienia, w którym będę raz po raz odkrywała potworności dokonanych przeze mnie czynów.

Tyle że to nie były majaki. Powtarzałam sobie, że we śnie nie czuje się zapachów! Nie potrafimy ich przywołać. Ludzki mózg tego nie potrafi.

Wszechobecny smród świeżej padliny stał się zatem moją jedyną kotwicą w rzeczywistości. To wszystko wyglądało jak koszmar, ale skoro byłam przytomna... ten koszmar musiał objąć Arlanowo.

Zaalarmowana nagłym łoskotem przypadłam do ściany. Brzmiał jak huragan szalejący na podwórzu. Nie wiem, jak mogłam go wcześniej nie słyszeć, ale kiedy zdałam sobie sprawę z tego, co się dzieje, źródło hałasu było już bardzo blisko. Kojarzyłam ten dźwięk z czasów pracy jako reporterka. Świszczący silnik, wirujące ostrza tnące powietrze. Helikopter.

Uważając na zdradliwą podłogę, dopadłam do najbliższego okna wychodzącego na uliczki zakładu. Nie musiałam długo się rozglądać, by zobaczyć ciemny śmigłowiec wiszący kilkanaście metrów nad podwórzem. Jego reflektory omiatały chodniki jak czułki jakiegoś insekta. I wtedy dotarło to do mnie. Alarm, brak prądu, puste stróżówki i wojskowy helikopter. Zawsze mi się wydawało, że bunt w więzieniu to temat amerykańskich filmów klasy B. Ale najwyraźniej właśnie brałam w jednym udział.

Przytłumiony przez okna dźwięk metalowej suwnicy oznajmił, że boczne drzwi maszyny zostały rozwarte. Zaraz po tym zobaczyłam czarne liny opadające ku ziemi. Po chwili zaś zsunęły się po nich ciemne sylwetki żołnierzy desantujących się na podwórze przed blokiem A.

Nie znam się na broni, ale widziałam, że byli uzbrojeni po zęby. Kominiarki, czarne hełmy i noktowizyjne gogle. Dziewięciu operatorów AT. Sprawnie rozstawili się na płycie, zabezpieczając teren do momentu, kiedy dał się słyszeć



mocniejszy ryk silnika i ich śmigłowiec odleciał, pozostawiając oddział na miejscu.

Antyterrorysty ruszyli biegiem w kierunku wejścia do Budynku A. Dokładnie w moim kierunku.

Oszalamiający strumień myśli paraliżował. Pobiec do nich? Dopaść do czarnych rycerzy, robiąc z siebie damę w opałach? Poprosić o azyl? Głupota! Byłam więźniarką utaplaną w cudzej krwi, podczas buntu płaczącą się po korytarzu więzienia. W najlepszym wypadku mogłam liczyć na porażenie taserem. W najgorszym...

Serce zabiło mi mocniej. Szybko rozejrzałam się w półmroku, szukając jakiegokolwiek miejsca, gdzie mogłabym się schować. Dostrzegłam drzwi do prowizorycznej sali fitness. Żadnych luksusów. Kilka mat, bieżnia, orbitrek, dmuchane piłki do ćwiczeń. Nic czym można by się udusić lub kogoś uderzyć.

Wpadłam szybko do środka i schowałam się za stertą mat do jogi. Bezskutecznie próbowałam uspokoić oddech. Złapałam koszulkę, zwinęłam jej kawałek w garści i przycisnęłam do ust i nosa. Niemal dusiłam się sama, lecz wiedziałam, że nie mogę wydać z siebie nawet najmniejszego dźwięku. W myślach liczyłam do dziesięciu, skupiając się na wyregulowaniu oddechu i uspokojeniu walącego serca.

Słyszałam zbliżające się szybkie stąpanie taktycznych butów po winylowej podłodze pokrywanej beton. W pewnym momencie dało się słyszeć ten charakterystyczny dźwięk odlepiania czegoś od lepkiej powierzchni. Kroki na chwilę ustały. Pomyślałam, że zauważyli krew.

Wzdrygnęłam się, dostrzegając pierwszego, który przeszedł obok na wpół uchylonych drzwi. W lekko zgarbionej pozycji, z pistoletem maszynowym pod brodą, przemknął niczym cień. Nie wiem czemu, ale się rozluźniłam. Pomyślałam, że jestem bezpieczna, że wszyscy pójdą dalej.

Myliłam się.

Podskoczyłam ze strachu, kiedy operator wpadł do środka sali. Omiótł wnętrze wzrokiem noktowizyjnych gogli idealnie zestrojonych z przyrządami celowniczymi jego broni. Natychmiast mnie zauważył.

Podniesienie rąk to odruch. *Nicht schießen*<sup>18</sup> wpojone nam przez lata nauki o drugiej wojnie światowej i dzieciństwo spędzone z Jankiem, pancernymi

i psem. Głupie to, wiem. Ale nie zważając na potworny ból ramienia, podniosłam ręce do góry.

Trzęsłam się jak osika. Antyterrorysta zmierzył mnie beznamiętnym wzrokiem noktowizora. Płynnym ruchem odwiesił pistolet maszynowy na plecy i sięgnął do jednej z licznych kieszeni munduru, wyciągając grubą opaskę zaciskową. Podszedł do mnie i bezceremonialnie chwycił za ręce. Złączył je, po czym przełożył przez jeden ze szczebli drabinki gimnastycznej za moimi plecami. Szybki ruch i opaska spętała mnie niczym plastikowe kajdanki. Byłam uziemiona.

Spojrzał na mnie jeszcze raz, po czym wycofał się do wyjścia, w którym dopiero teraz zobaczyłam ubezpieczającego go kolejnego operatora. Po chwili byłam już kompletnie sama.

Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby się ruszyć. Może to poczucie, że w pobliżu uzbrojonego oddziału wyszkolonych zabójców będę zdecydowanie bardziej bezpieczna niż skrupowana w pomieszczeniu, do którego wchodziło się z korytarza skapanego we krwi.

Kiedy tylko wydało mi się, że już nie słyszę kroków, spróbowałam wyciągnąć nadgarstek. Moje wysiłki niewiele dawały, opaska trzymała mocno. Ja zaś wytrwale szarpałam i ciągnęłam. Bez skutku. Wiedziałam jednak, że nie mogę tam zostać. Jakaś część mnie mówiła mi jasno, że nie skończy się to dobrze.

Zawsze miałam drobne dłonie. Pomógł mi też fakt mojej wcześniejszej wywrotki. Ręce nadal lepiły się od krwi. Skuliłam zatem kciuk prawej ręki, tak bardzo jak tylko mogłam, a palce zwinęłam. Pociągnęłam. Opaska zsunęła się na wysokość kciuka i zatrzymała. To dawało już pewną nadzieję. Naparłam mocniej. Poczułam, jak plastik wrzyna się w skórę, ale powoli... powoli się przesuwa. Ciągnęłam dalej. Wiedziałam, że nie ma już odwrotu. Jeżeli bym przestała, dłoń za chwilę by spuchła, a to oznaczałoby duży problem.

Ból stawał się bardzo wyraźny. Bardziej poczułam, niż usłyszałam chrupnięcie stawu. Szarpnęłam po raz ostatni. Ręka wyskoczyła z pętli, a ja upadłam na ziemię. Ulga okazała się zdecydowanie większa niż cierpienie. Przynajmniej przez chwilę.

Szybko się podniosłam i wyjrzałam na korytarz. Nie widziałam oddziału, ale spróbowałam pójść jego śladem. Niewprawnie przemknęłam do najbliższej

odnogi i wyjrzałam. Jakies pięćdziesiąt metrów przede mną antyterrorysty docierali już do stołówki. Rozstawili się gęsiego przy obu skrzydłach szerokich drzwi. Chwila przygotowania, jakieś dziwne gesty i wparowali do środka, znikając mi z oczu.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Krzyków? Błysków luf plujących ogniem? Nie działo się kompletnie nic. Może nie znaleźli nikogo w stołówce? A może to fakt, że tak bardzo przyzwyczaiałam się do widmowych jęków i krzyków wiszących w powietrzu, że dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że ich źródło mogło być właśnie w tym pomieszczeniu?

Niewiele myśląc, pobiegłam do drzwi, uchyliłam je lekko i zajrzałam do środka. Moim oczom ukazał się widok, który sprawił, że zakręciło mi się w głowie. Szaleństwo po raz kolejny tej nocy sięgnęło po mnie swoimi lepкими palcami.

Widziałam, jak dziewięciu antyterrorystów idących przez rozległą halę stołówki przemierza istne morze ciał. Ludzkie kształty zalegały na ziemi, kotłując się jak robaki. Ich nagą skórę oblepiała połyskująca, rdzawa ciecz. Były ich setki. Rozpoznałam więźniarki, strażniczki, strażników, urzędników... Leżeli na podłodze i na stołach. Pieprzyli się w jakiejś chorej orgii. Wili się w ekstazie, jęcząc i krzycząc to z bólu, to z rozkoszy.

Zastanawiałam się, co robią antyterrorysty. Czemu zamiast zareagować, brną przez to opętane kłębowisko szaleństwa. Ostrożnie stawiali kroki. Broń ciągle trzymali wysoko i ubezpieczali się nawzajem. Pierwszy z nich niósł w wyciągniętej ręce coś, co wyglądało jak mały metalowy wisior.

Nie miałam pojęcia, dokąd zmierzali. Po drugiej stronie pomieszczenia znajdowało się przecież bliźniacze wyjście na kolejny blok więzienny, z którego można było dostać się do cel, przejść w kierunku biur lub do szpitala.

Nagle czyjaś ręka wystrzeliła z kłębowiska ciał i chwyciła jednego z operatorów za nogę. Mężczyzna zatrzymał się raptownie i spojrzał w dół, celując w tamtą stronę. Za chwilę kolejna i jeszcze jedna. To chore, ale w tej chwili zdałam sobie sprawę, że to, co widziałam, nie zdawało mi się grupą ludzi piętrzącą się na sobie. Z jakiegoś powodu wyglądało jak jeden organizm z tysiącami rąk, nóg i setkami głów. Odrażający i bluźnierczy konstrukt opętanych przez ekstazę szaleńców.

Operator szarpnął, a kiedy nie udało mu się wyswobodzić, bez ostrzeżenia otworzył ogień. Rozbłyśki wystrzałów rozświetliły upiorne pomieszczenie. Widziałam w nich, jak kolejne ręce oplatają się wokół pozostałych członków oddziału. Z bezładnej kupy zaczęły też wyłaniać się głowy, zaciskając zęby na udach funkcjonariuszy. W pomieszczeniu rozpętała się potworna kanonada zagłuszana jedynie przez narastającą kakofonię opętańczych wrzasków.

Czym prędzej odwróciłam wzrok i odskoczyłam od drzwi. Nie byłam w stanie ogarnąć umysłem skali rzezi, jaka miała miejsce tuż obok.

Musiałam uciekać, ale miałam też niejasne przeczucie, że oddział kierował się w stronę szpitala. Tam zaś mogła znajdować się Mela. Postanowiłam pobiec nieco dłuższą drogą. Zważając zatem, by znowu nie wpaść w pułapkę zakrwawionej podłogi, zawróciłam biegiem, a następnie skierowałam się dalej na spaceriak. Tak jak sądziłam, również i tu wszystkie wejścia były otwarte. Przebiegłam labiryntem z siatki i drutu kolczastego, mijając wybiegi dla więźniarek. Kątem oka nadal widziałam rozbłyśki w oknach stołówki, a w uszach dźwięczało mi chaotyczne terkotanie krótkich serii z broni maszynowej.

Dyszząc, jakbym miała zaraz wypluć płuca, przemierzyłam otwartą przestrzeń w studni ogromnego budynku, by ponownie znaleźć się w ciemnym korytarzu bloku A.

Jeżeli po tamtej stronie śmierdziało rzeźnią, to przeciwległy kraniec betonowego kłosa musiał być absolutnym epicentrum masakry. Już teraz wiedziałam, że nie wszyscy zostali zgromadzeni w stołówce. Korytarze prowadzące do więziennego szpitala wyglądały jak makabryczna galeria chorych dzieł sztuki.

Ciała więźniarek i strażniczek zalegały dookoła. Przywiązano je do krat lub rozwleczono na ziemi. Powykręcane w dziwnych pozach przeczących często naturalnej ruchliwości ludzkich stawów. Zmasakrowane, rozprute lub rozerwane. Nie byłam w stanie powiedzieć, i nawet nie chciałam myśleć, kto lub co im to zrobiło. Staralam się nie zwracać uwagi na wykręczone bólem twarze i oczy zastygłe w skrajnym przerażeniu. Nie analizowałam czy zwisające z nich ochłapy to wnętrzości, czy jedynie zakrwawione kawałki ubrań. Wiedziałam, że gdybym spróbowała, postradałabym zmysły.

Z osłupienia wyrwała mnie nagła cisza. Wrzaski i jęki ustały, tak samo jak i przerywane staccato wystrzałów. Gdyby nie mój ciężki oddech uznałabym, że ogłuchłam.

Potykając się i ślizgając na mokrej posadzce, pobiegłam w kierunku szpitala. Korytarz, klatka schodowa, pierwsze piętro. Po chwili stałam już przed podwójnymi drzwiami kliniki.

Pchnęłam je i wparowałam do środka. Biegałam od sali do sali, wołając Melę i coraz bardziej wątpiąc w swoje wysiłki. Szpital był pusty, cichy i sterylnie czysty. Szpeciły go jedynie krwawe odciski stóp, jakie za sobą zostawiałam.

Usłyszałam krzyk. Skierowałam się do jego źródła i wbiegłam do sali porodowej. Choć pomieszczenie było zaciemnione, z jakiegoś powodu widziałam każdy szczegół makabrycznej sceny, której stałam się świadkiem. Jej widok sprawił, że poczułam, jak wnętrzności zaczęły skręcać mi się w środku niczym oszalałe węgorze pragnące wydostać się na zewnątrz.

Na łóżku porodowym, z szeroko rozpostartymi nogami, leżała Mela. Dziewczyna oddychała ciężko, a jej czerwoną twarz pokrywał pot. Wytrzeszczyła oczy z wysiłku i cierpienia, a jej zaciśnięte mocno zęby wyglądały, jakby miały za chwilę eksplodować w milion białych drobinek.

Już miałam ruszyć w jej stronę, kiedy przede mną jak spod ziemi wyrósł cień. Ten sam upiorny kształt, który widziałam w karczerze. Ciemniejszy niż mrok, spojierający na mnie bezdennymi otchłaniami pełnych mrocznego pożądania oczu.

Stałam jak wryta. Bezkształtny jęk wydobył się z mojego ściśniętego przerażeniem gardła.

– Patrz – usłyszałam tuż przy uchu, choć istota nie zbliżyła się do mnie nawet na centymetr.

Ciało Meli wyprężyło się w przeraźliwym skurczu, a dziewczyna wrzasnęła nieludzko. Jej dłonie szarpały materiał łóżka, a nogi drżały w konwulsjach. Ja zaś stałam tam zmrożona przerażeniem, nie mogłam zdobyć się na najdrobniejszy nawet ruch.

Okrągły brzuch Meli zaczął się poruszać, jakby dziecko w środku rzucało się na boki z siłą, której nie ma prawa posiadać żaden noworodek. Skóra napięła się mocno i posiniała, grożąc, że zaraz pęknie jak wypełniony krwią balon.

Mela znowu wrzasnęła. Spomiędzy jej rozpostartych nóg chlusnęła brunatna maź wód owocowych zmieszanych z krwią i rozlała się po podłodze.

Coś we mnie drgnęło. Coś się obudziło. Tak samo jak wtedy, kiedy zaatakował mnie chuligan, czy gdy broniłam się przed znęcającymi się nade mną kobietami. Mój mały demon. Moje zwierzęce ja.

Ta niepojęta siła kazała mi przemoc paraliż i pokonać strach przed widmową postacią. Rzuciłam się, przenikając przez upiorny cień. Dopadłam do Meli, nie wiedząc tak naprawdę, co chcę zrobić. Musiałam być blisko.

Wołałam do niej, ale nie reagowała. Złapałam ją za rękę, by za chwilę tulić jej głowę czy z obrzydzeniem i troską próbować dotknąć pulsującego brzucha. Patrzyłam, jak wzbierał, a w środku bulgotało coś, co nie miało prawa być istotą ludzką.

– Po co to robisz? – usłyszałam spokojny głos, mówiący mi do ucha. – Przecież jej nie pomożesz.

– Zamknij się – warknęłam.

– Wiesz, zabawna jesteś. Ty i ta twoja śmieszna troska. Myślisz, że te brednie, które sprzedała ci mała Melania to prawda? Każdemu opowiadała co innego. Doskonale zgaduje, co komu powiedzieć, żeby zaskarbić sobie jego sympatię. Ciebie wzięła na zagubioną córeczkę... A prawda o niej jest gorzka i cudownie soczysta.

– Zamknij się!

– To co ma tam w środku, to nie żaden owoc związku z zagubionym bohaterem, który ją przygarnął. Chcesz znać prawdę? Chcesz dowiedzieć się, jak uwiodła własnego ojca i zabiła matkę, kiedy ta dowiedziała się, co właściwie miało miejsce? Mogę ci pokazać.

Machnęłam ręką na odlew, nie wiedząc nawet, w co celuję. Nie widziałam widma przy sobie, ale słyszałam jego głos. W nic nie trafiłam.

W odpowiedzi jakaś niewidzialna siła cisnęła mną o ścianę. Upadłam zamroczona.

Starając się odzyskać oddech, patrzyłam z przerażeniem, jak ciało Meli znowu się wygina. Dziewczyna wrzeszczała, a jej głos chaotycznie zmieniał się w salwach plugawych wyrzyców najczarniejszych emocji, które nie znajdują odzwierciedlenia w żadnych znanych mi słowach. Powietrze zgęstniało jak przed

burzą. W jakiś niepojęty sposób ściany zaczęły spływać krwią. Wszystko dookoła drgało i skrzypiało, jakby sama rzeczywistość drżała w posadach. Coś ją rozpychało.

Kolejny skurcz, kiedy Mela wygięła się, jakby rażono ją prądem. Jej skóra napięła się i... Dźwięk, jaki temu towarzyszył, przypominał darcie mokrego materiału. Ale to nie była tkanina, tylko ludzka skóra, powłoki brzuszne i tkanki wewnętrzne.

Doskonale to widziałam. Aż za dobrze. Ciało Meli rozerwało się samoczynnie, poczynając od jej warg łonowych, poprzez podbrzusze, pępek, aż do mostka. Chlusnął z niej potok krwi, a na podłogę z potwornym plaśnięciem wypadło fioletowe ciało dziecka, przyczepione poskręcaną pępowiną do bezkształtnego łożyska.

Wrzask rozpaczony wydobył się z mojego zdartego już gardła, lecz szaleństwo było niczym wobec tego, co działo się w tym spływającym krwią pomieszczeniu.

Ciało dziecka drżało i rzucało się na ziemi jak kot potrącony przez samochód. Jego drobne kości wyginały się, a skóra napinała. Zwijało się w kłębek, by za chwilę wyciągać w koszmarnych konwulsjach. Z każdą chwilą też zdawało się rosnąć. Wchłaniało krew zalegającą na podłodze oraz łożysko, do którego było przyczepione. Kiedy te zaś kompletnie zniknęły, rosnący maszkaron złapał za nogę wciąż targanej konwulsjami matki. Mogąc już dosięgnąć głowę, odwrócił się i rozdziawił paszczę pełną ostrych zębów. Wgryzł się, szarpiąc skórę i mięśnie Meli. Niczym jakaś koszmarna bestia odrywał mięso od kości i pożerał. Urósłszy na tyle, żeby górować nad łóżkiem, rzucił się na wnętrze swojej matki, wyzerając co się dało z otwartej rany na jej brzuchu.

Upiorny stwór nabierał masy w zastraszającym tempie. Kości robiły się coraz większe pod napiętą skórą. Włókna mięśniowe tańczyły w spontanicznym rozroście. Po kilku chwilach istota z noworodka przeistoczyła się w... coś przypominającego człowieka.

Nie była wysoka. Pod warstwą krwi i tkanek jej ciało posiadało nadzwyczaj ponętne kształty. Pełne łuki bioder prowadzące wyżej przez płaski brzuch i cudownie zaokrąglone piersi wywoływały we mnie dziwne uczucie sprawiające, że ślina sama napływała na język. Wyżej zaś ciemnymi oczami spoglądała na mnie smukła twarz oblepiona mokrymi od skrzepów, czarnymi włosami. Tylko to

pożądliwe spojrzenie bezdennych otchłani oczu zdradzało mi, że oto stoi przede mną widziana wcześniej zjawia obleczona w ciało.

– Oto jestem – powiedziała, posyłając mi biały uśmiech perfekcyjnych zębów. – Podobam ci się?

Nie odpowiedziałam. Leżałam pod ścianą przerażona niezwykłym widokiem i pełnymi groteskowego pożądania myślami wywołującymi mrowienie w podbrzuszu.

Widziałam, jak wyciąga ku mnie smukłą dłoń. Patrzyłam, jak zaprasza i zachęca. Jak drugą ręką pieści swoje doskonałe ciało. Za nią zaś leżało na wpół pozarte ciało Meli. Nie rozumiałam dlaczego, ani swoim rozszalałym umysłem nie potrafiłam ogarnąć, jak to jest możliwe, że dziewczyna nadal oddycha. Jej rozbiegane oczy szukały dziecka, a ręce bezskutecznie macały wnętrza potwornych ran.

Upiorna istota odwróciła się do niej i podeszła. Położyła dłoń na jej czole i się uśmiechnęła.

– Słowo się rzekło – mruknęła i spojrzała na mnie. – Mamy taki układ, wiesz. Mela zgodziła się mi pomóc. Powiedziała, że zrobi wszystko, żeby nigdy nie odebrano jej dziecka. Więc teraz... na zawsze będziemy już razem.

Umęczona twarz dziewczyny wykrzywiła się w czymś, co można by uznać za ulgę. Ja zaś znowu jęknęłam, uzmysławiając sobie, że ten potwór w jakiś przeczący wszelkiej logice czy wierzeniom sposób utrzyma przy życiu Melę, a raczej to co z niej zostało...

Do sali wpadło dwóch operatorów AT. Ich czarne mundury i oporządzenie lepiły się od krwi. Trzymali broń wysoko, gotowi by jej użyć.

Mogłoby się zdawać, że makabryczny widok przeraził ich i poraził na tyle, że nie byli w stanie się ruszyć. Ale to przeciągły jęk podniecenia wydobywający się z ust potwornej kobiety sprawił, że zrozumiałam, iż ten dziwny paraliż jest jej dziełem.

Oblizwała mokre od krwi wargi i wyciągnęła dłonie ku mężczyznom. Ci zaś jak zahipnotyzowani opuścili broń i podeszli do niej. Zdejmowali po kolei hełmy, gogle i kominiarki. Ich oczy wyrażały skrajną fascynację, a usta drżały



w oczekiwaniu na falę rozkoszy. Niczym marionetki na niewidzialnych sznurkach postradali wszelką wolę.

Kobieta złapała jednego z nich za głowę i wplotła smukłe palce w jego włosy. Pociągnęła w dół, przyciskając jego twarz do lepkiego od krwi łona. Jęknęła przeciągle, kiedy drugi podszedł i zaczął pieścić jej piersi. W tle leżała zmasakrowana Mela, bezwiednie wodząc wzrokiem po pomieszczeniu.

Nie wytrzymałam. Moje ciało odmówiło mi posłuszeństwa. Nagły skurcz w brzuchu sprawił, że cała treść żołądka, na którą składała się ślina, krew i kwas, niekontrolowanie wylała mi się na brodę. Ślizgając się na mokrej podłodze, zaczęłam panicznie wierzgać, próbując przeczłgać się do wyjścia.

Dopiero na korytarzu jakoś udało mi się wstać. Potykając się i wspierając o ścianę, zaczęłam uciekać. Musiałam znaleźć się jak najdalej od tej odrażającej sceny i makabrycznego koszmaru. Przez cały czas towarzyszył mi upiorny śmiech potwora zrodzonego z bluźnierczego związku Meli i tej mrocznej zjawy, która nawiedziła to chore miejsce. Pieprzonej strzygi o dwóch duszach, która umarła, lecz powróciła.

Biegłam zatem przed siebie. Wypadłam ze szpitala. Niemal spadłam ze schodów. Skręciłam do wyjścia z budynku, by jak najszybciej znaleźć się na podwórzu.

Pobiegłam do bramy, ale ta jak na złość nie dała się otworzyć. Niewiele myśląc, znalazłam wejście do jednej z wieżyczek strażniczych. Wspięłam się na sam jej szczyt i wyrztałam poza mury więzienia.

Dookoła rozciągały się pola i nieregularne wzgórza. Na horyzoncie powoli pojawiały się pierwsze promienie wstającego słońca. Lecz to zgromadzone na dole wojskowe ciężarówki i ich jaskrawe reflektory przykuwały wzrok. Znajdowały się w oddaleniu kilkuset metrów od murów i okalających go ogrodzeń z siatki zwieńczonej koroną z drutu kolczastego.

Machałam i krzyczałam, ale niewielki dało to skutek.

– Wróć do mnie – usłyszałam tuż przy uchu.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Nikt przecież przy mnie nie stał. Odwróciłam się i spojrzałam w kierunku budynku A. Potworna kobieta – piękna, dostojna i całkiem naga – stała na podwórzu, patrząc wprost na mnie.

Nie mogłam tam wrócić. Wiedziałam też, że zgromadzone na zewnątrz siły nie zdołają jej powstrzymać. Kogokolwiek wyślą, ona omami ich i zniszczy. Musiałam uciekać. Spróbować się wydostać, ostrzec ludzi. Odnaleźć i zabrać moje dziecko jak najdalej od tego koszmaru.

W akcie desperacji otworzyłam okno wieżyczki i wygramoliłam się na gzyms. Następnie zsunęłam się na krawędź muru. Nie wiem, co bardziej mnie przerażało: gęsto zwinięty drut kolczasty czy kilkumetrowa przepaść mknąca w dół ku zewnętrzznemu chodnikowi.

Nie patrzyłam już za siebie, choć praktycznie czułam na uchu oddech potwora. Postąpiłam krok, potem kolejny. Zastanawiałam się, jak mam zwiesić się z krawędzi, żeby zminimalizować upadek, ale po chwili nie było to już moim zmartwieniem. Zahaczyłam nogą o pętlę z drutu, straciłam równowagę i runęłam w kierunku przepaści.

Nie poleciałam daleko. Ostry jak żyłki metal wrył się w moją nogę, a ja zawisłam głową w dół. Drut ranił i darł moje ciało. Wrzeszczałam z bólu, nie wiedząc, co mogę zrobić. Centymetr po centymetrze osuwałam się, czując, jak jestem rozrywana od uda, przez kolano, aż po łydkę. Gorąca krew spływała po mnie. Zalewała nos, usta... I nagle byłam wolna.

Spadłam. Siła uderzenia zabrała mi oddech. Połamane kości nadgarstków i wybity bark nie bolały aż tak bardzo, jak kość lewego przedramienia, która przebiła skórę.

Zdołałam jakoś podnieść głowę. Spojrzałam w kierunku kordonu otaczającego więzienie. Ostatkami sił próbowałam się czołgać w kierunku siatki. Kiedy tego dokonałam, spróbowałam się wspiąć, by stanąć na drżących nogach. Byłam strzępem człowieka.

Chciałam wydobyć z siebie jakiś dźwięk. Krzyczeć, ostrzec, błagać o pomoc. Jęczałam coś niezrozumiale i na tyle słabo, że sama ledwo cokolwiek słyszałam. Myślałam, że ogłuchłam od upadku. Myliłam się. Wyraźnie dobiegł mnie huk wystrzału, a potem zbliżający się wizg pocisku...

Kula przemknęła tuż obok mnie i uderzyła w chodnik, wzbijając fontannę pokruszonego betonu. Spojrzałam ze zdziwieniem w kierunku kordonu.

Kolejna kula trafiła mnie w bark. Dziwne uczucie, jakby ktoś uderzył cię młotem. Ręka zwisała mi bezwładnie. Kolejne pociski uderzały dookoła.

Nieliczne trafiły w cel. Prawa noga, brzuch, policzek...

Leżę teraz na chodniku i gasnącym wzrokiem patrzę w kierunku wieżyczki zakładu... Arlanowa. Umysł gaśnie, a ja zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam, wychodząc z tej pieprzonej celi. Kto to wie?

Ogarnia mnie dziwna satysfakcja. Miałabym ochotę teraz wrzeszczeć:

*Dobrze! Nie wypuszczajcie nikogo! Zamknijcie to kurewstwo w cholere i zastrzelcie wszystko, co spróbuje się chociaż wychylić.*

Ale leżę cicho. Myślę o tym, co by się stało, gdyby ta potworna kobieta opuściła mury zakładu. Czy znajdzie się ktokolwiek, kto zdoła oprzeć się jej urokowi?

Bo jeżeli ja zdołałam... pusta, zniszczona, odrętwiała... To może znajdzie się ktoś inny? Ktoś, kto obroni moje dziecko...

Nadzieja. Cholerny narkotyk.

## JAROSŁAW DOBROWOLSKI



Bibliotekarz z wykształcenia, karateka z zamiłowania, projektant user experience z przypadku. Pisanie to jego pasja, a szeroko pojęta fantastyka to odwieczna miłość.

Prowadzi fanpage na Facebooku – Wynurzenia, gdzie publikuje recenzje filmów, książek oraz gier. Pasjonuje się motocyklami, sztukami walki, fantastyką w każdym wydaniu, grami komputerowymi.

Jest maniakiem RPG, w które namiętnie gra od niemal trzech dekad. Człowiek orkiestra. Pracował jako bibliotekarz, ochroniarz, sprzedawca, instruktor sztuk walki, redaktor oraz był pełnoprawnym członkiem klubu motocyklowego przez duże MC.

Ulubione konwencje: horror, fantasy, science fiction, sensacja oraz wszelkie ich mariaże.

Dotychczasowe publikacje:

- „Wybór Alexa” – opowiadanie wydane w antologii „24.02.2022” – Wydawnictwo IX,
- „Apokalipsa wg Świętego Borowego” – opowiadanie wydane w antologii „Powroty” – Wydawnictwo Gmork,

- „Prawo drogi” – sensacyjna powieść w odcinkach publikowana w magazynie [Motovoyager.net](http://Motovoyager.net),
- „Delirium” – powieść fantasy z elementami grozy, która rozpoczyna cykl „Krwiopijca” – Wydawnictwo Planeta Czytelnika,
- Felietony, recenzje, videorecenzje, newsy, porady – [Motovoyager.net](http://Motovoyager.net),
- Recenzje książkowe i filmowe – Jarek Dobrowolski – Wynurzenia (Facebook).

[1] diabeł (niem.).

[2] Bóg z nami! (niem.).

[3] Szybko! (niem.).

[4] Przeklęta wiedźmo! (niem.).

[5] Trzeba – ofiara sakralna u dawnych Słowian, składana bogom z płodów rolnych i zwierząt.

[6] IMAP to protokół pocztowy pozwalający na korzystanie z jednego konta poczty elektronicznej na wielu komputerach równocześnie.

[7] Dziel i rządź (łac.).

[8] Dress code – zestaw zasad dotyczących stroju pracowników.

[9] Kapitan Ahab, bohater powieści Moby Dick z obsesją polujący na białego wieloryba.

[10] *Falling down* – film z Michaeliem Douglasem w roli głównej, o człowieku, który doświadcza załamania nerwowego, a potem wyrusza na miasto, angażując się w bójki i strzelaniny.

[11] Myśli charakteryzujące się ciągłymi wątpliwościami co do jakości i faktu wykonanych czynności. Określenie oznacza również uporczywe myśli koncentrujące się na przeżywanych symptomach stresu oraz jego przyczynach w rozumieniu chorego, obecne w niektórych rodzajach depresji.

[12] Rasa Inżynierów – obcych z filmu Prometeusz, o charakterystycznej biało-woskowej skórze.

[13] Określenie gracza, który gra tak słabo, że przypomina zachowaniem automatyczny bot.

[14] Objaw kliniczny pod postacią zaburzenia aktywności, polegający na chorobliwym niedostatku lub braku woli, który przejawia się w niemożności podejmowania decyzji i działania.

[15] Nazwa pochodzi od słowa “liszeć” – w staropolskim – stawać się lichym, mizernym, osłabiać się. (Słownik Języka Polskiego, S.B. Linde, 1808).

[16] Lupiglaa – plemię słowiańskie zamieszkałe w 30 grodach na szlaku z Pragi czeskiej na północ i północny wschód.

[17] Odruch istniejący u noworodków w odpowiedzi na gwałtowną zmianę położenia ciała, nagły hałas, ostry dźwięk.

[18] Nie strzelaj (niem.).